PONAD SIŁY.*)

POWIEŚĆ.

— Kopalnię mamy zamiar kupić, jeśli to będzie pańską wolą— mówił bankier Otto Bayer, wychylając się z olbrzymiego renesansowego fotelu.

Tadeusz chodził nerwowo po pokoju, wsunął palce w ciemną swą czuprynę i nieznacznie targał.

— Mowę pańską dziś bije dwadzieścia naszych dzienników, jutro pozna ją cała monarchia i przyklaśnie jej. W izbie waluta złota ma zapewnione przeszło dwie trzecie głosów i całą Izbę wyższą. Złoto płynąć będzie do nas, póki nie obniży procentów. Musimy uciekać przed tą zniżką do przemysłu i dlatego radzi nabędziemy pańską kopalnię. Sprzedając ją, pozbędziesz się kłopotów i pewno długów, zostaniesz z nami w Wiedniu, możesz być ulubieńcem cesarza, łatwo, jeśli zechcesz, ministrem...

Tadeusz zaprzeczył ruchem głowy.

— Więc wolisz pan kopalnię, gdzie ropa robi wieczne błoto, gdzie jęk maszyn zagłusza wyrazy i gnębi myśl ludzką?..

— Wolę — szepnął Tadeusz.

---

*) Ob. „Ateneum", styczeń — październik, 1900 r.

— Szanuję fantazye ludzi: to ich własność, lecz pozwolisz pan na ździwienie z mej strony?

— Pozwalam — rzekł Tadeusz zamyślony.

— To w takim razie sprzedajesz pan kopalnię, musisz sprzedać: bo masz lepszy nad nią interes.

— Sprzedaję kopalnię...

— Ja ją kupuję, lecz nim kupię pańską, muszę kupić naprzód dwadzieścia pięć procentów księżny, ciążące na pańskiej kopalni, i jej tereny w całej Wyżnicy, abyśmy mogli rozwijać się. Pan masz do eksploatacyi czterysta morgów w Wyżnicy.

— Czterysta dwadzieścia.

— Doskonale, a my chcemy mieć tysiąc.

— Nie ma księżna w Wyżnicy tysiąca morgów linii naftowej.

— Sprawdzimy, a zawsze nie pozwolimy nikomu sadowić się pod naszem okiem. Tymczasem musimy skończyć z pańską księżną. Chcemy mieć kopalnię całą dla siebie. Gdybyś pan miał pieniądze, nabyłbyś procenta księżny na swej kopalni.

— Niewątpliwie.

— A ponieważ dzięki dzisiejszej mowie pańskiej o milion będzie u nas tak łatwo, jak dawniej o sto tysięcy—chcemy się pozbyć księżny... Gdy księżna przystanie, zwrócimy się do pana. Ponieważ pan szczycisz się przyjaźnią księżny pani, racz pośredniczyć w naszej i zarazem własnej sprawie.

— Wiele ofiarujecie panowie za procenta i tereny?

— Odrazu pół miliona.

— Nie zgodzi się, nawet nie podejmuję się robić tej propozycyi. A więc i kupno mojej kopalni upada dla was.

— Damy sześćkroć!

Tadeusz zaprzeczył ruchem głowy.

— Siedemkroć, osiemkroć...

— Nie zgodzi się!...

— Dajemy milion — zawołał i zerwał się, przestraszony własną propozycyą. Boję się wspólników, powiedzą, żem się zagalopował. Ojciec księżny podobno dał za Wyżnicę trzykroć, ja za procenta i eksploatacyę gruntu daję milion.

— Teraz będę miał odwagę robić propozycye księżnie. Jest podstawa — rzekł spokojnie Tadeusz.

— Sądzę, że pan będziesz pracował i dla siebie. Jest to najwyższa cena, jaką dać możemy. Zresztą księżna zna się na interesach i wątpię, aby chciała strunę przeciągać. Po skończeniu pierwszego aktu z księżną rozpoczniemy drugi i ostatni z panem. Poradź pan

księżnie, aby się zgodziła. Milion gotówką to sumka, która i na księciach robi dobre wrażenie.

Tadeusz pojechał do księżnej. Bankier, chodząc po swym gabinecie, układał.

— Gdyby księżna miała nasz zmysł do interesów, nasze jasnowidzenie, to, zamiast sprzedawać nam Wyżnicę, pożyczyłaby Tadeuszowi milion, poszłaby razem z nim ręka w rękę i zarobiła pięć milionów. Szczęściem nie ma naszego sprytu i naszego jasnowidzenia. Ta jasność wzroku, tak łatwa i prosta dla mnie, czy ona jest zdobyta dziedzicznością, czy logiką myśli? dość, że nie umiemy patrzeć inaczej, zdolność ta daje nam panowanie nad ludźmi i światem.

Zatarł ręce z pewną lubością, kamienna jego twarz rozjaśniła się, uśmiech zagościł na grubych i szerokich wargach, a żółte, rzadkie zęby wychylały się ciekawie, gotowe gryźć i trzeć z jednakową zawsze siłą i zaciętością.

— Dał nam dziś złoto, i my tylko z tego prawa skorzystamy, a jutro odda nam kopalnię. Najrozumniejszy z nich wszystkich, lecz cóż? jest sam, biedaczek, i dlatego padnie. Gdy ja zatelegrafuję, dziesięć banków zapyta: czego? Powiem im krótko, o co chodzi, i dziesięć milionów w godzinę mi złożą. On sam, biedaczek... sam... sam!...

Śmiał się cicho i ręce zacierał.

Tadeusz stał przed księżną.

— Kupuje dwadzieścia pięć procentów księżny i wszystkie tereny do eksploatacyi w Wyżnicy i za to ofiaruje milion guldenów odrazu gotówką.

Księżna wstała.

— Musisz pan sprzedać kopalnię?

— Aby zapłacić milion długu.

— A gdybyś go pan miał?

— Nie sprzedałbym kopalni nawet za pięć milionów.

— Szukałeś miliona pożyczki?

— Szukałem, lecz koledzy moi w Kole idą przez życie spóźnieni o dwa wieki, w jakimś śnie przeszłości.

— I tak będą kroczyć.

— Wyludniać się powoli. Lecz jeszcze są, trwają, zajmują miejsca i ciężą niemiłosiernie nad nami.

— Nie znalazłeś nikogo?

— Nikogo, absolutnie nikogo. Poszedłem do bankierów wiedeńskich, ci położyli łapę na kopalni.

— Odrazu zrozumieli interes. Jak pan zapatrujesz się na ich propozycyę dla mnie?

— Względnie dobra, lecz gdybym był na miejscu księżny, broniłbym się. Kopalnia, jeżeli przyjdzie drugi pokład ropy, ma wielką przyszłość. Myśmy ją odkryli, znaleźli, zorganizowali, zaczynamy eksploatować, i, gdy wszystko gotowe, przychodzą Niemcy i za liche srebrniki wydzierają nam bogactwo kraju i nasze.

— Dobrze, odrzucę ich propozycyę, lecz pan jak sobie dasz radę, jeśli nie będziesz mógł wydobyć miliona?...

— Czekam na telegram o przyjściu drugiego pokładu ropy.

— A wtedy?

— Może przekonam, może znajdę ludzi — człowieka...

— Pomogę panu z całego serca, a nawet, abyś miał rozwiązane ręce, sprzedam za milion temu, kto nabędzie moje procenta i tereny. Kiedy może przyjść upragniony telegram z Wyżnicy?

— Za godzinę, jutro, za tydzień...

— A więc czekajmy. Widziałeś pan dzisiaj Marynię?

— Mam nadzieję zobaczyć ją wieczorem u księżny.

— Bardzo dobrze, dziewczę pochłonięte pańską mową. Po raz dziesiąty odczuła wyższość twego umysłu nad zatopionym we własnej ekstazie dekadentyzmem Podiebrada... Może znowu się uda w trójkę lub czwórkę przegawędzić wieczór.

Tadeusz odjechał—w hotelu oddano mu telegram:

„Na 564-ech metrach głębokości, trzy wagony ropy w przeciągu dwunastu godzin! Wit-Władysław."

Tadeusz wpatrywał się w telegram, serce mu rosło, oczy świeciły, blada, zmęczona twarz oróżowiła się.

— Jestem uratowany—szeptał—uratowany!... Marynia, przyjaciele, przyszłość, Galicya, Podkarpacie, kraj!...

Serce mu wzbierało radością nieznaną, długo tajoną. Od portyera wziął kopertę, włożył w nią telegram, zaadresował do księżny i polecił wyprawić go umyślnym.

— Dwakroć pięćdziesiąt tysięcy guldenów rocznie. Być może, że wydatek ropy zmniejszy się na dwakroć, a nawet na sto pięćdziesiąt tysięcy rocznie w jednym szybie. To dziesięć szybów da rocznie półtora miliona. Wielkie zwycięstwo!... Pierwszy raz w Galicyi głębokie wiercenie daje rezultaty tak świetne. Jeżeli na linii naftowej w drugim pokładzie znajduje się tak obficie ropa, to nie ulega wątpliwości, że na całym terenie jest w większych lub mniejszych ilościach. Kopalnia ma przyszłość trzydziestu lat. Boże! dziękuję Ci, żeś mi pozwolił dożyć tego dnia!... Nie wątpiłem, że, jeżeli Ka-

nada w głębokościach posiada naftę, to i nasza Galicya musi ją mieć. Nafciarstwo galicyjskie inaczej się rozwinie. Urośniemy, ślepi przewidzą, niedowiarkom każemy ręce kłaść w otwory! Oddycham i teraz zaczynam wierzyć, że milion na moją kopalnię dostanę!

Wrócił do siebie i ułożył telegram do dyrektora:

„W 564 metrach głębokości nastąpił drugi wybuch o sześciu wagonach ropy dziennie! W dziesięciu szybach sześćdziesiąt! Czy jeszcze szukać, czy nie lepiej wracać?! Tadeusz."

W pięć minut później wysłał drugi telegram:

„Do Otto Bayera, dyrektora banku w Wiedniu:

„Głęboki pokład, wczoraj przebity, daje sześć wagonów ropy dziennie. W takich warunkach, sądzę, będzie panu łatwiej pożyczyć milion. Tadeusz."

Telegramy wyprawił i padł na sofę, chcąc się rozkoszować obrazami przyszłości, które pragnął roztaczać przed oczyma swej duszy. Znużony, wyczerpany, nie był w stanie nawet myśleć. Zjawiła się Marynia, położyła dłoń miękką, przezroczystą na jego czole i koiła troski. Nie myślał, nie marzył — śnił z otwartemi oczyma.

Zbudził go telegram.

„Winszuję! I ja oczekiwałem tej wiadomości, bez niej nie przystąpiłbym do kupna—obecnie jestem gotów traktować.

Otto Bayer."

— Oczekiwał? jakim sposobem? Skąd mógł wiedzieć o naszem głębokiem wierceniu? Czy to tylko nie fortel kupca, czy istotnie liczył na drugi pokład nafty?

Temi myślami przerażony ubierał się szybko.

— Jakiś ciężar padł mi na serce, nie mogę go zrzucić, gniecie mnie i męczy, a przecie powinienem szaleć z radości, przemysł nasz uratowany, kopalnia moja ma wielką przyszłość, tajny kredyt upada, Marynia moja!

Zawołano go do telefonu.

— Halo! Dziękuję za telegram. Czekamy z Marynią, przyjeżdżaj pan.

Skoczył do dwukonki i popędził z animuszem wiedeńskich dorożkarzy.

Kobiety przez całą długość salonu biegły do niego na spotkanie!

— Jesteś pan uratowany — zawołała księżna. Dostać dziś milion jest rzeczą łatwą. Gdybym go miała!... Rozporządzam zaledwo osiemdziesięcioma tysiącami gotówki.

— Rozmawiałam dziś z ojcem — mówiła szybko Marynia —

i powiedziałam mu, że to byłby pewnego rodzaju obłęd ze strony naszego społeczeństwa, jeżeliby ci nie podało ręki. Ojciec milczał ponuro, widocznie obliczał, zastanawiał się i walczył z sobą. Jestem pewna, że zwycięży w nim wrodzony spryt i zdolność oryentowania się.

— Tem więcej teraz, przy znalezieniu drugiego pokładu surowca, dodała księżna. Odstąpię mu za milion procenta i tereny. Takiego interesu nie rzuci, — nadto sprytny.

— A więc cieszmy się, zawołała Marynia, a pochylając się do Tadeusza, dodała cicho:

— Ani jednego dnia, ani jednej godziny nie przedłużam terminu.

— Bądźmy weseli, oddychajmy spokojnie, cieszmy się, rzekła księżna. Masz pan prawo odpocząć — należy ci się.

Marynia podała mu obie ręce, cisnął je do ust, lecz był smutny, zgnębiony, przeczucia szarpały mu serce, tajemny głos głęboko, głucho odzywał się z tajników jego mózgu: „Teraz dopiero przyjdą na ciebie udręczenia". Pracował, aby nurtujące w nim przeczucia zdusić, lecz nie mógł, nie miał energii, nie był zdolny zapanować nad swymi nerwami. Czuł tylko, że jeszcze więcej kocha Marynię, rad był tulić się do niej, pragnął, aby mu dłoń swą położyła na czole... „Tajny" kredyt stał przed nim, jak białe widmo, i wzrokiem mówił mu: jestem twojem przekleństwem.

— Bądźmy weseli, powtórzył cicho, a zarazem rzewnie i smutno, że aż serce Maryni ścisnęło się z bólu, a księżna spojrzała na niego.

— Coś panu jest, rzekła. Nie czuć w tobie zwycięzcy! Marynia patrzała mu w oczy.

— Boję się, szepnął.

— Czego? zawołały jednocześnie...

— Braku kultury mego narodu. Brak ten zabija wszystko, zabija wielkie pomysły, sztukę, literaturę, gorące natchnienia, rwanie się do słońca. Brak w sobie kultury nazywa się trzeźwością praktyczności i morduje nią dookoła. Pustka w narodzie, a w tej pustce przechadzają się postacie praktyczne, które niedługo uczciwość, pracę, szlachetne instynkta będą nazywać—idealizmem, poezyą, mrzonką.

— Tadziu, zawołała Marynia, skąd się tworzą w tobie takie czarne myśli?

— Nie wiem, lecz nurtują w mym mózgu, nie mogę się ich pozbyć.

Przetarł ręką czoło:

— Niech będzie, co chce — Bóg powiedział do Lota: jeżeli znajdzie się w Sodomie ośmiu mężów sprawiedliwych, miasta nie spalę! Wtedy się nie znalazło, Sodoma spalona. Lecz dziś w Galicyi znajdę ośmiuset sprawiedliwych — i z nimi żyć, dla nich pracować — rozkosz.

— Gdyby nie było ośmiuset, wystarczy osiemdziesięciu, rzekła Marynia.

— Nawet ośmiu — zawołał, bo i dla Pana Boga wystarczyło ośmiu.

Odetchnął ciężko, ujął ręce Maryni, dłonie jej przyłożył do oczu, odjął, roześmiał się smutno i rzekł:

— Już jestem uleczony i wzmocniony! Naprzód do ostatniego tchnienia!..

Księżna wyciągnęła do niego ręce.

— Dzielny pan jesteś, podziwiam w panu nie tylko energię życiową, ale i ten szlachetny optymizm, jaki w tobie tkwi. Nim zwyciężasz i bierzesz ludzi i społeczność.

Przyniesiono wieczorne dzienniki.

— Patrz, zawołała księżna, mowę pańską Fremdenblatt umieścił na naczelnem miejscu dla przypodobania się opinii. W tej chwili tysiące ludzi czyta ją, jutro będzie czytać sto tysięcy. Wszystkie usta wymawiają pańskie nazwisko, jako Polaka!... Polak, powtarzają, zbliżył nas do Europy. Cześć mu — chwała mu!...

— A za rok, pomyślał, gdy nie usunę „tajnego" kredytu, te same usta będą wymawiać moje nazwisko z przekleństwem zawziętości!

— Rozumiesz rozkosz sławy? spytała go Marynia.

— Nie, odparł. Uczułbym, gdybym stanął na szczycie — a do szczytu daleko, daleko! Szczyt w chmurach! Tam ogień święty, ukraść go trzeba i uciec z nim w doliny.

— I nie boisz się zemsty bogów?...

— Nie — tylko się boję głupoty ludzi!

— Ta jest najstraszniejsza!

— Zawsze znajdziesz pan ośmiu sprawiedliwych, powiedziała księżna, nie trać więc ufności w siebie, bo ta idzie na ludzi i świat.

— Droga księżna już mówi po naszemu, zrobiła uwagę Marynia, tuląc się do niej.

— Świętych obcowanie, odparła księżna i, uśmiechając się, głaskała ciemne włosy dziewczęcia.

„Kamienna twarz", chodząc po swym gabinecie, wydobywała często zegarek.

— Czyżby mnie moja znajomość ludzi zawiodła? Czy Tadeusz nie znalazł jednego z Polaków w Wiedniu? To nieprawdopodobne, to niemożliwe! A może przyszły teść jest za sprytny.

Stanął.

— Znam szlachtę polską — niepodobna, niepodobna. Jedna rzecz, dyrektor ze Lwowa mógł odwołać żądanie miliona i zdmuchnąć nam z przed nosa dwadzieścia. Jeżeli tak, zemściłbym się piekielnie! Twój tajny kredyt wyszedłby na światło dzienne i sprowadził krach, jakiego jeszcze Galicya nie widziała. I mścić się należy do rozkoszy bogów i ludzi — jeśli ludzie są bogami.

Spojrzał na zegarek.

— Czekam jeszcze kwadrans. Potem wyjadę i nie przyjmę go jutro cały dzień. Stanie w progu moim skruszony i pokorny.

Powóz się zatrzymał przed bramą, bankier wyjrzał, kamienna jego twarz rozwarła paszczę do uśmiechu, jak gdyby pragnęła w tem radosnem poruszeniu połknąć jednocześnie ofiarę.

Wszedł Tadeusz.

— Winszuję nie odkrycia głębokich pokładów nafty, bo jeżeli są płytkie, to muszą być i głębokie, lecz że potrafiliście się dobić do nich. Pierwszy wypadek w Galicyi.

— Pierwszy, odparł Tadeusz.

— Za nim pójdzie drugi i dziesiąty, a za lat parę wszyscy nafciarze odrazu będą wiercić głęboko. To samo dziś dzieje się w Kanadzie. W razie nabycia Wyżnicy miałem zamiar wiertaczy sprowadzić z Kanady, lecz ponieważ są na miejscu, zatrzymamy wszystkich. W pańskiej kopalni przyjaciele pańscy wiercą dla pana na akord?

— Od metra — układ na rok.

— Dotrzymamy i z nimi terminu.

— A więc chcesz pan nabyć kopalnię? Lecz ja dziś po znalezieniu drugiego pokładu pragnę pożyczyć milion...

— A ja dziś pragnę tylko kupić.

— Dam dziesięć procentów i hypotekę na całej kopalni.

— Dziękuję panu.

— Dam dwanaście!

— Również dziękuję!...

— Osiemnaście!

— Razem z dwudziestoma pięcioma księżny czterdzieści trzy, byłoby za ciężko dla kochanego pana, mógłbyś paść.

— Nie obawiaj się pan!

— Nie gram w hazard, kupuję lub odchodzę.

— Za wiele?

— Za milion!

— Kopalnia w tej chwili warta pięć milionów, gdy w drugim szybie znajdą w równej głębokości ropę, wartość podniesie się do dzięsięciu, a niedługo do dwudziestu.

— Być może, — mimo to gram i ryzykuję.

— Ale to żadne ryzyko — to pewność...

— Dla kochanego pana, lecz dla nas pewność ta nie jest sprawdzona.

— W ostateczności, rzekł spokojnie blady, o świecących oczach Tadeusz, jeżeli sprzedam, to już nie taniej, jak za trzy miliony.

— Szukaj pan kupca, my możemy dać milion, i ten wypłacam w pięć minut po podpisaniu kontraktu sprzedaży. Dostaniesz pan sto sztuk po dziesięć tysięcy — i sprawa skończona.

— Nie mogę popełniać na sobie samobójstwa.

— A my ryzyka!

— A więc do widzenia w korzystniejszych dla mnie kombinacyach.

— Z ochotą prosimy. Czytałem mowę pańską o złotej walucie — wyborna! Odrazu stałeś się pan osobistością popularną w Wiedniu!...

— Pragnę wyzyskać tę popularność.

— Życzę powodzenia.

Odprowadził Tadeusza do przedpokoju, czekał, póki nie włożył paltonu i, jeszcze raz uścisnąwszy mu rękę, odszedł i w gabinecie wesoło zaśpiewał:

— „Ach, mój aniele, ty jeszcze wrócisz tu! Ty mnie już nie opuścisz!

„W tym biednym kraju pieniądze są, ale mózgów niema...

„Aniele, ty wrócisz tu, ty wrócisz tu!..."

Tadeusz stał z rozwartemi oczyma na ulicy i patrzał przed siebie. W czaszce mu trzeszczało, jak gdyby mury pękały, a serce drętwiało, nie mógł oddychać...

— Jeżeli ludziska przeczuwają we mnie człowieka, to mnie biedaka zamordują, zadziobią z samego strachu, że nie jestem podobny do nich, z nienawiści, że mogę być innym. Ta ochrona gatunku jest straszna, straszna!...

Poszedł żywo naprzód.

— Jeżeli ten, co sam wybornie rozumie interes, daje mi milion, cóż inni, którzy go nie rozumieją? Muszę sprzedać kopalnię, jedyne dziś moje bogactwo, wszystko, co mam, cała moja przyszłość, nadzieja, moje odrodzenie przemysłu i ludzi. Jeśli to wszystko sprzedam za milion, to przeszło milion zostaje jeszcze „tajnego” kredytu! Jakim sposobem go oddam? Węgiel czeka, lecz za co się dobiorę do niego? Co pocznę, gdy za rok, a najdalej za dwa tajny stanie się jawnym? Jaką pokażę gwarancyę, czem się usprawiedliwię?..

Zadławiło go w gardle, wyciągnął ręce bezwiednie, jakby chciał szukać niewidzialnej podpory.

— Dziś jestem właścicielem dwudziestu milionów; jutro będę miał przeszło milion długu bez pokrycia. Będę nędzarzem w opinii tłumu, tym, przed którym się otwierają drzwi więzienia.

Stary mój przyjaciel wielką mi klęskę zadaje, siebie nie oszczędza i milczy zawzięcie, jak gdyby był skuty łańcuchami przysiąg.

Przyśpieszył kroku, serce biło mu żywiej, krew krążyła szybko, myśli rodziły się weselsze...

— Nie jeden bank w Europie! Jeżeli tu, w Wiedniu, trzymają się bankierzy za ręce, to w Bruksselli, Paryżu, Londynie są kapitały i odczucie dobrego interesu. Nie można dać się zarzynać tępem narzędziem i ciągnąć do ruiny starca, który bądź co bądź stworzył to, co dziś mam. Wszystkie siły wytężę, aby się bronić...

Stanął.

— A więc trzeba jechać. Znam rynek pieniężny w Bruksselli i łatwo dam sobie radę.

Spojrzał na zegarek.

Kuryerem do Berlina dwanaście godzin czasu!... Naprzód odebrać papiery z paszczy „kamiennej twarzy” — pożegnać się z księżną, zobaczyć Marynię i w drogę. Jeżeli muszę sprzedać, to za cały tajny kredyt, a wtedy jeszcze nie zginąłem!

Wzmocniony postanowieniem wpadł do kawiarni, zatelefonował do Ottona Bayera o odesłanie mu papierów kopalni do hotelu, napisał listy do przyjaciół w Wyżnicy i dyrektora we Lwowie.

W ostatnim liście wykazał na cyfrach, że, jeśliby się utrzymał przy Wyżnicy, za dwa lata kopalnia jego będzie przedstawiać wartość dwudziestu milionów. Lecz ponieważ musi ją sprzedawać, pragnie sprzedać za cały „tajny” kredyt. I jeśli się z niego uwolni, czuje, że się odrodzi.

Pan Edward w salonie księżny Pawłowej rozkoszował się arystokratyczną atmosferą, którą przedewszystkiem w jego oczach wytwarzała Anulka. Również rozkoszował się mdławo słodkiemi spojrzeniami „anioła" Anulki, śmiał się głośno z jej dowcipów i korzył przed majestatem starej księżny, która w jego mniemaniu podobną była do promienia Chrystusa i źrenicy Boga. To, co powiedziała księżna Pawłowa, było dla niego objawieniem, jej wola rozkazem. Opinii — księżnie Pawłowej nie śmiał podawać w wątpliwość, jak przykazań boskich.

— Mów, mów, kochany panie Edwardzie, odezwała się Anulka, dowcip pański jest bardzo zabawny, a opowiadanie, nie chcę pana psuć, lecz muszę mówić prawdę—wytworne.

Zwróciła się do księżny.

— Ciociu, prawda, że nie egzageruję.

— Nie, rzekła księżna. A przytem jest bardzo zręcznym dyplomatą, z kombinacyi jego można się zawsze czegoś nauczyć.

Pan Edward skłonił się rozpromieniony.

— A więc—rzekła Anulka—patrzeliście z piękną księżną Wyżnicką wzajemnie sobie w oczy, ona ma duże szafirowe.

— Długo mi księżna wykładała o korzyściach dla mnie i dla kraju, jeżeli dam Tadeuszowi milion lub wejdę z nim do spółki.

— A pan?

— Wysłuchałem cierpliwie i oświadczyłem, że zrobię to, lecz nazajutrz po oświadczeniu się Podiebrada o rękę Maryni i gdy Marynia go przyjmie.

— Wybornie! szepnęły obie.

— Jeżeli więc księżna chce naprawdę pomódz Tadeuszowi, to niechże namówi Podiebrada, aby się oświadczył, a Marynię, aby go przyjęła.

— Wybornie! szepnęły obie.

Księżna zmierzyła mnie wzrokiem królewskim, że aż zadrżałem i, powiedziawszy: „Nie jestem zawodową swatką", zostawiła mnie samego w salonie.

— Pyszna i niegrzeczna, zrobiła uwagę Anulka.

Pan Edward westchnął i mówił dalej:

— Wyszedłem na ulicę struty i zgnębiony. Obraziłem księżnę i do niczego nie doszedłem.

— Do wszystkiego, zawołała Anulka, bo pan wiesz, co się święci.

— Kończmy, pomyślałem, i pojechałem do Podiebrada.

— Nowy dramat, rzekła księżna Pawłowa.

— Przyjął mnie, jak teścia. Zaproponowałem mu, że mu pożyczę milion, aby w swojem imieniu pożyczył go Tadeuszowi.

— I cóż?

— Podiebrad nie przyjął propozycyi. Oświadczył mi, że musiałby mu zaproponować sam Tadeusz. Jeżeli tego nie robi, to widocznie nie chce, a on narzucać się nie może!... Widzicie panie — przegrałem.

— Istotnie Podiebrad nie mógł tego uczynić, rzekła księżna Pawłowa, boby to w oczach pańskiej córki wyglądało, że daje Tadeuszowi milion odczepnego. Podiebrad za wielki pan, za subtelny. Pan, panie Edwardzie, tego nie rozumiesz.

— Lecz w każdym razie taktyka była wyborna rzekła Anulka.

— Co do taktyki nie przeczę, bronię tylko Podiebrada.

— I nie przegrałeś pan, podchwyciła hrabianka, bo wiemy, co jest.

— Wiemy tylko, rzekł pan Edward, że księżna, Podiebrad i Marynia „to jedność", jak mówi lud. Ale czy Marynia i Podiebrad jedność — nie wiemy.

— Jeśli córka pańska przewidziała i oprzytomniała...

— Mościa księżno, niewiadomo! Boję się dowiadywać.

— Dopóki nie jesteś pan tego pewny, to fabrykantowi nie wolno ci pożyczyć stówki.

— Nawet guldena! zawołała z entuzyazmem Anulka.

— Bo on te pieniądze obróci na....

— Ożenienie się z Marynią, dokończyła hrabianka, a potem wszystkie swe długi zwali na pański kark. Nie udźwigniesz ich pan i padniesz. Będziesz miał dwie zbrodnie na sumieniu. Mezalians swego dziecka — ohydny po Podiebradzie mezalians i ruinę majątkową.

W ruinę nie wierzył, lecz mezaliansem się struł po raz tysiączny.

— Marynia powiedziała mi przed godziną, że, jeżeli jej dam milion, dziś mnie skwituje z całego posagu.

— I z tym milionem ucieknie do fabrykanta, dokończyła Anulka.

— Nowy byłby skandal, dodała księżna, a pan przy swoim majątku masz prawo patrzeć w górę i iść w górę!... Dużo rzeczy stoi ci otworem...

Anulka zrobiła minkę wniebowzięcia, była pewna, że szlachcic padnie do nóg księżnie, a potem jej. Właśnie pragnęła wyjechać do Trouville, tylko nie miała z kim.

Szlachcic nie skorzystał ze sposobności, nie dorozumiał się, że mu odsunięto zapory i drzwi odchylono — nie wszedł. Nadto był w tej chwili zgnębiony, rozstrojony, wyczerpany, smutny. Pomost, zrobiony dla Podiebrada, walił się, najpiękniejsze sny jego życia pierzchały, i znowu twarda, okropna rzeczywistość — Marynia naprzeciw Tadeusza...

Zdenerwowany samą myślą zerwał się i znowu usiadł.

— Mościa księżno i hrabianko, ratujcie! Nie mam sił i sumienia pozbyć się nadziei, że Podiebrad poprowadzi moją córkę do ołtarza. Bez tej myśli okropna pustka robi się w mej głowie, jakoś mi straszno, ponuro, ciężko, świat czernieje, robi się zimno.

Rozpłakał się, zakrywając oczy chustką. Anulka się zerwała, chcąc mu położyć rękę na ramieniu, lecz księżna spojrzała.

— Panie Edwardzie— zaczęła—jest to nieszczęście, gdy dziewczyny nie mają matek, są rozpieszczone przez ojców i same się wychowują na jakieś wstrętne samodzielności. Samodzielność to rewolucyonizm ze wszystkiemi okropnościami. Czyby której z nas była przyszła nawet myśl nie wyjść za Podiebrada, gdy on raczyłby rękę wyciągnąć? Dziś pan jeszcze wśród naszego świata nie znajdziesz żadnej. Podiebrad jest Podiebradem i rzecz skończona. Ręczę panu, że księżnie ani nawet w myśli nie postało, że jej córka może nie chcieć Podiebrada. Ten fakt nie wchodzi w rachubę, bo nie egzystuje. A teraz wyobraź pan sobie zwyczajną szlachciankę, która odtrąca rękę Podiebrada!?... Co za rozkiełznanie uczuć, co za wstrętna nieprzyzwoitość, jak ordynarny brak wychowania — i to wszystko podbite, jak gronostajami — samodzielnością! Macie samodzielność kobiecą — do jakich ona zbrodni dochodzi!

— Księżno, za ciężko mnie każesz, odparł pan Edward żałośnie, ocierając oczy chustką. Czyż mogłem przeczuć, że mi się uda zdobyć parę milionów?.... Z łaski Tadeusza — dokończyła mu figlarna myśl. Zdawało mu się, że mu te wyrazy ktoś szepnął, wytężył słuch i powoli się obejrzał i odetchnął — nikogo w salonie prócz księżny i Anulki.

— To pana rozgrzesza, odparła księżna, a Anulka złożyła do niej ręce, jak do modlitwy, aby oszczędzała pana Edwarda. Dla dziewczyny jedyne miejsce wychowania klasztor, tam ją za młodu oduczą samodzielności i tym podobnych fanaberyi, tam ją wytresują

na Bogu miłą, a ludziom na pociechę. Dlaczego Marynia nie skończyła chociażby lwowskiego Sacré coeur?

Pan Edward nie chciał oskarżać nieboszczki żony, która mówiła, że córkę matka powinna wychowywać.

Pocałował rękę księżny i czekał.

— Możebyś ją pan tu przywiózł?

— Nic nie pomoże, zasypie nas, jak piaskiem na pustyni, argumentami.

— Wymowna?!...

— I mądra, jak rabin.

— W nauce demagogii, a może frankmasonii. Wszystkie dziewczyny, nie wychowane w klasztorze, są dziś frankmasonkami.

— Prawda, ciociu!...

— A zatem? pytał bojaźliwie Edward.

— Czekajmy, póki nie zbankrutuje fabrykant. Przecież za bankruta nie wyjdzie? niepodobna, szlachcianka i twoja córka!?..

— Lecz nim zbankrutuje, upłynie parę lat, dziewczyna ma dwudziesty trzeci, zestarzeje się.

— Nic jej nie będzie. A zresztą wymyśl pan lepszą kombinacyę.

— Niech ją Podiebrad wykradnie, zawołała z romantycznym patosem Anulka.

— Bez jej woli?...

— Ktoby zwracał uwagę na wolę głupiej dziewczyny?

— Wszystkie awantury upadają, odrzekła księżna, wobec Podiebrada. Jest to pan i nie wolno mu narażać stosunków swych i harmonii z dworem.

— To niechże ciocia coś wymyśli — biedny ojciec cierpi...

Z kolei pan Edward pocałował rękę Anulki i uczuł lekki uścisk dłoni.

— Cóż, kiedy wszystkie kombinacye rozbijają Marynia i Podiebrad, a my jesteśmy bezradni.

— Dożyliśmy czasów, szepnęła Anulka, jak gdyby już jutro miał się zjawić antychryst.

— Nie dajesz miliona, i czekamy!..

— Nie, nie daję, rzekł poważnie Edward, chociaż go coś kłuło w serce. Przecierpię i nie dam.

— Nie potrzebujesz pan cierpieć, rzekła Anulka.

— To złoty interes, zawołał.

— Wszystkie interesa, stworzone przemysłem, zdaleka są złote,

zblizka karleją. Jedyny interes ziemia! wygłosiła księżna Pawłowa z miną wyroczni.

Edward zgnębiony nic nie odpowiedział.

Kamerdyner zaanonsował księżnę z Wyżnicy.

— Nie chcę się z nią spotykać, szepnął pan Edward.

— Najlepiej, domyśliłaby się spisku, chociaż go niema.

— Wyprowadzę pana bocznymi schodami, podchwyciła Anulka.

Wyszli — w buduarze księżny długo szeptali, pan Edward dwa razy ucałował poczciwe łapki Anulki, byli oboje zmartwieni, lecz się uśmiechali w tej ciężkiej próbie życia, jaką podobało się Bogu dotknąć ich.

Anulka wróciła do salonu, pan Eward wyszedł bocznymi schodami na ulicę.

— Wiem, że nie dam, rzekł, ale nie wiem, czy nie popełniam głupstwa nad głupstwami, czy nie popełniam finansowego nad sobą samobójstwa. Ale mimo to wiem, że nie dam — i mimo wszystko nie dam.

— Dlaczego?

Myślał, myślał i nic nie wymyślił. Pewno dlatego, że jestem za głupi, lecz z głupotą moją zostanę, bo muszę zostać. Ona jest formą mego życia, formą mych stosunków, mych pojęć. Czyż mogę wyjść z form mego świata i mych stosunków? Przecież to niepodobna, no i nie głupim, bo gdzież się obrócę i gdzie pójdę?

ROŻDZIAŁ X.

Bruksella, dnia...

Droga moja Maryniu!

Na całym wielkim płacie ziemi, zarojonym milionami, czuję, że mam tylko ciebie jedną, jedyną, moją!.. Przyjaciele w Wyżnicy, ciotka i dyrektor we Lwowie są ze mną, lecz ty jesteś we mnie. Jesteś częścią mojej myśli, moich uczuć i moich pragnień, jesteś moją nadzieją i pociechą, jesteś czemś, co tworzy we mnie jestestwo-duszę, i ona jest twoją. Czuję tę zależność, i to mi sprawia rozkosz. W każdej chwili odwołuję się duchem do ciebie — odpowiadasz mi, uśmiechasz się do mnie, rozmawiamy z sobą.

Kiedyż stać będziesz przy mnie, a ja będę mógł patrzeć w głębię twych oczu? Drżę, czy chwila ta nie oddala się ode mnie!

Tutejszy rynek pieniężny jest bardzo bogaty i bardzo rozległy. Wyrazy: Ameryka, Chiny, Japonia, Indye płyną tu w potocznej mo-

wie z łatwością ludzi, mówiących we Lwowie o Kołomyi i Buczaczu. Jak wszędzie, tak i tu drapieżność ludzi nizkiego gatunku zorganizowała się, podali sobie ręce, porozumieli się — i człowieka, który się do nich zbliża, uważają za swą ofiarę, a sprawę, którą przedstawia, za ich łup. Obedrzeć, okraść i zabić, choćby moralnie, uważają za swój obowiązek, przykazanie, rozum, za swoją uczciwość, za zręczność w interesach, za honor. Chełpią się tem na swych giełdach. Czuję, że i w naszej nafcie, o której mają dobre informacye, wytworzyła się cicha banda opryszków, czatująca na tych, którzy muszą wpaść w ich ręce. Profesor Mayer w Wiedniu nazwał ich „hyenami naftowemi" — trafne określenie. Poczuli we mnie ofiarę, poobsadzali gościńce, którymi będę musiał przechodzić, i czatują na mnie. Już się akcya zaczęła. Miałem dziś trzy wizyty, trzy oferty, każda niższa od poprzedniej o dwakroć sto tysięcy franków. Jeszcze pięć, a ostatni ofiaruje mi dwakroć sto tysięcy franków. Łotrostwo bije z oczu, a co do zręczności w szacherstwie, to nasi Żydzi powinni tu przyjechać brać od nich lekcye. Nareszcie już ich lekceważę i żartuję sobie z nich w oczy! Ostatniemu, gdy przyszedł, powiedziałem. Zaofiarujesz mi pan pięćkroć sto tysięcy franków.

— Skąd pan wiesz? spytał zdziwiony.

— Mało jesteście zręczni, tak się dziecinnie interesu nie prowadzi. Gotów jestem powtórzyć waszą rozmowę, jaką prowadzicie o mnie w kawiarniach, otaczających giełdę. Za mało inwencyi i za mało sprytu. Hyeny, węszące żer, zgrabniej się skradają.

— Bo my nie jesteśmy hyenami, zawołał.

— Zaledwo szakalami, lecącymi węchem za żerem naoślep.

Belg, złożony z Holendra, Żyda, Saksona i Francuza, zaśmiał się najprzód, potem zmarszczył czoło, potem pokazał zęby szakala i rzekł:

— Jeśli pan z nami nie skończysz, to z nikim, bądź pewny.

— Być może, odparłem.

— Dla wielkich to interes za mały, a my wszyscy razem...

— Rozstawieni czatujecie.

— I to być może, dodał.

— A więc, jeśli myślicie, że mnie złapiecie, to muszę wam powiedzieć, że czas stracony — szukajcie żeru gdzieindziej. Ja jeszcze żyję, a wy się nigdy nie zbliżacie do żyjących i uzbrojonych.

Belg się zerwał.

— Zobaczymy, rzekł rozsierdzony.

— A więc zbliżcie się do żyjącego i uzbrojonego, zgoda — czekam, proszę.

Belg wyszedł, i dzień cały udawali, że się mną nie zajmują, nie poznawali mnie na ulicy i na giełdzie. Nazajutrz przyszedł do mnie jeden z nich w roli mego agenta pośrednika, przyjaciela i powiedział, że może byliby gotowi dać mi pierwotną ich propozycyę, tylko żebym go nie zdradzał.

Odpowiedziałem, że go nie zdradzę, a przyjmę tylko moją pierwotną propozycyę.

— Kto za panem stoi? zapytał się i wyszedł.

Układy zostały zerwane.

Jeżeli ruszę do Londynu, pójdą za mną listy. Banda jest zorganizowana na całem pobrzeżu morza Niemieckiego i obu brzegach kanału La Manche.

Co za szkoda, że u nas w kraju niema ludzi, a kapitały nasze siedzą po bankach szakali na trzy i pół procentów. Ha! przekleństwo! Byliśmy narodem najwięcej indywidualnym, i Bóg za to, żeśmy indywidualizm nad wszystko stawiali, ciężko nas ukarał, odebrał nam go i zrobił nas „papugą narodów i pawiem". Indywidualizm w nas śpi, kołysany do snu przez tych wszystkich, którzy się boją jego przebudzenia i z tym snem im dobrze. Niech się nie obawiają, bo gdy się przebudzi, to z przerażenia nad sobą runie i zwali się po raz drugi do grobu!...

Co teraz pocznę, jedyna moja, z dwoma przeszło milionami „tajnego" kredytu bez pokrycia, bez środków prowadzenia nowych przedsiębiorstw. Od tych myśli mózg mi marznie. Okropne to uczucie, gdy się czuje, jak mózg wysycha, a jednocześnie zamarza, krystalizowany boleścią i strachem.

Najlepsze marzenia żegnajcie... Jakże to smutno być samemu na pustyni, a jeszcze smutniej, gdy ta pustynia wypełniona tłumem żerującym! A jeszcze ciężej, gdy w tym tłumie widzisz dygnitarzy żerujących i utytułowanych!

Pragnienia moje, do których uśmiechała się rzeczywistość — żegnajcie!

Jadę do Londynu do starych przyjaciół poskarżyć się przed nimi i poradzić. Za cztery dni będę z powrotem w Brukselli, napisz, sieroto moja. Tyś mi została na świecie i listy twoje.

Dłoń twą delikatną, przezroczystą kładę na mem czole. Pragnę — czekam, tęsknota łagodzi mi serce i prowadzi do ciebie.

Tadeusz.

Wiedeń dnia...

Biedaku mój!

Odczuwam twoje cierpienia, bo sama cierpię. Gdybym mogła zdobyć milion za dziesięć lat życia, oddałabym je z rozkoszą! W starości dziesięć lat dłużej, dziesięć krócej cóż znaczy? gdy tu ważą się losy społeczeństwa.

Jesteśmy jeszcze bardzo młodzi, jak mówi Podiebrad, bo nam się zdaje, że losy społeczeństw są w naszych rękach! Cześć nam za to!... Podiebrad tego nie odczuwa i żal mi go. Jest już tak stary, że nie wierzy, aby coś w tym kierunku dokonać można. Ta to przepaść leży między naszą a jego młodością. Ma wszystko: siłę, urodę, piękność i lata młode, lecz młodości życia, która tworzy cuda i świeżym kwiatem potrząsa i nowemi malowidłami obleka świat — tej już nie ma!

Tadziu mój, niech żyje młodość! I mimo dwu milionów „tajnego" kredytu jeszcze nie zginęliśmy.

Księżna radzi, abyś rzucił wszystkich szakali z hyenami naftowemi i wrócił do Wiednia, da ci listy rekomendacyjne do kraju, do ludzi najlepszych z jej otoczenia... ma nadzieję, że milion choćby na wysoki procent znajdziesz. Wracaj więc rozgrzać zamarznięty mózg wśród nas! O Boże, kiedyż nareszcie nie będziemy się rozłączać. Sześć tygodni upływa, a my jeszcze więcej rozdzieleni.

Czyby nie było najlepiej nie czekać na nie, nawet na „tajny kredyt" i podać sobie ręce. We dwoje byłoby lżej i kredyt dźwigać. W ostateczności nieźle gram, dobrze mówię po angielsku i dlatego nie obawiam się, abym była ciężarem mężowi! Pomyśl nad tem. W Wiedniu dasz mi odpowiedź. Modlę się, aby była taką, jakiej pragnę.

Twoja biedna Marynia.

Ps. Najdalej za trzy dni mam nadzieję zobaczyć cię. Co dzień wieczór jestem u księżny. Podiebradowi od pewnego czasu świecą fosforycznie oczy, jest zawsze przyjacielsko serdeczny, mówimy o sztuce, wprowadza mnie w jej tajemnice.

— Oto, drogi panie, listy, mówiła księżna do Tadeusza. Pierwszy do mojego ojca. Sam nie ma w gotówce miliona i mało odczuwa potrzebę przemysłu, lecz z miłości dla córki, której zawsze pan dasz ze trzy miliony, poradzi ci serdecznie, zna świat, w którym żyje.

Drugi list do starego czerwonego księcia, jak go w młodości

nazywano. Znasz go pan osobiście, dużo pomógł panu przy wyborach, posyłając na plac boju dyrektora swego. List mój dużo zrobić może. Piszę mu, że wiele zyskałam na panu, a książę lubi namiętnie zarabiać i umie zarabiać.

Trzeci list do najbogatszego dorobkiewicza w Galicyi, dla którego milion mniej znaczy, niż dla mnie sto tysięcy. Piszę do niego serdecznie, a on listy książęce szanuje. Jest to figura nawskroś rządowa i austryacka, specyalnie austryacka. W rozmowie wspomnij mu pan, żeś konferował z cesarzem sam na sam przeszło godzinę. Może pożyczy milioń, jeśli będzie w dobrym humorze.

Te trzy wystarczą.

— A jeśli nie wystarczą? spytała Marynia.

Tadeusz zmęczony siadł.

— Jeśli nie wystarczą, szepnął, a dyrektor nie cofnie rozkazu, wracam i oddaję się w szpony kamiennej twarzy.

Marynia nieznacznie załamała ręce.

— Czemuż nie mam miliona gotówki! rzekła księżna. Nawet pożyczki zaciągnąć nie mogę, sąd, opiekun małoletnich nie pozwoli na to.

— Dlaczego ten starzec siebie i ciebie zabija! zawołała Marynia.

— Tajemnica — ciążąca mu ołowianą płytą na piersiach, tajemnica...

— Może tajność tajnego kredytu odkryta, odezwała się księżna.

Tadeusz milczał.

— A więc jedź, biedaku, rzekła Marynia, kładąc mu rękę na ramieniu. To wszystko robi wrażenie, żeś znalazł skarb na pustyni i nie wiesz, co z nim zrobić.

— Tak, rzekł smutno, skarb na pustyni! A za ten sam skarb wieleżby to ludzi się mordowało, szarpało sumienie, honor, cześć, pracę całego życia... Dziś on leży przed nimi i woła: Chodźże go brać! Za milion dwadzieścia milionów!... Nikt się nie rusza, a ci, do których się zwracasz, uciekają.

— To jest okropne, szeptała Marynia, to bardzo bolesne, to upokarzające nas.

— Zawziętość w głupocie całego społoczeństwa i jego upór. Lecz zobaczycie, niedługo powstaną spółki, towarzystwa, prowadzone przez zręcznych wyzyskiwaczy, i ci ściągną do własnych kieszeni

nasze miliony i drapną. Taki los ludzi i społeczeństw bez myśli, sądu, hartu woli, logiki sądu, pracy.

Dziewczę wyczerpane załamało ręce.

— Jeżeli walczy się z ludźmi, można jeszcze zwyciężyć. Walka ze społeczeństwem...

— To tragizm, szepnęło dziewczę, w tej walce zawsze się pada. Społeczeństwo wygrywa obojętnością i miażdży śmiałków, którzy go przerastają.

— Dosyć tego, przerwała żywo księżna, nie uprzedzajcie wypadków, nie dręczcie się sami napróżno. Do walki potrzeba świeżych sił i zapasu energii.

— Dosyć, powtórzył Tadeusz, dosyć, do ostatniego tchnienia, kampania życia dopiero zaczęta.

— A więc już ani słowa o udręczeniach, podchwyciła księżna. Wstąpmy w świat fantazyi, sztuki, poezyi, uczuć, tu możemy znaleźć zadowolenie dla naszych zmęczonych dusz.

Tadeusz przytulił rękę księżny do swych ust. Jakże mu się księżna wydała inna, odmienna od tej, z którą jechał do Wiednia! Jakże spotężniała w jego oczach!

— Chodźmy w świat fantazyi nurzać się w jej ogromie i jej piękności, powtórzyła z wysiłkiem Marynia. Usiedli i zamyślili się. Od stroskanych umysłów, poszarpanych serc fantazya uciekała, sztuka nie śmiała się zbliżyć. Pogrążeni w myślach milczeli. Tragizm się zbliżał do zakochanej pary...

Tadeusz zdyszany wpadł do gabinetu dyrektora.

— Wielkie wiadomości, zawołał!

— Masz milion?...

— Druga warstwa ropy na 560 metrów głębokości wydobywa się z drugiego szybu.

— Cóż z tego?

— Że nasza kopalnia, to jest moja i dyrektora, ponieważ tajny kredyt reprezentujesz dyrektor, jest dziś warta dziesięć milionów, a za rok podwoi swą wartość.

— A zatem?

— Sprzedać ją za milion to znaczy rzucić w błoto dziewiętnaście milionów.

— Jakto za milion? spytał dyrektor.

— Nie dadzą więcej. A drugi milion zostanie tajnego kredytu. Skąd go wziąć, gdy nic nie będę miał?

Starzec zbladł, nogi się pod nim ugięły — siadł.

— Jeżeli można rok jeszcze wytrwać, jeden rok — trwajmy na Boga. Ratujemy nie tylko siebie, nie tylko tajny kredyt, nie tylko przemysł.

Starzec ciskał pioruny z jowiszowych oczu.

— Czy ty rozumiesz żołnierskie słowo?

— Rozumiem, szepnął Tadeusz.

— Nie znasz tajemnicy?

— Nie znam, dodał spokojnie.

— Nie mogę ci jej wyjawić. Nad głowami naszemi wisi rewizya kasy i proces, a mnie za gardło ściska słowo żołnierskie.

Ukrył twarz w dłonie. Tadeusz pocałował go w ramię i wyszedł.

— Ten milion potrzebny jest komuś — nim okupione będzie milczenie. Niema rady, trzeba rzucić się w przepaść i runąć...

Dosyć skarg, rozpacz nigdy nie zagości w mem sercu!

Wskoczył do powozu.

— Do księcia!

Woźnica poruszył lejce, konie skoczyły.

— Im prędzej, tem lepiej. Dziś objadę wszystkich, nie mam wiary, lecz nic nie będę miał sobie do wyrzucenia. Sprawa nadto wielka i ważna, aby mógł na mnie zaciężyć cień niedbalstwa...

— Sprawiłeś nam cięgi swoją złotą walutą, niech cię Bóg kocha! Mimo to nie żałuję, żem cię na złość ministrowi skarbu wprowadził do parlamentu. Utoczyłem im nieco żółci...

— Przychodzę do księcia z ważną propozycyą, zaczął odrazu Tadeusz.

— Słucham i rad jestem, żeś pan o mnie pamiętał.

— Pierwszy raz w Galicyi udało się nam znaleźć drugi pokład nafty w głębokości pięciuset sześćdziesięciu metrów.

Książę się nieznacznie uśmiechnął.

— Wielka to zdobycz dla bogactwa krajowego i dla naszego przemysłu. Kanada i Kaukaz dziś ciągną miliony z drugiego pokładu. Nawet nie pompują tam z pierwszego.

— Nie znam się na tem, lecz tyle rozumiem, że to dla was, nafciarzy, musi być wielka wygrana.

— Nieobliczona.

— A teraz? słucham?

— Aby książę z milionem przystąpił do naszej spółki lub tę spółkę stworzył.

Książę znów się uśmiechnął.

— Kopalnia moja na gruntach księżny wyżnickiej bez znalezienia drugiego pokładu warta była trzy miliony. Dziś po znalezieniu podnosi się odrazu do dziesięciu milionów. Proponuję księciu spółkę. Jeżeli przystąpisz do niej z milionem gotówki, wtedy oceniam wartość kopalni na trzy miliony, dochodami będziemy się dzielić, jak dwa do jednego, mimo, że kopalnia warta jest dziś dziesięć, za rok może się dźwignąć do dwudziestu milionów i więcej.

— Na co pan potrzebujesz miliona guldenów?

— Spłacić dług. Postawienie na nogi kopalni w Wyżnicy kosztowało milion.

— Po cóż gwałtownie spłacać?

— Żądają! Mam zobowiązanie oddać na żądanie.

— Ponętne rzeczy proponujesz mi pan, lecz cóż, kiedy się nie znam na nafcie? Nie mam o niej wyobrażenia i nie rozumiem tego interesu.

— Nic łatwiejszego, jak pojechać, zobaczyć i zrozumieć.

Książę się zaśmiał.

— Za stary jestem na naukę, niestety.

— W takim razie pożycz książę ze swego banku na trzy lata milion, dam dziesięć procentów.

— Bank włościański daje więcej, a brak nam pieniędzy na jego rozwój.

Tadeusz posmutniał.

— Skąd wieśniacy będą mogli płacić więcej, niż dziesięć procentów?...

— A pan skąd weźmiesz na zapłacenie dziesięciu?

— Kopalnia daje gotowe bogactwo. Pompuje się miliony.

— A chłop niech paskiem ściągnie brzuch i muskuły wytęży, nie pije, to wydobędzie dwadzieścia, zostanie mu na buty i omastę...

— Za mało, szepnął Tadeusz.

— No, to niech szuka tańszego kredytu, zawołał książę, który nie znosił opozycyi. Panu i chłopu ziemia dosyć daje, byle w niej popracowali. Nie jestem nafciarzem i nie znam się na tej grze. Jeżelibym miał ochotę grać, to już wolę giełdę wiedeńską. Przynajmniej tam jest emocya z dnia na dzień, co godzina. Wygrywa się lub traci. Powiem panu prawdę, nie lubię w naszym kraju przemysłu: tworzy proletaryat, a chłopom głowy przewraca i odrywa ich od ziemi.

— Czy to „czerwonego" księcia ostatnie słowo?

— Ostatnie tak, jak dziś kpię sobie z mojej „czerwoności".

Czerwoność była dobra, gdy istniał czarno-żółty kolor. Komedya już się skończyła.

— Na dwanaście procentów również nie dostanę? przerwał Tadeusz.

— Jeśli mogę gotówkę umieszczać na piętnaście, to niezawodnie nie będę jej umieszczał na dwanaście. Nie należało się śpieszyć ze złotą walutą!...

Tadeusz wyszedł.

— Ci głupcy myślą, szeptał w gniewie książę, że ja dla pierwszego lepszego nafciarza, który dziesięć dziur wykopał w ziemi, mam miliony! Buta tych ludzi jest wstrętna!... A jakie to harde, a jakie pewne siebie! Dawniej takich batami uczyło się rozumu i był posłuch, był spokój, była subordynacya. Dziś życie się przykrzy, i jeszcze trzeba się do nich uśmiechać, do drzwi odprowadzać!... Wszystko to robi ta podła prasa, i niema rady, trzeba będzie kupić piśmidło i w niem omunsztukować najdowcipniejszego z pismaków, jeżeli go nie można batami uśmiercić.

— Jedź, zawołał Tadeusz na woźnicę, to nie pod tym adresem, dodał w duchu.

— Jaśnie pan kazał jechać pod górę do księcia pana?!

— Omyliłem się.

— To skądże ja mogłem wiedzieć?

— Jedź do hrabiego protektora sztuk i rzemiosł — wiesz?

— Co nie mam wiedzieć — dziesięć lat siedzący na koźle?...

Protektor hrabia uprzejmy, serdeczny, z rozrzewnieniem przeczytał list księżny, czułością otoczył Tadeusza, z zapałem mówił o przemyśle naftowym. Od czegóż był protektorem sztuk wyzwolonych, a wyzwolić naftę z ziemskiej skorupy to przecie również jest sztuką...

Tak mówił protektor, śmiejąc się ze swego dowcipu, potem słuchał uważnie zwierzeń Tadeusza.

— Wszystko to dobrze, odrzekł, czuję całą ważność wywodów kochanego pana i, gdybym miał gotówką milion, jużby leżał tu przed tobą na stole, liczyłbyś go i zgarniał! Wierzę w spryt księżny, kobieta ta ma szczęśliwą rękę. Lecz, niestety, nie mam miliona i powiem ci szczerze, nafta u nas nie cieszy się zaufaniem, poprostu nie jest w modzie!... Była chwila wielkiej jej mody, lecz jako moda — przeszła. Dziś nie mówi się w salonach o nafcie, a chociażbyś chciał mówić, nikt cię nie będzie słuchał.

— To nie jest przedmiot dla salonów.

— Masz racyę, to przedmiot dla salonów za suchy i za mono-

tonny. Będzie w tym szybie nafta—lub nie będzie. A my giełdy nie mamy, w naszych bankach rznie się wekslówka, pozycye dyrektorów zajmują ludzie, wpakowani na nie protekcyą, nie mają pojęcia o potrzebach kraju. A więc salony nie, banki nie, giełda na ulicy brodata i czarna, żyjąca lichwą. Mów któremu z nich o najświetniejszym interesie, naprzód nie zrozumie, potem to go nic nie obchodzi — wzruszy ramionami, wróci do swego deptaku i, jeśli będzie miał trochę gotówki, zacznie nią grać na giełdzie.

— Więc niema nadziei? spytał Tadeusz.

— Tu, we Lwowie, na szerokość moich stosunków prawie że niema. Jakiś traf, jakiś zabłąkany Rumun, jakiś bogaty Ormianin z Czerniowiec, nareszcie mądry Żyd, co młodość spędził w Wiedniu. My ziemię kochajmy, trzymajmy ją, brońmy, to nam nikt nie da rady. Rzuć pan szaloną grę w szczęście, jaką jest szukanie nafty.

— I miliony zagrzeb w ziemi, śpij na nich lub obcym pozwól je wydobyć, a w kraju bieda, że siekierą nie utniesz.

— Gdybym miał milion, zawołał, położyłbym go panu na stole — bierz i kop. Lecz wszystko, co mam, jest w ziemi. Bo widzisz, ziemia u nas i dla nas jest wszystkiem. My z roli i z tego, co nas boli. Otarł chusteczkę łzę, której nie było...

Tadeusza dławił potok wymowy protektora sztuk wyzwolonych, rzemiosł, przemysłu i wielu innych gałęzi. Zerwał się i wyszedł.

— A to skaranie boskie z tymi nafciarzami, żądają milionów, jak ulęgałek. Albo dzieci, albo głupcy... Sądzę jednak, że mu dałem porządną naukę, i drugi raz nie przyjdzie do mnie... Na honor, człowiek ten ma coś idyotycznego w sobie — szczególniej oczy ma kompletnie głupie. Co on mógł robić przez godzinę u cesarza, bo, że mówił trzy godziny w parlamencie, to tylko dowód, że ma pamięć dobrą, nauczył się mowy i wygłosił ją. Gdybym ja miał pamięć, nie takiebym ciął mowy.

Spojrzał na zegarek.

— Zabrał mi pół godziny czasu, i może się spóźnię, a właśnie chcę dziś zagrać w Wiedniu na rentę, giełda już otwarta. Ci nafciarze to plaga Galicyi!..

Dopadł do telegrafu i rzucił kilkanaście tysięcy na różnicę kursu renty, poczem dopiero odetchnął i udobruchany poszedł do klubu na śniadanie...

— Księżna sama nafciarka, to jej się zdaje, że wszyscy powinni kłaść swoje pieniądze w szyby naftowe i że innych wydatków nie mamy i nie możemy ich mieć. Że ona zarabia na nafciarstwie,

to tylko ona jedna. Ten sławny nafciarz szuka miliona. jak ostatni żebrak. Oto do czego nafciarstwo prowadzi..

Protektor był w dobrym humorze, jak zawsze, gdy spełnił dobry uczynek, a odpędzenie nafciarza i danie mu lekcyi uważał za jeden z najlepszych w ostatnim miesiącu życia...

— Jakże księżna odskoczyła od tego głupca! myślał Tadeusz, wracając do śródmieścia. Nie widziała ich dawno, sama szybko rosła i we wzroście tym w swej wyobraźni dźwigała do swego poziomu dawnych przyjaciół i znajomych. Sama stanęła na wyżynach, znajomi zostali na dole, jakimi byli dawniej, drwiący z siebie samych i oszukujący się ze śmieszną hypokryzyą głupców, uwielbiających swój rozum i swoją hypokryzyę.

Te dwa znamienne okazy, myślał dalej, mówią o całym gatunku i wybornie go uwidoczniają. Szkoda czasu iść dalej, z małemi odmianami to samo, to samo...

Mógłbym przez Urszulę trafić do bliższych, lecz tych, coby dali po tysiąc, trzeba tysiąc. Czy ich ciotka znajdzie? Niepodobieństwo! W naszych stosunkach, w naszej prowincyi niepodobieństwo... Niema rady, trzeba dać głowę pod topór!

Powoli zmęczony, ociężały zawlókł się do ciotki. Otworzyła mu sama.

— Nareszcie, rzekła, a gdzież Marynia?

— Jeślibym dziś dostał milion, Marynia jutro jest tu ze mną u cioci.

Usiadł.

— Milion, powtórzyła wystraszona ciotka.

— Kopalnia moja warta dziesięć milionów, za rok dojdzie do dwudziestu. Za tę kopalnię Niemcy dają mi milion, a mam dwa tajnego kredytu. I zostaję nędzarzem z ukradzionym z kasy milionem.

Głos mu drżał i ręce drżały, oczy świeciły rozbitemi łzami.

— Niemcy, krzyknęła ciotka — a nasi?

— Naszych niema, oni nic nie dają. Nie dorośli do tego rozumu, aby mogli dać, nie rozumieją... Niema nikogo, nikogo!

Przyciągnął ciotkę do siebie, oparł głowę na jej piersiach i cicho zapłakał.

— Tak się kończą wysilenia jednostek...

— Nie rozpaczaj jeszcze. Czekaj!...

Szukała kapelusza.

— Nie chodź, rzekł Tadeusz rozmawiałem z nim dziś. Był

blady, jak papier, nogi się pod nim uginały, nie mógł stać, głos mu zamierał, twarz chował w dłonie... i nie ustąpił! Patrzy moim wzrokiem, rozumuje mojemi myślami — i nie ustąpił...

— Co za wściekła kryje się tajemnica, która gotowa zniszczyć dziesięć milionów, aby dziś wydobyć milion. Nie domyślasz się, co jest w tem?

— Jest to tajemnica właściciela tajemnicy tajnego kredytu.

— Niezawodnie grożą mu, krzyżują go, biedak robi, co mu każą. I on także przechodzi Golgotę. Nie śmiem iść...

Usiadła zmęczona.

— Co dalej? rzekła. Zaczynam przeklinać chwilę, w której ciebie z nim poznałam.

— Nie przeklinaj, szepnął Tadeusz. Gdyby nie on, nie byłoby Wyżnicy i w niej dziesięciu milionów. On, wszystko on stworzył, jak Bóg, i, jak Bóg, piorunem rozkazu niszczy.

— To dlaczego nie spiorunuje ciebie, Maryni i mnie? Tam byłoby nam lżej i ciszej. Spojrzała w górę.

— Dramat jeszcze nie skończony.

— Po co do licha go kończyć? Co ty będziesz robił bez kopalni, bez centa, z milionem długu? Nie możesz nawet uczciwie zbankrutować.

— Dlatego trzeba żyć...

— Po co?...

— Samobójstwo to tylko ucieczka! Nie ucieka się z placu boju, raczej pada się na nim z twarzą do nieprzyjaciela.

Oparł głowę o poręcz krzesła.

— Przysięgłem Maryni, ża nigdy rozpacz nie zagości w mem sercu, nie opanuje mego umysłu, póki ona jest ze mną, póki w nią i młodość moją wierzę.

Milczeli długą chwilę. Ciotka cichutko płakała. Natura jej zdrowa, optymistyczna nie mogła znieść rozpaczy. Zerwała się z nerwową brawurą.

— Co masz za projekty?

— Oprócz zapłacenia miliona tajnego kredytu—żadnych.

— Przez sprzedaż kopalni?

— Innego sposobu nie mam.

— Słuchaj, mam pięćdziesiąt tysięcy gotówki. Słyszysz?

— Słyszę, cioteczko.

— Te pięćdziesiąt są twoje. Dziś zażądaj, jutro będziesz je miał.

— Ciociu, tam, gdzie się ważą miliony, cóż znaczy pięćdziesiąt tysięcy! Dziękuję, lecz ich nie pragnę. Kto wie, czy to nie będzie ostatni nasz grosz na kawałek chleba. Bo od ciebie przyjąć to zaszczyt dla nas.

Urszula wybuchła powtórnie płaczem, do oczu cisnęła chustkę. Tadeusz odciągnął jej ręce.

— Czekajmy, co powie przyszłość, może ona jeszcze dużo ma do powiedzenia?...

Nachylił się do ucha ciotki.

— Węgiel jeszcze nietknięty, czeka. Któż wie, jakie bogactwa kryje w swem łonie. Rozpacz mię dławi, gdy pomyślę, że dziesięć milionów muszę rzucić w paszczę Niemcom i Żydom, aby wydobyć milion, lecz, jako Polak, nie straciłem nadziei, że się wydobędę. Byle tylko ten przeklęty milion dać i zrzucić ciężar z serca!

Ciotka wpadła w nerwowy gniew.

— Oby ten, co zmusza starego do zniszczenia twej kopalni, z piekła nie wyjrzał! Żebym tylko mogła, kazałabym go końmi rozerwać. Przekleństwo, mamy tylko głupców i łotrów. A mówiłam ci, szukaj ludzi!...

— Szukałem — latarka zgasła, przyszedłem do ciotki.

Otto Bayer, reprezentant wielkiego banku Anglo-wiedeńskiego, przywiózł księżnie w prześlicznej kasetce dwadzieścia pięć sztuk po czterdzieści tysięcy sztuka. Prosił księżnę, aby sama obliczyła i sama podpisała kontrakt w obliczu zastępcy notaryusza. Za te dwadzieścia pięć sztuk bank anglo-wiedeński stał się właścicielem terenów ropnych Wyżnicy, mogących się znaleźć na gruntach księżny. Jako świadkowie, byli obecni Tadeusz i Marynia. Dziewczę nerwowo zmęczone, patrzało na cały akt świecącemi z bólu oczyma, jak na pogrzeb. Tadeusz uśmiechał się, dolna warga drżała mu tajemniczym bólem, w oczach paliły się żółte kagańce, ogniki w ciemną noc.

Otto Bayer zwrócił się do Tadeusza.

— Administracya byłej pańskiej kopalni, dziś naszej — będzie prowadzona w języku polskim, urzędników, służbę, robotników zatrzymujemy. Pańskich akordowców prosimy, aby dalej wiercili na nasz rachunek, jak określono w kontrakcie do maja. Po przesyłce rurociągami do Borysławia naszej nafty korzystają z rur ich kopalnie.

Tadeusz ruszył głową na znak zgody.

— Kopalnię pańską odbierze nasz dyrektor, i nazajutrz po zajęciu w posiadanie wypłacimy gotówkę w Wiedniu lub Lwowie.

— Pieniądze racz pan złożyć w kasie na ręce jej dyrektora, rzekł Tadeusz.

Kamienna twarz uśmiechnęła się.

— Nie omyliłem się więc, myślał, dobry mam węch i nieźle widzę na odległość.

Przeszli do tak zwanej kancelaryi księżny. Czekał tam zastępca notaryusza. Odczytał kontrakt głośno, odliczył pieniądze, wręczył je księżnie. Jako świadkowie, podpisali Tadeusz i przywołany stary kamerdyner. Księżna wyjechała kupić papiery i złożyć je w sądzie. Tadeusz i Marynia zostali sami.

— Przed godziną miałeś dziesięć milionów majątku, rzekła z rozdzierającym serce spokojem Marynia, a dziś masz tajnego długu milion.

— Zmęczony jestem, szepnął, i usiadł. Ujął dłonie dziewczęcia, zasłonił sobie niemi oczy i świat. „Żyć, marzy Nietzsche, to wszystko, co we mnie, przemieniać w światło i płomień... Pragnę tych przemian, pragnę promieniować twórczością mego umysłu. Tak mało w życiu powiedziałem, a tyle mam do powiedzenia. Braki nasze to oczy, mówi ten filozof, któremi widzimy ideał". Widzę braki, ale na ideał nie mogę patrzeć, nie mam czasu, niewolno mi...

— Możesz, zawołała żywo, rzuć wszystko, społeczeństwo nie dorosło, w walce z niem padniesz. Nie lepiej, żeby mu dał myśl swoją, wzlot swego ducha i przez braki pokazywał mu ideał? Chodźmy w świat. Na kawałek chleba zapracujemy, ja muzyką i językiem angielskim, ty swą wiedzą.

Objął ją w pół i tulił się do niej.

— Czuję, że tam, mówił serdecznie, czeka na mnie nagroda za męki piekielne, za wszystko, com przecierpiał... Dziś pojechalibyśmy do Monachium, miasta sztuki, młodości artystów i ich szaleństw....

— Jedźmy więc, szepnęła, pochylając się nad nim.

— Milion guldenów „tajnego" kredytu, białowłosy starzec o nieskalanej opinii, o szerokich pragnieniach służenia krajowi, odrzucił od siebie rewolwer i stanął przede mną bezbronny....

— Nie kończ, nie jedziemy!... Musisz do ostatniej kropli krwi walczyć, aby paść lub zwyciężyć. Czuję fatalizm nad nami. Fatalizm objawia się w tem, żeśmy inni, jak drudzy, a ci drudzy porozumiewają się wzrokiem, myślą, niemem pragnieniem, aby nas zdusić. Boją się o siebie „zjadacze chleba", boją się o swą przy-

szłość, o swój gatunek i mordują nas. Nie pozwalają nam, lepszym, dźwigać się i rosnąć...

Rozpłakała się serdecznie i, łkając, wybiegła z pokoju, Tadeusz nie śmiał jej gonić, sam wzruszony zaciskał wargi...

Dziewczę za chwilę wróciło, ukląkł przed nią, objął jej kolana i całował. Położyła mu ręce na głowie.

— Idź, rzekła głośniej, ja znowu zostanę sama — ciężyłabym ci. Idź! — gdy będzie potrzeba, gdy będzie czas, stanę przy tobie. Kocham cię przez ideał, jaki w tobie widzę — i dla niego! A może ja, zamiast ciebie, kocham w tobie twój ideał?

Przestała dla zapanowania nad wzruszeniem.

—Odszukaliśmy się wzajemnie siłą powinowactwa, mówiła dalej, i już nic nas roździelić nie może, nie jest w stanie, żadne prawo, żadna ludzka moc. Jesteś mój, i ze spokojem mych praw do ciebie, wyższych od praw ludzkich, oddaję cię znowu światu. Walcz, jeżeli takie jest przykazanie, walcz, bo musisz, bo to jest twoje prawo i twoja konieczność... Walcz, ja nie ustąpię, póki nie padnę z tobą.

ROŹDZIAŁ XI.

Dwóch urzędników banku Anglo-wiedeńskiego odbierało kopalnię Tadeusza w Wyżnicy. Wit, Władysław i zarządcy poszczególnych działów oddawali remanenta.

Z twarzy dwu młodych ludzi biła gorączka nerwowa.

— Panowie wiecie, odezwał się Władysław do starszego urzędnika banku, o znalezieniu drugiego pokładu ropy?...

— Gdyby go nie było, nie kupilibyśmy kopalni, odparł spokojnie Niemiec.

— I daliście za nią milion?

— Tylko dla drugiego pokładu. Gdyby był pierwszy, nie widzielibyście nas tutaj.

— Ależ to rozbój na publicznej drodze dawać milion za drugi pokład.

— Mój panie, zwierzchnik wasz prosił o ten rozbój, ręce składał do naszego dyrektora, którego jedynem nieszczęściem jest to, że jest Żydem.

— Daj pokój, odezwał się po polsku Wit do Władysława, z głupim Niemcem nie trafisz do ładu. To biały Murzyn, śpiewa piosnkę swego pana.

— Pisz pan, zawołał Władysław do Niemca, ryg numer czwarty obejmuje kocioł parowy lokomobil...

Urzędnicy spisywali, przylepiając na każdej odebranej sztuce swoje cechy i numery.

Praca szła szybko. Po oddaniu dziesięciu rygów, co nie trwało dłużej, jak cztery godziny, oprowadzili Niemców wzdłuż granicy, wręczając im mapy i klucze od magazynów.

— Panowie prowadzicie do maja, rzekł urzędnik z banku, odsuwając klucze.

— Lecz nie chcemy pracować godziny bez kontroli. Jeden z panów musi tu zostać...

— W odpowiedzi na stanowcze oświadczenie dwu młodych ludzi, prowadzących kopalnię Tadeusza, zjechał sprytny i wykształcony technik, obeznany z nafciarstwem, jako przedstawiciel firmy wiedeńskiej w kopalni wyżnickiej.

Technik był towarzyski, oceniał zdolności i pracowitość dwu akordowców i dlatego czas swój poświęcał na wyszukiwanie linii naftowych na gruntach, zakupionych do eksploatacyi.

— Musimy się wziąć wściekle do pracy, mówił w kancelaryi Wit do Władysława. Do maja przenieść się na własne śmiecie.

— Przestawić fabrykę naszych narzędzi wiertniczych. Dlaczegośmy ją, idyoci, stawiali na gruntach kopalni Tadeusza!

— Nie wiesz? dla blizkości wybornej wody.

— Od jutra zaczynam stawiać nowy budynek...

— Gdzie?

— Mamy świetny plac, wskazał ręką przez okno, i tu woda płynie. Gdybyśmy go zobaczyli, zanim zaczęliśmy stawiać fabrykę, tubyśmy ją postawili.

Władysław uderzył się ręką w czoło.

— Idyoci byliśmy i za to zapłacimy dwadzieścia tysięcy guldenów.

— Lecz za to postawimy fabrykę szerszą, większą, okazalszą, wygodniejszą. Mamy dziś trzy parowe młoty, w nowej będziemy mieć osiem. Mój Władku, musisz objąć zarząd nad całą kopalnią naszą i Tadeusza.

— Pracować umiemy, byleby nam tylko dano pracować.

— Co dalej z Tadeuszem? — spytał cicho Wit.

— Obdarty, zniszczony! Gdyby był sam, dałby sobie radę!

— Ale ma żarłocznego towarzysza — milion „tajnego" i milczącego starca, wyjadającego mu tem milczeniem mózg.

— Żal mi go!

— Gdybym miał dziś milion, zapłaciłbym za niego.

— To samo i ja myślałem.

— Wit, słuchaj, jeżeli się nam poszczęści, dajmy sobie słowo, że pierwszym zdobytym milionem zepchniemy tajny kredyt Tadeusza.

Wit wyciągnął rękę.

— Zgoda, tylko przy najszczęśliwszych okolicznościach trzeba na to dwa lata czekać.

— Drugi pokład, rzekł Władysław.

— Jeśli się uda, to rok.

— A wielkie wybuchy — nie liczysz ich?

— Można ich pragnąć i mieć nadzieję, lecz liczyć niewolno ze względu na samych siebie, na swe nerwy, na swą trzeźwość... A zresztą dlaczego wybuch ma być koniecznie u nas? Może być w kopalni Tadeusza, dziś już banku...

— Prawda, szepnął Władek, zaczynam się tego bać. Dalej, do roboty! Kaspra przeniosłem do naszej kopalni, oddaję mu dwa szyby nasze na głębokie wiercenie. Za miesiąc powinniśmy mieć drugą ropę. Może wtedy o milion będzie łatwiej!...

— Długi nasze pospłacać, niedługo przejdą pół miliona.

— Mogą zaczekać wobec ratunku przyjaciela. Gdybyśmy go wydobyli, byłby to najpiękniejszy dzień w naszem życiu.

— Niezawodnie! Bo któż nam dał możność zdobycia milionów. On! tylko on!... Wskazał nam Wyżnicę i wpakował nas do niej, tu znajdujemy miliony, rozwijamy się, marzenia nasze rosną, do Podkarpacia wyciągamy ręce znowu. A jego rola czy wiecznie wyszukiwać nam miliony, a samemu upadać pod brzemieniem tajnego kredytu, który go może zamordować?... Wit, gdybyśmy na to patrzeli obojętnie, byłoby to z naszej strony nędznie...

— Prawda, tylko się nie unoś i nie denerwuj. Cierpliwości! Mam nadzieję, że go wyratujemy. Będzie z nami pracował na Podkarpaciu.

— Spadł mi z serca kamień, szepnął Władek, poskoczył do Wita i uściskał go.

Wit szeptał mu do ucha...

— Przeczuwam wybuch i boję się go. W kopalni Tadeusza szyb „Jakób".

— Drugi, głęboko wiercony, dodał szybko Władek.

— Zdradza ochotę wybuchu! Przyłóż ucho do ziemi i posłuchaj tylko, jaka tam pod jego skorupą rewolucya. Zdaje się, że ziemia jęczy i drży...

— Byłby to tragizm! Nerwy we mnie drgają. We dwa tygodnie po sprzedaży kopalni. Wielki wybuch może w parę miesięcy

dać milion i wartość kopalni podnieść o dziesięć. Jakżeby mi żal było starca i Tadeusza! Poco było na gwałt sprzedawać?...

Targał się za włosy.

— Jeżeli wybuch nastąpi, możemy paść, rzekł cicho Wit.

— Dlaczego? co się stanie?...

Wit się zerwał i dalej mówił przyciszonym głosem nerwowo.

— Bank w kontrakcie kupna kopalni ma zawarowane pierwszeństwo przed nami co do użycia rurociągów i przesłania niemi nafty. Wyobraź sobie, następuje u nich wybuch, przypuszczam, dziesięć lub piętnaście wagonów na dobę i trwa od czterech do sześciu miesięcy. Rurociągi ciągle wypełnione ich naftą. Co my wtedy zrobimy z pięcioma wagonami dziennie naszej ropy? Przez sto dni pięćset wagonów, przez dwieście tysiąc. Nie będziemy jej mogli sprzedać i odstawić — i, co najgorsza, gdzie ją schowamy? Skąd wziąć pieniądze na dalszą eksploatacyę, na procenta, na przebudowanie fabryki narzędzi wiertniczych, na wszystko!...

— Tragizm, tragizm, szeptał Władek, włosy bieleją. Jak te chwile przeżyje dyrektor, jak je przeżyje Tadeusz?...

— Żal mi starca! Tadeusz młody, entuzyasta, filozof i optymista, „starzec" nad grobem kocha nasz przemysł, i zdaje mu się, że on go postawił we wschodniej Galicyi.

— On jeden podał nam rękę i dźwignął — on jeden — i nikt.

— I pomyśl sobie, w najwyższym rozwoju sił i bogactwa on sam ten przemysł wytrąca nam z rąk, oddaje go swym wrogom żydowskim, Niemcom wiedeńskim i zostaje z milionem „tajnego".

— Tragizm, szeptał Władysław, wargi mu drżały. Dlaczego on to zrobił? dlaczego? Boże, za co nas tak strasznie karzesz? To nie my.

— Dlaczego on to zrobił? Ktoś go strasznie przycisnął, i to czemś nadzwyczajnem. Czemś, co starzec więcej ukochał nad przemysł i więcej wierzy w jego doniosłość...

— Przekleństwo mu, przekleństwo im! Czuję w powietrzu jakąś straszną zbrodnię, szeptał Władysław.

— Władek, optymisto, wpadasz w ostateczności. Ten, który pożyczył od starca milion, był zręczniejszy od Tadeusza, a również mu na wielkie interesa potrzeba było pieniędzy. Starzec w nie uwierzył.

— Ta wiara starca straszna...

— Może musiał—i w tym „musie" jest cały tragizm. Pamiętaj, że to tajny kredyt. Dwa miliony, dane tajnie, to suma potworna i odpowiedzialność straszna.

— Jakaś tajemnicza zmora rozsiadła się wśród nas i morduje z bezwzględnością.

— A my wobec niej stoimy z załamanemi rękoma, jak przed wybuchem, który idzie, przyjść musi, przyjdzie i zdusi nas.

— Przekleństwo, wiszące nad całym krajem i społeczeństwem, zwaliło się na nasze barki i gniecie nas. To okropne...

— Nie dajmy się, zawołał Wit — i do roboty! Zaczynam od dziś przenosić fabrykę...

— A ja lecę do „Jakóba" podsłuchać, co mówi, i nasze szyby, najbliższe „Jakóba", forsować, aby chociaż naftę z wybuchu po połowie roździelić.

— Gdyby się udało!

— Chłopcy, co mówi „Jakób"? wołał Władek, przybiegając do szybu.

— Wre, odpowiedzieli, okrutnie w nim wre i gada. Trza być na wszystko gotowym.

— Panoczku, mamy psie szczęście, odezwał się maszynista. Jak tylko Niemcy odebrali kopalnię, „Jakób" huczy, aż strach zbiera...

— Kto ma dobre ucho, niech je przyłoży do ziemi.

— Poco? zawołał wiertacz. Świder drży, że trudno sztangę utrzymać. Niech ino panoczek sprobują...

Władysław ujął sztangę — drżała. Świder, wstrzymywany siłą gazów, ledwie uderzał o spód ziemi.

— Może zaprzestać, szepnął.

— Bić jeszcze przez całą noc, skorupa widocznie twarda. Rano wyjąć świder, rozebrać wieżę, czekać i gromadzić beczki, magazyny wyprzątnąć.

— Ha, bijmy więc do rana!...

Zobaczył przechodzących Niemców i zawołał:

— Szczęście wam sprzyja, panowie. „Jakób" wita was! Sapie, huczy, jęczy!

Przybiegli.

— Co to znaczy? spytali.

— To znaczy, że nastąpi prawdopodobnie wybuch.

— A ten na gotówkę jak się przedstawia?

— Dziesięć tysięcy na dobę, może dwadzieścia...

Niemiec się rozśmiał szczerze.

— Istotnie, to wielkie szczęście, rzekł spokojnie.

— A nasze? zawołał wzburzony Władysław — nasze!

— U was, odparł Niemiec, tylko rozum winien, żeście wy nie

umieli utrzymać kopalni. Mybyśmy na waszem miejscu nie wypuścili jej z rąk.

— Czyśmy chcieli ją marnować? Czyśmy chcieli!?

Załamał ręce.

— Wy nie, ale wasze społeczeństwo pozwoliło na to, jego rozum. Pech wasz leży w tem, że należycie do tego społeczeństwa, do tej rasy!

— Oświadczam panu, że się szczycę przynależnością do tej rasy!

— Szanuję i szowinizm, odparł Niemiec z uśmiechem. Jest to także uczucie. Kiedy spodziewasz się pan wybuchu?

— Za godzinę — w nocy, nad ranem, każdej chwili!

— Telegrafuję do Wiednia!

— A ja przygotuję przyjęcie dla wybuchu. Czemuż nie przyszedł o trzy tygodnie wcześniej!

Niemiec biegł na telegraf, Władysław zaciskał palce i nerwowo rzucał przekleństwa.

— Ha, los! powtarzał, los nasz, specyalnie nasz.

Machnął rozpaczliwie ręką.

— A może to wybuch chwilowy! Wyrzuci dwadzieścia wagonów odrazu i przestanie.

Nadbiegli przywołani urzędnicy.

— Wybuch! rzekł Władysław.

— Pech, szeptali zrozpaczeni, wściekły, nasz narodowy pech!...

— Nasza głupota! wrzasnął, ale pokażmy Niemcom, że jesteśmy uczciwi, przygotujmy się do przyjęcia, schowania i odesłania wyrzuconej wybuchem ropy...

Rozkazy dawał szybko, jasno, zwięźle. Obecny technik Niemiec korzył się przed sprytem i znajomością rzeczy młodego nafciarza.

Po wydaniu rozporządzeń Władysław przywołał Kaspra. Poszli razem na najbliższy pagórek.

— „Jakób” buchnie, rzekł Władysław.

— Pewnikiem, panie dyrektorze! I to dobrze wyskoczy.

— Jeżeli będzie wielki wybuch, trzebaby się postarać, aby chociaż połowę ropy urwać z niego dla nas.

— Takby należało, poświadczył Kasper.

— „Jakób” na samej granicy byłej kopalni pana Tadeusza, a teraz Niemców.

— Szyb „Jadwiga” o sześćdziesiąt metrów od naszej granicy—

„Jakób” od granicy czterdzieści, to sto. Przy szczęściu i „Jadwiga” może połowę ropy zabrać „Jakóbowi”.

— Mnie się zdaje, że trzeba nam dziś jeszcze stawiać nowy szyb o dwadzieścia metrów od granicy w prostej linii od „Jakóba”.

— Panoczku, zawołał Kasper — koniecznie!

— Wybierz miejsce.

— Kiej się boję.

Władysław rozglądał się, chodził, mierzył krokami, myślał...

— Na moje przeczucie—tutaj, zawołał Władysław, stając na obranem miejscu.

— A na moje, szepnął nieśmiało Kasper, — tu!...

— Ustąpmy po połowie i budujmy w środku.

Licząc kroki, zbliżyli się do siebie.

— Tu, zawołał Kasper...

— Naznacz miejsce kamieniami! Słuchaj, Kasper, nie mamy zbywającego rygu, potrzebnych maszyn i narzędzi do nowego szybu.

— Niema innej rady, jak zabrać cały ryg z najdalej położonego szybu i przywieźć go tu.

— Prawda, dziś zaczniecie.

— Lecę po ludzi i wozy. Jutro w południe pierwsze uderzenia świdra w ziemię. Kiedy się brać z Niemcami za łeb, to się brać...

— Jutro w południe — Kasper, to niepodobna!

— Dyabła powiesi za rogi Mazur na uciechę tych, których kocha. Jutro się przekonacie!

— Kasper, szepnął Władysław.

— Już wiem, co panoczek chcą powiedzieć. Nie zapominać i o „Jadwidze”, a gnać i gnać, dzień i noc. Zmiana trzy razy na dobę i nie ustawać ani na kichnięcie.

— Kiedy? spytał cicho.

— Jeżeli „Jakób” dziś, to „Jadwiga” za dziesięć dni, najdalej za dwa tygodnie.

— Buchnie?

— Bóg wie! Tego przeczuć nie można, ale będzie mieć ropę! Gdybyśmy wiedzieli trzy tygodnie temu o Jakóbie, co wiemy dziś, nie dalibyście panowie sprzedać kopalni.

— Przekleństwo wisi nad nami biedakami, szepnął Władysław.

— Do roboty! zawołał Kasper. Panoczku, lubię rwetes, pracę, aż do pękania żył!

Podniósł czapkę w górę, odwrócił się i pognał z całych sił w środek kopalni.

— Z tym ludem, myślał Władysław, można rękami wyrwać ziemię z orbity, a miliony na to, aby je Niemcom oddawać! Przekleństwo nam, stokroć razy przekleństwo za naszą bezmyślność, za naszą wyłączność, za nasz idyotyczny szablon, za wszystko, cośmy w zetknięciu z Niemcami zdobyli i czego nas uczyli nasi menerzy... Gdybym was mógł wszystkich objąć w jednym uścisku i zgnieść, żeby wam rozum z czaszki, a uczucia z serca wydobyć!

Wpadł w zadumę bezsilnego oburzenia. Zbudził go jęk padających na ziemię belek. Skoczył na pagórek, obejrzał się.

Kasper z cieślami rozbierali wieżę z gwałtownością mazurską...

— Z ludem twoim, Panie, zawołał, daj mi żyć i skonać! Wieża się wali, wozy jadą, nowy szyb do rana założą!

Nadbiegł Kasper.

— Panoczku, zawołał, niech ino elektryka świeci bez całą noc, a wieża rano stanie, kocioł i maszynę przesuniemy po balach migiem — i do roboty! Musimy Niemcom choćby połowę wydrzeć ropy „Jakóba".

— Nie będziecie spać całą noc?

— Mazur ci taki twardy, że go i sześć nocy nie zwali, byle miał słoninę i piwo!

Zwrócił się do jadących wozów.

— Tu, chłopcy, gdzie stoi dyrektor! A potem po czterocalowe bale do magazynu! Pokażmy dyrektorowi, co mogą Mazury, gdy ino chcą!

Władysław wyciągnął rękę do Kaspra.

— Wiesz, o co się modlę? Abym do końca życia mógł z wami pracować!

— A któż panoczkowi zabroni?...

— Ludzie!...

— My z tobą do piekła! to i ludzi się nie zlękniemy.

Zwrócił się do idących za wozami robotników.

— Chłopcy, kochacie wy swoich dyrektorów?...

— Okrutnie, zawołali, i w ogień za nimi...

— W szybie „Jadwiga" trzy zmiany po oseim godzin. Robota wre!... My swoje—zdjął czapkę, a Ty, Panie Boże, rób, co uważasz, czy nas wspomagać, czy wspierać Lutrów.

Władysław nie mógł ustać w jednem miejscu, nerwy go pchały, pobiegł do Wita.

— W naszym ludzie, mówił podniecony, tkwi w głębinach

serca, pod twardą jeszcze czaszką — idea! Niemcy wypowiedzieli wszystko i skończyli swój pochód do słońca.

— I mogą zaledwo pełzać po ziemi, dokończył Wit.

— My z okiem, utkwionem w słońce. — naprzód... Jeżeli wierzymy, że się nie marnuje wielka myśl, cóż dopiero czyny, ta objawiona energia myśli?

Wit stanął i patrzał na Władka z sympatyą.

— Mogę przeklinać los, lecz nie rozpaczam! Mogę być wściekły na fatalizm, lecz nie rozpaczam.

— Precz z rozpaczą! wołał Władek.

— Nie mamy na nią czasu, dodał Wit.

Rozstali się, pierwszy wrócił do kopalni, drugi pobiegł odznaczać miejsce na fabrykę, którą od jutra miał przenosić i przestawiać.

ROŹDZIAŁ XIII.

O godzinie piątej rano, w pięć minut po wydobyciu przez robotników świdra rozległ się w szybie „Jakóba" straszliwy huk, jak gdyby odrazu pięćdziesiąt dział zagrzmiało. Sterczące belki po rozebranej wieży gaz strzaskał i rzucił do rzeczki o dwieście kroków. Za tym strasznym jękiem ziemi ukazał się słup czarnej ropy, bijący w górę na dwadzieścia metrów.

Do miejsca wybuchu pierwsi dopadli Wit i Władek, za nimi cała ludność Wyżnicy...

Robotnicy, zbici w gromadkę, patrzeli ponuro.

— I to wszystko, i to całe bogactwo dla Niemców, szeptali. A niechże ich cholera wytłucze!... Wit nie śmiał się zbliżyć do szybu. Gwałtowność wybuchu była tak wielka, że rozum ludzki i siła ludzka mogły się tylko korzyć przed jego potęgą

Tłum się zwiększał, czarna ropa rozlewała się szeroko.

— Łapać surowiec, zawołał ktoś z tłumu. Zakotłowało się, gromada się rozleciała, lecz za chwilę wróciła z naczyniami, tocząc przed sobą beczki, niosąc kadzie, konewki i cebry.

Czarna ropa wylała się na rzekę, pokrywając ją brunatną masą. Rusini zastawiali belkami wodę, a ropę zbierali, lejąc ją z braku naczyń do piwnic...

Ruch panował wielki, radość, zamęt, śmiechy i wrzawa. Każdy łapał ropę, ile mógł i umiał. Robotnicy pomagali żonom. Chaos rósł, kipiało, jak w garnku, wybuch trwał z jednaką siłą i energią.

O ujarzmieniu go siłą ludzką nikt nie odważył się nawet myśleć. Wystraszeni Niemcy pytali się, co będzie dalej, bali się o marnujące się swych zwierzchników bogactwo.

— A jeżeli cała ropa z tą samą gwałtownością wyleci, mówili, Czy niema ratunku?...

— Jest, kopać sadzawkę, sprowadzić do niej ropę, a potem ją pompować do magazynu.

Władysław wyjął świstawkę i nią zwoływał do siebie robotników. Pierwszy dopadł do niego Kasper.

— Chłopcy, niema rady; tylko wykopać dół, ściągać do niego ropę i pompować. Niemcy gotowi pomyśleć, że umyślnie nie chcemy im pomagać.

— Nie pomyślą, psiekrwie, odparł Kasper, a i dla ludzi jeszcze zostanie.

— Chłopcy, zawołał tak głośno, że aż zahuczało w powietrzu, po oskary i łopaty. Sikawkę zabierzmy po drodze. Za mną! Wysunął się naprzód, a za nim pięćdziesiąt nóg zadudniło po twardej ziemi.

W pięć minut już słychać było zgrzyt oskarów o kamienie, za nimi szły łopaty. Dół się zagłębiał, ludzie się w nim chowali.

— Dosyć, zakomenderował Kasper, wystarczy na dziś. Rowkami spuszczajmy ropę do dołu. Czarna masa szerokimi strumieniami płynęła.

— Węża do sikawki przymocować, do pomp ośmiu ludzi i dalej jazda!...

Nafta buchnęła do najbliższego zbiornika. Praca szła, czterech ludzi na zmianę nieustannie pompowało. Lecz jedna sikawka nie wystarczała, sprowadzono drugą.

Około południa wysokość bijącego w górę prądu zmniejszyła się o kilka metrów, huk cichł, sprężystość gazów słabła.

— Sprobujmy, odezwał się do Władysława Kasper, pokazując wzrokiem na fontannę ropy.

— Dobrze, zaczynamy!

— Potrzebuję dwudziestu ludzi.

— Bierz. Wszystko przygotowane do rozpoczęcia?!

— Nic nie brakuje!

— Jazda!

Dwudziestu bohaterów, jak jastrzębie, wpadło na „Jakóba" i opanowało wybuch. Rury jęczały pod naporem gazów. Władysław dawał rozkazy, robotnicy, jak wyćwiczeni żołnierze, w milczeniu

je wykonywali. Niemcy przybiegli do nich, patrząc z zapartym w piersiach oddechem.

Wybuch opanowany, ropa lała się wielkim strumieniem do zbiornika. Robotnicy zmęczeni podobni byli do dyabłów, którzy przed chwilą wylecieli z piekła, skąpani w smole.

— Dzielni chłopcy, rzekł Władysław.

— Racz pan, podchwycił starszy Niemiec, wypłacić na głowę po dwadzieścia guldenów, a temu zuchowi, co nimi dowodził, pięćdziesiąt.

— Zasłużyli, i należało uczcić szczęśliwy dzień.

— Wiele może dziennie w przybliżeniu dać szyb „Jakóba"?

Władysław zwrócił się do Kaspra.

— Powiedz towarzyszom, że za uchwycenie ropy dostaną dziś wieczór na głowę po dwadzieścia papierków — ty pięćdziesiąt.

Robotnicy milczeli, nie chcieli dziękować. Zdawało im się, żeby to była impertynencya, wyrządzona Władysławowi.

— Zobacz, wiele w zbiorniku ropy.

Kasper poskoczył i za chwilę wrócił.

— Już czwarta część.

Władysław patrzał na zegarek.

— Na godzinę cztery wagony.

— Koło tego, odparł Kasper.

— Blizko sto wagonów na dobę.

Powtórzył Wiedeńczykom po niemiecku.

— A na gotówkę?

— Dwadzieścia tysięcy guldenów, na dwadzieścia cztery godzin, najmniej!...

Niemcy nie wierzyli własnym uszom.

— Żartujesz pan, szepnął starszy.

— Kasper, spojrzyj do rezerwoaru.

— Wagon, zawołał Kasper.

— To więcej, niż dwadzieścia tysięcy. Lecz przypuszczam, że niedługo unormuje się obfitość i utrwali się dwadzieścia tysięcy.

— Jak długo? spytał zgorączkowany Niemiec.

— Najmniej pół roku, a może i cały rok.

— To od dwu do pięciu milionów w przeciągu roku jeden szyb!...

— Niezawodnie. Pierwszy to wybuch tak obfity w Galicyi.

— Czy można telegrafować do Wiednia o dwudziestu tysiącach dochodu dziennego z szybu „Jakóba"?

— Telegrafujcie, zrobi to wam i im przyjemność.

— Dwadzieścia tysięcy dziennie, myślał Władysław, i piersi wypełnił po brzegi żalem. Sto dni wystarczyłoby na spłacenie „tajnego" kredytu i zostałaby mu najpiękniejsza kopalnia w Galicyi. I za co nam los to wszystko wyrywa z gardła i za co nas maltretuje, za co? szeptał rozżalony. Rury drżały i, drżąc, jęczały z bólu, wyrzucając polskie złoto Niemcom — za nic — z głupoty!...

Nadbiegł Wit.

— Jaka obfitość? pytał szeptem.

— Do stu wagonów dziennie, później spadnie na osiemdziesiąt.

— Zginęliśmy. Mają pierwszeństwo użycia rurociągów, wątpię, aby cztery, które mają, wystarczyły na sto wagonów.

— Gdzie podziejemy naszą ropę?...

— Nawet nie mamy miejsca schować ją, dodał zrozpaczony Wit.

— Czem dalej istnieć? czem utrzymać kopalnię?

— Nie mamy już kredytu. Gdy się kupcy dowiedzą o naszem położeniu, dadzą nam cenę niżej wartości produkcyi...

— Fabrykę przenieść i przestawić, rozwijać się, za co? za co?

Załamał ręce. Władysław blady włożył ręce w kieszenie i cicho gwizdał. Gwizd ten szarpał im nerwy.

— O paręset kroków na północ są dość grube pokłady iłu. Kopać stawy, rowy i tam chować naszą ropę, mówił Wit.

— Musimy mieć dwie rury rurociągu własne, przerwał Władysław.

— Za co? za co? pytał Wit pełen żalu.

— Dziś jadę do Lwowa do starego. Jeżeli zabił kopalnię, na której miał dwa miliony tajnego kredytu, to teraz niech ratuje naszą kopalnię, na której mamy otwartego kredytu kilkakroć sto tysięcy.

— Czy będzie mógł?

— Żądam jawnego kredytu, a wartość naszej kopalni przechodzi milion z okładem.

— Dużo będziesz chciał wziąć?

— Pół miliona, a przyjmę trzykroć sto tysięcy. Trzeba się bronić. Niemcy nas gotowi zdusić! Już wilk w owczarni, puściliśmy go sami.

Jakby pchnięci niewidzialną siłą, poszli naprzód.

— Dwie własne rury konieczne, szepnął Wit.

— Dobrze, że jedziesz, masz więcej ode mnie cywilnej odwagi. Władek, gdyśmy się dokopali pierwszej nafty, inne tworzyliśmy horoskopy!

We Władku już optymizm, jak oliwa, wydobywał się na wierzch.

— Niech co chce będzie, zaczęliśmy, wiesz z jaką sumą, a dziś? Tak źle nie jest. Niemcy mają dziś „Jakóba", a kto wie, czy my za dwa miesiące nie będziemy mieli „Kaspra", bo tak nazwałem nowobudujący się szyb przy „Jakóbie".

Zaśmiali się wesoło obydwa, jak się śmieje młodość, pełna zdrowia, sił i płynącej otuchy. W godzinę odjechał Władysław.

ROŹDZIAŁ XIV.

Wieść o wybuchu szybu „Jakóba" wpadła do Wiednia, jak bomba, i pękła w gabinecie Ottona Bayera. Kamienna twarz rozśmiała się.

Naprawdę, rzekł bankier, kultura ma wściekłe szczęście, a wszystkie pechy idą na tych biedaków, na wydziedziczonych, na dzikich. Gdyby nastąpił o miesiąc wcześniej!? Nie nastąpił tylko dlatego, aby kulturze dać zwycięstwo. Zaczynam wierzyć w historyozofię, w celowość natury, w jej praktyczny rozum, we wszystko. Niech żyje kultura i Niemcy w niej! Po co dzikim miliony?

Był w wybornym humorze. Ani na chwilę nie myślał o Tadeuszu. Cały świat nic go nie obchodził. Zatelegrafował do „Neue Freie Pressy" o wybuchu Jakóba i dwudziestu tysiącach guldenów dziennego dochodu. Do porannego wydania przyrzekł przysłać w kwestyi tej artykuł.

— Jutro akcye Wyżnicy pójdą w górę, lecz my dziś zakupimy wszystkie po cenie dzisiejszej i popędzimy je w górę na giełdzie. Za miesiąc zwołujemy posiedzenie akcyonaryuszy i puszczamy nową emisyę akcyi za pięć milionów. W sto dni „Jakób" płaci dany milion księżnie, milion Tadeuszowi, i najpiękniejsza kopalnia w Galicyi ze wszystkimi rekwizytami zostaje nam darmo.

Twarz jego powoli układała się do uśmiechu.

— Polaczkowie, szlachcice, zdaje się wam, że prowadzicie posłuszeństwem nawę państwa, lecz tego, aby własne bogactwa utrzymać w swych rękach, nie umiecie!... Dla tego to Suess powiedział wam prawdę — że jesteście pół Azyą!.. Azyaty, gdy wchodzą do Europy, padają, sama kultura ich zabija I cóż my temu winni? My mamy gotówkę, rzetelnie płacimy—i to wszystko...

Kamienna twarz, zacierając ręce, śmiała się głośno.

— Sam na Wyżnicy zarobiłem dotąd okrągły milion. Córka

moja od dziś ma więcej o milion posagu!... A może wy, Polaczkowie, myślicie, że ją oddam jednemu z waszych, jednemu z galicyjskich hrabiów? To się grubo mylicie...

Pan Edward z przyzwyczajenia rano wstawał, brał kąpiel zimnej wody, szedł do Puchera pić kawę i czytać dzienniki.

W wieczornym numerze „Neue Freie Pressy" przeczytał telegram z Wyżnicy raz, drugi i trzeci, krew buchnęła mu do twarzy, wypił szklankę zimnej wody, zawołał o ranny numer i rzucił się na zapowiedziany artykuł. Odczytywał go kilka razy, tarł nieznacznie czuprynę i szeptał cicho:

— Głupiec, kiep, dureń! Kto? ja! Nikt, tylko ja — jeden, jedyny! Podarowałem Niemcom dziesięć milionów, a może dwadzieścia tak sobie, z łaski na uciechę, dla przypieczętowania mojej głupoty, mojego egoizmu, mojego bydlęctwa. Bo na to wszystko potrzeba być ostatniem bydlęciem!...

— Te romanse wściekłe, baby, księżne, hrabiny, wszystkiemu winne!...

Zastukał gwałtownie, zapłacił, wybiegł. Na Grabenie w trafice kupił po pięć egzemplarzy wczorajszej i dzisiejszej „Neue Freie Pressy", obładował nimi kieszenie i szedł sam nie wiedział gdzie. Na Kärtnerstrassej rozpychał przechodniów, wpadł do Volksgarten, na bocznej ścieżce zdjął kapelusz, usiadł na ławce i myślał.

— Podiebrad od czasu sprzedaży przez Tadeusza Wyżnicy unikał mnie. Rzucał mi karty wtedy, gdy byłem w parlamencie, wyjechał, nie widząc się ze mną. Dziś, gdy przeczyta, żem własnej córce zadał cios na dwadzieścia milionów za nic, tak sobie — i pieniądze te wpakowałem w paszczę niemiecko-żydowską, pomyśli: „Ten mój teść to wielki dureń, niema się z nim co zadawać" i nie pokaże się więcej. Dwadzieścia milionów rzuciłem w błoto, a zaledwo mogę dać posagu mej córce najwięcej po najdłuższem życiu trzy.

Zerwał się na równe nogi.

— Ale trzy na nas dwoje, dla Maryni i mnie! A więc daję półtora!...

— Ty, durniu, zawoła Podiebrad, za córkę dajesz półtora miliona, a z dwudziestu robisz prezent Niemcom, naszym wrogom—idyoto! I sprawiedliwie powie!

Gdzie ja podziałem rozum, znany mój spryt, mój instynkt, poprostu węch? Gdzie? Kto mi go ukradł?

Uderzył z gwałtownością laską o baryerę, że pękła na dwoje. Rzucił połowę trzymaną w ręku i poszedł dalej.

— Cóż ja znaczę z trzema głupimi milionami w ziemi? Jestem nędzarz, hołota, biedak. Te trzy miliony nie dają mi do dziś czterech procentów. Mam sto tysięcy dochodu, ja i moja córka we dwoje! Jedna klęska, a schodzę na nędzarza Ślepoto moja, jakażeś wielka, podła i nikczemna!

Jak ja się pokażę kolegom, księżnom, jak na mnie córka patrzeć będzie! Jak się smutno uśmiechnie! krzyknął. A szczęście wyciągało do mnie ręce. Przegrałeś, nikczemniku! Za głupi i nadto podły byłem, aby wygrać! Za wielki tchórz, za wielki dureń!

Chciał znowu laską uderzyć z całych sił, lecz spostrzegł, że laski nie ma. Przeląkł się, aby nie zwaryował lub nie rozchorował się, wybiegł z ogrodu, siadł do dorożki, kazał się zawieźć do Sachera. Jadł gorączkowo kawior, ostrygi, pił Chabli, potem polędwicę i szampanem ją zalewał. Podcięty wydobywał z siebie nieznany mu dotąd szyderski tragizm.

W parlamencie spotkał na drodze prezesa „Koła", wyjął gorączkowo numer dziennika, paznogciem zakreślił artykuł o Wyżnicy i prawie gwałtem wsunął mu go w rękę.

— A to co? zawołał, chmurząc czoło, prezes.

— Nic, odparł, przekona się szanowny prezes, o ile jestem dureń i kiep, darowałem Niemcom dwadzieścia milionów z miłości do nich, a kraj biedny!...

— Cóż mnie to obchodzi! zawołał oburzony prezes.

— Nic, nic, przerwał szydersko pan Edward, co może prezesa Koła polskiego obchodzić, że kraj traci dwadzieścia milionów majątku, a pięćdziesiąt milionów dochodu w przyszłości...

Prezes się zaśmiał.

— To zależy kto?... powiedział filozoficznie.

— Kraj, naród, jego bogactwo, jego przyszłość, jego życie, ubóstwo, nędza — rozumiesz teraz, co znaczy kto?

— To należało nie dać tego interesu Niemcom!

— Należało, zawołał pan Edward, należało, powtórzył, lecz byłem sam, jak palec, żadnej rady, żadnego poparcia.

Prezes wzruszył pogardliwie ramionami. Pogardliwy ten ruch przyprowadził do wściekłości pana Edwarda.

— Należało, powtórzył cicho a namiętnie, lecz zgłupiałem — w waszem Kole, zabitem deskami.

Prezes odwrócił się i poszedł szparko naprzód.

— Spodlałem, mówił coraz głośniej. Oczy krwią mu zaszły.

— Tak! spodlałem, dodał, i, co zatem idzie, zgłupiałem. Głupiec i podły!!...

Nogi pod nim drżały, usiadł na ławce, łzy cisnęły mu się do oczu, w gardle łechtał go płacz.

Zgnębiony szeptał:

— A kraj taki biedny, taki biedny, pragnący przemysłu, jak kania deszczu...

Kurytarze ożywiały się. Koledzy nafciarze przybiegli do zrozpaczonego Edwarda.

— Słyszałeś o rezultacie głębokiego wiercenia? W sześćset czterdziestym piątym metrze wybuch, jakiego nie było w Galicyi, ropy za dwadzieścia tysięcy guldenów dziennie, za sto dni dwa miliony. Sto dni w każdym razie wybuch wytrwa w tej samej sile.

— Więc cóż, zawołał, ale to nie nasze, Niemcy zdmuchnęli nam z przed nosa miliony, a myśmy na to głupiemi oczyma—idyoci patrzeli i pozwalali.

— Ty jesteś najbliżej Tadeusza, musiał ci robić oferty.

— Ale byłem sam, ogłupiały, wystraszony, niedołężny. Znikąd poparcia, pomocy. Mogliśmy w dziesięciu zrobić konsorcyum i zapłacić dziesięcioma wekslami po sto tysięcy. Gotówką zapłacilibyśmy po trzy tysiące na pół roku procentu, a dziś mielibyśmy po milionie zysku i najpiękniejszą kopalnię w Europie.

— Czemużeś nie postawił tak kwestyi dwa miesiące temu?!...

— Zbałwaniałem, zupełnie zbałwaniałem wśród plotek, drobnych, niedołężnych spraw, egoizmu, braku wytycznych myśli, braku wytycznej idei. Nie i nie... wstawać, gdy każe minister, siadać, gdy każe prezes Koła, słuchać, nie sądzić. Jestem ojcem nie narodu, lecz głupoty, którą płodzę wszędzie, na każdym kroku!...

— Brawo, Edward, przerwał mu kolega nafciarz, jeden z członków lewicy w Kole. Zapłaciłeś za rozum, który teraz zdobyłeś za dwadzieścia milionów. Ale to nigdy za wiele i nigdy za późno! Rozum drogi, nieprawdaż?!

Edward, nie usposobiony do dotkliwych żartów, wstał, obrzucił mówiącego wzrokiem i, nie odpowiadając ani słowem, odszedł.

— Obrażony jest na nas za głupotę swoją, rzekł nafciarz.

— Ale czyż i my nie powinniśmy być obrażeni za to samo na siebie samych?! Jesteśmy bliżej Tadeusza, powinniśmy również być bliżej kraju, aniżeli Niemcy, i, jako Polacy, znać go lepiej, znać jego interesy i uczciwie podać rękę bratu nafciarzowi, a nie bezmyślnym egoizmem głupoty posłać go w objęcia Niemców.

Zadzwoniono na znak otwartego posiedzenia.

Kurytarze wypróżniły się. W sali posiedzeń Koła prezes rozmawiał z kolegą Dawidem.

— Rozdrażnienie, mówił prezes, doszło u niego do tego stopnia, że aż zdobyło się na niegrzeczność względem mnie!...

— To już zaczyna być niebezpieczne, rzekł Dawid.

— Strata milionów mogła go dotknąć, lecz co mnie to obchodzi?...

— Co nas obchodzi głupia nafta, która z jednej strony wytwarza proletaryat, a z drugiej zawodowych rewolucyonistów, których dostarczają wyzwolone rzemiosła i sztuki. Tacy inżynierowie, technicy...

— Prawda, zaczynam się bać o szlachcica i, gdyby był w Kole mój lekarz, oddałbym go pod obserwacyę. Nieszczęście!

— Musimy go sami obserwować.

— Czyż na to jest czas?...

— Szepnę zaufanym, aby zwracali na niego uwagę.

Prezes wsunął rękę pod ramię Dawida, aby go prowadził na salę posiedzeń.

Edward czuł, że w stanie swego rozdrażnienia nie powinien dłużej przebywać w parlamencie, spotykać się z ludźmi. Wracał do domu zgnębiony i zawstydzony.

— Gdy zobaczę Marynię i ona wlepi swój wzrok pytający we mnie? Radziłem jej, aby Tadeusz pożyczył milion od Podiebrada.

Ha, ha! zaśmiał się nerwowo.

— Niema co tu robić, złożę mandat i wrócę do Lwowa, na wieś — odetchnę, odpocznę i ukryję wstyd, co mi pali czoło.

W domu przy śniadaniu spotkał Marynię. Leżały przy niej dwa numery „Neue Freie Pressy", wczorajszy i dzisiejszy. Spojrzawszy na ojca, odgadła walkę, wrzącą w jego duszy. Zerwała się, przybiegła, nadstawiła mu czoło, jak za dobrych czasów do pocałowania, mówiąc wesoło:

— Dla Tadeusza nie jest to wielką klęską—wskazała na dzienniki — ma on tyle jeszcze pomysłów do zrealizowania. Lecz ojcu, widzę, wiadomość o wybuchu w Wyżnicy wielką boleść sprawia. I jest się też czego martwić?

Wzruszyła ramionami, udając obojętność. Edward patrzał na nią długo, oczy zaszkliły mu się łzami.

— Ni mniej ni więcej okradłem siebie i ciebie na dwadzieścia milionów, szeptał, nie mogąc głośno mówić.

— Więc cóż? czy ja dbam o pieniądze? A ojczulek jeszcze dziesięć sposobności znajdzie do powetowania szkody.

— Głupota moja i podłość okradły cię, dziecko moje, z dwudziestu milionów — i ta sama głupota nie pozwoli mi na powetowanie strat.

Tak był wzruszony, że córka nie śmiała ani go pocieszać, ani bronić. Odwrócił się i splątanym krokiem poszedł do swego pokoju. Dziewczę zadzwoniło na lokaja. Pobiegła do Koczalskiej, prosząc aby zajrzała do ojca i powiedziała jej, czy i ona może wejść.

— Dobrze mu tak, odrzekła Koczalska, czemu nie pomógł Tadeuszowi? Zachciało mu się kawalera z królewskiej rodziny na zięcia, oszachrowywał córkę, obełgiwał dzielnego młodzieńca — i Bóg go skarał, zabrał mu rozumek. Córkę skrzywdził i siebie obdarł.

— Koczalsiu, zobacz, co się z nim dzieje? co robi? Żałuję go— przecie to mój ojciec, kocha mnie i ja go kocham...

Koczalska gniewnie wzruszyła ramionami i poszła, za nią Marynia, zatrzymując się u drzwi.

— Story spuszczone, śpi, oddycha, jak dziecko, równo i spokojnie.

Marynia na palcach weszła do pokoju ojca, postawiła przy łóżku wodę z lodem, sok porzeczkowy i odeszła, przykazując służącemu, aby, gdy ojciec zadzwoni, dał jej zaraz znać.

Bała się ruszyć z domu, zatelefonowała księżnie, że nie może dziś jej odwiedzić, gdyż ojciec na wiadomość o wybuchu w Wyżnicy zasłabł i położył się — czeka na jego przebudzenie.

Korzystając z wolnego czasu, pisała do Tadeusza.

Drogi mój!

Po wybuchu w Wyżnicy przekonywam się, że twoje obliczenia są nieomylne. Wiara moja w twoją potęgę rośnie. Straty domniemanych milionów nie żałuję. Żal mi tylko pieniędzy zmarnowanych, które, gdyby były w twych rękach, tyle dobrego mogłyby zrobić w kraju. Fatalizm społeczeństwa leży w jego ogólnym rozumie, w jego ogólnem poczuciu obowiązków. Ci, którym proponowałeś spółkę lub ratunek, teraz pewno rozpaczają, że ich ominął wielki los wygranej na loteryi, a żaden z nich pewno nie cierpi nad tem, że obdarł kraj z dwudziestu milionów. O tem nie mają pojęcia, nie chcą mieć lub, jeśli mają, żartują sobie z niego. Co ich to obchodzi? — i w tem tkwi tragizm naszego położenia, naszej nędzy moralnej, naszego egoizmu, który nie pozwala podnieść w górę głowy i spojrzeć szeroko.

W tem tkwi tragizm, i to jest tragizm narodu. Cóż my? My zawsze zapracujemy na kawałek chleba, jeśli żyć zechcemy.

Zapłacona zaledwo połowa tajnego kredytu. Skąd wydobę-

dziesz drugą połowę?... Na myśl białowłosego starca serce mi się ściska. Gdyby ci dał chociaż dwa miesiące czasu, dziś byłby spokojny, dumny, szczęśliwy. Fatalizm społeczeństwa gniecie i morduje ludzi...

Biedaku mój, żal ci milionów jedynie dlatego, że one będą tuczyć Niemców, a tyle nędzy, chudej nędzy, tyle łez na bladych twarzach, których nikt nie ociera, słońce pije, wiatr suszy!... Precz z rozpaczą—my optymiści, do nas uśmiecha się przyszłość, nam przyświeca słońce. Jeśli padniemy, to z pieśnią zwycięstwa na ustach.

Kiedyż cię zobaczę? Twoją jestem z milionami i bez milionów, z kredytami wszystkich rodzajów... Czemuż nie jestem przy tobie? I to tragizm życia naszego!

Żal mi nas obojga!... Ja tutaj w klatce, a ty, orle mój, szarpiesz się i dręczysz z kulą u nóg — „tajnego"... Pomyśl o mnie i o klatce mej!

Twoja jedyna Marya.

Ostry głos dzwonka z sypialni pana Edwarda rozległ się po ciszy mieszkania. Marynia się zerwała, służący był już w pokoju, Koczalska pode drzwiami. Marynia zbliżyła się do niej.

— Zadzwonił silnie, musi być zdrów, szeptała.

— Zaczekajmy, póki nie wyjdzie służący.

— Cóż? spytały razem, gdy drzwi za sobą zamknął.

— Był telegram do jaśnie pana, położyłem go przy łóżku, obudził się, zadzwonił, kazał podnieść storę, pije wodę z sokiem i czyta!

— Nie przeszkadzajmy, rzekła Koczalska.

— Jeżeli nas będzie potrzebował, zawoła, potwierdziła Marynia.

Odeszły, Koczalska do domowych zajęć, Marynia napisała do ciotki Urszuli i listy pod jedną kopertą do niej zaadresowała.

Pan Edward czytał:

Po zrobieniu awantury prezesowi dziś rano na kurytarzu parlamentu—źle z tobą. Przypuszczają, że rozpacz straty milionów poszarpała ci nerwy. Jeśli się nie poprawisz, możesz dostać wotum nieufności od swych wyborców, a na twe miejsce będzie wybrany Czerkaski, aby czuwał nad zdrowiem prezesa. Ostrzega cię przyjaciel.

Pan Edward czytał raz, drugi i trzeci, potem go podarł na drobne kawałki, przetarł ręką czoło, wypił resztę wody i szepnął:

— Byłem głupcem, należało iść ręka w rękę z Tadeuszem, baliby się mnie, tak, jak się dziś jego boją, a razemby nas szanowali,

gdybyśmy byli oparci na dwudziestu milionach. Przegrałem życie głupotą, piorunującą głupotą.

Zadzwonił gwałtownie, wpadł służący.

— Wody zimnej, ubranie wizytowe — wstaję w tej chwili.

Służący znikł, pan Edward dalej snuł myśli, weszła do pokoju Marynia.

— Dziecko, pociągnij storę, przespałem nieszczęście, nerwy odpoczęły, jestem zdrów, silny i gotów do walki. Marynia rozsunęła firanki, do sypialni wpadło wesołe światło.

— Do walki? z kim? przeciw komu? Walka skończona, szyb „Jakóba" wyrzuca naftę Niemcom, powiedziała spokojnie. Radzę ojcu odpocząć w domu wśród ciszy i rodziny.

— Nie znasz, dziecko, zawziętości ludzkiej i zawziętości losu. Za to, że straciłem dwadzieścia milionów, los mnie każe, muszę się bronić.

— Czy co nowego?

— Stare dzieje. Mam nieprzyjaciół w Kole.

— Wracajmy do kraju, zawołało dziewczę z mocą. Wiednia i Niemców mam już dosyć.

Oburzenie było tak serdeczne i szczere, że pan Edward zadrżał — odczuł, że z Podiebradem skończone. Zabolało go pod sercem, twarz mu się wydłużyła, niekłamana boleść wystąpiła na twarz.

Chciał zawołać:

— Bój się Boga, szczęście swoje i świetny los rzucasz z tak lekiem sercem! Czy ty kochasz ojca, czy możesz prócz swej fantazyi kogokolwiek — ukochać?!... Chciał krzyczeć, lecz się bał, tylko oczy, pełne przestrachu, w których wielki ból tkwił, utkwił w córkę.

Wszedł służący z zimną wodą, Marynia wyszła z pokoju, pan Edward się zerwał. Tusz go otrzeźwił i wzmocnił. Nie żegnając się z córką, wyjechał do starej księżny.

— Zaryzykuję i napiszę do Podiebrada. W pałacu na Kolowratt znają jego adres. Zaryzykuję i spytam się go. Niech się dzieje, co chce. Gdybym dziś miał po wybuchu „Jakóba" dwadzieścia milionów, inaczejbym pisał do niego... Za córką daję dwadzieścia milionów, cóż ty na to? To nie głupie, nędzne półtora! Piekło i przekleństwo.

Powóz zatrzymał się przed pałacem; rozdrażniony wyskoczył.

W salonie przywitała go hrabianka, księżna dziś nie opuszczała swego pokoju.

Anulka wyciągnęła ręce do wchodzącego, mówiąc ze współczuciem:

— Wiemy wszystko! Wybuch jednego szybu płaci Niemcom wydane dwa miliony, i zostaje im się kopalnia wartości dwudziestu milionów. Skrzywdzili drogiego pana, bo kopalnia powinna być twoją. Lecz Bóg jest dobry i nie opuści cię!..

Przypomnienie po raz dziesiąty szarpało nerwy pana Edwarda. Nie mógł ustać na nogach — siadł.

— Kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera.

— Nie odebrał go panu. Tylko ten demagog, ten nafciarz, ten mason, zawołała zoburzeniem, jak on śmiał stawać na drodze Podiebradowi!... Jego zuchwalstwo popsuło wszystko! Bo któżby inaczej śmiał odradzać panu, abyś nie kupował kopalni. I dziś z jakąż rozkoszą napisałbyś do Podiebrada, daję za córką dziesięć milionów, bo drugie dziesięć zatrzymuję dla siebie. Ale cóż, nafciarz nie pozwolił. Jak on śmiał wyciągać rękę po pańską córkę, jak śmiał, co za czelność, jaki brak taktu, co za zuchwalstwo walczyć z Podiebradem. Ale to nawet śmieszne, gdyby nie było dramatyczne.

— Chcieliśmy nafciarza zniszczyć, a tymczasem miny, podłożone pod niego, zasypały nas gruzami. Ręce mu drżały, głos drżał, oczy się szkliły łzami. Anulka położyła mu delikatną, wypieszczoną rękę na czoło, w drugiej trzymaną chusteczką chłodziła mu twarz.

— Te cztery miliony, jakie pan posiadasz, mówiła cicho, wystarczą ci, choćbyś miał cały milion oddać córce. Wystarczą, dużo nie potrzeba, aby podobać się Bogu.

— Wyżnica powinna być moją! szepnął.

— I byłaby pańską, gdyby nie mason, co bezbożnie pożądał córki twojej, przeznaczonej przez los i Pana Boga dla Podiebrada, bo on ją znalazł i ukochał uczciwie...

Sam na sam z mężczyzną za długo trwało. Wedle obliczeń Anulki los jej powinien się w tej właśnie chwili zadecydować.

Pan Edward spostrzegł, że należy mu skończyć lub natychmiast wyjść. Zerwał się, raz jeszcze przycisnął rękę hrabianki do ust, spojrzał czule i powiedział:

— Pocieszycielu mój!

Anulka zakryła oczy powiekami.

— Tobie, mówił z patosem, zawdzięczam wiarę w sprawiedliwość i dziękuję ci. A teraz do pracy, do pługa, do parlamentu — kraj i jego sprawy czekają.

Raz jeszcze się skłonił, spojrzał i wybiegł.

— Głupiec ten, szepnęła obrażona Anulka, dopokądże będzie zwlekał?... Na co czeka? Na dwadzieścia milionów. Drugi raz

nie przyjdą, bądź spokojny!... Należało trzymać interes. A może, gdybyś zdobył dwadzieścia milionów, szukałbyś osiemnastoletniej dziewczyny, którąby ci w rok po ślubie przyprawiła rogi?! Dobrze więc, że ich nie masz, ze względu na moralność i ze względu na to, że chcę zostać i zostanę twoją żoną. Już cię drugi raz, gagatku, nie puszczę, już mi się nie wymkniesz.

Uśmiechnęła się łaskawie.

— Pewno głuptasek nie śmie się zbliżyć, uważa za wielkie szczęście dla siebie zostać moim mężem. Progi wydają mu się tak wysokie, tak wysokie!... Mojem zadaniem zniżyć je w jego opinii i pokazać mu, że je przejść może z mej łaski.

Główką kręciła filuternie, przeglądając się w lustrze.

— Szkoda dwudziestu milionów, niepowetowana szkoda. Gdybym je miała, mogłabym się równać w bogactwie z ciocią i w niczem jej nie ustępować. Byłaby to rozkosz. Ciocia musiałaby mego męża naprawdę szanować!

Mąż, który uwolnił starą księżnę od zbytecznego szacunku, idąc po wielkich schodach parlamentu, rozmyślał.

— Jeżeli Podiebrad wróci i weźmie Marynię, to nie głupim żenić się. Gdybym miał rzucone w błoto miliony, powiedziałbym mu wręcz: „Za Marynię daję dwadzieścia — bierzesz ją?" Padłby mi do nóg. Dziś nie śmiem wyjeżdżać z półtora milionem. Co to jest półtora? idyotyzm, nędza, dobre dla Anulki, podobno gołej, aż strach.

Stanął przed wejściem do sali obrad Koła i zaczął w myśli układać mówkę, strojąc usta w uśmiech szczęśliwości. Ktoś mu powiedział, że zwierzęta i waryaci nigdy się nie śmieją, postanowił więc manifestować przytomność umysłu wybornym humorem. W sali zastał prezesa z drużyną najwierniejszych. Zbliżył się do niego, pocałował go w ramię i szepnął:

— Przepraszam ekscelencyę, żal straconych dwudziestu milionów tak mnie opanował, że zacząłem mieć do wszystkich pretensye, a nawet do czcigodnego prezesa. Cóż to prezesa może obchodzić i co mu do tego, że jakaś kopalnia w Galicyi poszła w niemieckie ręce?

— Cieszę się, że cię słyszę, mówiącego rozsądnie, odparł prezes z wielką godnością i łaskawością.

— To tylko mnie może obchodzić, mówił dalej ze skruchą pan Edward, że za milion, wydany przed miesiącem, mogłem mieć dwadzieścia, a w sto dni odebrać dwa miliony!...

— Tak, tak, poświadczyło otoczenie prezesa, to tylko twoja

osobista sprawa i niczyja więcej. Ty jesteś nafciarzem, znasz interesa, mogłeś je robić. Nie zrobiłeś, zastąpili cię Niemcy — i basta!..

Edwardowi z bólu serce pękało.

— A kraj, chciał wołać pan Edward, kraj, kraj!....

Lecz krzyk boleści zamarł mu na ustach. Pierwszy raz w życiu ten tłumiony krzyk był u niego szczerym...

Prezes z drużyną wiernych odszedł na posiedzenie, do zbolałego szlachcica zbliżył się kolega — ten sam, który mu wysłał rano ostrzegający telegram, położył mu rękę na ramieniu.

— Za cierpienia twoje i boleść chciano cię wygnać z Koła i parlamentu. Tego było mi już za wiele.

— Dziękuję ci, szepnął Edward, wyłamując z bólu palce u rąk, że aż trzeszczały.

— Lecz jakim sposobem mogłeś przeoczyć taki interes, ty „czwany" w tego rodzaju sprawach?...

— Głupotą, niedołęstwem, idyotyzmem. Poprostu zbaraniałem, nie myślałem, nie liczyłem. A jeśli myślałem, to nie o tem, o czem powinienem. Interes szedł mi do rąk i prosił się, odepchnąłem go i kopnąłem nogą tak silnie, że aż się sam przewróciłem.

— Biedaku!

Szlachcic się rozpłakał.

— Wiesz, co mnie najwięcej dręczy? zawołał.

— Domyślam się.

— Nie, nie domyślasz się! To, że Niemcy biedny kraj obdarli —z jego krwawicy.

I znowu łzy obfite wytrysły mu z oczu. Były również szczere, kraj łączył w tej sprawie z sobą, z własną stratą, z własnem cierpieniem.

— Gdybyś wtedy, gdy ci oddawano interes w ręce, czuł biedę kraju, jak ją dziś czujesz, niezawodnie nie wypuściłbyś go z rąk.

— Prawda, odparł dramatycznie pan Edward, nie czułem, zapomniałem i dlatego popełniłem taką wielką podłość na własną hańbę a biedę kraju! Lecz cóż robić, kiedy Bóg pragnie ukarać, rozum odbiera.

Zniżył głos.

— Znikąd poparcia, zachęty, słówka porady. Wszyscy chodzili koło milionów, jak obok kupy plew, patrzeli, jak na sieczkę, i swoim ogłupiałym wzrokiem i swoją obojętnością mnie ogłupili na śmierć!

— Cicho, cicho, stało się—i tego nie odrobisz. To nauka na przyszłość. Teraz będziesz wiedział, co oddawna Niemcy rozumie-

ją, że interes to nie polityka ani żadna inna kombinacya, interes jest interesem.

— Cóż mi z tego dziś przyjdzie! Rychło wczas po śmierci wędrować.

— resntela płyną, jak ryby w wodzie. Tylko sztuka łowić je.

ROZDZIAŁ XV.

Ogłoszony telegram w „Pressie" o wybuchu w Wyżnicy roznieśli reporterzy po całej Europie. Dzienniki lwowskie powtórzyły wiadomość. Pod „Gruszką" wieczorem przeczytał ją dyrektor. Nerwy w nim zadrżały, zbladł, serce stanęło, jakby zdziwione i pogalopowało, bijąc falą krwi do głowy.

— Gdyby to była prawda, szeptał, gdyby to była prawda? Może i był wybuch gwałtowny, lecz po nim prócz zrujnowanej wieży niema i śladu. Skąd, poco?

Świdrowała mu w mózgu druga głęboka warstwa ropy, do której powinni już się dokopać. To może ta druga strzeliła pod niebo. Myśli te odpędzał od siebie, bał się ich, czuł, że go dławią.

— Niepodobna, niepodobna, powtarzał, byłoby to urągowisko Boga z naszych nieszczęść i naszych cierpień!... Bóg nie urąga!?! Nazajutrz rano posłał po poranny numer „Pressy" dla zapowiedzianego artykułu.

Gdy go czytał, ręce mu się trzęsły, wargi drżały, oczy zachodziły mgłą.

Wstał, spojrzał na świat, słońce pogodnie świeciło, zieleń ziemi uśmiechała się do słońca.

Wysłał telegram z zapytaniem do Wyżnicy i spokojniejszy wrócił do swych zajęć.

W godzinę odebrał odpowiedź:

„Prawda! Jesteśmy zrujnowani, rurociągi na trzy miesiące zajęte, nie mamy czem przesyłać naszej ropy, ani gdzie jej chować — musimy paść". Wit — Władysław.

Stał na środku swej kancelaryi, blady, zawstydzony, upokorzony przed samym sobą, telegram wypadł mu z rąk.

— Czy go nie zabiłem? myślał o Tadeuszu, czy nie zabiłem przemysłu? Czy nie zabiłem samego siebie? czy nie zrujnowałem kredytu, czy nie podkopałem bytu tej wielkiej instytucyi, której służę trzydzieści lat?...

Schwycił się za głowę i siadł. Nie był w stanie zebrać myśli, huczało mu w mózgu, pioruny weń biły i krwawe błyskawice. Siedział długo, na głos służącego, który zapowiadał interesantów, nie odpowiadał, nie słyszał, nic nie czuł.... Boleść obezwładniła w nim zmysły... Powstał, napisał telegram: „Przyjeżdżaj". Zaadresował do Wyżnicy, zadzwonił i oddał go służącemu.

— Panie dyrektorze, czekają, odezwał się woźny.

— Wprowadzaj po kolei.

Wstrząsnął się, wyprostował, przetarł oczy, jakby ze snu i siadł w fotelu.

— Ciągnijmy taczkę dnia, szepnął.

— A więc to prawda! zawołał gwałtownie, zrywając się na równe nogi. Dwadzieścia tysięcy dziennie, za sto dni dwa miliony — a więc za sto dni niema tajnego kredytu i cała kopalnia w naszych rękach!...

— Zabiłem go!... krzyknął i zatargał włosy.

Drzwi się rozwarły, wszedł pierwszy interesant, za nim drugi, trzeci i dziesiąty. Starzec musiał władze umysłowe trzymać w karbach przytomności.

Wybiła druga, zrobiła się dokoła cisza. Stał długo zapatrzony w przestrzeń, nareszcie wyszeptał:

— Zabiłem go, runął na fotel.

Zabiłem go, powtarzał. Ja go zabiłem własną ręką, głupotą, uporem, żołnierskiem słowem. Słowo wiatr, a fakt jest faktem. Zabiłem go, siebie i przemysł naftowy! Opętany wielką ideą nie zobaczyłem milionów pod stopami. Gdy mi się kładły do nóg — odchodziłem. Wielkie ideały, urzeczywistniają się siłą własnej konieczności — lecz środki można tworzyć. Środki zaprzepaściłem.

Zabiłem go, szeptem tym serce rwał na kawały.

I za co, za co jego i siebie zabiłem? Boże, Boże, czy nie za ciężki krzyż do dźwigania? Czy siły starczą? Zabić tego, którego się kocha, jak syna, a wierzy, jak w proroka, to zbrodnia okropna, nadludzka! .. Zabić przyjaciela i sobie powróz ukręcić...

Przeląkł się o swój mózg, bał się, czy zniesie ten cios. Schwycił kapelusz, uciekł...

— Co dalej? powtarzał, przebiegając schody.

Oprzytomniał na ulicy.

— Skąd weźmie na spłacenie pozostałego miliona tajnego kredytu, skąd? skąd?... Za sto dni nie byłoby go! I jeszcze dwadzieścia milionów. I ja te miliony zabiłem, żeby nie módz odebrać danego miliona. Przekleństwo mi — przekleństwo!

Skoczył do jednokonki, każąc się wieźć do domu.

— Gdzie się skryję ze swoim wstydem, z boleścią, z przerażeniem nieszczęścia—gdzie? Boże, gdzie ja się skryję? Pod ziemię!... A milion tajnego kredytu? Podwójnie go zabiję. Zabiłem, odbierając mu możność czynu, a teraz zabiję go na czci... Gdzie ukryję moją głupotę i tej głupoty nędzę?!...

Wszedł cicho do swego pokoju, otworzył okno, usiadł, oparł głowę na ręku i dalej w półśnie grozy i przerażenia mówił do siebie.

— Wielkie idee, jak błyskawice, rzucał mi w mózg, wymowa jego cicha i łagodna dźwięczała, jak przepowiednia, świeciła, jak jutrzenka zbawienna. Oślepił mnie, ogłuszył, pochwycił mego ducha i uprowadził na wyżyny, z których nie byłem w stanie widzieć spraw mego kraju, uczuć boleść ludzką, zrozumieć prawdę. Milion wrył mi się w mózg, dźwięczał w uszach!... Milionem zbawię zachodnią Słowiańszczyznę, milion za jakąkolwiek cenę, za śmierć, za zbawienie, milion—choćby sto kopalń padło w proch, tysiące ludzi zostało rażonych piorunem... Milion, powtarzałem, jak opętany, póki nie wydarłem go z rąk, z serca i mózgu biedaka, jak drzewo z ziemi, a z nim ze dwadzieścia milionów korzeni, które ten biedny milion tworzył. W tej płodności wyrwałem to drzewo i zniszczyłem, jak dziki, jak mordujący Tatar, palący wsie!

Zabiłem go, krzyknął przytłumionym głosem, zerwał się, chwycił się za głowę i patrzał osłupiałym wzrokiem na wysoki zamek i zielony kopiec.

Utkwiony w przestrzeń wzrok, ręce, targające białe, jak mleko włosy, ból na ustach, nozdrza rozwarte, jakby szukały zapachu krwi...

Słońce rzuciło na kopiec snop światła, ożywiło go i rozweseliło zielonością nadziei. Na wierzchołku majaczała malutka postać, w ruchliwości podobna do mrówki, taczkę pchająca przed sobą.

— Starcze, szeptał, patrząc, dla twej idei znoszę męki, a ty ze spokojem przeznaczenia sypiesz taczkami ziemię coraz wyżej, coraz wyżej, jak gdyby siła twojej idei była, jak fatum, niecofnięta, twoje proroctwa miały moc czynu, a wiara twoja mówiła: stań się. Ty nie wiesz o mych cierpieniach, ani ich odczuwasz. Rozmarzony ideami dźwigasz taczkę za taczką, marzenia twe rosną i góra rośnie. A ja zbrodniarz! Nawet zbrodniarzem nie jestem, powtarzał przejmująco cicho. Jestem tylko głupcem i nikczemnikiem, który głupotą zabija przyjaciół i przemysł swego kraju... Mówił mi: „za rok

kopalnia w wartości dźwignie się do dwudziestu milionów. Drugi pokład ropy jest, idzie — tylko spójrz"...

— Nie chciałem patrzeć, krzyknął, nie chciałem patrzeć, zatargał się za włosy. Dlaczego nie chciałem patrzeć!?... wołając: „skonaj jutro, bylebyś dziś dał milion!"... I zdawało mi się, że spełniam bohaterstwo, przykazanie Boże... słońce łapię i przyciągam, idei daję ciało!... Cóż znaczy sto kopalń wobec tego, co ja zrobię!... Widziałem w ciemnościach mego mózgu wypisany ognistemi literami jeden wyraz i poza nim nic widzieć nie mogłem.

Siadł ciężko — głowę podparł na ręku.

Wydarłem mu milion, ogniste litery zgasły, zrobiła się w mym mózgu noc. W kopalni wybuch i znowu zapalił światło w mej głowie, żebym zobaczył głupotę moją! Świeci przede mną i już nie zgaśnie do końca!

— Zabiłem go, krzyknął, zerwał się i padł na fotel złamany.

— Kogo ja nie zabiłem? Miliony milionów — Podkarpacie zabiłem, a mogłem zabić nędzę biednego ludu, któremu skąpa natura nie daje kawałka chleba!... Wszystko mogłem zrobić, a wszystko zabiłem! Mój biedny lud z Podkarpacia pada z głodu i nędzy...

Mogłem wziąć cicho trzeci milion i rzucić go w paszczę idei, jeśli mi grożono, a biedakowi memu powiedzieć — jeśli w głębokościach jest drugi pokład ropy, oddasz i ten milion! I dziś byłbym wolny, szczęśliwy, kopalnia o wartości dwudziestu milionów w naszych rękach! Dwa miliony tajnego kredytu, zapłacone w stu dniach! Z siwych włosów odleciałby hańby strach i groźba! Idziemy w Podkarpacie z pochodniami, przed nam ucieka głód i nędza.

Zabiłem go, krzyknął i uciekł.

Wypadł na ulicę, szedł, nie wiedząc dokąd. Stanął przed „Żorżem", instynktem wiedziony otworzył drzwi restauracyi, kazał sobie podać butelkę wina, wypił ją w pięć minut. Zrobiło mu się ciepło i wesoło, wyszedł, przyśpieszył kroku, weselsze myśli zaświeciły mu w mózgu. Wywijał laską, jak oficer szpadą, dla przygłuszenia myśli i nucił piosnkę żołnierską, kobietom w oczy zaglądał. Minęła go młoda, ładna, świeża Żydóweczka. Patrzała wyzywająco. Obejrzeli się jednocześnie, Żydóweczka się uśmiechnęła, uśmiechnął się i dyrektor. W godzinę wino zaczęło mu ciężyć, nogi zrobiły się ołowiane, głowa go rozbolała, i znowu nerwy zaczęły grać z jeszcze większą zaciętością.

Stanął.

— Czego ja się plączę po tym świecie? Pokażę wam, czego i nauczę was jeszcze!... odpowiedział sobie.

Był podniecony gorączką, zdawało mu się, że jest młody, silny, energia w nim gra. Kobiety się za nim oglądają i uśmiechają się do niego.

— Pokażę wam, co jeszcze potrafię. Zwyciężę lub padnę. A jeśli padnę, cały gmach runie mi na głowę, ale i was zmiażdży!

— Do czynu, powtarzał głośno. Wsłuchiwał się w muzykę tego wyrazu i powoli uspakajał.

Nie poszedł dziś „pod gruszkę", został w domu, położył się wcześnie i zasnął snem żołnierza — po całodniowej walce.

Rano w kancelaryi zobaczył pierwszego Władysława, rzucił się ku niemu, jak ku zbawcy.

— Wszystko prawda? zapytał.

— Wszystko, odpowiedział.

— Myślicie, żem podły, i przeklinacie mnie.

— Nie, dyrektorze, myślimy, że musiałeś i że inaczej postąpić nie mogłeś.

— Otóż mogłem, zawołał, mogłem, ale przez wrodzoną głupotę, tchórzostwo, opętanie nie zrobiłem. Przekleństwo, ciążące na Galicyi, mnie wybrało na swego kata.

— Dyrektorze, dziś ci się wydaje, że popełniłeś zbrodnię, a dwa tygodnie temu byłeś przekonany, że spełniasz obowiązek Wybuch ropy popsuł nam pojęcia etyki i obowiązków. Gdyby nie gwałtowny wybuch, nie byłoby wyrzutów.

— Byłyby, zawołał dyrektor, zawsze musiałoby przyjść opamiętanie. Wybuch i was rujnuje.

— Mamy ropę, lecz jej przesłać nie możemy, końmi się nie opłaci, rurociąg zajęty przez wybuch przynajmniej na dwieście dni.

— Co robicie?

— Kopiemy stawy, w ile i w nich przechowujemy ropę, lecz jej sprzedać nie możemy, na własne rurociągi nas nie stać, gotówki nie mamy, nafciarstwo nie ma w kraju kredytu, padniemy za jakie dwa tygodnie.

— Upadek ten ja wam tajnym kredytem zgotowałem. Słyszysz? ja! wokoło siebie czynię zniszczenie, jako przekleństwo mego kraju — słyszysz przekleństwo.

— Dyrektorze, możesz nas uratować, jeżeli zechcesz, odrazu dziś. My nie chcemy tajnego kredytu — dajemy gwarancyę.

— Na ile?

— Na dwa miliony! Kopalnia rośnie, jak na drożdżach. Dziesięć szybów, z których siedem wyrzucają po dwa wagony ropy dziennie.

— Za wiele macie surogatu?

— Za trzy tygodnie wartość jego w gotówce przejdzie półmiliona.

— Na rurociąg do Borysławia wiele potrzeba?

— Z parową pompą do wtłaczania niecałe dwakroć sto tysięcy...

— Przynoś szacunek kopalni, podpisany przez Zubera, zabezpieczenie prawne na ropę, zrobione przez adwokata, i pożyczkę przez notaryusza, dostaniesz dwakroć pięćdziesiąt tysięcy.

— Dyrektorze, szepnął Władysław wzruszony.

— Was przynajmniej wyratuję, wam nie dam upaść. W tych strasznych chwilach to jedyna moja pociecha, jedyne zadośćuczynienie.

Zniżył głos.

— Ale pamiętajcie, że i wy w chwilach ciężkich, jakieby spadły na Tadeusza i na mnie, wyciągniecie do nas ręce.

— Oddamy wszystko, co mamy, zawołał z entuzyazmem Władysław.

— Będziecie mieć dużo?...

— Za dwa lata pięć milionów, jeżeli znajdziemy kredyt na półtora.

— O kredyt mniejsza. Pięć milionów—i to pewno?

— Jak słońce na niebie. Mówię na podstawie danych, jakie mamy.

— I zratujecie nas!

— Przysięgamy!...

— Kochacie ideę, jak ja i Tadeusz?

— Jesteśmy jego uczniami!

— Kochacie Podkarpacie?

— Jako najdroższe naszego serca życzenie, jak czyn, rozsadzający nam radością serca.

— I ja je kocham, szepnął dyrektor. Strata dwudziestu milionów dla Galicyi nie jest tak straszną?...

— Ależ to najbogatszy zakątek ziemi w Europie, to druga Belgia, tylko chcieć, tylko ręce wyciągnąć!

— Wierzysz w to?...

— Jak w ewangelię!...

Dyrektor wyciągnął dłoń do uiścsku.

— Ratujesz mnie. Byłem pewny, że popełniłem morderstwo. Popełniłem je, lecz jest nadzieja zmartwychwstania.

— Zupełna, byle dalej, dalej, bez wytchnienia, mówił z zapałem Władysław.

— Dziękuję ci, rzuciłeś mi w mózg i serce parę jasnych promieni. Upadać rzecz ludzka, lecz i dźwigać się również w mocy ludzkiej. Wygotuj, co potrzeba, jutro weźmiesz gotówkę i jedź. Przyślij Tadeusza, może mi przebaczy. Powiedz mu, żem już oprzytomniał i gotów do walki.

Władysław odszedł rozpromieniony, starzec powtarzał w duchu Oparł się o zimny piec.

— Coby to dzisiaj było, gdyby kopalnia została w rękach Tadeusza razem z milionami tych dwu dzielnych ludzi! Coby to było! Żartowalibyśmy sobie głośno z tajnego! A tak...

— „Zabiłeś" — jęczało w głębiach jego serca. „Zabiłeś"!

Odchyliła się lekko kotara, do kancelaryi weszła młoda, zdrowa Żydóweczka, ta sama, za którą wczoraj obejrzał się na ulicy. Dyrektor oczy w nią utkwił.

— To ja, panie dyrektorze, szeptała pieszczotliwie, ja Malcia, co wczoraj pan dyrektor uśmiechał się do mnie.

Pocałowała go w rękę i raptownie posmutniała.

— Przyszłam, biedna sierota, prosić o wielką łaskę, pragnę mieć własny interes, własny kąt, własny byt.

Wyjęła weksel i, podając go, rozpłakała się, kryjąc twarz w dłonie.

— Podpisy niekoniecznie wielkie, ale to uczciwi ludzie, a ja sama zapłacę, sama wszystko, tylko ulituj się nad sierotą.

Zbliżyła się, ujęła jego rękę, mimowoli pogładził bujne jej włosy, z wyrafinowaną lubieżnością otarła się o niego.

Przeszedł do biurka, położył weksel i, wpatrując się w niego, zamyślił się. Malcia stanęła przy nim i, dotykając włosami i delikatnem swem ciałem jego twarzy, szeptała:

— Pan dyrektor smutny, ale Malcia umie być wesoła. Umie śpiewać i śmiać się i bawić. Pan dyrektor jakiś nieszczęśliwy, a Malcia „niczego". Pan dyrektor sam biedaczek, a Malcia dobra, grzeczna, potrafi pieścić. Malcia wszystko zrobi, żeby rozweselić swego pana.

— Gdzie mieszkasz? zapytał.

— Gdzie? powtórzyła, zamyślając się. Za kręconymi słupami

na Zielonej, trzeci dom po prawej stronie, na drugiem piętrze. Przyjdzie mój pan o siódmej, wszystko będzie czekało. Że Malcia rarytna, przekona się pan i powie, że prawda.

Na wekslu napisał adres, przybił pieczęć i oddał go Malci. Rozpromieniona, ciskając iskry z oczu, szepnęła:

— O siódmej czekam. Ach, jak będę tęskniła, to tylko wie jeden Bóg!

Chciała go pocałować, lecz nie śmiała, pochyliła się do ręki, przycisnęła ją do ust i wybiegła.

Dyrektor patrzał na kotarę, za którą zniknęła.

— Wino szarpie mi nerwy, pali, jak ogień, odbiera sen, drażni... Może zapomnę, wrócę do równowagi, znajdę rozrywkę... Wiecznie z tajnym kredytem i niepopełnionem morderstwem...

— „Zabiłem go", zaszumiało mu w mózgu i zepchnęło ze stołka.

— Cicho, cicho, przyjdą jeszcze pogodne dnie... Ci dwaj!... Jakże temu, co dziś był, pogodnie patrzy z oczu! Ja już tak patrzeć nie potrafię. Postawię ich na nogi... Czuję, że w nich mój ratunek. To moja przyszła opatrzność... Jakże ciało tej Żydówki przesycone elektrycznością, jak stos Wolty! Dziewczyny wschodu mają ten przymiot. Zaśmiał się rad, bo sępy, wyjadające mu mózg, przycichły.

Teraz na mnie kolej i pokażę wam co robić mogę i co potrafię! Jeżeli zwyciężę, dźwignę świątynię, a jeśli padnę, to gruzy będą tak wielkie, że mi za pomnik staną. Ha, ha, trzeba być czemś. Niczem być nie mogę, nawet psem na łańcuchu, pilnującym skarbów, które samem leżeniem swem straszną klęskę zadają krajowi. Straszną— krzyknął. Ja je nauczę ruszać się...

Śmiał się dziko, kładł ręce w kieszenie, chodził po kancelaryi, kroki stawiał szerokie, pewne i znowu śmiał się nerwowo, pewny był, że zabójczo.

Jeśli zbuduję świątynię, to większą, niż w Efezie, a jeśli w gruzach runę, to będą wielkie, że świat zadziwię, śpiochów zbudzę, trzewia im zatargam i z wnętrzności wydobędę czyn, pracę... Wydobędę! Co mi po życiu, pięć lat dłużej lub krócej, co mi z tego przyjdzie?!... Padnę, ale mnie poznacie, poznacie! Będę was przerażał i straszył...

Do walki!

Malcia stanęła mu przed oczyma.

— Głupia żydówka! Czy to fatalizm, czy konieczność losu lub wypadek?! Niech będzie, co chce — idę naprzód. Nic dla sie-

bie, wszystko dla idei—to nasza dewiza. Poza nią co może nas więcej obchodzić? Ona świeci, jak słońce, i wszelkie ciemności rozprasza.

— Do czynu, do czynu!

Pochwycił pióro, napisał: Mój Tadku. Pragnę cię przeprosić, zobaczyć -— czekam.

Twój stary przebudzony dyrektor.

Zadzwonił.

— Na telegraf! szybko, na jednej nodze.

Służący wybiegł. Starzec twarz skrył w dłonie.

Do pałacu księcia wpadł Simon.

— Mości książę, straciliśmy dwadzieścia milionów, wołał zdenerwowany.

— Na giełdzie?

— Gdyby! ale tu, pod bokiem, u nas, w głupiej Galicyi.

— Do rzeczy, do rzeczy, przerwał książę, który, jako czerwony patryota, nie lubił, gdy mówiono o jego prowincyi, w której się czuł panem — „głupia"...

Simon podał mu numer Pressy, a w nim artykuł o Wyżnicy pióra kamiennej twarzy. Książę założył pince-nez i czytał. Po chwili rzucił dziennik.

— Więc cóż?

— Odpędziliśmy młodego człowieka wtedy, gdy żebrał, abyśmy się ulitowali nad nim i przyjęli dwadzieścia milionów, które nam składał u nóg.

— Gdyby żebrał? lecz żądał — z oczu patrzała mu duma.

— Miał z czego być dumny!

— Ale powinien pamiętać, że nie tą drogą pozyskuje się wspólników. Zresztą któż wiedział, co w Wyżnicy schowane pod ziemią.

— Otton Bayer wiedział. Otto szedł napewno — i to ich wyższość nad nami...

— Kpię sobie z całego przemysłu. Za nim, jak przekleństwo, wlecze się socyalizm! Gotów nam jeszcze naszych chłopów pozarażać, i co wtedy robić?

— Można, książę, kpić z nafty, z przemysłu, z Niemców, lecz nie z dwudziestu milionów, które nam Niemcy świsnęli z przed nosa i śmieją się z nas grubo, a my ich za to nie możemy wypoliczkować.

Niemcy przemysł podniosą, a sprowadzeni robotnicy z Wiednia lub Pragi nauczą naszych Mazurów socyalizmu.

— Straciliśmy dwadzieścia milionów, a nic nie uzyskali, rzekł Simon smutno.

— Mógł głupiec w pokorę uderzyć.

— Abyśmy rękę wyciągnęli po jego dwadzieścia milionów.

— Zresztą, mój Simon, my, polscy szlachcice, niewiele zbudujemy w przemyśle, do którego mamy wstręt.

— Mości książę, przepraszam, nie jestem polskim szlachcicem i dlatego nie mam wstrętu do przemysłu.

— Nie jesteś? a starałeś się o baronowstwo.

— Niemiecko-żydowskie, w Polsce baronów nie było. I gdybyśmy się schylili po dwadzieścia milionów, które kładł przed nami młody przemysłowiec, nie żalby mi było rzucić sto tysięcy na baronowstwo. Dziś żałuję pięciu.

— A giełda? przerwał książe.

— Półtora miliona zaangażowanych, a zysku zaledwo dziesięć tysięcy, i to przez cały miesiąc!... W jednej godzinie można przegrać sto tysięcy, w trzech dniach pół miliona.

— Lecz można w tym czasie i wygrać pół miliona.

— Można, aby jutro przegrać, gdy dwadzieścia milionów bez ryzyka kładły się, jako nasza własność, u naszych stóp. Kamienna twarz Ottona na giełdzie jest jak w domu, lecz wolał pożyczkę miliona na krótki termin, aby wziąć dwadzieścia w trzy miesiące.

— Szkoda dwudziestu milionów — rzekł książę. Lecz Niemcom ich nie wydrzemy z gardła, a tego nafciarza za brak pokory mam ochotę nauczyć rozumu. Simon, nie rozpaczaj, zostaniesz baronem, jeśli giełda raz się do nas szeroko i głośno rozśmieje.

— Niech się śmieje cicho i delikatnie, a ciągle, bez przerwy.

— Śmieje się.

— Lecz może się przestać śmiać, a te chwile są straszne, że aż dreszcze przechodzą.

— Emocya, i ona coś warta. Przyśpiesza bicie pulsów, kurczy serce i przyjemnie je rozciąga. Emocya to rozkosz dla nas, którym już życie wiele ze swych powabów odebrało. Simon, tyś młodszy ode mnie.

— Ale o wiele więcej zmęczony! Ciężko za młodu pracowałem, po osiemnaście godzin dziennie. To więcej zjada, niż rozkosz, emocye i polowania.

Przytoczony w dziennikach lwowskich artykuł o Wyżnicy tłum przyjął obojętnie. Nie zrozumiał również jego doniosłości, nie miał pojęcia o swych bogactwach, nie wiedział, co tracił. Tylko młodzież z politechniki, inżynierowie i technicy podnosili pięści oburzenia i wygrażali. Był to pocieszający objaw uświadomienia młodych sił, własnej bezsilności i nowy bodziec do walki i pracy. Tłum lwowski jest straszny swoją apatyą, obojętnością i brakiem zmysłu zbiorowego, brakiem myśli, którą wycywilizowany tłum objawia. Tłum ten to główne znamię wschodu Lwowa—zawsze milczy i patrzy bezmyślnym wzrokiem, który nic nie zdradza, nawet przerażenia, nawet strachu.

W „Braciach Karamazowych" Dostojewskiego znajduje się ustęp w którym Chrystus zstępuje na ziemię i jest między ludem—chodzi, uzdrawia, pociesza, wskrzesza umarłych. Otoczony ludem spotyka wielkiego inkwizytora, kroczącego z wielką pompą i liczną strażą. Stanęli naprzeciw siebie, spojrzeli sobie w oczy. Inkwizytor poznał Chrystusa i kazał go uwięzić. Straż rzuca się na niego, lud Sewilli rozstąpił się i patrzał spokojnie, jak zbiry ciągnęły do więzienia ich Zbawcę.

Legenda zachowania się ludu sewilskiego przypomina apatyę ludu lwowskiego.

I lud lwowski milczał, młodzież groziła, inżynierowie i technicy, szukający pracy, głucho rozpaczali. Rozpacz jest negacyą czynu.

Urszula blada, z zaciśniętemi ustami patrzała przed siebie bez myśli. Ból tępy, głuchy, silniejszy od rozpaczy zabił jej uczucie.

Dwadzieścia milionów straconych na zawsze, na zawsze! Te dwadzieścia zrodziłyby sto, sto—tysiąc. Tysiąc milionów to potęga. Potęgę wytrącono nam z rąk, odebrano, okradziono nas. Ha, pójdę i nóż utopię w piersiach tego starca! Całe życie ciężko na tę chwilę pracował, a gdy stanęła przed nim, potężna i zwycięska siła dwudziestu milionów, rzucił się na nią i zamordował.

ROZDZIAŁ XVI.

Po ubogo przybranym pokoju chodził dyrektor. Palił fajeczkę na krótkim cybuszku, stawał w oknie, przykładał lornetkę do oczu, patrzał na wysoki zamek i zielony kopiec...

Na jasnem tle nieba, oblana słońcem, w tęczach światła posu-

wała się wolno postać, pchająca przed sobą taczkę, napełnioną ziemią.

— Gdybyś ty wiedział, starcze, mówił głośno, trzymając przy oczach lornetę, co ja dla ciebie poświęciłem! Oddałem przemysł naftowy Niemcom, dołożyłem do niego dwadzieścia milionów, a z kasy ukradłem milion guldenów.

Odjął lornetę od oczu, położył ją.

— Dosyć zrobiłem. Może to głupie, co zrobiłem, ale zawsze dosyć. Ty pół wieku temu mało co nie oddałeś życia za tę ideę, ja oddaję cześć swoją, a z nią i życie. Ty dziś szukasz rozrywki, wozisz taczki piasku ze spokojem spełnianego zadania, ja walczę, szarpię się, dręczę — i tem umieram, że umrzeć nie mogę. Ty odpoczywasz, masz spokój starości, ja, zmęczony walką, stoję wciąż na wyłomie. Ty masz spokój olimpijski i nim przewodzisz w Radzie państwa, ja walczę, kpię sobie z ustaw, gardzę niemi, są to barykady egoizmu, wały ochronne wobec obowiązków, jakie się ma wobec biednego kraju i biedniejszych ludzi. Nienawidzę ani podłego egoizmu, ani wałów, sypanych przed głębią uczciwości ludzkiej. Precz z nimi, precz, precz!

Cicho otworzyły się drzwi, wszedł Tadeusz. Wzruszony, nieśmiały, wystraszony stanął przy drzwiach. Dyrektorowi wargi drżały, broda się ruszała, ręce trzęsły. Wyciągnął ramiona.

— Zabiłem ciebie i przemysł, szeptał, a ty mi przebaczasz, przychodzisz, podajesz rękę, tulisz się do mnie, gdy ja byłem względem kraju i ciebie katem.

— Fatalizm, rzekł Tadeusz, bo nie mogleś inaczej.

— Mogłem, krzyknął i zniżył głos. Mogłem, bo jeśli zabrałem dwa, mogłem jeszcze dobrać trzeci i nim zasypać przepaść. Nie zasypałem, bałem się, jak podły tchórz. Dałem słowo żołnierskie. Co mnie może obchodzić głupie słowo i głupsze jeszcze „żołnierskie" wobec obowiązku i dojścia do celu. Dotrzymałem słowa, lecz za to kraj obdarłem z dwudziestu milionów, ciebie zniszczyłem. Cobyś ty mógł zrobić za dwadzieścia milionów! Całe Podkarpacie uzdrowić! Skąd weźmiemy milion na spłacenie „tajnego" i sześćdziesiąt tysięcy procentów? Skąd? Niewolno mieć wobec idei ani przesądów, ani średniowiecznych dziecinnych przysiąg, ani wstydu... Nic, nic, to wszystko małość, nędza! Idea powinna stać przed nami:

„Naga — w styksowym wykąpana mule!
Naga — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!"

Zapłakał i siadł i twarz schował w dłonie. Serdeczność rosła w tym płaczu podobnym do jęku dzwonów za umarłych.

— Boże! za próżność moją jakże ciężko mnie karzesz. Za próżność moją czynisz mnie zdrajcą i zabójcą tych, których ojcem być powinienem.

— Cicho, przerwał Tadeusz, nie wiemy, jakiemi drogami Bóg nas prowadzi.

Starzec odjął dłonie od twarzy.

— Strata, mówił, kradzież, zawołał, dwudziestu milionów to przepaść którą wykopałem! Bóg jej nie zasypie...

— My ją zasypiemy energią naszych Mazurów, zasypie ją uśmiech losu, czas ją zasypie, że śladów po niej nie będzie!...

— Kiedyś, po naszej śmierci, za sto lat - ale my jesteśmy nędzarzami!...

— W rozpaczy swej i żalu, mówił Tadeusz, i w swym tragizmie jesteś silny.

Starzec wstał, patrząc, jak w lunatycznym śnie — nareszcie ożywiony przemówił.

— My jeszcze żyjemy i do ostatniego tchu żyć powinniśmy. Rozumiesz, co to żyć? To znaczy walczyć i mieć nadzieję. Wracasz z Wyżnicy, musisz mieć nadzieję, lecz czy masz pole do walki? Napoleon podczas jednej batalii posyła do jednego z generałów, walczącego między rzeką a murami miasta, z zapytaniem, czego potrzebuje?

— Miejsca na dwadzieścia batalionów, odpowiedział. Pokaż miejsce, bataliony się znajdą!...

— Boję się, szepnął Tadeusz.

— Czego?

— Wielkiego ryzyka.

— A nie bałeś się go w Swobodzie i Wyżnicy?

— Szedłem napewno.

— A tu?

— Tu może być wielkie zwycięstwo lub śmierć. Tu może być zwycięstwo tak wielkie, że stracone miliony w Wyżnicy będą niczem.

— I odlecą ode mnie wyrzuty sumienia i strach przed zbrodnią.

— Odlecą, jak sępy przed rozkutym Prometeuszem.

— Polecą, odlecą! — powtarzał. Twarz mu jaśniała, oczy błyszczały. Tadziu, znajdź tę wodę zapomnienia i daj mi się jej napić! Pragnienie mam — piłbym i pił — że morze nie wystarczyłoby do jego ugaszenia.

— A czybyś się, ojcze, zgodził wrócić na stanowisko, jakie zajmowałeś przed naszem poznaniem?... Starzec zamyślił się głęboko i po chwili odpowiedział.

— Nie! wolę męki piekielne, niż nicość! Do mej trzydziestoletniej nicości mam tak straszny wstręt, że, gdy śnię o niej, strach kładzie mi zimną rękę na gardle i dusi. Gdy się obudzę, zimny pot siada mi na czoło, chcę wyskoczyć i uciec od tych zaprzepaszczonych trzydziestu lat. Tyś mnie wydobył z tej czczości i ciemnicy na światło dnia wielkich pragnień, nadziei i czynów. Ty to rozumiesz, że wolę być Prometeuszem, przykutym do skały, ale już po wykradzeniu ognia z nieba! Ty mnie rozkujesz, ognia nikt nam nie odbierze! Starość moja odzyska uśmiech, przeszłość będzie mieć wagę — nicość zapełniona!... Wtedy dopiero będę mógł odejść — zostawię ogień i ten nie zgaśnie!

Spojrzał jakby przebudzony.

— Do czynu, do czynu, powtarzał nerwowo. Zniżył głos, mówił szeptem.

— Za skradzionych dwadzieścia milionów krajowi zyskało się swobodę w kasie. Nie będą do niej zaglądać. Może Bóg, da wydobędziemy się. Może okradzenie kraju na dwadzieścia milionów stanie się, jak mówisz kroplą wobec zysków, które powinien dać węgiel... Węgiel to siła, to ogień Prometeusza!

— Prawda, możnaby pójść pod niebo — gdyby...

— Wątpisz??

— Boję się! Kto zgadnie, jakie nas czekają niespodzianki w łonie ziemi?

— Jakie mogą być?

— Grubość węgla, jego obszar i woda! Nauka i doświadczenie mogą nas popychać do czynu, a niespodzianki dusić.

— Wątpisz?

— Boję się, drżę o twój los.

— Mój los zdecydowany, tylko nadzwyczajności mogą go zmienić.

— Węgiel byłby tą nadzwyczajnością, gdyby był.

— Mówiłeś, że jest.

— Jest niezawodnie, tylko — ile go jest i jak gruby?

— Przekonaj się.

— Przekonanie się — kosztuje.

— Wiele?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

— Bagatela wobec tego, co obiecuje.

— Świder oznaczy głębokość węgla.

— Woda?

— Tej nie jesteśmy w stanie zbadać, lecz przy dzisiejszych pompach i parze można ją wypompować.

— Można, pompujmy!

— Ludzie, skąd wziąć ludzi. Prawdziwi ludzie w Galicyi rzadka rzecz. Znalezienie ich należy do wyciągnięcia losu na loteryi. Do nowych kopalni trzeba nowych ludzi, a dzielnych. Skąd ich wziąć? Młodzież techniczna idyocieje, czekając w czerwonych czapkach na przejazdy pociągów, lub schnie w mizernych rolach auskultantów.

— Czekaj, czekaj, mówił dyrektor. Twarz mu się rozjaśniła, oczy nabrały blasku, usta układały się tak, jak gdyby niedługo uśmiechnąć się miały. Czekaj, powtarzał, czekaj chwilę. Mam jednego, młody, zdrów, inteligentny. Czy sam nie będzie kradł, na to nie przysięgnę. Lecz na to prawie przysięgnę, że innym kraść nie da.

— Dyrektorze, nie przysięgaj, złodziej musi mieć wspólników. My musimy mieć ludzi — a nie złodziei, pilnujących złodziei. Tego nie chcę.

— Znajdź lepszego.

— Nie znam ludzi. Przyjaciele moi...

— Jeżeli stu kradnie do spółki, a jeden tylko sam, no, to musimy z tych stu wziąć tego jednego.

— Nikogo nie brać z tych stu. Ludzie muszą być w Galicyi. Nie szukałem ich, na to wszystko nie mam czasu.

— A ja ich znam, przerwał dyrektor, i oświadczam, że najtrudniej u nas o ludzi. Zszablonowany indywidualizm, zabity protekcyą, skąd się może wydobyć i okazać się siłą i charakterem? Z dwojga więc złego wybiera się złe mniejsze. Kandydat mój był lustratorem kas gminnych i okazał dużo energii i sprytu w wykrywaniu nadużyć. Przeszłość jego znowu nie jest nadzwyczajna, i dlatego sądzę, że, jeżeli sam coś porwie, to przynajmniej drugim nie da. To trudno, mój drogi. Wielkie wstrząśnienia społeczne wyrabiają ludzi. Do nowych potrzeb dostosowują się ludzie. Galicya po 60-tym roku miała gwałtowną potrzebę urzędników, i przyszli urzędnicy, a z nimi szablonowcy i szematowcy. Wielki przemysł wytworzy indywidualizm, bo go będzie potrzebował tak, jak wojna wytwarza odwagę i bohaterów.

— Z wypróbowanej uczciwości ludźmi powinniśmy zaczynać wielkie przedsiębiorstwo.

Zbladł raptownie i zmęczony usiadł.

— Boję się, czy przedsiębrane próby sprawdzą ilość węgla? Boję się wody! Dziś mamy milion tajnego — a jutro?!.. To wielkie, nieobliczalne przedsiębiorstwo. Myśl ta zatrzymuje mi bicie serca. Nie o mnie tu idzie, lecz o kredyt całego kraju — siwe twoje włosy.

— Już więcej nie zbieleją! zawołał starzec, któremu obawy Tadeusza dodawały odwagi i energii. Mam wielkie przeczucia na węgiel, wiarę w węgiel, nieprzezwyciężone pragnienie węgla. Gdy młoda dziewczyna ma pragnienie, to, uśmiechając się, mówimy — młoda krew lub fantazya dziewczęcia! U starca pragnienia to przeczucia. Przeczucia mogą być jasnowidzeniem. Tyle się namęczyłem, tak długo upiory szarpały mi serce, wżerały się w mózg, że skołatany mój organizm potrzebuje tej pociechy. Nie odbieraj mi jej.

Wzruszony przycisnął Tadeusza do serca:

— Pozwól starcowi na ten jeden zbytek. Czyż wiele żądam?...

— Ale to, czego żądasz, chciał wołać Tadeusz, pochłonie miliony. A czy je odda?... Wierzę, że odda, lecz czy ta wiara wystarcza? Milczał — nie był zdolny pastwić się nad starcem, szukającym ulgi przed zbrodniami swej fantazyi.

Tadziu odpowiadaj!

Tadeusz nie mógł odrazu zdobyć się na odpowiedź.

— Albo zresztą powiem ci prawdę, mówił sam. Jam żołnierz człowiek czynu, zmieniony na starość w biurokratę, pragnę przed śmiercią wrócić w swoją skórę, pragnę czynić, działać, pracować na otwartem powietrzu, z młotem w ręku. Wskaż węgiel, pokaż, gdzie jest i gdzie kopać, to nareszcie sam dam sobie radę! Zgadzasz się?

— Nie mogę, nie jesteś, dyrektorze, górnikiem. To byłoby zabójstwem. Nie zgadzam się — jeżeli węgiel jest, będziemy pracować razem.

— Razem, krzyknął starzec, razem, nie opuszczasz mnie. A więc i we mnie wiara i odwaga wstępuje! Chodź, synu, niech oprę głowę twą na mych piersiach i pobłogosławię cię. Ludzi znajdę, nie obawiaj się, a ty daj tylko to, co daje wiedza, daj swoją inteligencyę i swoje wielkie szczęście.

Tadeusz wypadł na ulicę, szumiało mu w głowie, jak w rozhukanym młynie. I nad nim zapanował szał nieomylności i szczęścia.

— Jeżeli ja, zawołał, trafiłem odrazu na szyb „Jakóba”, bom

przecie miejsce pod niego sam wybrał — to cóż węgiel, którego grubość można obliczyć i długość i szerokość!..

Na schodach mieszkania ciotki zatrzymał się zdyszany. Tchu mu w piersiach zabrakło. I raptem stanęły mu przed oczyma Marynia, przeszłość promienista, rozkosz młodości, upojenie pierwszemi zwycięstwami. Nie mógł iść, oparł się plecami o ścianę i ciężko oddychał, krople potu ściekały mu z czoła...

Zaszeleściało na pierwszem piętrze, zewnątrz otwierano drzwi, zerwał się gwałtownie, pobiegł na drugie, zadzwonił, otworzyła mu dziewczyna, wszedł, na środku salonu stała Urszula, wyciągnęła ręce, łzy płynęły po jej twarzy.

— Biedaku, szepnęła, głupota ludzka okradła kraj i ciebie na miliony! Chodź, ja cię nie odpędzę.

Tadeusz siadł, tuliła głowę jego do piersi i serdecznie płakała.

— Biedaku, mówiła, oddałeś szczęście przeżycia młodości z ukochaną, aby za to obdarto kraj na dwadzieścia milionów!

Po chwili zapytała:

— Cóż Marynia, jak wygląda, jak przyjęła katastrofę? a Edward? Pewno sobie teraz włosy z głowy drze! Ale cóż, zachciało mu się Podiebrada na zięcia, żeby mógł poza jego plecami dostać się na dwór, a nie dać mu ani centa posagu. A teraz co?...

— Ciociu, wierzę, że Marynia będzie moją, i Marynia w to wierzy. Los w niestrzymanym pędzie bije piorunami. Musimy burzę przeczekać. Pierwszy uśmiech słońca, a jesteśmy razem już na całe życie, na wieczność, „do końca świata i po koniec świata”.

— Cieszę się, że masz tę wiarę, bo i ja wierzę. W dobrych chwilach iść wam nie przeszkodzi, w złych ona sama powinna przyjść, musi przyjść i przyjdzie. Jabym przyszła — Marynia jest moją!...

A teraz co dalej? co myślisz robić, za co spłacić pozostały milion tajnego kredytu?

— Węgiel, szepnął Tadeusz. Węgiel we wschodniej Galicyi to odrazu dobrobyt całego obszaru tej urodzajnej ziemi. Włochy mają wszystko, lecz węgla nie mają i są biedni, jak my, i nic im pomódz nie może! Węgiel u nas jest, czuję go pod ziemią i pragnę go, jak zbawienia. Wobec dyrektora zachowywałem się odpornie. Starzec, rozentuzyazmowany węglem, widzi w nim jedyny ratunek dla siebie i bogactwo kraju.

— A ty?

— Ja odczuwam to samo, lecz boję się i drżę. Gdyby stanęło do pracy przedsiębiorstwo, któreby zaryzykowało tyle a tyle...

— Skąd go weźmiesz, przerwała Urszula. Ci, którzyby mogli dać, zgrywają się na giełdzie, a ci, którzyby chcieli, nie mają.

— Przekleństwo, bo znowu pójdziemy tajnym kredytem — i gdy padniemy?

— Czy można paść? Można nie mieć węgla, gdy jest?

— Można! Drżę o starca, o Marynię, o przyszłość, o siebie.

— A ja nie, bo wierzę w twoje szczęście, rzekła spokojnie. Wierzę w twoją gwiazdę, i nikt nie jest w stanie tej wiary we mnie zniszczyć, nikt — nawet ty sam.

— Raz znaleziony to potęga na całe lata — szepnął.

— Widzisz, pocóż się dręczyć niepowodzeniami. Odetchniemy chociaż jeden dzień swobodnie. I dzisiaj śliczny dzień, przejedźmy się za miasto. Będziemy rozmawiać o Maryni, o twej dla niej miłości, jak wtedy, gdy jeszcze nie byłeś nafciarzem, nie osiadłeś w Swobodzie, nie wyznałeś dziewczęciu swych uczuć. To była wiosna twej miłości, bez liści i kwiatów, zaledwie pączki... Słońce ją, całując, rozbierało.

W hotelu „Impérial”, w pokoiku od dziedzińca na drugiem piętrze pracował Tadeusz, obstawiony księgami górniczemi i rysunkami. Obliczał, notował, czytał. Zbudził go delikatny stuk do drzwi.

Rozgniewany za przerwaną pracę zawołał:

— Proszę na chwilkę.

Usłyszał szelest otwierających się drzwi.

— Przepraszam, zawołał, lecz tylko chwilkę mogę ofiarować panu.

Przybyły skłonił się, wyciągnął rękę, trzymającą list, zbliżył się i list położył na stole.

Tadeusz przeczytał go uważnie.

— Ach, to pan, mówił, w dobrą porę przychodzisz. Znasz się pan na górnictwie?

— Niewiele, odpowiedział przybyły, lecz mam dobre chęci, nie jestem kretynem, pracy się nie lękam.

— Dobre przymioty, nie wątpię, że, pracując z nami od samego założenia kopalni, w rok staniesz się dobrym dyrektorem. Co do mnie, żądam od pana dwu rzeczy, szczerości i ścisłości w wypełnianiu zadania. Są to rzeczy trudne.

— O tyle dla mnie łatwiejsze, że szczerość przyniosłem na świat z sobą.

— Jeżeli tak, reszta się znajdzie, rzekł Tadeusz. Odkąd pan jesteś z nami?

— Od dziś, od tej chwili.

— Wybornie. Oto spis narzędzi, które są potrzebne do próbnego wiercenia. Maszyny już zamówilem, a pan pojedziesz do Krosna i przywieziesz te drobiazgi, których nie posiada fabryka narzędzi wiertniczych z Wyżnicy. Radbym rozpocząć czynności jak najprędzej. Gdy zacznę pracować, radbym wszystko zrobić w jednym dniu.

Wszedł dyrektor, młodzieniec się zerwał, zdejmując z pleców dyrektorskich palton.

— Dobrze, żeś się zjawił, panie Celestynie, i uprzedziłeś mnie. Celestyn pocałował dyrektora w ramię, dyrektor zwrócił się do Tadeusza.

— Poznaliście się?

— Z pierwszego wejrzenia, a naprawdę poznamy się i ocenimy przy pracy.

Celestyn zasalutował.

— Kiedy mam przyjść po ostateczne rozkazy?

— Na godzinę przed odejściem pociągu do Krosna

— Wedle rozkazu, rzekł, zasalutował i wyszedł.

— Zna służbę, rzekł dyrektor. Co o nim mówisz?

— Jeżeli pod dobrodusznością nie kryje się filut?!

— Ciepło i szczerze patrzy z oczu.

— I mnie się tak zdaje, dlatego z całą ufnością podałem mu rękę. Zresztą, drogi dyrektorze, nie mam czasu nie ufać, podejrzywać, śledzić, patrzeć na palce moich towarzyszy w robocie.

— Ja cię zastąpię. A teraz?

— Teraz do pracy. Chwieję się, zastanawiam, bronię, opieram tylko do czasu postanowienia.

— Doskonale, po mojemu. A więc?

— Węgiel jest. Jaki — pokaże świder. Do świdrowania potrzeba kotła, maszyny, wieży, świdrów, sztang, pasów, lin. Wszystko to zamówiłem. Celestyna wysyłam po rekwizyty do Krosna. Fabryka narzędzi wiertniczych dostarczy nam wszystkiego prócz maszyn. Punkt zborny Kołomyja, dworzec. Zgromadzona tam armia razem wyruszy na plac boju.

— Gdy tylko skończę teoretyczne przygotowania, wskazał na książki — jadę oznaczyć miejsce pierwszego szybu, miejsce, w którem wiercić zaczniemy!

— Jedź—i niech ci Bóg błogosławi. Od chwili, gdy w „Pressie"

wyczytałem o wybuchu „Jakóba”, dopiero tę noc przespałem spokojnie i sen mnie pokrzepił. Może dobry Bóg, powtarzam w duchu, da mi jeszcze kilka lat starości o jasnych i pogodnych dniach. Cóż za zbrodnię popełniłem?...

— Kradniesz ogień z nieba! Prometeusz zwyciężył, ukradł...

— A teraz bądź zdrów, idę pod „gruszkę” ugadać się z przyjaciółmi, napolitykować się, zapomnieć, odpocząć. Dawno nie miałem takiego dnia, jak dziś. Tyś mi go dał i bądź pochwalony! Tadziu, do widzenia.

Celestyn zszedł ze schodów, obejrzał się w bramie, posłuchał, czy kto nie wychodzi, i dopiero wtedy roześmiał się wesoło. Zrzucił maskę, rysy jego po odpadnięciu dobroduszności zmieniły się. Wyszła zwierzęcość i w niej spryt zwierzęcia samozachowawczy i drapieżny. Grube wargi się poruszały, a za niemi ukazywały się biało-żółtawe twarde zęby, zawsze gotowe gryźć z żarłocznością, co pochwycą.

— No, no, kochani facetowie, mówił do siebie, wychodząc na ulicę, damy sobie z wami radę. Trochę dobrej woli i tej ujmującej głupoty, którą zawsze można was brać — nią was wezmę.

Stary z młodym jest w spółce. Młody po wyleceniu z Wyżnicy bankrut. Za czyje pieniądze szukają węgla? bo ich obydwa nie mają. Stary musi brać z kasy, a więc będziemy ją okradać do spółki!... Ty kasę, ja, kochanku, ciebie. Tajemnica okradania kasy będzie łańcuchem, który nas zwiąże.

Stanął na przecięciu ulic.

— I jakiż z tego wszystkiego rezultat? Dla mnie przy mej ostrożności jedna albo dwie kamienice. A może trzy? To zależeć będzie, jak długo będzie trwać operacya poszukiwań węgla. Trzeba się o to starać, aby trwała jak najdłużej i jak najwięcej kosztowała. To będzie moją dyplomacyą!...

— A jeżeli się węgiel znajdzie? Jeżeli się znajdzie, to zostanę dyrektorem kopalni z dwudziestoma tysiącami rocznej pensyi. Wtedy można będzie pociągnąć do pięciu lub dziesięciu kamienic...

— Pompować to rozum stanu. Jeśli nie pozwalają uczciwie pracować, to pompa i basta. Zresztą do czego się tu uczciwością dochodzi? Do łatanych butów i kufelka piwa.

Zaśmiał się cicho.

— Stary, dobrego znalazłeś kompaniona i współpracownika w tej spółce. Wprawdzie nie będę was denuncyował — po co? nie głupim! Ale, że i nie dam sobie krzywdy zrobić, tego bądźcie pewni!

Zatrzymał przejeżdżającą dorożkę i pojechał. Kobiety oglądały się za nim, wytwornie ubrany, brunet, o czarnych dużych oczach, rysach ostrych, ciemnych wąsach i brodzie, podciętej ze szwedzka, zwracał uwagę. Wiał od niego chłód egoizmu i ukrytego okrucieństwa, chociaż miał przylepiony do ust uśmiech dobroduszny, którym, jak szyldem, usiłował świadczyć o cnotach swych.

Taki to był przyszły pracownik w winnicy pańskiej. Wprawdzie sam mógł, niestety, kraść, wedle opinii dyrektora, lecz przynajmniej miał mieć ten rzadki przymiot, że drugim kraść nie dał.

ROZDZIAŁ XX.

Za Kołomyją, na równinie, przeciętej wartkim strumykiem, sterczała w promieniach słońca śmigła, złotawa wieża na tle ciemnych lasów. Obok niej domek, zbity z desek, podobny do domku z kart, niedaleko kuźnia i baraki dla robotników. Na równinie parę dębów zadumanych, patrzących cicho w wieczność.

Około południa zawrzało życie. Drogą od Kołomyi pędziły dwie bryczki, z kotłów buchała para, świder w szybie pracował. Przed szybem stał srebrno-włosy dyrektor z Tadeuszem, robotnicy przebiegali dolinę, w wieży wydobywano z szybu świder. Serca biły, że aż słychać było. Na bladej twarzy dyrektora występowały różowe plamy. Z oczu Tadeusza wyglądała radość. Dobrodusznie uśmiechnięty Celestyn mrużył oczy.

— Jest, szepnął, jest, powtórzył głośniej, jest, zawołał starzec, któremu oczy zaszły łzami, powtarzał cicho: jest, jest!...

Za starcem robotnicy zawołali: jest, zdjęli czapki i uklękli.

— Boże wielki, dziękujemy ci za kawałek chleba.

Zerwali się.

— Jest! krzyknęli, hurra — wiwat.

Ściskali się, płakali, tańczyli, śmiali...

Biedny lud, szukający pracy i wysiłków swych muskułów za skromny kawałek chleba, szalał z radości.

— Dwa metry i pół grubości! zawołał Tadeusz.

— Dosyć na początek, dodał dyrektor.

— Dosyć, dosyć, byleby mniej nie było, powtarzali robotnicy. Głód już nie przyjdzie do naszych dzieci i bab...

Ogorzałe ich twarze uśmiechały się serdecznie radością nieokreślonego szczęścia.

— Nie będziemy już kości naszych roznosić po świecie!

— Nie, nie będziemy! powtarzali.

Upojeni całowali ręce dyrektora i Tadeusza.

— Radość tych ludzi wynagradza mi bezsenne noce trosk, powiedział po angielsku starzec.

— Wszystko upada wobec tej radości, poświadczył Tadeusz.

— Wszystko, powtórzył.

Celestyn z elegancyą dystyngowanego młodzieńca pocałował w ramię dyrektora i Tadeusza.

— Zwycięstwo, rzekł — Bóg nad nami!

— W tem miejscu budujemy wielki szyb, zaczął Tadeusz.

— Od kiedy?

— Od dziś, niewolno chwili czasu tracić.

Zwrócił się do Celestyna.

— Oskary, łopaty, taczki, liny, kubły są?...

— Niewiele, lecz na dziś wystarczą. Jutro Kołomyja dostawi.

— Masz pan pomocnika, skończonego górnika z Löben, gdzie jest?...

— Dziś wraca, dałem mu urlop.

— W tak ważnej chwili? zrobił uwagę zdziwiony Tadeusz.

— Matka mu zachorowała — sam nagliłem, aby wyjechał.

— Jeżeli tak, to się przebacza.

Zwrócił się do podsztygara.

— Ojcze, wszystko, co potrzeba do otwarcia szybu, znieść na grunt.

— Podług rozkazu, odparł sztygar. Na dziś narzędzi i ludzi wystarczy. Niechaj tylko pan dyrektor wskaże i odetnie miejsce.

— Rysunek z rozmiarami przyniosę.

Pobiegł co żywo do kancelaryi. Rozpromienieni robotnicy, zbici w gromadę, rozprawiając wesoło, radzili. Dyrektor ujął pod ramię Celestyna.

— Pod szczęśliwą gwiazdą rodziłeś się.

— Pod bardzo, stary niedołęgo, odparł w duchu Celestyn.

— Zostaniesz dyrektorem kopalni — w parę lat możesz dojść do majątku.

Celestyn pocałował z pewnym rozmachem po raz drugi ramię dyrektora.

— Ej, co tam majątek wobec przekonania, że się coś przecie zrobiło dla kraju, dla naszego wschodu, dla biednego ludu. Uczucia tego, co rozgrzewa serce, nie zastąpi majątek.

Wzruszony dyrektor pochwycił go w pół i uścisnął.

— Toś ty nasz, naprawdę nasz, z naszej szkoły. Odczuwasz

potrzebę pracy dla tego biednego społeczeństwa, potrzebę oddania mu swych sił, swej energii. Odczuwasz!

— Czemżebym był, panie dyrektorze, gdybym nie odczuwał. Bydlęciem! dodał, napoły z namaszczeniem, napoły urażony.

— Nie chciałem cię obrazić, bo wieluż to ludzi, piastujących wielkie godności i wielkie urzędy, nie ma o tem pojęcia. Kliki, całe stronnictwa.

— Poza stronnictwami powinni być ludzie, odpowiedział z wielką godnością.

— Widzę to i cieszę się, że nie tylko sami jesteśmy. Wstępuje we mnie otucha, i od tej chwili wierzę, że o kopalnię i jej rozwój będziesz więcej dbał, niż o własną korzyść.

— Bo jest własnością narodu, a ja jego sługą, wygłosił Celestyn frazes z miną melodramatyczną.

Starzec się nie znał ani na banalności, ani na melodramatyzmie. Wygłaszane frazesy były dla niego ideami, bo je kochał i wcielał je przez całe życie. Czuł, że służyć sprawie staje się rozkoszą życia, a zdradzać ją — podłością. Wierzył w ludzi, bo wierzył w siebie. Uścisnął rękę Celestyna i rozradowany powiedział:

— Rozumiemy się! Życie oddać dla idei milej, niż pchać taczkę jego podłoty.

Celestyn szukał melodramatycznej odpowiedzi. Turkot pędzącej bryczki zelektryzował go, obejrzał się i popędził do siedzącego w niej młodzieńca. Stanął na stopniu i mówił szybko po niemiecku.

— Powiedziałem, że pojechałeś do chorej matki, wezwany telegrafem...

Młodzieniec wyskoczył z bryczki, wpadł do kancelaryi.

— Jak zdrowie matki? spytał go Tadeusz.

— Dziękuję panu posłowi, lepiej, odpowiedział, zrzucając z siebie zarzutkę.

— Mamy węgiel...

— Wiem to od wczoraj.

— Widziałeś ostatnie wyciągnięcie świdra!

— Jeszcze nie.

— Obejrz i wracaj, wyznaczam miejsce na szyb.

Młodzieniec wybiegł i za chwilę wrócił.

— Panie pośle, wielkie zwycięstwo, dwa metry grubości, to świetnie, może dojść do trzech, trzech i pół, czterech!... Cztery to wielka kopalnia, nadzwyczajna!... mówił zdyszany.

— Niezawodnie, jeśli praktyka poświadczy.

— Czyż może nie poświadczyć?...

— Za dużo w węglu przymieszki gliny.

— Ziemia się sypie do otworu, rzekł młodzieniec.

— Lecz to inaczej się przedstawia.

Pomyślał chwilę.

— Zresztą, dodał, to nas nie zraża — odkryjemy węgiel i przekonamy się.

— Panie pośle, zawołał młodzieniec, nauka i moje malutkie doświadczenie mówi mi, żeśmy trafili na wielkie pokłady.

— Oby nie zawiodły! Niema rady, musimy się przekonać.

— Prędzej woda, dodał szeptem inżynier.

— Na wodę mamy radę. Są maszyny, szybko działające i silne.

— W takim razie, panie pośle, trzeba jedną mieć w pogotowiu.

— Zamówiłem — jest w drodze.

— Już w drodze? powtórzył.

— I proszę pana, abyś się zajął jej przywiezieniem i ustawieniem. Gdy się tylko pierwsza potrzeba okaże, puszczać pompę w ruch. Z wodą niema żartów. Masz pan mapę miejscowości?

— Oto jest, zrobiłem ją sam.

— Naznaczymy na niej miejsce szybu—i do pracy. Należy natychmiast posłać sztygara do Kołomyi po narzędzia, rydle, taczki. Drzewa z lasu przywieźć, od jutra robota całą siłą.

— Czas to pieniądz — poświadczył inżynier.

— Coś więcej, dodał Tadeusz, bo życie. Czas miernik życia — prędko przeleci i życie stracone. Starajmy się zrobić w jego krótkim biegu jak najwięcej. Proszę powtórzyć moje zlecenia panu Celestynowi.

Inżynier wybiegł z kancelaryi, wszedł do niej srebrno-włosy dyrektor.

— Opanowała cię gorączka czynu, a we mnie krew żywiej bije.

Tadeusz wpatrywał się w szlachetne rysy starca, opromienione serdeczną dobrodusznością i smutkiem nie z tego świata.

Inżynier dopędził Celestyna.

— Po narzędzia do Kołomyi, po drzewo do lasu, po maszyny do pompowania wody!

— No, no, nie tak nagle! Co nagle, to po dyable, mamy czas, Kopalnia się nie zapadnie.

Stanął i ujął się pod boki.

— Wierzysz w węgiel?...

— Widziałem go.

— I cóżeś widział?

— Węgiel głęboki na dwa metry.

— Że tamten jest głupi, tego byłem pewny, bo to filozof. Ale że ty, ty, skończony technik z dwuletnią praktyką.

— Co pan mówisz?...

— Że należy wolno iść z kopalnią, bo czas to pieniądz. Im dłużej kopalnia będzie trwać, tem dla nas lepiej... To przecie rozumiesz.

— Łatwe do pojęcia. Ale dlaczego miałaby trwać krótko, jeżeli ma węgiel?

— Dowiesz się, kochanku, później, a teraz hałasuj, dowódź, zakasuj rękawy, mało rób, a za to szeroko rozprawiaj o społeczeństwie i obowiązkach.

— Sztygara do Kołomyi wyprawić muszę.

— Wyprawiaj, rób, co chcesz i możesz, a najenergiczniej zakasuj rękawy wobec panów, to po galicyjsku.

Młodzieniec zaśmiał się bezmyślnie, opanowany przez Celestyna. Nie miał biedak własnej etyki. Tej nie wyssał z piersi matki, nie dał mu ojciec, szkoła nie wyrobiła. Pobudki jego czynów ograniczały się do robienia karyery i przez nią majątku. Zbogacić się i używać to jedyny cel istnienia, jedyna jego ambicya, jedyne pragnienia. Biedaka od przyjścia na świat obdzierano z uroków miłości, szerokich poglądów, głębokich uczuć, zostawiając mu z życia suchą łodygę bez kwiatu.

Poszedł do sztygara z rozkazami.

— Macie się nie śpieszyć, zakończył polecenie.

— Jak to nie? odpowiedział Mazur. Tam węgiel, życie nasze, majątek, przyszłość naszych rodzin, a panoczek radzą się nie śpieszyć się? Żartuje chyba czy co? Nie śpieszyć się, kiedy nam w żyłach z niecierpliwości krew kipi!... Zakpił sobie panoczek ze mnie i basta...

— Franek, leć po furmankę na wieś, Mazur wydał ostro rozkaz, a zwracając się do praktykanta, mówił:

— Proszę o notatkę, co potrzeba kupić, ile i w jakim gatunku. W nocy jestem z powrotem. Jeśli robić, to robić...

Wrodzone poczucie obowiązku w starym sztygarze było silnie służbą rozwinięte. Nie rozumiał, że mieszka w nim, chociaż w jego sercu wrzało, wydobywając się przy każdej sposobności czynem.

Zbity z tropu i zawstydzony praktykant odszedł w milczeniu, zły na siebie i Celestyna.

— Zamiast ja jemu, to on mi daje lekcye o obowiązkach. Niech dyabli wezmą!

Trzeba się do chłopów zabrać inaczej, jak dotąd.

Zacisnął pięści.

— Panie praktykancie, usłyszał głos za sobą, drgnął, odwrócił się.

— Oto miejsce, naznaczone na mapie, i rozmiary szybu. Od tego dębu pod kątem czterdziestym na busoli, a na 168 metrów oddalenia zakładamy pierwszy szyb. Proszę o busolę i miarę.

Inżynier wpadł do kancelaryi, przyniósł żądane przedmioty, nastawił busolę, sztygar odmierzył 168 metrów.

Tadeusz oznaczył rozmiary otworu.

— Tu, rzekł. Zaczynamy, zawołał. Dzieci, do mnie.

Robotnicy stanęli, uzbrojeni w łopaty i kilofy. Zaczęła się praca. Głuche milczenie opanowało robotników, serca im się ściskały, na skroniach grubiały żyły, oddech w piersiach zagłębiał się. Kopali dla siebie. Ludziska czuli wielkie ryzyko i wielką grę, gorączkowo odwalając ziemię. Słychać było odgłos padającej ziemi i zgrzyt, żelaza kilofów, rozbijających kamienie.

Starzec blady, z wypiekami na twarzy, utkwił nieruchomy wzrok w wykopalisko. Serce mu biło, wargi drżały, stał zahypnotyzowany nadzieją i strachem.

Tadeusz wzruszony chodził po niewielkiej płaszczyźnie, marzył.

— Dwa metry grubości węgiel — to wielkie skarby, jeśli się prędko nie urwie, jeśli w nim nie będzie przerw, jeśli go woda nie zaleje! Z tego małego otworu będziemy wyciągać na świat kulturę, światło, siłę, energię i damy możność życia tysiącom.

Starzec się zbliżył.

— Tadziu, rośnie ci serce?

— Serce rośnie, a strach je ściska.

— Tak zawsze na świecie. Co do mnie, nic nie czuję prócz wielkiej radości, prócz uśmiechu losu. Może dlatego, że zadługo cierpiałem, może dlatego, że za długo wątpiłem, dziś oddycham, cieszę się, czuję w mych żyłach ciepłą krew, siły wracają. Czyż Bóg nie powinien nam pobłogosławić!?...

Robotnicy natrafili na pokład piaskowca. Oskary odbijały się o kamień. Nie było innej rady, jak skałę rozsadzić dynamitem. Sztygar dostał i ten sprawunek do załatwienia, roboty zatrzymano. Tadeusz wydał rozkazy na cały tydzień. Z wielkiem namaszczeniem, z zadziwiającą przytomnością słuchał ich i odpowiadał na nie Celestyn. Zdawało się, że odgaduje myśli, a w energii nie ma sobie

równego. Praktykant zaczął uczuwać głęboki podziw dla swego przełożonego. Tadeusz zwrócił się do starca.

— Jadę do Wiednia, za półtorej godziny odchodzi kuryer z Kołomyi.

— Musisz?

Pokazał mu papier. Dyrektor, założywszy okulary, czytał, ręce mu drżały, oczy świeciły radością.

— Po śmierci Hausnera ciebie prawie jednogłośnie wybrano na obrońcę budżetu austryackiego. Ciebie, mego ukochanego Tadzia. Domyślam się, żo to za twą obronę waluty złota i wiele innych spraw.

Uściskał go.

— Jedź, jedź, mówił, jedź koniecznie. Gdybyś ty finanse Austryi uchwycił w swe ręce, inaczejby wyglądały. Ujął go pod rękę i uprowadził.

— Teraz muszą czekać, dadzą nam w kasie pokój, nie będą robić skontr, nie będą rewidować, dadzą nam czas na pracę, na zdobycie milionów i na zapłacenie milionów. Nie mogą się przecież rzucać na obrońcę swego budżetu w Izbie!...

— Dlatego też, odpowiedział Tadeusz, pragnę jak najprędzej wydobyć się z kłopotów.

— O! teraz się wydobędziemy, mamy rozwiązane ręce i wolność pracy przynajmniej na dwa lata. A widzisz, jak dobre miałem przeczucia. Dla nas wszystkiem jest czas. Niech patrzą rok i milczą rok, więcej nie potrzebuję.

— Lepiejby jednak było, gdybym został w kraju i tu wszystkie siły wytężył.

— To potem zostaniesz całe życie z nami, lecz dziś idź, walcz, niech się cały świat patrzy na ciebie i słyszy cię. Niech prasa o tobie pisze, ludzie mówią, ty wszędzie, ty zawsze, ty niezbędny: na trybunie, w Izbie i w pracach komisyi. Musisz pójść do sejmu, łatwo ci to przyjdzie. Jakżeby to wyglądało, gdyby obrońca państwowego budżetu nie zasiadł w sejmie! Ja cię sam przeforsuję z izby handlowej lwowskiej. Będzie to dla nas zaszczyt!... Musisz ster życia narodowego ująć w ręce. Tadziu, dwa lata spokoju będzie dla mnie tym drągiem Archimedesa, którym podważę świat i wyrwę z posad. Ty musisz być znanym i uznanym, silnym, mieć za sobą opinię, cały kraj. Na twe skinienie powinni ludzie w piekło iść!..

Czas był na pociąg — odjechali. Celestyn zrobił za nimi ręką krzyż, a gdy bryczka skryła się w brzozowym lasku, ujął pod ramię praktykanta.

— Dynamitu w Kołomyi nie będzie, mówił wesoło.

— Czy podobna?

— Podobna bo my po niego pojedziemy do Lwowa. W miasteczku zabawimy się.

— Jeden z nas musi zostać w kopalni!

— Po co? roboty przez ten czas nie będzie.

— Ależ mnóstwo — drzewo wozić, drogę...

— Chłopczyku, nie gorączkuj się, przerwał Celestyn. „Chi va piano, va sano".

Zaprowadził go do swego pokoju, odemknął kuferek, wyjął ociosany kawałek węgla i podniósł go w górę.

— Co to znaczy? szepnął wystraszony praktykant.

— To nasza kopalnia, nasz majątek, nasza przyszłość, nasza karyera.

Młodzieniec rozwarł szeroko oczy.

— Braciszkowie tego węgla, mówił dalej Celestyn, szli na dno szybu, gdy się tylko węgiel pokazał. Należało wzmocnić pokład.

— Czy się to godzi, szepnął praktykant. Czy to uczciwie?

Celestyn zaczął się śmiać.

— Czy chcesz zostać w kopalni? spytał raptownie.

— Naturalnie.

— Czy ta chęć jest uczciwą?...

— Nie może być inną.

— A więc pozwól, żeby i chęć istnienia kopalni, w której chcesz pracować, była uczciwą.

— Gdyby nie była zbrodnią.

Celestyn zaśmiał się serdecznie.

— Jeżeli tu przy nas, razem z nami nie wyrzucą pieniędzy, to je wyrzucą gdzieindziej — muszą!... To ich los.

— Ale gdzieindziej mieliby zyski, fortunę. Tu wrzuciłeś pan do otworu węgiel i zaprowadzisz ich do ruiny! Czy to się godzi?

— A brać z kasy pieniądze godzi się? To nie ich pieniądze, to kapitały, dane im do przechowania.

— Otrzymali pozwolenie do ich użycia.

— Ktoby im pozwolił rzucać oszczędzony grosz na tak szalone ryzyko. To są pieniądze, wzięte „cicho", i dlatego tak dobrze należą do nas, jak i do nich.

— Co nam do tego! My jesteśmy ich urzędnikami.

— Czy długo chcesz być urzędnikiem?

— Choćby całe życie.

— To dziękuj memu sprytowi i tej odrobinie węgla, że możesz

zostać parę lat. Przez te parę lat powinieneś zapracowsć tyle, żeby ci wystarczyło na założenie własnego przedsiębiorstwa. Pamiętaj o wielkiej filozofii życia: Nie ty, to kto inny, a zawsze będzie brane. Wziąć w porę i umieć wziąć, w tem cała sztuka.

— Rzuciłeś pan węgiel, żeby brać?

— Nie żeby dawać.

— To zbrodnia.

— Idź, zadenuncyuj mnie!

— Nie jestem szpiegiem.

— Ale urzędnikiem — zdasz raport.

— Powinienem to zrobić.

— I zamkną kopalnię, nas wypędzą, bo wytaczać mi proces będą się bali. Pójdziemy razem pod rękę piechotą do Kołomyi. Ja będę dalej szukał szczęścia, ty, kochany Jasiu, dostaniesz się przez protekcyę do żydowskiej fabryki na pięćdziesiąt guldenów miesięcznie o dwunastu godzinach pracy dziennie.

Jaś nerwowo otrząsł się.

— Gdy tu możesz popasać lat parę, a jeśli wyjdziesz, to z dziesięcioma tysiącami guldenów. Niezły grosz.

Jaś ukrył twarz w dłonie.

— Kusisz mnie pan, szepnął.

— Do czego? Czy namawiam cię do rozpusty lub zbytku? Przeciwnie, namawiam cię do oszczędności i pracy, do myślenia o przyszłości, do pamiętania o sobie. Czy najmoralniejszy z ojców nie radziłby ci tego samego? Jasiu, gdzież rozum, gdzież uczciwość?

— O uczciwości nie mów pan.

— Dowiedź mi nieuczciwości!...

Jaś wpatrywał się w towarzysza błędnemi oczyma.

— Tymczasem, mówił wesoło Celestyn, do Kołomyi, z Kołomyi do Lwowa. Lubisz Lwów, co? Weź do kuferka najlepszy garnitur. Pójdziemy do panny Flory i jej siostry Mizi. Są to bardzo dystyngowane, eleganckie damy, a uprzejme i łatwe!... Lubisz uprzejme i łatwe? co?

— Lubię, szepnął.

— Widzisz go, amator! Uderzył go pieszczotliwie w kark. Lećże ubierać się i rzeczy spakować, ja tymczasem zadysponuję konie.

Jaś pogalopował do swego mieszkania, Celestyn na znak zadowolenia zatarł ręce.

— Nie takich ja moralistów ujeżdżałem! szepnął. I śmiał w oczy mówić mi o uczciwości?! Głupcze, czy nie rozumiesz, że

największa uczciwość, to rozumnie dbać o siebie. Gdybym nie dbał, to za rok wyszedłbym na żebraka. Kraj dość ma biedy, nędzy i tym podobnych utrapień! Głupcze, prawisz mi o uczciwości, a gniesz się, jak wosk, w mych palcach. O uczciwości mogą mówić Tadeusz i srebrno-włosy starzec — i dlatego padną, a ja będę używał na uznaniu, wziętości i honorze. Oni padną w ohydzie, a ja będę zasiadał w trzech komitetach. Będą do mnie ciąć mowy i zdrowia moje wznosić, bo ja umiem żyć, znam rzetelną wartość życia. A oni? Oni znają swoje mrzonki i fantazye i według nich chcą urabiać świat. I któż wy jesteście? czy może lepsi ode mnie?... Wam wszystko się udaje, szukacie nafty, macie na to miliony, szukacie węgla, macie miliony! Wy, wszystko wy, zawsze wy! W parlamencie wy, w prasie wy. Używacie na uznaniu, wziętości, szacunku? Za co? bójcie się Boga, za co? Nie możecie mi odpowiedzieć— i dlatego nienawidzę was tak serdecznie, jak wy kochacie swoje fantazye, nazwane przez was ideami!.. Nienawidzę was za wasze szczęście i za to uznanie... Dlaczego ja go nie mam?.. Dajcie coś i drugim! Podzielmy się troszkę. Idea podzielności powinna znaleźć w was zwolenników.

Dłonie przyłożył do ust i krzyknął z całych sił:

— Bartek! konie do Kołomyi natychmiast! zaprzęgaj do mojej karyolki!

— Co to znaczy umieć rozkazywać i być pewnym siebie! Co to znaczy wierzyć w siebie i w swoje zasady! Jakże nie wierzyć, kiedy są one filozofią życia?

Tadeusz we Lwowie zastał list Wita:

Kochany Tadeuszu!

„Dzięki opatrznościowemu kredytowi, dzięki, że na czele wielkiej instytucyi stoi tej miary człowiek, co nasz dyrektor, rozwijamy się gorączkowo. Po przeciągnięciu dwu własnych rurociągów stowarzyszyliśmy się z dyrektoremi twej dawnej kopalni. Jedna maszyna tłoczy wszystkie rurociągi, i wszystkie rurociągi są w równej mierze dla jednych i drugich. Jest to zwycięstwo czasu i wielkiej oszczędności.

„Dwa nowe szyby dają po trzy wagony ropy. Ani jeden szyb dotąd nie wysechł. Wszystkie pompują i wszystkie w równej mierze. „Kasper", założony przy „Jakóbie", jeszcze dotąd milczy, bo też czas na niego. „Jakób" zmniejsza swoją obfitość, lecz nieznacznie i powoli. Niemcy budują dwa wielkie zbiorniki na

dwieście pięćdziesiąt wagonów każdy. Gmachy większe od kościołów z żelaznej blachy. Zbiorniki te unormują przesyłkę ropy do Borysławia. I my musimy wystawić jeden zbiornik koniecznie, tego od nas wymaga umowa. Byłaby to dla nas drobnostka, gdyby ceny ropy były znośniejsze. Znowu cena jej spada czy to skutkiem spekulacyi giełdowej, czy też zbyt silnego napływu falsyfikatu. Czy też wrócą te błogosławione czasy, w których produkt nasz był dwa razy droższy?! Jakiemiż bylibyśmy wtedy panami. Mimo to nie tracimy fantazyi — naprzód! Dotąd nie bankrutujemy — przy oszczędności jeszcze można być pewnym trzydziestu procentów (stosownie do obfitości ropy). Tem więcej, że my tak malutkie mamy wymagania dla siebie — tak bardzo malutkie! A więc naprzód śmiało do wielkich celów!"

— Jest w nich ogień Boży! zawołał dyrektor, kocham ich za to. Żeby więcej takich z twojej szkoły! Widzisz, nafta co to za zwodnicza produkcya. Ceny skaczą, jak w największym hazardzie, i to zniechęca. Można się tylko trzymać wielkimi kapitałami. Co innego węgiel — powiedz sam. Kiedy jedziesz do Wiednia?

— Jutro — pracować z szefami sekcyi w ministeryum skarbu.

— Przeprosili się i przebaczyli ci odkrycie falsyfikatu?

— Nie wiem, lecz mi winszowali po zwycięstwie waluty złotej.

— Jesteś im potrzebny! Dziś całować cię będą, aby jutro udusić, gdy zaczną ciebie się bać, gdy ich przerośniesz potęgą swego geniuszu, szlachetnością swych zamiarów. Tak zawsze bywa w Austryi!

— Czuję to, lecz cóż robić?

— Powinieneś być silny — a chcąc być silnym w państwie konstytucyjnem, należy mieć głos tak doniosły, aby cię w całem państwie słyszano.

— Mównica!

— Nie wystarcza, słyszą cię z niej zaledwo parę razy na rok. A tu trzeba mówić ciągle. Tłum powinien mieć wlepione w ciebie oczy, słuchać cię, jak wyroczni, kochać cię i wierzyć ci. Wiesz, czego na to potrzeba — organu tak głośnego, aby cię w całem państwie słyszano. Potrzeba ci własnego dziennika!...

— Nie pragnę być trybunem, to nie moja rola, to nie moja ambicya, to nie moje pragnienia.

Starzec się w niego wpatrywał.

— Gdyby, szeptał dalej, można było w chwilach, kiedy się ma natchnienie, kiedy się pragnie, kiedy się musi mówić głośno, gdyby

można było zaraz utrwalać myśli swe, nie marniałoby wiele skarbów ducha, tak jak marnieją w ziemi niewykopane bogactwa.

— Nie tylko twoje myśli, nie tylko skarby twego ducha, lecz i wielu podobnych tobie, którzy dziś mają usta na kłódki zamknięte. Głosu nam trzeba, organu, trąby, którąby słyszeli wszyscy w granicach państwa i za granicami. Niech się rodzą nowe myśli i zapładniają świat!... Nowe myśli gorące, świeże, niezależne, swobodne, jasne. Tego pragnąłem i pragnę! Złożył ręce, jak do modlitwy, patrząc na Tadeusza.

— Pozwól mi dożyć tej chwili, pozwól oglądać własnemi oczyma, pozwól mi czytać pismo, które będzie i mojem, bo będzie twojem. Tadziu, potrzeba ci dziennika, i ja go pragnę, i przyjaciele twoi pragną i zwolennicy nasi go chcą. Trzeba, aby ciebie się bali, bo strach to najlepszy munsztuk na ludzi. Gdy się boją, milczą i słuchają. Ty jedź, a mnie pozwól działać. Ty się rób głośnym na całe państwo i na cały świat, olśnij Niemców i Europę, a ja tu cicho przygotuję wspaniały organ, na którym będziesz wygrywał symfonie, będziesz organizował, uczył, oświecał. Muszą się nas bać, bo wtedy dadzą nam pokój i czekać będą. Jedź, ja tu wszystko przygotuję. Nazajutrz, gdy po obronie budżetu wrócisz w blasku sławy, zrobimy pierwszą sesyę do założenia nowego pisma. Jedź, walcz, zwyciężaj i wracaj!

(*Dok. nast.*) *Sewer.*



Wspólna własność ziemska

W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ *).

CZĘŚĆ III.

Pierwotna własność ziemi i „mir."

I.

„Pierwszy, który, ogrodziwszy kawał ziemi, odważył się powie-„dzieć: „to jest moje" i znalazł ludzi na tyle dobrodusznych, że mu „uwierzyli, — był istotnym założycielem społeczeństwa cywilnego. „Ile zbrodni, wojen i morderstw, ile nędzy i okropności byłby za-„oszczędził rodzajowi ludzkiemu ten, któryby, wyrywając z ziemi „słupy lub zasypując rowy, zawołał do swych bliźnich: strzeżcie się „słuchać tego oszusta — jesteście zgubieni, jeśli zapomnicie, że owoce „należą do wszystkich, a ziemia nie należy do nikogo" [1]).

Prawie sto pięćdziesiąt lat temu, jak było drukowanem to zdanie — a mimo to słowa powyższe tkwią w głowach mas i wpływają na urabianie się pojęć o powstaniu własności ziemi, nawet w tych umysłach, dla których J. J. Rousseau nie ma żadnej naukowej po-

---

*) Ob. „Ateneum", styczeń—marzec, lipiec—sierpień, 1900 r.

[1]) J. J. Rousseau. Discours sur l'origine de l'inégalité parmi les hommes. 1754. Ed. Ascher, str. 67.

wagi. Sądzić, że chciwość indywidualna jest pierwotną przyczyną powstania własności ziemi, — że dobroduszność tłumu jest gruntem, na którym powstaje społeczeństwo cywilne, — że na oszustwie mogą się opierać instytucye społeczne, trwające lat tysiące i przyjęte w całym świecie cywilizowanym, było możliwem tylko dla racyonalistów XVIII w., dla których jednostka ludzka tworzyła społeczeństwo, zawierając kontrakt.

Pod wpływem tego właśnie indywidualistycznego racyonalizmu Hume'a, Locke'go, Montesquieu'go, Woltera krystalizuje się nauka ekonomii politycznej. Jak echo z teoryi Rousseau'a, brzmi u Smith'a zdanie: „skoro tylko wszystka ziemia w pewnym kraju stała „się własnością prywatną — właściciele ziemi, jak i inni ludzie, lubili „zbierać tam, gdzie nigdy nie siali, i zażądali renty (dochodu) nawet „za przyrodzone wytwory ziemi.” Nim nastąpiło zajęcie na własność wszystkich gruntów, podług Smitha, istniało już „surowe społeczeństwo”, w którem nie istniał też kapitał i w którem, „jak się zdaje”, produkty pracy wymieniały się w stosunku ilości pracy, potrzebnej do ich nabycia [1]).

W pojęciach XVIII w. własność ziemi była zawsze indywidualną. Przedtem ziemia — była „res nullius”; „landlord”, powodowany chciwością, brał rentę, „farmer” „dobrodusznie” ją płacił. Poszukiwania historyczne XIX w. zwaliły już oddawna i ostatecznie te konstrukcye racyonalistów XVIII w., ale nauka nie chciała poprzestać na świadectwach dokumentów historycznych: dawały one objaśnienie tylko co do czasów względnie późniejszych; przyczyny powstania własności ziemi i forma pierwotna, w której ona powstawała, nie dały się na tej drodze odszukać. Narody zostawiają ślady piśmienne w historyi zwykle już wtedy, kiedy, uległszy szeregowi podbojów i politycznych przewrotów, przekształciły się w związki państwowe, dość silnie zorganizowane, a bardzo często — szczególniej w zachodniej Europie — zjawiają się w historyi już z organizacyą poddańczą własności ziemi, w której pierwotność trudno jest nam uwierzyć.

Obecne usiłowania nauki skierowane są ku etnograficznemu zbadaniu kwestyi. Oparte są one na przekonaniu, że u ludów pierwotnych zjawiska społeczne są prawie jednakowe, a może i zupełnie jednakowe, że pierwotna rodzina, własność, religia i organizacya

---

[1]) A. Smith: „Wealth of Nations“, ks. I, k. VI, str. 53 i 51. Ed. Ward Lock & C-o.

społeczna u Indyan Brazylii, Malajów i Negrów dają prawo do wnioskowania o tem, jakiemi były też instytucye pierwotnie u Chińczyków, Celtów, Germanów i Słowian, że z różnych wierzeń, podań, zwyczajów i obyczajów, historycznie stwierdzonych, da się odbudować to, co znikło przed epoką historyczną. Niesłychanie blizkie podobieństwa i analogie różnych zjawisk spółczesnych, stwierdzone na tak odległych punktach kuli ziemskiej, u tak dalekich od siebie ludów, że myśl zapożyczenia, wzorowania się jednych na drugich jest zupełnie wyłączoną,— każą stawiać hypotezę wspólności praw, rządzących rozwojem zjawisk społecznych dla całej ludzkości. Być może, że kiedyś nauka potrafi objaśnić z należną ścisłością powstanie i rozwój zasadniczych form uspołecznienia, być może, że celu tego z naukową ścisłością nie dopnie nigdy. W każdym razie dziś jeszcze badania te — nad pierwotną rodziną, własnością, prawem i religią — są od ostatecznego swego rezultatu dalekiemi.

Badania szczegółowe nad pierwotną własnością ziemi zaczynają się od badań nad własnością włościańską Olufsena w Danii i Haxthausena w okolicach nadreńskich. Hannsen, Lamprecht i Meitzen stworzyli nową teoryę, dopatrującą wszędzie śladów wspólnej własności ziemi, i, kiedy ścisły i sumienny Roscher twierdził, że „własność gminna istniała u bardzo wielu narodów" [1]) — następcy jego poszli dalej jeszcze, twierdząc, że istniała u wszystkich bezwarunkowo plemion. Rezultat prac nad etnografią ludów — Morgana, Engelsa i wielu innych — zdawały się stwierdzać rezultat badań historycznych.

W tym to czasie prof. Iwaniukow twierdził, że niema potrzeby zastanawiać się nad teoryą Czyczeryna o powstaniu miru w XVI i XVII wiekach — bo „wiemy, że władanie gminne istniało u wszyst- „kich narodów". W tym także czasie wyszła książka Emila Laveley'a: „O pierwotnej własności ziemi", która w świecie naukowym doznała ogromnego powodzenia. Ze względu, że przekład tej książki i w naszym wyszedł języku, musimy choć w krótkości zatrzymać się nad błędami jego teoryi.

Praca Laveleya już w samym wstępie (str. 2) zdradza, że autor pisze ją pod wrażeniem wypadków komuny paryskiej (1870 w.), i nie tai się z uczuciem strachu, jakim napawa go „przepaść", do której pcha demokracya istniejące cywilizowane społeczeństwo.

---

[1]) Wilh. Roscher: System der Volkwirthschaft — Die Nationaloekonomie des Ackerbaues. Wyd. 1861, str. 190, § 71 początek.

Stąd rodzi się pewien, jak mówi Buchenberger [1]), „hypersentymentalizm" i z góry postawiona teza, że postulatom sprawiedliwości można zadość uczynić, ustanawiając drogą prawodawczą inny podział własności ziemi, a raczej powracając do takiej jej organizacyi, jaką stworzyła Opatrzność, jaka istniała pierwotnie, wprzód, nim złośliwość ludzka ją zepsuła. Ten z góry powzięty zamiar wytwarza brak objektywności i sprawia, że, mimo niesłychanie sumiennego nagromadzenia kolosalnego materyału i historycznego i etnograficznego, mimo tu i owdzie rzuconych trafnych spostrzeżeń, — praca Laveleya dziś nie ma innej dla nauki wartości, jak zbioru materyału, zebranego i niesystematycznie, i niekrytycznie.

Najuważniejszy czytelnik pracy Laveleya po jej ukończeniu nie może odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: kto jest subjektem prawa pierwotnej własności ziemi — do kogo ziemia pierwotnie należy; Laveleye twierdzi, że ziemia nie jest nigdy „res nullius", ale właścicielem jej pierwotnym jest: plemię, ród, klasa, gmina, rodzina, korporacya, stowarzyszenia; wszystkich tych terminów używa bez różnicy dla oznaczania subjektu pierwotnego prawa własności ziemi i nie wpada na myśl, że „ród" i „gmina" są to ustroje społeczne zupełnie różne, odnoszące się do zupełnie różnych epok historycznych i oparte na zupełnie różnych podstawach psychologicznych.

Nie dosyć na tem. Laveleye powtarza jeszcze utarty od czasów Warrona [2]) szemat rozwoju kulturalnego ludzkości od polowania przez pasterstwo do rolnictwa. Wie zatem, że rolnictwo jest stopniem trzecim, a więc nie pierwotnym życia ludzkości. Nie przeszkadza mu to jednak uważać własność „rolną" za własność pierwotną.

I jeszcze. Najsilniejszymi argumentami Laveley'a są organizacye wspólnej własności gminnej: w Rosyi „mir", na Jawie dessa i w Indyach gmina wiejska. Zajmują one naczelne miejsce w jego pracy (Rozdziały II, III i IV). Sam przytacza, że wszystkie te gminy są lub były poddańcze i do solidarnego płacenia podatków zobowiązane. Wie, że badania specyalne nad „mirem" i „dessą" podały w wątpliwość ich „pierwotność". Ale zbijając teoryę Czyczerina co do miru, argumentuje: „historya wskazuje nam wszędzie, że własność osobista powstała z pierwotnej wspólności" (str. 25), a mówiąc o dessie, powiada: „w każdym razie wspólne władanie zie-

---

[1]) Agrarwesen und Agrarpolitik, t. I, str. 261.

[2]) Marcus Terentius Varro, autor dzieła „De re rustica", 116 do 27 przed N. Chr.

mią, będąc właściwe wszystkim narodom pierwotnym, istniało zapewne przedtem, niźli urządzenia Indusów mogły wpłynąć na nie" (str. 59). Dowodzi więc powszechnego istnienia wspólnej własności ziemi tem, że istnieją „mir" i „dessa", a starożytności pochodzenia miru i dessy dowodzi prawdopodobnem istnieniem powszechnem „własności wspólnej."

Zasadniczym jednak błędem w pracy Laveleya jest bardzo niejasne pojęcie „o normalnym rozwoju społecznym", zakłóconym przez podbój i feudalizm. Gdyby tych nie było, „państwa byłyby federacyami wolnych gmin demokratycznych" (str. 102). Nie rozróżniwszy rodu i gminy, nie rozróżnia też on ustroju rodowego od ustroju państwowego i, stwierdziwszy słusznie, że „zadruga" (hauscommunion) Słowian południowych upada koniecznie, gdy „duch rodzinny zniknie" (str. 138), nie może zrozumieć, dlaczego upada ród, gdy tylko zjawiła się organizacya państwowa. Niejasnym też jest dla niego związek między techniką rolnictwa a formami prawnemi własności rolnej. Na str. 13 mówi: „Sposoby eksploatacyi zmieniły się w miarę, jak własność wydzielała się z gminy". Zdaje się więc, że dla niego zmiana form prawnych jest przyczyną, która wywołuje zmianę systemu gospodarstwa rolnego. Tymczasem (znacznie później co prawda) mówiąc o Allmeniach (wspólnych pastwiskach i lasach) w Szwajcaryi, mówi wyraźnie: „Kiedy zaczęto uprawiać ziemię.... używalność tej ziemi stała się prywatną, ale czasową, a co najwięcej dożywotnią.... Ta przemiana formy używalności (forma prawna) była koniecznym wynikiem zmiany, która zaszła w sposobie uprawy" (str. 218).

Upadek własności gminnej i rozwój własności prywatnej w krajach, które uległy podbojowi, tłómaczy konfiskatą ziemi — odjęciem prawa własności ziemi ludności miejscowej. Z Germanią jednak ma kłopot, bo do niej tłómaczenia tego zastosować nie może. W Niemczech, podług Laveleya, upadła własność wspólna wskutek zaprowadzenia chrześcijaństwa (gdyż Kościół od początku dążył do nabycia ziemi) i rządów monarchicznych, które zaprowadziły feudalizm, zapożyczając z państwa rzymskiego zarówno stosunek lenny wojskowy (pogranicza rzymskie wojskowe), jak i stosunek lenny czynszowy (coloni). Z nierówności socyalnych, w pierwotnej gminie istniejących, z osad rolnych poza gminą „extra sortem" -- „in eremo", z nadań ziemi monarszych za zasługi wojskowe rozwinęła się własność prywatna, a nadużycia panujących i możnowładców, uznanie ziemi niezajętej za własność monarchów (wiek VII i VIII) dokonały reszty. Chciwy landlord i dobroduszny rolnik są typami, o których Laveleye zapomnieć nie mógł.

W Niemczech, gdzie nad wyjaśnieniem kwestyi pierwotnej własności ziemi wiele bardzo pracowano, i to pracowano sumiennie, skrystalizowała się teorya ewolucyi własności ziemi, nie zawierająca tak rażących błędów, jakie znajdujemy w pracy Laveleye'a. Podstawą tej teoryi jest twierdzenie, że wspólna własność ziemi jest prastarą instytucyą, ogólnie rozpowszechnioną [1]). Subjektem tego prawa własności, — t. j. właścicielem ziemi — był ród albo plemię (Sippschaft-Stamm), samo zaś prawo nie było bezwarunkowem, wiecznem, jak dziś, ale ograniczało się do posiadania i użytkowania, było prawem własności użytkowniczej, opartem na okupacyi (Nutzungseigenthum von okkupatorischem Charakter). Przejście od tej formy własności do obecnie istniejącej własności prywatnej odbyło się pod wpływem przyczyn elementarnych, koniecznych.

Buchenberger — jedna z największych powag ekonomicznych w Niemczech — tak streszcza tę teoryę [2]): „Badanie historyi stosunków ekonomicznych wykazało, że u wszystkich narodów cywilizowanych prywatna własność gruntu i ziemi była pierwotnie instytucyą nieznaną; plemię (klan), które ziemię w posiadanie obejmuje, uważa siebie za właściciela gruntu; członkowie plemienia mają do niego prawo użytkowania. Użytkowanie to co do lasów i pastwisk dość długo jest wspólnem, podczas gdy pola orne już dość wcześnie pojedyńczym członkom plemienia (Stamm — rodu) czy wsi są oddane do prywatnego użytku. Ale i wtedy to użytkowanie nie jest bynajmniej dziedzicznem, przeciwnie, zaprowadzonym zostaje peryodyczny podział (losowanie) cząstek gruntu (udziałów). Takie urządzenie wspólności pól, ta organizacya rolna, oparta na wspólnej własności ziemi plemienia (rodu) lub ściślejszego związku mieszkańców wsi i uwarunkowany przez tę organizacyę sposób gospodarowania, wielka zależność sposobów uprawy od rozporządzeń gminy (wywołanych pospolitem rozrzuceniem pojedyńczych użytkowych części pól śród posiadłości plemienia) w związku z wspólnem użytkowaniem lasów i pastwisk, zostaje zmieniona najprzód w tem, że co do osady samej (dom z obejściem) i co do najbliżej położonych i pod specyalne uprawy (ogród — sad) zajętych części gruntu powstało stałe, dziedziczne prawo posiadania; że, dalej, losowanie udziałów z ogólnej ilości pól ornych zamiast, jak pierwotnie, w krót-

---

[1]) Felix Rachfall: Zur Geschichte des Landeigenthums. Conrad's Jahrbücher für Nat. u. Stat. 1900. t. XIX. Zesz. 1, str. 5 i nast.

[2]) Buchenberger: Agrarwesen u. Agrarpolitik, t. I, str. 235 i 236.

kich, odbywało się w coraz dłuższych odstępach czasu, być może zależnie od postanowienia zgromadzeń wsi; w końcu jednak losowanie zupełnie ustało i co do tych części ziemi i gruntu przeszło w stałe, wyłączne i dziedziczne prawo posiadania; prawo własności prywatnej zupełne zostało uznanem, a przeciwnie pastwiska i lasy przez długi czas jeszcze, miejscami aż do dziś dnia, utrzymały się w posiadaniu gminnem. Nawet tam, gdzie rozwój ten w wyżej wymieniony sposób się odbył, początkowy charakter prawa własności wywiera jeszcze nieraz swój wpływ w trwaniu pewnych obyczajów (instytucyi) prawnych, jak naprzykład i przedewszystkiem w tem, że członkowie gminy w razie sprzedaży pól mają zastrzeżone pierwszeństwo kupna".

„Wyżej przytoczony rozwój" — mówi dalej Buchenberger — „idący według szematu: wspólna własność i wspólne użytkowanie, wspólna własność i prywatne użytkowanie, prywatna własność i prywatne użytkowanie, był u przeważnej części narodów cywilizowanych tak jednakowy w związku z coraz to większą koniecznością staranniejszej uprawy gruntu, t. j. z coraz to silniejszem wkładaniem w grunt pracy i kapitału (które przy peryodycznych podziałach w małym tylko stopniu włożone być mogą), że z zupełną słusznością może być tu mowa o ekonomiczno-historycznej konieczności i społecznem usprawiedliwieniu powolnego przejścia od pierwotnego prawa posiadania do prawa własności prywatnej, i że wobec trwającej dotąd w niektórych krajach wspólności pól ornych należy się strzedz brać za właściwość narodowego charakteru, która trwale przechowana, tylko rozwiniętą jakoby została, to, co właściwie jest odpowiednikiem pewnych stopni kultury, które prawdopodobnie tylko stosownie do charakteru narodu tu krócej, tam dłużej trwały, a jeszcze więcej strzedz się ten wszystkim najbardziej posuniętym w postępie ludom wspólny rozwój przypisywać obłędowi (Irrwahn), opartemu na zapoznaniu, niezrozumieniu natury ziemi i gruntu" [1]).

.... „W każdym razie już w epoce Karolingów (IX w.) cząstki gruntu, oddawane w posiadanie członków wsi, zaczynają nabierać charakteru wyraźnej, swobodnie dziedziczonej i swobodnie sprzedawanej (alienowanej) własności. Co do zasad podziału zamienianego co rok gruntu, to decydującą była zasada, że tak, jak każdy członek rodu miał równe innym prawa i obowiązki polityczne (był uprawnionym i zobowiązanym narówni z innymi do służby wojennej; do rady

---

[1]) Buchenberger, l. c. tom I, str. 236.

w decyzyach publicznych i sądach), to i podstawa zaspokojenia jego potrzeb prywatnych i publicznych, t. j. oddane mu w posiadanie grunta — Hufe (włóka — osada) dla wszystkich jednakowej wielkości i dobroci być musiały" [1]).

Cała ta jednak tak jednolita, jasna i w wielu punktach na etnograficznych danych i historycznych dokumentach oparta teorya własności pierwotnej i jej ewolucyi, teorya, która jest dziś w Niemczech „panującą", nie może być uważana za ostatecznie dowiedzioną i ustaloną w nauce. Dotycze ona głównie Germanów, i w Niemczech też podnoszą się coraz częściej przeciwko niej protesty. Budowano ją — to nie ulega wątpliwości — pod silnym wpływem pracy Haxthausena o „mirze", i krytyka Czyczeryna nie była bez wpływu na podkopanie tej teoryi.

Ta idealna równość praw każdego członka rodu do udziału w ziemi jest i ze świadectwami historyi (Tacyt) i z danemi etnografii niezgodna. Losowanie, które zapożyczono wprost z miru, żadnych po sobie śladów w Niemczech nie zostawiło, i jeden z filarów tej teoryi, Meitzen, musiał w ostatnich czasach przyznać, że się ona co do Germanów dowieść nie daje [2]). Przypomniano sobie, że Thaer, protoplasta agronomów niemieckich, sądził, że nie wieś, ale pojedyńcza osada — dwór — jest pierwotną formą siedzib rolnych germańskich — i stwierdzono, że wszędzie, nawet tam, gdzie istnieje lub istniała własność wspólna rodu, istniały razem z nią i obok niej zarodkowe formy własności prywatnej — osady lub pola, uprawiane przez oddzielnych członków rodu, z których oni ciągnęli osobisty użytek.

Nakoniec powstała szkoła prawników, stawiająca pytanie, czy to prawo pierwotne do ziemi, jakie spotykamy u ludów cywilizowanych w epokach przedhistorycznych i u ludów pierwotnych, dziś istniejących, można nazywać prawem własności? czy nie jest ono raczej prawem „panowania"? czy nie zbliża się więcej do prawa politycznego społeczeństw niezależnych do zwierzchniej władzy nad terytoryum, zajętem przez społeczeństwo, niż do prawa własności cywilnej z charakterem przeważnie ekonomicznym, jakie ma nasze dzisiejsze prawo własności? Dargun utrzymywał, że prawo własności ziemi w epokach pierwotnych jest tylko rodzajem terytoryalnego

---

[1]) Buchenberger, l. c. tom I, str. 271.

[2]) Meitzen w Handwörterbuch der Staatswissenschaften, tom III, str. 370 i 540. Art.: Siedelungen i Feldgemeinschaft.

zwierzchnictwa [1]). Halban-Blumenstock znów dowodzi, że to pierwotne prawo własności prywatnej ziemi, jak je naprzykład znajdujemy w „lex salica", — jest czemś pośredniem między zwierzchnictwem państwowem a własnością indywidualną [2]). Jnama-Sternegg i Fustel de Coulanges twierdzą, że już w epoce najścia Germanów na Gallię u Franków nie było własności wspólnej.

W 1896 r. zjawiły się dwie prace nowe, usiłujące podkopać fundamenty tej „panującej" teoryi. Wittich [3]) stara się dowieść, że na Północy Niemiec w pierwotnym ustroju społecznym istniał stan szlachty i niewolników, a ziemia była tylko własnością szlachty, która sama roli nie uprawiała; że nie było tam wolnych włościan, a rolnicy byli poddanymi szlachty. Hildebrand [4]) zaś twierdzi, że własność ziemi w Niemczech powstała dopiero po wędrówce narodów, t. j. w V i VI w.; że przedtem powstać ona nie mogła dlatego, że ziemia nie miała wartości, i że pierwszymi właścicielami ziemi w Germanii byli: monarcha, duchowieństwo i szlachta; że dopiero w epoce feodalnego poddaństwa wyrosły wsi, gminy i udziały włościańskie (Hufe), a cała pierwotna ekonomiczna organizacya gminy (Markgenossenschaft) jest fantazyą (Hirngespinnst).

Badania etnografii porównawczej nie dały też pewniejszych rezultatów. Jeden z najsumienniejszych badaczów w tym kierunku, E. Grosse twierdzi [5]), że wspólna własność roli i komunistyczne wspólne gospodarstwo rolne tak doskonale odpowiada istocie pierwotnej uprawy roślin, że niema wątpliwości, iż są one pierwotnemi formami gospodarstwa na niższym stopniu rolnictwa. Panuje ono — to gospodarstwo komunistyczne — u bardzo wielu plemion, a u bardzo wielu innych pozostawiło po sobie niewątpliwe ślady. Zdaniem jego (str. 160), powstało ono na gruncie pokrewieństwa przez matki — bo pierwotnie uprawa roli prawie u wszystkich ludów należała do kobiet (159). Ale wszystkie wypadki wspólnych gospodarstw rolnych, jakie on przytacza, odnoszą się do stref podzwrotnikowych,

---

[1]) Dargun: „Ursprung und Entwickelungsgeschichte des Eigenthums" — Zeitschrift für vergleichende Staatswissenschaft. 1884. t. V. str. 1.

[2]) Halban-Blumenstock: „Entstehung des Deutschen Immobiliar Eigenthum. Innsbruck, 1894.

[3]) W. Wittich: „Die Grundherrschaft in Norddeutschland", 1896.

[4]) Richard Hildebrand: Recht und Sitte auf den verschiedenen wirthschaftlichen Culturstufen, 1896.

[5]) Ernst Grosse: Die Formen der Familie und die Formen der Wirthschaft. 1896, str. 135/6.

gdzie niema uprawy zbóż właściwych europejskich — i sam Grosse jednocześnie twierdzi, że obok własności wspólnej u większej części tych ludów istnieje prawo prywatnej używalności gruntu przez indywiduum, które ten grunt uprawiło (str. 136), że czasami grunt ten za małą opłatą przechodzi w użytkowanie spadkobierców (145). Czy te dane socyologiczne można przenieść bez zastrzeżenia na wszystkie ludy, a przedewszystkiem na ludy europejskie strefy umiarkowanej? — czy organizacya ta nie jest zależną od gatunku uprawianych zbóż? — czy stosuje się zarówno do ludów, uprawiających ziemię motyką, jak i uprawiających ją pługiem? — czy może być przeniesiona na ludy, u których ślady organizacyi rodowej polegają między innemi na wyłączeniu kobiet od dziedziczenia ziemi, i u których hodowla bydła poprzedzała rolnictwo, a była ona — jak sam Grosse to przyznaje — wyłącznie prawie zajęciem mężczyzn? [1]) Wszystko to są poważne bardzo pytania, które rozstrzygniętemi być powinny wprzód, aniżeli możliwem będzie wyprowadzenie z tych danych wniosku, że i w Europie pierwotne gospodarstwo rolne było gospodarstwem komunistycznem, rodowem. Być może, że było ono gospodarstwem rodzinnem, wielkiej rodziny — zadrugi, która przy innych warunkach klimatycznych, większej ekstensywności rolnictwa i konieczności większego rozproszenia ludności w przestrzeni nie mogła wzrastać do tych zadziwiających wielkością wspólnot meksykańskich pueblów, które po kilka tysięcy głów ludności liczyły. Być może — ale tylko być może — gdyż spotkamy się ze zdaniem odmiennem, również na danych etnografii opartem.

„Jeśli rozbieramy wypadki — mówi Fr. Ratzel — w których „dziś znajdujemy wspólną własność ziemi, to przedewszystkiem widzimy, że trafia się ona na wszystkich stopniach cywilizacyi, jaką „tylko znamy, i że na tej samej niewielkiej przestrzeni i w tej samej „grupie ludności, n. p. w Melanezyi występuje przy różnych formach użytkowanie gruntu i że jak najrzadziej występuje tam, „gdzie ogół stosunków robi wrażenie najwięcej pierwotne. W stosunku człowieka do gruntu nie może być nic pierwotniejszego, jak „rozproszenie niesłychanie małej ilości ludzi na niesłychanie wielkiej „przestrzeni. Gdzie ten stan rzeczy znajdujemy, tam spotykamy nie „własność wspólną ziemi, ale przemijające wyzyskiwanie gruntu „przez polowanie albo na pół koczujące rolnictwo kiku rodzin. Takie „koczujące rolnictwo stanowi zarodek wszelkich historycznych po-

[1]) E. Grosse: l. c., str. 92.

„czątków kolonii rolniczych. Wypływa ono bezpośrednio z nadmiaru „ziemi. Uprawa wspólnie posiadanej przestrzeni gruntu przez plemię „jest w porównaniu z tym (wyżej opisanym) stanem już krokiem „naprzód, wywołanym przez powiększenie się ilości ludzi" [1]). Zdaniem więc Ratzla, komunistyczno-rodowa organizacya rolna jest formą następną — pierwotną zaś byłoby rodzinne użytkowanie ziemi.

Sam też Grosse widzi dobrze braki swoich badań i w przedmowie do swej pracy twierdzi, że kończy ją w przekonaniu, „iż historya „rozwoju rodziny ludzkiej ani przez niego, ani przez nikogo innego „nie może być teraz napisaną". Nie popełnimy i my błędu, jeśli to jego zdanie rozciągniemy też i na historyę powszechną własności ziemi i postawimy, jako twierdzenie, że to, co „wiemy o pierwotnej własności ziemi i jej ewolucyi, nie upoważnia wcale do wnioskowania o tem, jaką była własność ziemi w danym kraju i w danej epoce."

Rezultaty prac dotychczasowych nad pierwotną własnością ziemi powinny być tylko wskazówką do poszukiwań w każdym kraju zosobna — i z tego punktu widzenia rezultaty te mają doniosłe znaczenie. Przedewszystkiem dowodzą one, że, jak dziś, badanie powinno wyrzec się poszukiwania jednego wspólnego dla całej ludzkości szematu ewolucyi własności ziemi i badać własność gruntu w każdem społeczeństwie zosobna. Powtóre, nie powinno ono dążyć do wyjaśnienia ewolucyi własności ziemi „an sich", jako takiej, ale powinno badać rozwój własności gruntu w zależności od sposobu jej użytkowania: osobno własności górniczej, miejskiej, leśnej — i rolnej. Potrzecie powinno przystępować do niej z jasnem zrozumieniem tego faktu, że dzisiejszego „prawa własności", tak jak je formułują Pandekta, kodeks Napoleona lub tom X Zbioru praw — w przeszłości nie znajdziemy.

Dzisiejsze prawo własności cywilnej obejmuje w sobie: 1-o prawo wyłącznego używania rzeczy, a nawet jej zniszczenia — o ile to prawom obowiązującym wyraźnie się nie sprzeciwia lub nie znajduje ograniczenia w naturze przedmiotu własności — (np. gruntu), 2-o prawo rozporządzania rzeczą: sprzedawania, zastawiania, najmowania i darowania, 3-o prawo przekazania jej spadkobiercom drogą spadku beztestamentowego lub testamentem, 4-o prawo nagromadzania tej własności w ilości nieograniczonej.

Tego prawa własności nie znajdziemy nietylko u t. zw. ludów pierwotnych, ale nawet i w epokach historycznych. A co więcej,

---

[1]) Fr. Ratzel: Der Staat u. sein Boden. Str. 120.

często nie potrafimy sobie zdać jasno sprawy z powodów, dla których go nie znajdujemy. Stwierdzamy np., że w danej epoce historycznej ziemia, zajęta pod rolę, nie jest ani przedmiotem aktów alienacyjnych, ani przedmiotem spadkobrania; ale czy nie jest nią dlatego, że jest własnością rodu i jest „extra commercium”,— czy też dlatego, że jest jej jeszcze tak wiele, iż nie posiada żadnej wartości wymiennej. Tej wątpliwości rozstrzygnąć nie możemy.

W końcu — i to może najważniejsze: dotychczasowe badania stwierdzają, że własność ziemska wszędzie ulegała ewolucyi i wskazują przyczyny, które na tę ewolucyę wpływały,—wskazują, że własność ziemska przekształcała się pod wpływem stosunku ludności do ziemi, postępów techniki rolnej, organizacyi społecznej i rozwoju techniki wojennej, — i że niema narodu cywilizowanego, o którym można byłoby powiedzieć, że „własność ziemi nie miała historyi.” I mir miał swoją — a usuwanie go z pod badań historyi i socyologii nie może być w naukowem wyjaśnieniu kwestyi dopuszczonem.

Mir, jak każda inna forma własności ziemi, powstał pod wpływem pewnych przyczyn i trwać będzie tak długo, jak długo trwać będą przyczyny, które go wywołały. Jeśli zaś te przyczyny są charakteru czasowego, jeźli są „kategoryami historycznemi” — to i mir, jako historyczna kategorya, istnieć z czasem przestanie bez względu na teorye takiej lub innej szkoły ekonomicznej czy politycznej.

Dlatego też najważniejszą dla nas w tej chwili sprawą jest zastanowić się nad tem, jakie są przyczyny, wywołujące ewolucyę własności rolnej, a następnie sprawdzić, czy i jak przyczyny te działały w ewolucyi własności rolnej włościańskiej w Rosyi.

Nim przystąpimy jednak do zbadania tych kwestyi, musimy zrobić jedno wyjaśnienie w kwestyi ogólnej przyczyn w dziedzinie ekonomii społecznej.

Przepisy prawa rzeczowego: prawa własności i prawa o zobowiązaniach, są formami, których treścią są stosunki ekonomiczne — i formy te w miarę rozwoju treści życia ekonomicznego zmianie ulegają. Z drugiej zaś strony — życie i „stosunki ekonomiczne” istnieją tylko w nauce. W rzeczywistości istnieją tylko zjawiska życia społecznego, które umysł ludzki — nauka — klasyfikuje na religijne, państwowe, społeczne, prawne, ekonomiczne i t. d. i, zbyt często biorąc teoryę za rzeczywistość, ulega złudzeniu, że ekonomiczne skutki są wynikiem tylko ekonomicznych przyczyn, a przyczyny ekonomiczne wywołują tylko ekonomiczne skutki. Rzecz się ma nieco inaczej; już Comte ostrzegał naukę i ostrzegał słusznie, że

zjawiska społeczne w szeregu wszystkich zjawisk, jakie umysłowi ludzkiemu dozwolonem jest obserwować, są najbardziej skomplikowaną kategoryą zjawisk.

Ekonomiczne fakty są przedewszystkiem skutkiem ekonomicznych przyczyn, a w poszukiwaniu przyczyn zjawisk ekonomicznych musimy zawsze zaczynać od poszukiwań w sferze faktów ekonomicznych. Mimo to zjawiska ekonomiczne ulegają wpływowi zjawisk społecznych nie ekonomicznego charakteru: religijnych, politycznych, etycznych i t. d. Za najlepszy tego dowód może służyć związek pomiędzy rozwojem techniki wojennej w ustroju państwowym a wielkiej własności ziemskiej. Zaprowadzenie konnej, ciężko uzbrojonej służby wojennej — rycerstwa — dało początek własności szlacheckiej i poddaństwa, bez których klasa społeczna rycerzy-szlachty istniećby nie mogła. Z wynalazkiem prochu zniknęło rycerstwo — szlachta traci znaczenie klasy panującej w narodzie, poddaństwo znika, a „latifundia" maleją. Powstania rozwoju i upadku wielkiej własności ziemskiej w Europie nie można wytłómaczyć samemi tylko ekonomicznemi przyczynami: w znacznym, jeźli nie w głównym, względzie jest ona skutkiem zmian w organizacyi politycznej państw, poza któremi stoją zmiany w organizacyi wojennej, wywołane znów postępami techniki wojennej.

I — rzecz mało przedyskutowana, a jednak prawie niezawodna w dziejach ludzkości — względy organizacyi wojskowej, wymagania obrony narodowej są tym względem *najważniejszym*, wobec którego milkną wszelkie inne względy religii, etyki, — nawet ekonomiczne. W wiekach średnich feodalizm był taką samą koniecznością, jak nieograniczona emisya papierowych pieniędzy w chwilach zawikłań politycznych w XVIII i XIX w. Emisye te miały miejsce z zupełną świadomością ich ekonomicznej nieracyonalności, były jednak jedyną deską ocalenia rządów, wobec której względy ekonomiczne ustąpić musiały.

Powiedzieliśmy: *najważniejszym*, — ale zaraz musimy tu zrobić zastrzeżenie, że jest jeszcze kategorya przyczyn, które, być może, są także bardzo ważne. Dlaczego upadło niewolnictwo? dlaczego nawet w wojnach, w których prawo wszelkie ustaje, niema dziś tego uprawnionego ongi wyrzynania całych wsi, palenia całych miast i uprowadzania w niewolę całej ludności danego terytoryum? Czy tylko względy ekonomiczne są tego powodem? Sądzimy, że nie — sądzimy, że przyczyny tego leżą głębiej, w psychologicznych danych umysłu ludzkiego, i że te psychologiczne dane na rozwój ekonomiczny i prawny społeczeństw nie są też bez wpływu.

II.

Człowiek, indywiduum ludzkie nie istnieje poza społeczeństwem. „Tak samo" — mówi Ratzel — „ani człowiek, ani najprzedniejsze dzieło jego na ziemi — państwo — nie mogą być pomyślane bez ziemi" [1]). Związek pomiędzy ziemią a społeczeństwem jest tak silny, że jest to rodzaj związku organicznego i, zdaniem Ratzel'a, jeśli społeczeństwo jest organizmem, to tylko dzięki związkowi, który wiąże je z gruntem. Nie będziemy się tu zastanawiać nad tem, czy społeczeństwo ludzkie jest w ogóle organizmem, czy nie, czy organiczność jego polega na związku z ziemią, czy na czem innem. Ratzel zdaje się mieć słuszność w jednem: że nauka o społeczeństwie — socyologia — za mało uwagi zwraca na stosunek człowieka do ziemi i że bez zbadania tego stosunku bardzo łatwo schodzi na manowce.

Zupełnie słusznie Ratzel zwraca uwagę na wzrastające znaczenie ziemi dla jednostki i społeczeństwa. Społeczeństwo ludzkie wzrasta stale, powierzchnia ziemi jest niezmienną: w czasach pierwotnych ludność na kuli ziemskiej była tak nieliczną, że związek jej z ziemią był słaby, a węzłem, łączącym hordy ludzkie w jedną całość było poczucie wspólnego pochodzenia, wspólność języka i wierzeń religijnych.

Najpierwotniejszym zaś faktem socyologicznym jest, jego zdaniem, wielkie rozproszenie nielicznej ilości ludzi na niezmiernej przestrzeni pustych terrytoryów. Ten rodzaj gospodarstwa społecznego, który i etnograficznie i logicznie zasługuje na miano pierwotnego i odpowiada temu stanowi rozproszenia, nie ma jeszcze ustalonego terminu w polskim języku. Niemcy nazywają to w nauce „Sammelwirthschaft", gospodarstwo — jeźli to właściwie gospodarstwem nazwać można — oparte na zbieraniu i spożywaniu znalezionych, przypadkowo zebranych (sammeln) płodach natury. Właściwie jest to gospodarstwo zwierzęce, w którem nie istnieje ani praca, skierowana celowo ku wytworzeniu środków pożywienia (produkcya), ani nawet piecza i ochrona nagromadzonych środków pożywienia (pasterstwo), gospodarstwo, nie wymagające najprostszych nawet zarodków kapitału — narzędzi, jak tego wymaga rybołówstwo i my-

[1]) F. Ratzel: Der Staat und sein Boden, str. 18. Zauważymy przytem, że Ratzel identyfikuje państwo i społeczeństwo; podług niego, „nie znamy ludu, żyjącego bez państwa" — „wir kennen kein staatloses Volk", str. 64.

śliwstwo. Faktyczne przykłady takiego czysto zwierzęcego gospodarstwa zachowały się tylko na krańcach świata, na Ziemi Ognistej i w Nowej Holandyi, — i trwają w tradycyach ludzkości w podaniach o raju i wieku złotym.

Ustalenie tej opinii usuwa wspomniany (zapożyczony podobno od Greka Diaearcha) szemat Warrona trzech stanów kultury, po sobie stale idących: myśliwstwa, pasterstwa i rolnictwa; szemat, który, przetrwawszy wieki, wszedł do nauki ekonomii politycznej, a dopełniony przez Lista nowymi dwoma stanami ekonomicznego rozwoju: rolniczo-przemysłowym (przemysł na potrzeby kraju) i rolniczo-przemysłowo-handlowym (przemysł wywozowy), do dziś dnia stanowi powszechnie ustaloną opinię naukową. Poprawiali go Morgan, Grosse i inni.

Z szematem tym rozstać się należy, jak również rozstać się należy z przekonaniem o konieczności przechodzenia każdego społeczeństwa przez wyliczone w szemacie stany. Ani myśliwstwo, ani pasterstwo nie stanowią stanów koniecznych, przez które każde społeczeństwo przechodzić musi — tem mniej stan koczowniczy, który możliwym jest tylko przy pewnych właściwościach kraju i w pewnych warunkach fauny. Rozstać się także należy z przekonaniem, że dany stan gospodarstwa istnieje, że tak powiemy, w stanie czystym, że narody rolnicze nie bywają jednocześnie myśliwskimi i pasterskimi albo pasterskimi i myśliwskimi; przeciwnie, każdy ze stanów minionych pozostawia swoje ślady i przeżytki, a dziś jeszcze w krajach, należących do cywilizowanej Europy istnieją obok siebie: grzybobranie, rybołówstwo, polowanie, hodowla bydła, uprawa zbóż, przetwór surowych materyałów na potrzeby kraju i przemysł wywozowy. Szematy ekonomiczne ścisłe istnieją tylko na papierze. U Indyan Ameryki północnej myśliwstwo przechodzi wprost w uprawę roli, w Afryce pasterstwo łączy się bezpośrednio z rolnictwem. Wszystkie jednak formy gospodarcze z biegiem czasu przechodzą w rolnictwo — t. j. do celowo skierowanej pracy ludzkiej nad ziemią, zmuszającej ją do wydawania pewnych, z góry określonych środków pożywienia człowieka i — w drugim rzędzie — płodów, zaspakajających inne jego potrzeby.

Jeśli zaś zachodzi pytanie, dlaczego wszystkie narody, które zaczynają gospodarować „zbieranką”, kończą na rolnictwie, dlaczego, z wyjątkiem stref, nie poddających się rolnej uprawie, pod biegunami i na pustyniach piaszczystych wszystkie ludy po przejściu stanów pośrednich: rybołówstwa, myśliwstwa, pasterstwa — (o czem decydują warunki terrytoryalne) — kończą na rolnictwie, to

przyczynę tego zrozumiemy jasno i niezbicie z następującego rachunku, który zrobił wspomniany już wyżej geograf niemiecki, Fryderyk Ratzel. Podług niego na 1-ej kwadratowej mili może się wyżywić — przy gospodarstwie:

1.	myśliwskiem lub rybołówstwie na krańcach świata	0,1—0,3	człowieka
3,	myśliwskiem w stepach	0,1—0,5	„
3.	myśliwskiem z początkami rolnictwa	10 —40	ludzi
4.	rybołówstwie na brzegu morza lub rzek	do 100	„
5.	pasterstwie koczującem	40 —100	„
6.	pasterstwie z początkami rolnictwa	200 —300	„
7.	rolnictwie pierwotnem na sposób europejski	500	ludzi.

Według tegoż obliczenia w okolicach czysto rolniczych środkowej Europy żyje na 1-ej mili □ do 4000 ludzi, w okolicach rolniczo-przemysłowych 5 do 6000, w okolicach wielkiego przemysłu do 15000 ludzi [1]).

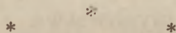
Obawa głodu i braku pożywienia jest tą wielką sprężyną, która decyduje o sposobie zużytkowania naturalnych sił produkcyjności ziemi i usuwa wszelkie tamy, jakie jej inne względy stawiać mogą. Przejście od pasterstwa, myśliwstwa i rybołówstwa do rolnictwa było dla każdego społeczeństwa jedną z największych rewolucyi, jakie ono kiedykolwiek przebywało — rewolucyą, która u większej części ludów europejskich odbyła się w czasach przedhistorycznych i wywołała dwa znamienne fakty. Popierwsze — względny nadmiar gruntu ponad konieczne dotychczasowe potrzeby społeczeństwa, żyjącego dotąd innym, pięć do dziesięciu razy ekstensywniejszym, sposobem gospodarowania. Powtóre stałe osiedlenie się plemion w jednem miejscu. Rewolucya ta, a raczej ewolucya trwała — wiekami.

Rolnictwo pierwotnie nie jest rolnictwem z pługiem, sochą, wołami i końmi. Uprawia się ziemię motyką i ogranicza się do małej przestrzeni gruntu naokoło chaty lub namiotu, a często grunt ten, idąc za chatą i namiotem, zmienia. Taki jest dziś sposób uprawy rolnej w Afryce — tak gospodarowali Germanie za czasów Tacyta. Takiem prawie było gospodarstwo rolne XVIII w. w stepach Rosyi południowej. Pojęcie własności ziemi jest jeszcze uprawiającemu rolę obce, chyba, że jest on kolonistą, przybyłym z kraju, gdzie własność ziemska oddawna istnieje. Społeczeństwom „pier-

[1]) Friedrich Ratzel: „Der Staat und sein Boden“. Leipzig, 1898, str. 127.

wotnym" własność ziemi przy koczowniczej jej uprawie jest niepotrzebna i zbyteczna. Obyczaj społeczny musi tu zapewnić rodowi, rodzinie, czy jednostce — to wszystko jedno — zebranie posianego, zapewnić wyłączne użytkowanie gruntu na przeciąg dojrzenia zbioru. Ponieważ rolnictwo pierwotne nie znało upraw ozimych, wymagało więc tylko prawa użytkowania na przeciąg kilku miesięcy. Ponieważ zwykle całe plemię uprawiało jedną tylko roślinę, wszyscy więc gospodarowali jednakowo, i połączenie ich gospodarstw w jedno gospodarstwo wspólne nie przedstawiało wiele trudności.

Obawa głodu była przyczyną, która zmusiła rodzaj ludzki do rolnictwa. Była to przyczyna działająca — wszędzie i zawsze — przyczyna, której nie można zaliczać do „historycznych kategoryi", działających tylko w pewnych epokach historycznych. Działała ona stale i w epokach ustalonego już rolnictwa, wywołując z chwilą, gdy ziemi wolnej zabrakło, osadnictwo wolnych ludzi na cudzej ziemi, na ziemi, która po upadku rodów, przy nowej organizacyi społecznej stała się własnością prywatną monarchy, klasy duchownej i rycerstwa.



Piewotną formą organizacyi społecznej były: rodzina, ród i plemię — t. j. organizacye, oparte na tradycyi pochodzenia od wspólnego przodka. Obojętną jest dla nas rzeczą, czy związek ten był oparty na pokrewieństwie przez ojców, czy przez matki; obojętnem jest też dla nas, czy go nazwie ktoś hordą, plemieniem, rodem, klanem czy rozszerzoną rodziną — wielką rodziną — zadrugą — pieczyszczem — ogniszczem. Nie ulega wątpliwości, że związki rodowe są zawiązkiem uspołecznienia, że były one niegdyś związkami, niezależnymi politycznie, nie uznającymi nad sobą żadnego innego związku, że one były tą „wspólnotą", która miała panowanie czy własność ziemi, i nie ulega też wątpliwości, że związki te dziś nie istnieją, — że w sferze politycznej ich miejsce zajęło państwo, które panuje nad pewnem terrytoryum w sferze prawno-prywatnej — rodzina mniejsza i indywiduum, które są najczęściej właścicielami gruntu.

Przyczyny upadku związków rodowych były różne: podbój zaś z tych przyczyn najpierwszą; tam zaś, gdzie podboju nie było, tam znów obrona przeciw podbojowi wymagała silnej organizacyi wojennej — (a w niebezpieczeństwie podboju znajdowały się wszystkie ucywilizowane dziś narody) — i tam konieczność tej organiza-

cyi wojennej wytworzyła nową formę organizacyi społecznej — opartą na wzmocnieniu władzy naczelnika siły wojennej, zastąpieniu naczelników rodu przez terrytoryalnych dowódców siły zbrojnej (duces — wojewodowie). Organizacyi rodowej nikt nigdzie nie znosił —znikła ona sama, zostawiając ślady w zawołaniach, herbach, dziedziczeniu przez synów, prawie odkupu ziemi i t. p. instytucyach szczątkowych.

Jeśli zaś mówić mamy specyalnie o narodach europejskich, których państwa powstały po upadku i na gruzach państwa Rzymskiego, to niezawodnie przyjęcie chrześcijaństwa było jedną z przyczyn upadku związków rodowych. Powaga naczelników rodu trzymała się głównie tem, że byli oni religijnymi naczelnikami związków społecznych; oparta była na religii przodków, których oni byli przedstawicielami. Chrześcijaństwo tę władzę im odjęło — organizacya rodowa została podkopaną w swej najgłębszej psychologicznej podstawie. Kościół chrześcijański musiał z władzą rodową wejść w bezpośrednie starcie, musiał usuwać wszystko to, co trąciło pogańskiem barbarzyństwem, musiał z natury rzeczy być wrogiem organizacyi rodowej i największym protektorem organizacyi nowej, wojenno-państwowej.

Z upadkiem rodu — subjektu prawa panowania i własności — i samo prawo zmianie uległo. Panowanie i własność ziemi rozeszły się wszędzie. Panowanie zostało przy państwie — społeczeństwie — własność ekonomiczna w powolnej ewolucyi czasu przeszła do rodziny i indywiduum. Związek jednak pomiędzy prawem państwa-społeczeństwa panowania nad terrytoryum państwowem a prawem własności prywatnej ziemi pozostawił do dziś dnia ślady w umyśle człowieka. Ziemia należy do narodu. Prawo własności jednostki do ziemi jest zawsze ograniczone więcej, niż prawo własności ruchomej. Władza państwowa ma prawo w imię dobra publicznego jednostkę wywłaszczyć. W Anglii do dziś dnia król jest teoretycznym właścicielem ziemi.

Upadek organizacyi rodowej, powstanie klasy wojennej i władzy monarchicznej był drugą przyczyną, oddziaływającą na kształtowanie się własności ziemi.

*
* *

Ziemia jest dla człowieka nie tylko źródłem środków pożywienia, ale i punktem oparcia „Stützboden"— „Etai". Sposób, w jaki on z ziemi użytkuje, zaczyna się od tego, że na niej istnieje, na niej

mieszka, na niej z czasem buduje sobie stałe mieszkanie, a im ciaśniej mu robi się na ziemi, im mniejszą przestrzenią ziemi musi zaspokoić swoje potrzeby, tem więcej musi przyłożyć pracy dla wyżywienia siebie z coraz to mniejszej przestrzeni gruntu. Zwiększanie się intensywności gospodarstwa ludzkiego jest zasadniczą cechą ekonomii społecznej we wszystkich krajach i epokach. Człowiek z biegiem czasu czuje się przywiązanym do tego kawałka gruntu, który uprawia i z którego żyje, i sądzi, że i ten kawałek gruntu, który uprawia, do jego osoby przywiązanym być powinien. Ziemia pod domem jest pierwszą formą własności prywatnej, a gdy ta raz powstała, koło niej, jak koło krystalicznego jądra, odkładają się nowe pokłady krystaliczne, zwiększające ilość ziemi, włączonej do prywatnej własności.

Zajęcie się rolnictwem i zajęcie stałych osad daje początek psychicznemu poczuciu zależności rodziny czy indywiduum od danego kawałka gruntu, wywołującemu chęć stworzenia gwarantowanej przez społeczeństwo zależności tego danego kawałka gruntu od rodziny czy indywiduum. Przy braku wszelkiej znajomości skutków nawożenia uprawa co roku przenosi się na inne miejsce: tylko kawał ziemi naokoło domu jest uprawiany stale co roku i staranniej. Ten też kawał gruntu i ogród jest najważniejszą własnością rolną rodzinną, dziedziczną. Wprawdzie własność ta nie jest nigdzie nieograniczoną, w wielu razach niewolno jej sprzedać — nawet w czasach stosunkowo późnych — obcemu; bardzo jednak wcześnie osada uważa się za specyalną kategoryę gruntu, idącą osobnem prawem dziedzicznem. Tak stanowi prawo salickie — tak też stanowi organizacya „miru". Prawo własności rozwija się najpierw na tej kategoryi gruntu, która odpowiada najgwałtowniejszej potrzebie człowieka i stosunkowo najwięcej pracy spotrzebowała na gruncie, stanowiącym oparcie mieszkania człowieka, i ogród.

Zarówno dane etnograficzne, jak i dane historyczne, dowodzą, że w epoce powstania rolnictwa ziemi wszędzie było więcej, niż je obecna w tej epoce ludność mogła uprawić. „Agros mutant per annos" — mówi Tacyt o Germanach — „et superest ager." Zajmowano więc pod uprawę tyle, na ile siły rodziny wystarczały, i dbano o to tylko, aby pola uprawiane leżały jak najbliżej osady. Zdaje się jednak, że nie dbano zupełnie lub też mało dbano o to, czy zajęty przez każdą rodzinę dział jest większy, czy mniejszy. O Germanach mówi Tacyt: „secundum dignitatem partiuntur", a zaimki pierwotne tak na stepach południa, jak i w lasach Syberyi (jak to zoba-

czymy później) wynosiły tyle, ile rodzina uprawić mogła. Kto chciał, uprawiał pola „in eremo", czyli „extra sortem", o ile mu sił starczyło.

Z powiększeniem się ludności niemożliwem było rozorywać każdemu, gdzie chciał i ile chciał. Ograniczono ilość uprawnej roli na rodzinę do pewnej przestrzeni (Hufe — włóka), która w całej Europie dość jednakowo wypadła od 20 do 30 morgów — 10 do 15 dziesięcin; a gdy okazało się, że ziemi poczyna brakować w pewnych okolicach, nabrała ona tam wartości ekonomicznej, stała się objektem wymiany — aktów prawnych — a jednocześnie i źródłem dochodów państwa i przedmiotem aktów prawodawczych, stanowiących, że wszelka dotąd nie zajęta ani pod rolę, ani na pastwiska ziemia zostaje własnością monarchy.

Początkowo uznanie to gruntów, niezajętych na własność panującego (w epoce tej finanse monarchy i państwa stanowią nierozdzielną całość), ma czysto teoretyczne znaczenie, osiedlanie się swobodne na ziemi pustej idzie dalej, z czasem wymaga koniecznie zezwolenia władzy i daje się tylko z obowiązkiem ponoszenia pewnych ciężarów.

Od tej chwili nadmiar ludności we wsiach wolnych ma do wyboru albo pracować na coraz to mniejszej przestrzeni rolnej, albo zajmować w posiadanie grunta monarsze, płacić podatki i ulegać słabo kontrolowanej władzy monarszych podskarbich, starostów i włodarzy, albo też brać od rycerstwa osady na prawie umowy, która, powiedzmy zaraz, tem dla osadnika jest cięższą, im mniej jest swobodnych gruntów, a więcej zdrowych robotników, poszukujących pracy na roli.

Teoretyczne zajęcie niezasiedlonych gruntów na rzecz monarchy wyprzedzało najczęściej faktyczną możność pociągania do opłat podatkowych danin i służby osobistej wszystkich osadników. Prawo Franków Ripuarskich mówi o lasach, jako o własności panującego. We Francyi w 724 r. Childebert rozporządza się lasami gmin. W Polsce w X-ym w. już książę rozdaje klasztorom i kościołom ziemie puste i lasy, w XII-ym nadaje je rycerstwu. Jednocześnie prawie rozpoczyna się rozwój stosunków poddańczych, które historycy tłómaczą najczęściej niespokojnością czasów, niemożnością pozostawania bez opieki, koniecznością oddawania siebie pod patronat króla kościoła, klasztoru lub rycerza. Co do nas, sądzimy, że i tu źródło nowego zjawiska społecznego — dobrowolnego oddawania się w poddańczą — lenną — czynszową — lub pańszczyznianą zależność, leży przedewszystkiem w stosunku człowieka do ziemi, w stosunku, o którym tak słusznie mówi Ratzel, że jeszcze za mało uwzględniony jest

tak w historyi, jak w socyologii i w ogóle w naukach społecznych. Zaciągano zobowiązania czynszowe, pańszczyźniane i poddańcze — za prawo ciągnienia użytku z roli.

Należy przytem przypuszczać — stawiamy to, jako hypotezę tylko — że tam, gdzie stosunek poddańczy zjawiał się przed ostatecznym rozkładem rodu, tam zawiązywał się on nie między panem a rolnikiem każdym zosobna, lecz między rolnikiem a głową rodu lub wielkiej rodziny, i wywoływał oznaczenie, określenie powinności wobec pana — ogółem od całego rodu czy rodziny, a nie od każdego rolnika zosobna; przyczem w miarę rozrostu rodu i rodziny i wytwarzania się śród nich nowych jednostek gospodarczych, rozkład tych ciężarów i zobowiązań wewnątrz rodu czy rodziny, pozostawiano do decyzyi samych zobowiązanych. Dla pana było wygodniej i korzystniej mieć do czynienia z gromadą, niż z pojedyńczym osadnikiem, i korzyść ta była tem większą, im pan częściej był sprawami rycerskiemi zajęty i im mniej w szczegóły swego majątku mógł wchodzić.

Obawa głodu pędziła niezawodnie kolonistów do uprawy gruntów pańskich i monarszych, do osiadania na ziemi cudzej, a w miarę, jak tych gruntów było mniej, warunki osadnictwa stawały się cięższe. W epokach, w których miasta były nieliczne, a przemysł i handel poza miastami były nieznane, zmniejszający się obszar udziału we wspólnej własności rodu czy wsi pchał z konieczności do coraz to staranniejszej uprawy tej roli, do coraz to intensywniejszego gospodarowania, coraz to większego skrapiania potem ziemi. Z konieczności porzucono system przenoszenia pól co roku w inne miejsce, zaczęto nawozić, przejęto od Rzymian trójpolowe gospodarstwo, (Czasy Karola W-go). Związek ziemi z człowiekiem stawał się coraz ściślejszym, zależność człowieka od danego kawałka ziemi i danego kawałka ziemi od indywiduum stawała się dla umysłu ludzkiego coraz jaśniejszą.

* * *

Dążność do zapewnienia człowiekowi całkowitego owocu jego pracy nie jest wyłączną właściwością XIX wieku. Właściwością tego wieku jest zniesienie różnic w prawach cywilnych mieszkańców danego kraju — zniesienie różnic, jakie istniały między mieszkańcem kraju a pełnym obywatelem państwa — zniesienie różnej kategoryi obywateli: wolnych, niewolników i poddanych; szlachty, mieszczan

i chłopów. Etyczne poglądy XIX wieku nie cierpią różnic w tym względzie.

Wielka kwestya podziału bogactw, która jest polem gwałtownych teoretycznych i politycznych walk, zrodzonych w wieku XVIII, odnosi się do tych sfer produkcyi ekonomicznej, w której robotnik nie jest właścicielem narzędzi pracy. W sferze wolnej własności włościańskiej istnieć ona nawet nie może. Oswobodzenie włościan z nadaniem im gruntów, przez nich uprawianych, zamknęło wrota pojawieniu się tej kwestyi w sferze własności włościańskiej.

Czy jednak w kwestyi wspólnej własności ziemi włościańskiej nie mają pojęcia etyczne nic do powiedzenia? czy zasada: każdemu całkowity owoc pracy — realizuje się jednakowo tak przy własności ziemi i indywidualnej, jak przy własności gminnej? Czy mir nie powstał pod wpływem tych pojęć w epoce, w której własność ziemi była obowiązkiem — ciężarem — tiagłem — i czy nie rozpadnie się w epoce, w której własność ziemi stanie się prawem, t. j. wyrazem ekonomicznego dochodu — renty — jaką daje uprawa ziemi? czy zwiększająca się zależność ilości urodzaju od ilości włożonej pracy nie wpływa na pojęcia włościanina o prawie własności? czy wzrost intensywności w rolnictwie jest bez wpływu na pojęcie własności rolnej?

Pojęcia etyczne niewątpliwie grały rolę w ukształtowaniu się „miru". Reforma 1861 r., usuwając wpływ pana i skarbu i przyznając gminie autonomię w sferze ekonomicznej, dała tym przekonaniom swobodę wyrażania się. Zaznaczamy to tutaj, gdyż w dalszym ciągu naszej pracy niejednokrotnie do tej sfery przyczyn socyologicznych będziemy musieli się odwoływać.

Wyjaśniwszy przyczyny, które wpływały na urabianie się form własności ziemi, musimy się jeszcze na chwilę zatrzymać nad wspólną własnością gminną tam, gdzie ona trwa dotąd — lub gdzie trwała najdłużej, i spróbować wyjaśnić pytanie: jakie przyczyny wywołały to utrzymanie się gminnej własności ziemi — ewentualnie opóźniły jej rozkład? Opieramy się tu przedewszystkiem na Laveley'u, który tak sumiennie notował wszystkie objawy wspólności gruntu.

Na Jawie — „dessa" odrabia pańszczyznę, i gmina zobowiązaną jest do solidarnego płacenia podatków; suma należnych podatków komunikuje się miejscowemu „*merowi*", który za zgodą wszystkich mieszkańców wsi rozkłada je [1]). Najnowsze badania wy-

[1]) Laveleye: „Pierwotna własność ziemi", str. 49 i 53.

jaśniły, że dessa nie ma nic pierwotnego w sobie; zaprowadzoną została przez Hollendrów w 1815—1830 w celach czysto fiskalnych. Podbój Jawy przez Indusów w I wieku ery chrześcijańskiej i wpływ Mahometanizmu, rozszerzającego się na wyspie od VIII w., zniszczyły wszelką organizacyę rodową i wspólną rodową własność ziemi na 1000 lat przedtem [1]). W Indyach w stosunkach z rządem wieś występuje, jako ciało solidarne; przy naznaczaniu i ściąganiu podatków rząd zwraca się do wsi całej, a nie do jednostek [2]) — w mieszkańcach wsi panuje tradycya wspólnego pochodzenia od wspólnego przodka [3]).

W Belgii wspólne pastwiska leżą w Ardennach w piaszczystej „kampinie"; trudność komunikacyi i brak miast były powodem utrzymania się starego systemu własności i uprawy [4]).

We Francyi ślady wspólnej własności ziemi pozostały najdłużej w prowincyach najbardziej odosobnionych: Nivernais, Overnii i Bourbonnais [5]). Są to dzisiejsze departamenty: Nièvre, Allier, Puy-de-Dôme i Cantal — jedne z najgórzystszych, najbiedniejszych i najmniej ludnych [6]).

W Niderlandach wspólna własność przechowała się najdłużej w prowincyi Drenthe, „wyspie piasczystej, otoczonej bagnami i pastwiskami". Pola, które niedawno jeszcze były własnością wspólną nazywają się „essch" — jak Laveleye sądzi, od „essen" [7]), ale chyba prędzej od „aesche" — popiół, co wskazywałoby i na sposób, w jaki uprawiano te pola — paląc chwasty i zarośla („Brandwirthschaft").

Szwajcarskie „Allmendy" są to, jak wiadomo, pastwiska i lasy, wysoko w górach położone; czasem torfowiska i bagna, na których rośnie trzcina [8]). Wypadki wspólnego władania ziemią uprawną

---

[1]) H. v. Kol: „Das Grundeigenthum auf Java". Neue Zeit, 1897, str. 526—533.

[2]) Laveleye l. c. str. 61.

[3]) Laveleye l. c. str. 62.

[4]) Laveleye l. c. str. 66 i 264.

[5]) Laveleye l. c. str. 189.

[6]) Przy średniem zaludnieniu Francyi 71 głów na kw. kilometr ludność tych departamentów wynosi: Nièvre 51, Allier 58, Puy de Dôme 71, Cantal 42 głowy na 1 kil. kw. Przy średniem obciążeniu podatkowem na głowę każdego Francuza 86 f. 24 c. — wnoszą: mieszkańcy dep. Nièvre 54.90, Allier 56.30, Puy-de-Dôme 55.45, Cantal 45.15 fr. podatków na głowę.

[7]) Laveleye l. c. str. 246 i 248.

[8]) Laveleye l. c. str. 220 i rozdział XVIII.

Laveleye cytuje tylko razy kilka w Stanz, Buchs, Wartau, Uri i Schwaendi.

W Niemczech Laveleye odszukuje resztek władania wspólnego koło Trewiru i w okolicy Eiffel, „kraju górzystym i zimnym" [1]). Buchenberger, podając oba te wypadki, twierdzi, że były one w związku z organizacyą poddańczą i obejmowały przeważnie lasy i nieużytki [2]).

Wspólna własność ziemi trwała też długo w Szkocyi, na wyspach Orkadzkich i Schetlandzkich [3]) — i to w sąsiedztwie Anglii, kraju najbujniejszego rozkwitu własności indywidualnej ziemi. Aby to zrozumieć, trzeba przypomnieć sobie, że w połowie przeszłego wieku pod Edymburgiem uprawiano pszenicę, jako rzadkość, że do dziś dnia wieśniacy północnej Szkocyi karmią się chlebem owsianym, i że, gdy na granicy Anglii, na południu Szkocyi rolnictwo stoi wyżej, niż w samej Anglii (zbiór średni wynosi 37 buszli pszenicy z akra, w Anglii zaś 30), to z ogólnej przestrzeni Szkocyi pod uprawę zajęto około 18% przestrzeni kraju, a w Anglii zajęto 40% i kiedy nieużytki stanowią w Anglii 25%, w Szkocyi stanowią one do 70% ogólnej przestrzeni.

Ponieważ dążymy do wyjaśnienia przyczyn, utrzymujących wspólne władanie ziemią, zajrzyjmy jeszcze do Laveley'a, aby przepisać z niego ten ustęp, odnoszący się do stosunków rolnych średniowiecznych we Francyi:

„Współczesne dokumenty ukazują nam wszędzie panów, sprzy- „jających zakładaniu lub utrzymaniu gmin. Przyczyną, mówi jeden „z dawnych prawników, która ustanowiła wspólność między ludźmi, „przywiązanymi do gleby, jest to, że grunta panów są lepiej upra- „wiane, i poddani prędzej są w stanie spłacić podatki panu, gdy żyją „wspólnie, niż gdyby stanowili tyleż gospodarstw. Często panowie, „zanim udzielą pewnych ustępstw, wymagają, aby włościanie łączyli „się w gminę. Tak aktem z r. 1188 hr. Szampanii zezwala na utrzy- „manie prawa pasania bydła tylko pod warunkiem, żeby dzieci mie- „szkały z ojcem i były przez niego żywione. W r. 1545 duchowień- „stwo i szlachta wywalczają sobie edykt, zabraniający rolnikom, „którzy wyzwalają się od pańszczyzny, być właścicielami ziemi, jeśli „nie złączą się w gminę. Do XVII wieku w Marchii (Marche) wła-

---

[1]) Laveleye l. c. str. 75.

[2]) Buchenberger: „Agrarwesen u. Agrarpolitik", tom I, str. 227.

[3]) Laveleye l. c. str. 75 i 78.

„ściciele ziemscy stawiają niepodzielność ziemi, jako warunek wie-„czystych dzierżaw" [1]).

I nie w jednej Francyi właściciele ziemi protegowali wspólność między włościanami. We Włoszech, w Lombardyi „właściciel woli „mieć za dzierżawcę rolników stowarzyszonych, niż oddzielne go-„spodarstwa. Stowarzyszenie posiada więcej środków i daje większą „rękojmię co do opłaty czynszów gruntowych w naturze i co do ści-„słego wypełniania umowy; jest ono w stanie prędzej pokierować „rozległem gospodarstwem, przenieść straty złych lat i wszystkie „wypadki, nieodłączne od wszelkiego gospodarstwa domowego" [2]).

Dane te pozwalają nam twierdzić, że były trzy przyczyny, wstrzymujące rozkład własności wspólnej i rozwój własności osobistej.

Na pierwszem miejscu stoi położenie geograficzne kraju, brak komunikacyi, opóźnienie wszelkiego rozwoju cywilizacyjnego i ekonomicznego. W krajach opóźnionych w rozwoju ekonomicznym zboże i wogóle produkty rolnictwa nie są przedmiotami zbytu. Zboże uprawia się tylko na potrzeby rodziny. Hodowla bydła jest podstawą dobrobytu, a pastwiska naturalne nie sprzeciwiają się wspólności władania, nie rozwijają uczucia zależności między człowiekiem a gruntem.

Drugą z kolei przyczyną jest natura gruntu, nie poddającego się uprawie rolnej -- wskazanego z góry na pastwisko i las. To tłómaczy nam długotrwałość wspólnej własności w Ardennach, Alpach, Szkocyi, Owernii i na moczarach Drenthe w Niderlandach.

Trzecią nakoniec były względy fiskalne — interes — zarówno władzy państwowej, jak i feodalnych właścicieli ziemi. Władza państwowa wprowadziła wspólność gruntów na Jawie, feodalizm podtrzymywał wspólnoty rodzinne w wiekach średnich. Wpływem tej samej przyczyny tłómaczy się długoletnie trwanie zadrugi słowiańskiej na południu.

Przed temi jednak przyczynami, dającemi się historycznie sprawdzić, stoi jedna, której stwierdzenie historycznie sprawdzić się nie daje: liczebny stosunek ludności do gruntu. Dopóki ziemi jest więcej, niż jej potrzeba, ziemia ma ten przez Samarina wzmiankowany charakter dobra „inappropriable" — niema wartości — nie jest przed-

---

[1]) Laveleye, l. c. str. 178.
[2]) Laveleye, l. c. str. 195.

miotem prawa własności — a pojęcie samo prawa własności ziemi jest „ciemne i niejasne“.

III.

Organizacya społeczna zarówno ekonomiczna, jak prawna i polityczna warunkuje się przedewszystkiem liczebnym stosunkiem ludności do ziemi. Na 1-m kilometrze kwadratowym mieszka dziś w Belgii 210, w Anglii właściwej 197, we Francyi 71, w Niemczech 91, w Austryi 13, w Rosyi niecałe 20 ludzi. Rosya w porównaniu z resztą Europy jest dotąd krajem niecałkowicie skolonizowanym, i— jak powiada Milukow — między historyą Rosyi a historyą Europy zachodzi ta pierwsza i najważniejsza różnica, że, kiedy w Europie Zachodniej osiedlenie się mas etnograficznych ustało koło VIII i IX w., w Rosyi ruch kolonizacyjny trwa w ciągu całej historyi, trwa ciągle, i nawet w obecnej dobie nie można go uważać za ukończony [1]. Stąd pochodzi ta „płynność” społeczeństwa rosyjskiego, o której wspomina tak często w swej historyi Sołowjew, i ten patryotyzm bez przywiązania do miejscowości (heimatsliebe), który zaznaczył Haxthausen. Jeźli cofniemy się o 10 wieków wtył, rzadkość zaludnienia, ruchliwość i brak związku z ziemią musiały być nieskończenie większe.

Rozszerzanie się tej ludności z centrów, których w pierwszej kijowskiej epoce historycznej było dwa: Nowogród i Kijów, nie szło w biegu czasu równo i bez przeszkód. Najazd tatarski zrujnował Ruś południową i stworzył nowe centrum państwowe w Moskwie. W ciągu całego panowania tatarskiego kolonizacya szła dość silnie z nowego centrum ku południu i północy aż do chwili zrzucenia jarzma tatarskiego; od połowy XIV w. po zerwaniu dobrych stosunków z hordą ludność odrzuconą zostaje znów ku północo-zachodowi, a między państwami Polsko-Litewskiem i Moskiewskiem z jednej strony a siedzibami tatarskiemi z drugiej strony, ciągnie się szeroki i pusty pas, na którym osiada ludność wojskowa i co odważniejsi koloniści, żyjący myśliwstwem i rybołówstwem. Zniesienie carstw: Kazańskiego w 1552 r., Astrachańskiego w 1557 r. i odkrycie Syberyi rozszerzają w końcu XVI w. przestrzenie niezaludnione państwa w sposób niezwykły. Ludność całą rzeką popłynęła ku południu. Po zniesieniu hordy krymskiej w końcu XVIII w. granice

[1]) Milukow: Szkice historyi cywilizacyi rosyjskiej, tom I, str. 51.

państwa sięgają Morza Czarnego. Koniec XVI i koniec XVIII w. są też epokami bardzo energicznej wewnętrznej kolonizacyi, która wzrost gęstości zaludnienia wewnątrz państwa musiała powstrzymać. Napady Pieczeniegów i Połowców w X, XI i XII w., walki między książętami pojedyńczych dzielnic w epoce kijowskiej, napady Tatarów w XIII w., nieustanne wojny z Polską od XVI do XVIII w. i wielka wojna północna w XVIII w., epoka zamieszek w początkach XVII w. zmniejszały nawet chwilowo ludność wewnątrz kraju.

Milukow [1]) ocenia ludność państwa Moskiewskiego w środku XVI w. na mniej więcej około 10 milionów ludzi; w końcu tegoż wieku na 15 milionów. W latach 1601 do 1620 ludność prawdopodobnie zmniejszyła się do 12, a w epoce wstąpienia na tron Piotra W. wynosiła około 18 milionów. Lustracye podatkowe 1678 r. w porównaniu z lustracyami 1620 r. wykazują wzrost ludności o 30%; zato te same dane każą domniemywać się zmniejszenia ludności od 1678 do 1720 r. o 20%. Ludność w 1724 była około 15 milionów, t. j. taka sama, jak w końcu XVI w. Dopiero od 1724 r. wzrost ludności w XVIII i XIX w. robi szalone postępy. Na przestrzeniach, wchodzących w skład państwa za Piotra W., ludność wzrosła z 15 do 70 milionów, które z ludnością nowo przyłączonych terytoryów (60 m.) stanowią dziś około 130 milionów ludności. Co do pojedyńczych dzielnic państwa, to Milukow oblicza gęstość ich zaludnienia w następujący sposób:

na wiorstę kw.		w r. 1678	w r. 1724
okolice	Moskwy	39.1	29.4
„	Smoleńska	9.6	7.6
„	Kijowa	11.4	11.2
„	północne	1.1	0.7
„	południowe	4.5	3.9

Cyfry te staną się zrozumialszemi, jeśli dodamy, że w Anglii w epoce Wilhelma Zdobywcy (1066) było przeszło 20 głów, a we Francyi w XIV w. około 40 głów na kil. kw.

Tak rozproszona w przestrzeni ludność była w ciągłym ruchu. Robotnika brakowało wszędzie — dlatego też „gonitwa za człowie- „kiem, gonitwa za siłą roboczą trwa w całem państwie Moskiew- „skiem w szerokich rozmiarach; uganiano się za mieszczanami, któ- „rzy uciekają od „tiagła", dokąd tylko uciec można, i ukrywają się,

---

[1]) Milukow: l. c. t. I, str. 27.

„oddają się w zastaw (zakładywajutsia), starają się wcisnąć do służby „rządowej; uganiano się za włościanami, którzy wobec ciężkich „podatków to wałęsają się pojedyńczo, to tłumami idą za skałę „(góry Uralskie); obywatele ziemscy (pomieszczyki) uganiają się „za swoimi poddanymi, którzy uciekają i kryją się czy to u innych „obywateli, czy do Małorosyi, czy do Kozaków“ [1]).

W XVII w. rząd zabrania Kozakom dońskim przyjmować obcych (1683), a w gubernii Woroneżskiej urządza rogatkę dla powstrzymania uciekających. W Noworosyi (gub. Chersońska) w połowie XVIII w. było ledwie 50,000 ludzi, w końcu XVIII w. ledwie pół miliona [2]).

„Płynność“ — koczowniczość tej ludności zwiększał zdaniem Sołowjewa brak materyałów budowlanych innych, jak drzewo. Europa była murowana — Rosya drewniana: nikt nigdzie nie osiadał na stałe — ani książę, ani bojarzyn, ani mieszczanin, ani chłop. Nie było zamków pańskich, a najwyższem prawem, gwarantującem swobodę drużyny, było prawo opuszczenia księcia. Jeszcze w XV w. w traktatach między książętami zawsze mieści się warunek: „a bojarom i sługom między nami wolnym wola”. Wolny Kozak jest ideałem narodowym aż do XVIII w.

Milukow sądzi, że aż do XVI w. rolnictwo w państwie Moskiewskiem opierało się głównie na myśliwstwie, rybołówstwie i hodowli bydła; rola dawała tylko dodatkowe źródło wyżywienia ludności; handel zbożem istniał tylko w pobliżu wielkich miast: Nowogrodu, Pskowa, a później Moskwy. Coś podobnego do folwarków istniało tylko przy klasztorach; drużyna księcia mieszkała w stolicy: w Kijowie, Moskwie lub po miastach, które właściwie były większemi wsiami. Dopiero w końcu XVI i w XVII w. zoologiczne bogactwa Rosyi centralnej wyczerpały się, i właściciele bobrowniczych lasów, rybołówstw i barci zaczęli rąbać je i karczować pod rolę. Ludność jednak nie przywykła do roli, ciągnęła ku południu, na mało zaludnione, a świeżo od Tatarów odebrane stepy, i ku wschodowi, ku świeżo przyłączonej Syberyi.

Koloniści i osadnicy wojenni uważali rolę za ostatnie źródło dochodu: uprawiali jej tylko tyle, ile koniecznie musieli. W Woroneżu w 1615 r. na każdego osadnika dawano 25 dziesięcin ziemi,

---

[1]) Sołowjew: „Historya Rosyi“, wyd. Obszczestwiennaja Polza, t. XIII. str. 661.

[2]) Milukow, l. c., t. I, str. 59 i 62.

z których on uprawiał nie więcej, jak $1\frac{1}{2}$ dziesięciny; w Oskole (gub. Kurska) dawano im po 30 dzies., z czego uprawiano pod rolę niecałą dziesięcinę. Kozacy zaporoscy i dońscy do samego końca swego istnienia (1775) zachowali charakter stowarzyszeń myśliwsko-rybołowczych, a w umowach z władzą państwową warowali sobie żołd w pieniądzach i zbożu. Nad Donem w 1690 r. koło wojskowe zabrania Kozakom, mieszkającym nad Choprem i Niedźwiedzicą (rzeczki wpadające do Donu) orać i siać pod karą „bicia na śmierć i grabieży". Tylko w okolicach Moskwy rolnictwo już w XV w. nabiera wagi. Jest trójpolówka i gdzieniegdzie nawóz. Rola niebogata z natury już w końcu XV w. mniej dawać zaczęła. Podług Herbersteina (wiek XVI) ziemia koło Riazania, Włodzimierza i Niżnego Nowogrodu dawała 20, czasem 30 ziarn i dawała lepsze urodzaje, niż koło Moskwy. Jeszcze w środku XVII w. jeden z najwybitniejszych ówczesnych magnatów — Morozow — w Zwienigrodzkim powiecie (gub. Moskiewska) co roku karczował las pod nową rolę. We wszystkich nowokolonizowanych stepach gospodarstwo było czasowe; po kilku latach orania porzucano rolę (system ugorowy, zależny), a siano na nowinie. Milukow sądzi, że system ugorowy przeważał w Rosyi do końca XVIII w. nad trójpolówką; że w Charkowskiej i Woroneskiej guberniach przetrwał on stanowczo w XVIII w., chociaż obywatele na zapytanie Ces. Wolno-Ekonomicznego Towarzystwa odpowiedzieli, że w guberniach ich panuje trójpolówka.

Haxthausen notował płodozmiany gubernii południowych; podaliśmy poprzednio z nich jeden: na 18 lat płodozmianu przypada 5 lat uprawy i 12 lat ugoru. System ugorowy spotyka się po dziś dzień w stepach wschodnio-południowych na polach folwarcznych, a czasem i na polach włościańskich, jeżeli ziemi jest dużo.

Podług ks. Wasilczykowa (t. I str. 291/2) jest rzeczą jasną, że surowy klimat na północy, a potrzeba obrony i brak wody na południu zmuszał kolonistów rosyjskich do osiedlania się gromadą, i dlatego własność gminna była pierwotną formą władania w nowych osadach z wyjątkiem może okolic środkowych państwa.

Główną wskazówką, jak organizowała się własność ziemska w nowych osadach wielkorosyjskich, powinny być obyczaje prawne osad, powstałych później, których organizacya historycznie jest stwierdzona, i tych, które już w czasach obecnych bez wpływu władz administracyjnych powstawały. Te obyczaje prawne świadczą wprost przeciwko hypotezie księcia Wasilczykowa. Świadczą one, że wszędzie i zawsze w lasach Syberyi i na stepach południa przed epoką użytkowania „mirem" idzie t. z. epoka „prawa zajęcia"

(„zaimocznawo prawa"), t. j. prawa pierwszej okupacyi, na mocy którego każdy kolonista zajmuje i użytkuje z tej ilości gruntu, jaką może siłami roboczemi swej rodziny opanować. Dokąd „socha i topór" chodziły, są uświęconem wyrażeniem dla oznaczenia terytoryalnych granic tego prawa, zarówno na południu, jak na północy i na wschodzie.

Aleks. Kaufman [1]) dokładnie opisał w licznych swych pracach tę istotnie pierwotną formę własności na Syberyi. W 1888 r. średnia wielkość gospodarstwa włościańskiego na Syberyi wynosiła w gubernii Tobolskiej 20,6, w Tomskiej 43,3, Jenisejskiej 29, Irkuckiej 23,8 dzies. *Maximum* w Tobolskiej było 159,3, w Tomskiej 128, Jenisejskiej 88,7, w Irkuckiej 54,9 dzies., i obok tych gospodarstw w tych samych wsiach istniały małe gospodarstwa włościańskie, których *minimum* wynosiło w guberniach Tobolskiej 8,5, Tomskiej 15,7, Jenisejskiej 10,9, Irkuckiej 11,9 dziesięciny. O wspólności, równości i peryodycznych podziałach przy pierwotnem zajmowaniu gruntów mowy niema. Każdy uprawia, ile może, a w dobrze zrozumianym interesie społeczeństwa czy państwa leży, aby uprawiał jak najwięcej, aby jaknajprędzej tajga czy step zamieniły się na rolę i łąkę.

Lasy i pastwiska są we wspólnem użytkowaniu; co do kośnych łąk—gospodarze wychodzą do koszenia jednego dnia i o jednej godzinie, i każdy kosi, ile może, a co ukosi, zabiera. Z chwilą, gdy gruntu nie używa, gdy grunt długo pod ugorem zostawia, każdy mieszkaniec wsi może ten grunt zająć pod rolę. Prawo swe wyłącznego użytkowania włościanin może sprzedać, darować, zastawić i testamentem zapisać; w razie śmierci bez testamentu prawo użytkowania przechodzi na dzieci. Jest to więc prywatna, jeśli nie własność, to użytkowanie, posiadanie jaknajbardziej indywidualistycznego charakteru. Granice terrytoryalne takiego posiadania oznaczano pługiem i siekierą. To pierwotne jednak prawo, które w Syberyi wschodniej trwa w całej sile, w zachodniej już się ma ku końcowi.

Sytuacya zmienia się z chwilą, gdy ilość mieszkańców wzrośnie czy to skutkiem naturalnego przyrostu czy skutkiem przypisania do włości przez władze administracyjne nowych osiedleńców, którym gmina obowiązaną jest dać ziemię. Gdy ziemi wolnej zabraknie, odbierają ją najwięcej posiadającym. Czasami podział gruntów odbywa się wprost w skutek rozporządzenia władzy administra-

---

[1]) Al. Kaufnan. Braun's Archiv für Sozialgesetzgebung u. Statistit t. IX rok 1896 str. 108. Beiträge zur Kenntnis der Feldgemeinschaft in Sibirien.

cyjnej. Z czasem musi nastąpić podział ogólny, i zwolna zjawia się formalne peryodyczne dzielenie.

Niezadowoleni likwidują się i idą ku wschodowi. Niewszyscy jednak osiedli żądają gruntu. Osady, nie mające inwentarza, obchodzą się bez roli, i takich liczono w 1888 r. 13,4%. Ludzie biedni nie upominają się u gminy o grunt — i prawo ich do udziału w ziemi gminnej jest czysto teoretycznego znaczenia. Gmina cała odpowiada solidarnie za spełnienie powinności i podatków, a podatki te i powinności rozkłada, jak za Iwana IV i Piotra W., według zamożności („po żiwotam i promysłam"), przyczem najbiedniejsi też część ich ponoszą. Ilość uprawianego gruntu jest wskazówką zamożności, i to najwyraźniejszą, najmniej dającą się ukryć, najstalszą, więc jest zapewne na pierwszem miejscu brana pod uwagę. Ale i bezrolni płacą podatki i spełniają powinności; nie sama więc ziemia jest nimi obciążoną. Na Syberyi istnieje dotąd podatek poduszny.

Mimo całej różnicy klimatu i gruntu stosunki kolonizacyjne na południu Rosyi były identyczne. Bardzo cenne dane co do nich dostarcza książka, do której nieraz uciekać się będziemy po faktyczne dane, nosząca tytuł: „Rezultaty badań ekonomicznych Rosyi, na podstawie danych statystyki ziemstw". Pierwszy tom tej pracy prawie cały poświęcony jest „Gminie włościańskiej"; materyał obrobiony został przez znanego ekonomistę W. W. (Woroncowa).

Kolonizacya stepów południowych szła z północo-zachodu na południo-wschód, była częścią wolną, częścią rządową, w części obywatelską; główny kontyngens kolonistów był małoruski, ale byli i Wielkorusi i Białorusi. Pierwotnie rolnictwo stało na drugim planie, głównem zajęciem był chów bydła. Rozorywano nowiny w 5 i 6 par wołów, najbogatszy włościanin miał pod rolą nie więcej, jak 10 dziesięcin. Do połowy bieżącego stulecia trwało to gospodarstwo przeważnie pasterskie i bardzo często koczownicze. Osiadano nie tylko gromadnie wsiami, ale też często i pojedyńczemi chałupami (futory — chutory), z których potem wyrastały wsie. Żyjący na chutorach nie ponosili żadnych danin i podatków, a wsie, w swem rozszerzaniu się znajdując przeszkodę w tych pojedyńczych osadach, starały się ograniczać ich powstawanie. W 50 i 40 nawet latach już wsie walczą z pojedyńczymi osadnikami i żądają włączenia ich do gminy. Zajęcia ziemi przez pojedyńczych osadników trwają dotąd czasem wbrew woli gminy, czasem z jej wolą i wiedzą. Źródło nasze cytuje fakta z powiatu Dnieprowskiego, odnoszące się do lat 70-tych i 80-tych. Przy pracach mierniczych końca XVIII w. oznaczono granice powiatów, dzielono je na okręgi

(dacze) i nie wchodzono, co do kogo należy, co jest czyją własnością. Dopiero w XIX w. rozgraniczono terytorya, należące do oddzielnych wsi, i podzielono ziemię: na należącą do dusz we wsi (po 15 dziesięcin na duszę) i na ziemię zbyteczną. Z pierwszej kazano płacić poduszny podatek, z pozostałej podatek od dziesięciny, rozumie się przy solidarnej odpowiedzialności całej gminy za ogół podatków, należnych od jej członków. Za najwyższego właściciela ziemi uważano państwo, ale biorąc na uwagę wszystkie ówczesne warunki, przychodzi się do wniosku, że w końcu XVIII i na początku XIX w. prawo do ziemi miało nie tyle prawny (juridiczeskij), ile faktyczny charakter (?): kto był zamożniejszy i uznał za niedogodne gospodarować na polach, blizkich wsi, ten wyprowadzał się na granice gruntów gminy albo na zapasowe grunta rządowe, które wydzierżawiano za tanie pieniądze, budował chutor, orał, gdzie chciał. Nawet wtedy, gdy całą ziemię gminną wieś zajęła, właściciel chutoru siedział na nim spokojnie, jeśli sam do gminy tej należał. Jeżeli był z innej gminy, mir wypędzał go albo zawierał dobrowolną umowę. W powiecie Chwałyńskim nawet w XIX wieku jeszcze granice własności były niepewne. „Wolnica", to jest prawo zaimki praktykowała się na ziemiach cudzej gminy i prywatnych właścicieli wbrew wszelkim aktom, przywilejom i pomiarom. Do roku 1848 ziemie 22 obywateli włości Szlachecko-Tereszczańskiej i wolnych osadników (czetwertników) nie były rozgraniczone; nikt nie wiedział, ile ma ziemi i gdzie się ta ziemia jego znajduje. Do dziś dnia, użytkowanie pewnemi częściami terrytoryów (pastwiska, lasy wody) jest wspólne dla włościan różnych wsi, różnych gmin, różnych włości, a nawet różnych powiatów.

Ziemia zajęta przechodziła zwykle na syna; sprzedawano ją też swobodnie, ale bogatsi włościanie nie orali nigdy dłużej na jednem miejscu, jak lat 3 do 6. Przechodzili na nowe stepy, wymagające przy pierwszem rozoraniu 6 do 10 par wołów w pługu, a dawne role porzucali; zajmowali je biedniejsi, którzy mieli po 2 do 3 par wołów [1]). W takich warunkach gospodarczych prawo własności roli jest bezcelową fikcyą, prawem zwierzchnictwa, ale nie prawem ekonomicznego wiecznego używania.

Osadnictwo na ziemiach prywatnych: obywateli i klasztorów

---

[1]) „Rezultaty" t. I str. 2—10.

w XV i XVI w. czasami miało prawną podstawę w umowach piśmiennych, t. z. „riadnych gramotach". Właściciel ziemi miał zwykle pewną władzę policyjną nad osadnikami. Warunki ekonomiczne takiego osadnictwa były różne: osadnik był albo najmitą, albo zobowiązywał się oddawać część plonu: stąd „połowniki" i „tretniki"; książę dawał kolonistom zwolnienia podatkowe na pewien szereg lat. Miało to czasami taki skutek, że, gdy ten szereg lat upłynął, osadnik uciekał, aby na nowem miejscu nowe ulgi uzyskać [1]). Aby tego uniknąć, zamiast „riadnoj" robiono „ssudnuju zapis", rodzaj osobistego zastawu, który pozwalał zbiega odszukać i na osadę zawrócić [2]).

Wszystkie te dane i fakty sprzeciwiają się stanowczo twierdzeniu ks. Wasilczykowa, że Rosya kolonizowała się „mirem" i że peryodyczne podziały stanowiły zasadę, stosowaną od samego początku nowej wsi czy osady. Peryodyczność podziałów w gminie rosyjskiej, nie jest bynajmniej obyczajem pierwotnym, i dlatego zachodzi konieczność zbadania, jak i kiedy podziały te powstały.

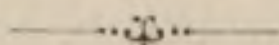
(*Dok. nas.*) *St. Piotrowski.*



[1]) Sołowjew l. c, tom IV str. 1212, tom V str. 1533, tom VII str. 385.
[2]) Milukow l. c. str. 201.

ZE STUDYÓW
nad „Szkołą ukraińską”.

(KIERUNEK LUDOWY W POEZYI).



I. Tomasz Olizarowski.

„Samotność stepowego kraju, istotne bezludzie jego w porównaniu do innych, zupełna obcość gminu cywilizacyi klas wyższych są rękojmiami zachowania się u niego bez żadnej zmiany narodowości jego, ciekawej, bo przekazanej zapewne od bardzo odległych czasów, poetycznej, bo wyrobionej szczególnym bytem społecznym, a do tego powstałej u ludu bardzo bogatej fantazyi i głębokiego uczucia. Bardzo więc sprawiedliwie — pisał Michał Grabowski z okazyi „Zaweruchy” Olizarowskiego — że u nas cała poetycka szkoła oparła się na tym duchu rodzinnym... jeszcze sprawiedliwiej, że najnowsi poeci tej szkoły biorą się wywieść na jaśnią obyczaje i poetyczność tego ludu, obecne, nie oddalone, nie martwe, ale owszem dziś jeszcze istniejące, żywe, chociaż sięgające takiej starożytnej kolebki i widocznie powstałe śród tak niepodobnego do dzisiejszego stanu niemal całego świata”.

Gdzież przyszedł na świat i w jakich wzrósł warunkach poeta,

któremu znakomity krytyk wyznaczył zaszczytne miejsce wśród poetów szkoły ukraińskiej? Nie na Ukrainie urodził się i wiek swój młody przepędził Olizarowski; kolebką jego był obwód Rzeszowski, pacholęce zaś lata przeszły mu szybko na Wołyniu—nad Styrem i Ikwą, w których to okolicach ojciec jego, pracując na chleb codzienny, jako oficyalista prywatny, przebywał. Poeta „szkoły ukraińskiej" nigdy Ukrainy nie oglądał, bo skoro dorósł, zbiegiem wypadków musiał opuścić Wołyń i pójść daleko w obcy kraj z tęsknotą w sercu za ukochanym zakątkiem. Miał jednak znaczenie, i to niemałe, pobyt na Wołyniu w twórczości naszego poety. Ojciec Olizarowskiego sprawował obowiązki gospodarskie w którymś z większych majątków, a stąd młody chłopak musiał się obracać wśród ludu prostego, poznał jego charakter i usposobienie, zwyczaje i obyczaje, wierzenia i przesądy.

Nie znał tedy Olizarowski Ukrainy, a jednak pierwszy jego większych rozmiarów utwór p. t. „Zawerucha" został nazwany „powieścią ukraińską." Utwór ten, stworzony podczas pobytu we Lwowie po upadku powstania listopadowego, spotkał się pomimo wielkiego natenczas jeszcze zapału dla gminnej poezyi z niebardzo przychylną krytyką — zdaniem Grabowskiego — z tego powodu, że recenzenci, mówiący o rzeczach ukraińskich, mieli „jakieś przesadne i napuszone wyobrażenie o Kozakach, czumakach, znachorach i krasawicach, wyobrażenie, powzięte z czytania poezyi ukraińskiej szkoły, lecz które, przeniesione do powszedniej prozy, wyglądają trochę zabawnie, a co gorsza, zwodzą samych krytyków o rzetelnym stosunku tych malowideł poetyckich do rzeczy, które malują..."

Już w tej pierwszej powieści poetyckiej Olizarowskiego widnieje dążność do realistycznego odtwarzania postaci ludowych wraz z ich obyczajem i przesądem. Utwór zaczyna się od pieśni. Wyjechał Kozak w step na koniu, ażeby przynieść na żądanie „krasawicy wśród krasawic", Ruciany, córki znachora, szmat chmury i tem udowodnić, iż ją kocha. Goni Kozak chmurę wśród burzy gwałtownej, póki koń nie pada. Skąd wziął się ów Kozak, który pędzi z wiatrem w przegony, skoro Olizarowski nie był na Ukrainie? Prototyp do naszkicowania tej postaci widział Olizarowski niejednokrotnie w szkołach w Krzemieńcu, dokąd zaglądał „złotobrody Emir". Trudno przypuścić, ażeby ów Wacław Rzewuski, o którego czynach cała Ukraina, Podole i Wołyń brzmiały pieśniami bandurzystów, nie zainteresował młodego chłopca, ażeby go nie zaciekawił zastęp, towarzyszący możnemu panu, i nie utrwalił się w jego pamięci. I te to postaci o ogorzałych od żaru afrykańskiego słońca licach, w bo-

gatych strojach i buńczucznej postawie dały Olizarowskiemu materyał do stworzenia postaci Zawieruchy.

Pojechał tedy Zawerucha w step—na majdanie tymczasem rozpoczęły się tany. Cały ten ustęp pieśni pierwszej nosi na sobie wyraźne ślady oddziaływania pierwiastków ludowych, wszystko bowiem: i ów „skotarz", nawołujący trzodę, i owa młódź, tańcząca do upadłego, rozmowa z Rucianą — zostało stworzone w duchu ludowym. Ostatnie nadto wiersze tej pieśni, kiedy to:

„Potem miesiąc wstał rumiany,
Barwę wschodu omył z siebie;
Cichy, smutny, zadumany
Coraz wyżej rósł po niebie:
Świecił twarzą rozbieloną,
Opromieniał stepu łono..."

zostały pojęte — według świadectwa Grabowskiego — „oczyma gminu, kąpiel bowiem świateł niebieskich jest dla niego wyobrażeniem zwyczajnem, może zabytkiem mitologicznych wierzeń, coby mogły wesprzeć szczęty ukraińskich, a nawet litewskich piesen (*sic!*), idących widocznie z czasów pogańskich."

Zrozpaczony utratą konia idzie Zawerucha do karczmy i tam spotyka się z czumakiem. Opis tego ostatniego, jego pieśni i opowiadania są jakby żywcem z ludowych opowiadań skreślone.

Czumak Olizarowskiego śpiewa: „*Oj ja, czumak nieszczęśliwy! Z biedy chodzę ledwo żywy.* Albo w wodzie *się utopię, Lub o kamień się rozbiję.* Może bieda się odczepi, Może w ziemi będzie lepiej." Nie inaczej mówi biedny czumak w pieśni ludowej: „*Oj ja, czumak neszczastływyj! Idu* z szynku *ledwe żywyj*" [1]); albo też: Ach *ja, czumak neszczastływyj, Żiju w żurbi ledwe żywyj...* Piszow czumak *topytysia...* Abo pidu zawiszusia, *Abo w skały rozibjusia* [2]).

Dalszy ciąg tej pieśni w poemacie Olizarowskiego został nadzwyczaj udatnie w duchu ludowym skreślony, bo i w pieśniach ludowych czumak w rozpaczy idzie do karczmy.

Fakt ów dalej, iż czumak i Zawerucha „milczkiem siedzą, jak dwa wilki, gdy psa zjedzą", iż Zawerucha, usiadłszy „niemy, głuchy, w twarz czumaka oczy wlepił", i wreszcie, kiedy się obaj poznali— „podali sobie dłonie, przez stół wzajem smutne skronie pochyliwszy,

---

[1]) P. Czubinskij: „Trudy V". Str. 1060, Nr. 188A.

[2]) Hołowackij: „Narodnyja piesni galickoj i ugorskoj Rusi. Moskwa. 1878. str. 178, Nr. 2, lub III. Część I, str. 76.

uderzyli w półkwaterki" jest równie trafnie z życia ludu ruskiego zdjęty, bo lud ten jest bardzo małomówny i tak samo smutny, jak te dwie kreacye w utworze Olizarowskiego.

Całe nadto opowiadanie czumaka ma za podkład fakty, z życia ludu ukraińskiego wzięte. Czumak „urodził się pod płotem", co nader często na Rusi się zdarzało, a jego ojca powieszono za to, iż uczestniczył w rozruchach hajdamackich i w rzezi humańskiej, a ta przecież kara spotkała w znacznej części hajdamaków. Tak samo zgodne z duchem opowiadań ukraińskich są szczegóły, zawarte w dalszym ciągu opowieści czumackiej, gdyż to, iż matkę jego utopiono, „bo z przetakiem uganiała w dzień po łące za rosami" [1]), a w nocy schadzki miewała z dyabłami—znane było chłopstwu z tradycyi średniowiecznej; tak samo wreszcie ów ustęp, w którym mowa o nieszczęściach czumaka, a więc o tem, jak „woły, konie pozdychały", chata rozpadła się w gruzy, jak resztki mienia przepił w karczmie—skreślony został na osnowie pieśni ludowych, które często o podobnych kolejach losu opowiadają [2]).

Tymczasem wchodzi do karczmy znachor, ojciec ukochanej Zaweruchy. Postać zaś jego skreślił poeta z opowiadań ludowych o tego rodzaju ludziach. Lud przypisuje znachorowi nie mniejszą moc i potęgę, jaką mu nadał Olizarowski w swoim utworze. Ma tedy ów znachor „nadludzkie widy i słuchy", rozumie tajną mowę duchów, rozmaite środki posiada przeciwko urokom i chorobom, „czytać w gwiazdach przyszłość umie". Jemu dalej „burze i pogody znać o sobie dają wcześnie", a tak umie zamawiać słabości, że „w kąt doktory przed nim pańskie" [3]).

Ciąg dalszy utworu, kiedy to ojciec zaprasza Kozaka z czumakiem do siebie w gościnę, poczem sprawia wesele swojej córki Ruciany z mołojcem, który konia utracił z miłości, — nie wykazuje śladów oddziaływania ludowych motywów z wyjątkiem chyba tego miejsca, w którem jest mowa o miłości: „Niechby lepiej w trumnie całki, Rozsypywał się w proch miałki, Niż ma kochać półkochaniem, *Lub zwać miłość przywiązaniem.*"

Ożenił się tedy Kozak z Rucianą, przybrawszy sobie nieszczę-

---

[1]) Literaturę, odnoszącą się do czarownic, podaję niżej w studyum o Al. Grozie.

[2]) Czubinskij: „Trudy". Str. 1062.

[3]) Por. E. Rulikowski: „Zapiski etnograficzne z Ukrainy" (Zbiór wiadomości do antr. kraj. III, str. 102). A. Podbereski: „Materyały do demonologii ludu ukraińskiego" (ibidem. IV, str. 60).

śliwego czumaka za brata. W czumaku tymczasem, którego miłością wzgardziła Ruciana dawniej, zbudziła się zazdrość i chęć zemsty, postanowił też zbrodnią szukać szczęścia w nocy; „pod noc Kozak do czumaka: Do kurhanu pójdźmy w gości, I pogrzebmy konia kości."

Od tego też miejsca — jak trafnie zauważył M. Grabowski — „zaczyna się tok powieści z coraz większą prostotą, z coraz większą siłą wewnętrzną, z wydatniejszą barwą poezyi gminnej", teraz bowiem Olizarowski, chcąc czytelnika przygotować na mord, jakiego się czumak dopuścił na Kozaku, wprowadza rozmowę sprzętów w izbie znachora. Nie był to jednakowoż wyłącznie wpływ ludowy, bo jeśli się rozpatrzymy w ustępie tym bliżej, zobaczymy, iż lud nigdy nie wyobraża sobie, ażeby sprzęty mówiły, gdyż śmierć zwiastuje raczej spadnięcie danego przedmiotu. Pobudką do wprowadzenia takiej sytuacyi był może „Zamek Kaniowski" Goszczyńskiego, w którym mamy analogiczną rozmowę puszczyków. Przypuszczenie to tem się nam prawdopodobniejszem wydaje, że podczas pisania „Zaweruchy" częstokroć widywał się poeta z Goszczyńskim. Wprowadził tedy do utworu swojego Olizarowski rozmowę stołu, łóżka, ławki, ścian i t. d., bohomazów(?) na temat mordu i przyszłych wypadków, jakie niebawem nastąpić mają. Wykonanie tego pomysłu jest — zdaniem Grabowskiego — „zręczne i we wszystkich szczegółach poetyckie". Być może, sam pomysł jednak jest nadzwyczaj niefortunnym; dowodzić tego niewarto.

Scena odwiedzin, kiedy to kuma przychodzi do chaty znachorowej, jest wykonana zgodnie z obyczajami ludowymi: jak w życiu codziennem zamożnych chłopów, tak i u naszego poety, gospodarstwo spożywają z przybyłą kumą „miód w plastrach", zapijając się wódką. A i sama rozmowa utrzymana jest w tonie naiwnych rozmów ludowych, a zwłaszcza opowiadanie, jak to Ruciana odebrała rozum jednemu mołojcowi, który zakochał się w niej na zabój i od jej zamęścia „do nikogo nie przemówi, nie pokłoni się nikomu, nie zaśmieje się do żadnej," lecz wyszedłszy z chaty o brzasku dziennym, powraca aż późną nocą. Chłop ruski nie inaczej zachowuje się, jeśli ukochana jego wyjdzie za mąż za innego; rozpacz ta jednak trwa krótko.

Na sam dopiero koniec utworu zgromadził Olizarowski mnóstwo szczegółów, z życia i wierzeń pospólstwa ruskiego zaczerpniętych, cały szereg ornamentów w tym rodzaju, jak: upiory, które „od kurhanu ciągną tłumnie," ażeby przypatrzyć się świeżo zabitemu

Zawerusze, wyjące żałośnie psy na stepie, co, jak wiadomo, jest najzupełniej zgodne z duchem opowiadań ludowych.

Co się tyczy czumaka, który, zgładziwszy ze świata męża Ruciany, a następnie ją samą także życia pozbawił, to fakt ten odpowiada najzupełniej tylekroć powtarzającym się i dzisiaj jeszcze wydarzeniom, iż włóczęga wiejski za dobrodziejstwo złem się odpłaca najczęściej. Wprowadził wreszcie Olizarowski do powieści wiele wyrazów, z ruskiej mowy ludowej zapożyczonych, jak np.: „piać" (śpiewać), „lulka" (fajka), „żałko" (smutno), „bura" (buria = burza), „donia" (córka) i t. d. Nie należy nadto zapominać, iż epilog „Zaweruchy", stworzony przez Olizarowskiego w późnej starości, osnuty został na motywie, z ust ludu zaczerpniętym i tylekroć powtarzającym się w opowieściach, iż duch czumaka, który zabił się po dokonaniu morderstwa na Rucianie, co dzień o północy opuszcza mogiłę, wydobywa swoje serce i ciska je na łzami przesiąknięty kurhan, poczem wkłada je w pierś swoją. Że motyw pokutującego za ciężką zbrodnię ducha został z wierzeń ludowych zapożyczony, tego nie potrzebujemy już dowodzić.

Drugim z kolei utworem, na tle ludowem osnutym, jest powieść wołyńska z miejscowego podania „Topir Góra", której tytuł w dwu pierwszych wydaniach brzmiał „Krzyż w Peredylu". Pomysłu dostarczyła Olizarowskiemu legenda ludowa o krzyżu kamiennym, znajdującym się we wsi Peredylu. Treść zaś jej jest następująca: „Hordy Tatarów drapieżnym, właściwym sobie obyczajem, z ogniem, strzałą, handżarem i arkanem uganiając po ziemiach ruskich, nakryły zniszczeniem mnogie aż po Bug sioła; pomiędzy niemi i Peredyl. W Peredylu kraśną dziewczynę, pasącą trzodę, Tatarzy ująć do jassyru pomknęli się; ta, w ucieczce nie zdołając wynaleźć ratunku, rozkrzyżowawszy ręce, zawołała: „ratuj mnie, Boże!"—i w tej postawie skamieniała. Oto treść powiastki gminnej, z której autor skorzystał" [1]).

A teraz przypatrzmy się, jak z tej legendy powstała osnowa poematu Olizarowskiego. Rozszerzył poeta opowieść, wprowadzając do poematu parę kochanków — on zginął, broniąc swej lubej przed Tatarami, ona zaś zamieniona została w krzyż kamienny. Ponadto dodał wiele faktów, których opowiadanie ludowe nie miało, a które przecież zgodne są z obyczajami i wierzeniami gminnemi; do tych należy ów dziad „z lirą pod pachą, z torbą na grzbiecie, z kosturem w ręku", od którego dowiedzieli się mieszkańcy wsi o zbliżającym się

[1]) Tomasz Olizarowski: „Exercycije poetyckie". Londyn. 1839. Str. 125.

napadzie tatarskim; nadto—ornament o krukach i wronach, lecących przed czambułami, w które to ptaki, jako zwiastuny śmierci, wierzy lud ruski, jak niemniej i ta sytuacya, kiedy to duch dziewczyny wychodzi w nocy z kamiennego krzyża „cichemi stopy" na rozmowę z kochankiem; należy tu wreszcie i ten szczegół, iż płacz matki ciężył i sprawiał niewymowne cierpienia zabitemu przez Tatarów synowi. Oprócz tych faktów, odpowiadających podaniom ludu, wprowadził Olizarowski do utworu szereg sytuacyi, obcych legendzie przytoczonej, jak opis ucieczki mieszkańców w lasy, napadu Tatarów i ich pogromu przez wojska polskie.

Również na tle ludowem została skreślona inna „powieść ukraińska" p. n. „Sonia", w której przedstawił poeta zemstę czarownicy, na wiejskiej dziewczynie dokonaną. Utwór zaczyna się od opisu czarownicy:

Pomarszczona żółta skora
Wystające kryje gnaty;
Brwi wylazłe, włos kudłaty;
A źrenica kocia, bura.

Jaka gęba, jakie zęby!
Niech Bóg broni od tej gęby,
Jak od głodu i powietrza!
Jaka przytem baba letka!...

. . . .

Trzeba widzieć to stworzenie
Przy miesiąca świetle nowem —
W piątek Boże Narodzenie,—
Czarownica, jednem słowem.

Opis powyższy czarownicy został stworzony, jak to sam Olizarowski w przypiskach wyznaje, „według powszechnych opisów czarownicy" i zgadza się z duchem wierzeń ludowych, bo i chłop nie inaczej wyobraża sobie wiedźmy, bo i on wie z tradycyi minionych wieków, iż, jeśli obwinioną o czary niewiastę zważono, waga zaś jej była niewielka, uważano posądzenie za słuszne, gdyż lekkość ciała potwierdzała zarzut unoszenia się w powietrzu, bo i lud wierzy, iż czarownice w czwartek po nowiu księżyca latają na sejm, odbywający się na Łysej górze, i że przed słowem „czarownica" należy wymówić dzień, w którym przypada Boże Narodzenie.

Że dalej czarownica może zrobić z człowiekiem, co tylko chce, to każdemu wiadomo, stąd też poszło, że Olizarowski, w myśl wierzeń ludowych, kazał czarownicy zakląć Kozaka Horyma, ażeby błą-

kał się po świecie i nigdy nie powrócił do domu. Zaklęcie skutkuje, albowiem ze dworu wysyłają Kozaka w drogę tego samego dnia. A potrzebne to było czarownicy do zemsty na dziewczynie, którą wnet z Kozakiem poróżniła. A że zaklęcie takie ma podstawę w wierzeniach ludowych, tego dowodem zabobon, iż zapomocą czarów człowiek może być „porwany w powietrze... i latać będzie aż do śmierci ponad ziemią wśród męczarni, spragniony i znużony". A czyż pomiędzy tem wierzeniem a zaklęciem czarownicy w „Soni" nie widać wyraźnej analogii?

Nadto wprowadził Olizarowski do swojego utworu pieśń czarownicy („Tadry, tadry, hu, hu, hu!"), sądząc, iż stworzona jest w duchu pojęć ludowych. Tymczasem tak nie jest, bo mimo niektórych reminiscencyi z wiary gminnej np. o sądzie, który karze czarownice, ub o księdzu, który bywał obecny przy egzekucyach sądowych, pieśń ta mogłaby chyba posłużyć do ośmieszenia ludowego motywu — tak jest nieudolna.

Dokonała tedy czarownica na dziewczynie zemsty za to, że pokochała Kozaka, gdyż dziewczyna truje się po odjeździe kochanka ziołami. Fakt śmierci przy pomocy użycia t. zw. „trut-ziela", jak nie mniej rozmowa matki z córką o śnie i o konieczności zachowania cnoty — odpowiada zupełnie tonowi rozmów ludowych i analogicznym wydarzeniom w życiu rzeczywistem, że „trut-zielem" zadają sobie śmierć pozbawione kochanka dziewczęta. I na tem kończy się wszelkie oddziaływanie pierwiastków ludowych na genezę „Soni".

I w drobnych wierszach odbił się wpływ dumek ludowych, dwa zaś utwory są niemal ich tłómaczeniem. Porównajmy np. „Wyjazd Kozaka" z pieśnią ludową:

Homon w dąbrowie, a tuman	Homin, *homin po dibrowi.*
Z niwy *na niwę się słania.*	*Tuman pole pokrywaje.*
Czegoż to Kozak zaduman?	. . . .
Matka do Turek *wygania.*	*Maty syna prohaniaje.*
Trzy siostry: *ta konia wiedzie,*	Starsza *sestra konia wede,*
Ta *zbroję* z komory *niesie;*	A pidstarsza *zbroju nese,*
Najmłodsza dowiedzieć chce się.	*A najmensza wypytuje:*
Kiedy brat z wojska przyjedzie.	Koły, brate, z wijska pryjdesz? [1]

---

[1] M. Maksimowicz: „Małorossijskija piesni". Moskwa, 1827. Str. 5—6.

Podobnież dumka z cyklu „Padwanki": „Tęskniż, tęskni serce moje, och za tobą miła!", jest niemal dosłownym przekładem z dumki rusińskiej: „Ach! jak tiażko serce tużyt' za toboju, myła!" [1]).

W jakim stopniu odbił się pierwiastek ludowy w późniejszych pracach Olizarowskiego, o tem niewiele możemy powiedzieć, bo one niemal wszystkie leżą dotąd w rękopisach. Obszerna powieść poetycka, stworzona w roku 1846 w domu generała Chłapowskiego w Poznańskiem, p. t. „Złote jabłka", osnuta została na tle baśni ludowych o czarownicach, wiedźmach i dyabelskiem królestwie. Tak samo na tle ludowem skreślił Olizarowski swoje „Omanki", które są duchami zaklętych dziewic, zamieszkującymi góry Tatrzańskie, a wreszcie dramat, napisany w Paryżu, p. t. „Rogneda".

Jak widzimy, Olizarowski nie szukał „poetyczności ukraińskiej" w latach ubiegłych, przysłonionych mgłą tajemniczości, ale czerpał bądź z obyczajów ludu współczesnego, bądź z krainy baśni i legend fantastycznych; nie był prostym naśladowcą, jak Aleksander Groza np., trawestujący całe baśnie bądź dosłownie, bądź z nielicznemi zmianami; pomysł zapożyczony umiał przeistoczyć, dobrać do niego stosowne akcesorya i oramenty, czego dowodem „Topir Góra". W innych zaś większych utworach łączył jedynie poszczególne pierwiastki w jedną całość, tworząc z nich pomysł oryginalny, choć niekiedy spaczony i dochodzący do t. zw. hyperromantyzmu. A że pierwiastek ludowy objaśnia się w jego poezyi nie modą tylko, lecz miłością ludu ruskiego, o tem zaświadczyć mogą wymownie następujące wiersze z poematu „Topir Góra":

„O ty, serdeczny ruski narodzie!
Z ludzkiej na oko odarty cechy,
Nigdyś ty pewnym nie był swej strzechy,
Nigdyś szczęśliwej nie zaznał pory..."

II. Aleksander Groza.

„Nie bez pewnego zakłopotania przychodzi mówić teraz o gminnej jakiejkolwiek poezyi. Przedmiotem tym jesteśmy wszyscy prze-

---

[1]) Hołowackij: „Narodnyja piesni". I, str. 340 lub III, część I, str. 429. Por. Wacław z Oleska: „Pieśni polskie i ruskie". Lwów, 1833. Str. 321—322.

syceni aż do niesmaku. Kilku pisarzy, kilkunastu poetów, kilkudziesięciu podrzeźniaczy, ciągle mają na ustach poezyę gminną, podania, klechdy i t. d., i t. d. Jedni zachwalają to wszystko, jako rzeczy najosobliwsze, drudzy pokazują ich próbki, lub wciąż jedne, lub trochę tylko powykręcane; wszyscy na wysokie szczudła wsadzają rzecz maleńką; co ludzi dobrego smaku zaczęło już niecierpliwić i oburzać..." [1]). Te słowa wyszły w r. 1845 z pod pióra M. Grabowskiego, „jednego z zasiewców i krzewicieli tego chwastu *gminomanii*", w rozprawie p. t. „O gminnych ukraińskich podaniach". W ten sposób wyrzekał człowiek, który „chciał, ażeby zwrócono uwagę na skarby, zawarte w samorodnej poezyi ludu," kiedy myślał, „że tych skarbów będą wyszukiwać pracowicie, użytkować z nich z talentem i gustem."

A gdybyśmy zapytali, czy te słowa mają uzasadnioną podstawę, czy istotnie poezyą gminną byli „wszyscy przesyceni aż do niesmaku," to odpowiedź musi wypaść twierdząco. Owa poezya ludu, jego pieśń i klechda, ta, którą Mickiewicz chciał mieć „arką przymierza między dawnymi a młodszymi laty", której szczytną apoteozę odtworzył w „Konradzie Wallenrodzie", kiedy to stary wajdelota litewski, doradca i przyjaciel wielkiego mistrza Zakonu, zanucił rzewną piosenkę, stała się z czasem czemś, co w literaturze przybierało potworne kształty i, zamiast upiększać ją, szpeciło okropnie. Był wprawdzie ten ludowy pierwiastek w dziejach polskiej poezyi w kilku pierwszych dziesiątkach XIX stulecia czynnikiem ożywczym, ale z czasem, kiedy reforma poezyi stała się faktem — musiał stać się zbędnym, a przynajmniej wymagał od poety potężnej fantazyi i wysubtelnionego poczucia piękna. Mieli te warunki Zaleski i Goszczyński, poniekąd nawet Gosławski, to też pieśń gminna czy bajka świetlana, zaklęta w ich rymy, nabierała olśniewającego blasku i przedziwnej barwy. Komu jednak warunków owych nie dostawało, ten musiał niechybnie wpaść w ton fałszywy. Tak stało się w czasie balladomanii ze wszystkimi niefortunnymi naśladowcami Mickiewicza, tak samo też stać się musiało i z tymi *minorum gentium* poetami, którzy wystąpili na widownię literacką po Zaleskim i Goszczyńskim. Słuszne tedy były wyrzekania Grabowskiego, on zaś nie przestawał się kłopotać o to, ażeby wynaleźć jakiego poetę, któryby nanowo wskrzesił w artystycznej szacie tradycyę ludową, któryby wplótł nić złotą baśni czy legendy wieśniaczej w swoje opo-

---

[1]) „Rubon", wyd. K. Bujnicki. Wilno, 1845. VI, str. 145.

wieści i zadowolnił gust ogółu, zniecierpliwionego niestosowną trawestacyą dumki gminnej, jakich tyle pojawiało się na szpaltach pism peryodycznych.

Marzeniu temu stało słę zadość. Znalazł się poeta w osobie Aleksandra Grozy, który zadaniu miał odpowiedzieć w sposób należyty, i jego to namawiał Grabowski „do zajęcia się tem niezwłocznie. Będzie to praca łatwa i ponętna, a przez zimę urodzi się tomik tych bajek, które przyjmiemy z rozkoszą.“ Wychowaniec szkół bazyliańskich w Humaniu, rówieśnik Bohdana Zaleskiego, bo o parę lat tylko od niego młodszy, odznaczał się miłością piosenki ludowej, choć pozbawiony był większego talentu poetyckiego. Że ta miłość musiała się zrodzić szybko w sercu Ukraińca, o tem wiele nie potrzeba mówić. Urodzony w stepach, wśród ludu, który, „jak wszystkie inne gałęzie słowiańskiego szczepu, zachował dużo przyrodniej narodowości i szczętów w najodleglejszych czasach wykształconego uobyczajenia“ (a były one prawdziwą poezyą), szczątki zaś te „dochowały się jeszcze całkowiciej, jak u wielu innych i z charakterystyczniejszą właściwością“, wychowany wśród ludu, obdarzonego z natury „wielkiem czuciem i żywą fantazyą“, a pozbawionego „cywilizacyi klas wyższych“ [1]), musiał Groza od najwcześniejszych lat rozwoju swojego umysłu karmić się pieśnią wieśniaczą tęskną, niosącą ból bezdenny i skargę rozpaczną. Jak zaś te śpiewy do serca mu przypadły, o tem świadczy opowiadanie jego o latach szkolnych humańskich, zawarte w „Mozajce kontraktowej“. To też nie dziw, iż echa melodyi, zasłyszanych w dzieciństwie, odezwały się potem donośnie, skoro tylko Groza począł próbować się w poezyi, ozwały się one początkowo nieśmiało, z cicha, w niewielkiej ilości, póki nie przeszły niemal... w trawestacyę pieśni ludowej.

Utworem, w którym pieśń wieśniacza najmniej pozostawiła po sobie śladów, jest z trzech części składająca się „powieść ukraińska z podań ludu“ p. t. „Starosta Kaniowski“ [2]). Osnowy dostarczyła Grozie znana powszechnie na Ukrainie pieśń o córce bednarza, którą pan Kaniowski w zapalczywej złości zastrzelił [3]).

Usłyszawszy w wieśniaczej dumce, iż młoda dziewczyna „całą

---

[1]) M. Grabowski: „Literatura i krytyka“. Wilno, 1840. I, str. 53 i nast.

[2]) Posługuję się tu wydaniem warszawskiem z 1855 roku.

[3]) Waryanty tej pieśni zapisali: P. Czubinskij: „Trudy“. Petersburg, 1874. V, str. 426—428, Nr. 818. Wacław z Oleska: „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego. Lwów, 1833, str. 493 — 494. O. Kolberg: „Pokucie“. II, str. 4—6, № 4—5 i str. 293—294, Nr. 510. T. J. Stecki: „Wołyń“. I, str. 111—113.

noc hula" przy dźwiękach muzyki, opisuje Groza wesele, „prowadzone przez huczną troistą kapelę", które przyszło na zamek prosić pana starostę o błogosławieństwo. Utworzywszy na podstawie jednego wiersza pieśni ludowej całą sytuacyę, rozwija Groza dalszą akcyę zgodnie z duchem opowiadania: i u niego córka bednarza pozyskała łaskę pana starosty. Na tem urywa się na czas długi wpływ pieśni ludowej; poeta tworzy sytuacye, jakich w pieśni niema, opowiadając o uratowaniu dziewczyny (Hanny), przez zausznika starosty i o ślubie jej z nim, a następnie o uwięzieniu męża Hanny w lochach zamku Kaniowskiego. Z chwilą dopiero, w której zrozpaczona losem Szulaka żona przybywa sama na dwór starosty, zaczyna wpływ pieśni ludowej brać górę nad samodzielnością Grozy. Zgodnie z dumą ukraińską kreśli poeta dziką namiętność starosty ku Hannie i jej ucieczkę z komnat możnego pana, a wreszcie pochwycenie jej przez nadwornych Kozaków. Pan starosta rozkazuje stawić przed siebie Hannę, w zapytaniu zaś jego, skierowanem ku nadobnej krasawicy:

„Czy mnie kochasz, mów zaraz; kochasz, do kościoła
Pójdziem w parze; nie kochasz, *na cmentarz* ty sama"...

słychać odgłos słów starosty Kaniowskiego z pieśni ludowej:

„Oj, czy wołysz, Bondariwno, medu-wyna pyty,
Oj, czy wołysz, Bondariwno, *w syrej zemli hnyty?*

Jak w dumie ukraińskiej, tak i w powieści Grozy następuje odmowna odpowiedź Hanny, za co ponosi ona śmierć z ręki starosty. Zgodnie z tekstem pieśni gminnej widzimy i w powieści Grozy, iż pan starosta popełnił morderstwo w zapamiętałym gniewie i dopiero po dokonanym fakcie ocknął się.

Tak samo nakoniec, jak w dumie wieśniaczej, starosta buduje grobowiec dla zabitej. Oto są fakty, które zapożyczył poeta do utworu, na szerokie zakreślonego rozmiary.

Lecz i sama postać srogiego starosty Kaniowskiego wyszła z pod pióra poety zgodnie z duchem tradycyi, która do dzisiaj żyje na Ukrainie: bo i tutaj jest ten możnowładca otoczony całym pocztem służalców i szlachty, taki sam jest jego tryb życia, takie same biesiady rozpustne. Zgodnie z tradycyą ludową gasi starosta świece kulami pistoletowemi, dziewczętom podczas tanów obcasy wybija, a hajdukom asy z pomiędzy palców wytrąca. Tak samo, jak sławny pan Siciński, i nasz starosta Kaniowski każe babom leźć na

drzewo i kukać, jak kukułka, ażeby je następnie z rusznicy uśmiercić niespodziewanie [1]), lub też posyła sąsiadowi swojemu, wojewodzie, który go raz zaskarżył do sądu o zabicie dwu Żydów, cały wóz, napełniony Żydami, okropnie pokaleczonymi [2]), albo nakoniec prowadzi wojnę domową z Komargrodzkimi. Te wszystkie tradycye żyją po dziś dzień na Ukrainie.

Z innych reminiscencyi, z ust ludu zaczerpniętych, wymienić tu należy owo podanie ręcznika Szulakowi przez Hannę na znak, że wyjdzie za niego, i przywitanie wracającej od ślubu pary w progu chaty chlebem i solą przez Mokrynę, opis korowaju i pochodu weselnego do zamku starosty Kaniowskiego. Ażeby już do reszty wyczerpać to oddziaływanie pierwiastku ludowego na powieść Grozy, musimy zatrzymać się nad jednym z końcowych ustępów „Starosty Kaniowskiego":

Czego lata po lesie kruk, latając, kracze,
Czego chodzi po mieście ojciec, chodząc, płacze?
Jak nie krakać krukowi, nie płakać ojcowi,
U tego puste gniazdo, u tego dom wdowi;
Tego dzieci pobite i w drzewo wszczepione...

Miejsce to stworzone zostało na podstawie przesądu, do czego zresztą sam poeta w przypisku się przyznaje, iż, jeśli kto chce wiedzieć wszystko i mieć wszystko, powinien wyszukać gniazdo krucze i młodym krukom głowy porozbijać i wszczepić je w gałąź, znajdującą się obok gniazda, a kruk wtedy albo przyniesie żywiącą wodę i młode ożywi, albo do gniazda rzuci kamień, przy pomocy którego można wszystko mieć i wiedzieć [3]).

Zupełnie ten sam sposób zużytkowania motywów ludowych widzimy i w innej „powieści ukraińskiej" Grozy p. t. „Martyn", z tą tylko różnicą, że w niej nic a nic nie zmienił Groza baśni ludowej. Treść „Martyna" jest następująca. Chłopu umiera jedno dziecko po drugiem, kiedy więc przychodzi mu na świat ostatnie, prosi śmierć na ojca chrzestnego. Ona też po dokonanym obrzędzie wyjawia Martynowi tajemnicę leczenia chorób, polegającą na tem, że, kiedy

---

[1]) Por. „Etnograficznyj Zbirnyk". Lwów, 1899. VI, str. 291—2.
[2]) Ibidem., 311.
[3]) Ignacya Piątkowska: „Obyczaje ludu ziemi sieradzkiej". (Lud. Lwów, 1898. Str. 421). Dr. Jan Karłowicz: „Podania i bajki zebrane na Litwie". (Zbiór wiad. do antr. krajowej. Kraków, 1888. XII, str. 30—31, Nr. 66).

lekarz, przyszedłszy do łoża chorego, ujrzy śmierć, stojącą w głowach, może chorobę uleczyć, ale, jeżeli śmierć stanie u nóg, chory musi umrzeć. Martyn staje się wnet sławnym doktorem i uciułał bez trudu ogromny dostatek. Po latach jednak zaprowadziła go śmierć do podziemi, w których stały rzędem płonące świece, wskazujące, jak długo ma człowiek żyć jeszcze. Z żalem dowiedział się Martyn, iż życie jego wnet musi się skończyć, bo świeca już się dopalała. Chcąc oszukać śmierć, każe sporządzić łoże, w ten sztuczny sposób skonstruowane, iż mogło się w różne strony okręcać. Kiedy raz zasłabł i śmierć po niego przyszła, on okręcał się z łożem, nie chcąc dopuścić, ażeby stanęła mu w nogach. Nie udało się to mu wszelako, zgon musiał nastąpić, bo mimo szybkich ruchów łoża śmierć stała ciągle w nogach przebiegłego Martyna.

Na tem kończy się utwór. Ażeby poznać, jak zużytkował poeta baśń ludową, przekształcając jej osnowę w formę artystyczną, przytoczymy jeden z waryantów tej szeroko rozpowszechnionej baśni:

„Biednemu człowiekowi tak dużo rodziło się dzieci, że już mu nikt do chrztu nie chciał trzymać. Aż spotkał Śmierć, a ta go się pyta: „Czegoś taki zafrasowany?" — „Oto mi w kumy nikt iść nie chce do ostatniego dziecka". — „No, to ja pójdę" — rzecze Śmierć i poszła. Chrześniak Śmierci rósł i uczył się, a urosłszy, został doktorem. Ona mu się pokazywała i, radząc uważać na siebie, powiedziała: że, gdy ją ujrzy (dla pacyenta niewidzialną) w nogach chorego, to będzie znak, że chory wyzdrowieje; gdy zaś przeciwnie, to umrze. Kierując się wedle tej wskazówki, wiedział zawsze doktór, jaki obrót weźmie choroba pacyenta, i, gdy ujrzał, że źle, umykał zawczasu. I dobrze mu się z tem działo. Ale raz ciekawością zdjęty zapytał się Śmierci, czy i jemu samemu w chorobie w tenże sam ukaże się sposób. A ta kazała mu w odpowiedzi iść za sobą. I powiodła go wieczorem do gęstego boru, gdzie między gałęziami drzew ujrzał mnóstwo świateł i światełek. Zapytana, coby to znaczyło, Śmierć mu odpowie: „Te świeczki, które tu widzisz, są to płomyki żywota ludzkiego; w miarę, jak się która dopala, przychodzi i życie ludzkie do swego kresu; a gdy się dopali i zgaśnie, to i umiera człowiek".—On się tedy zapytuje: „A któraż to jest moja świeczka?"— „Oto ta — odrzecze Śmierć (ukazując mu jedną z nich, której knot już się dopala) — więc i twój koniec jest niedaleki". To powiedziawszy, znikła. Gdy tedy zachorował doktór i, ujrzawszy Śmierć w głowach, wiedział, co go czeka; kazał się, by Śmierci zmylić szyki, na

łóżku obracać; ale Śmierć biegła za nim i zawsze się w głowach ukazała z gasnącą już jego świeczką..." [1]).

Osnowa tedy tej bajki pozostała i w „Martynie" niezmieniona. Co się tyczy zaś dwu szczegółów, które uległy zmianie, to być może Groza słyszał inną wersyę, której nie znamy, albo też zmienił podanie w duchu tradycyi miejscowej. Wiadomo bowiem powszechnie, iż, jeśli komu dzieci się nie chowają, winien dziada zaprosić za „kuma" [2]), a owe świeczki żywota ludzkiego znajdują się przeważnie w podziemnych pieczarach.

Inaczej już przedstawia się kompozycya powieści „Głuche jezioro". Nie z jednej legendy użył poeta motywów do swojego utworu, lecz próbował słyszane przesądy łączyć razem i z nich dopiero budować całość; wprawdzie ustępy główne są oparte zupełnie na tradycyi ludowej, całość jednak stanowi pomysł Grozy, stworzony z kombinacyi pojedyńczych elementów. Pierwszy z nich o rycerzu, który do ukochanej dziewczyny zlatuje w postaci jasnej gwiazdy z niebiosów, osnuty jest na wierzeniu ludu ukraińskiego o t. z. „żmiju latawcu", którego miłostki z dziewczętami są wszędzie znane, a który przylatuje do swojej lubej niemal zawsze, jako jasna gwiazda lub tęcza świetlana [3]), opowieść znów owego ducha rycerza o spaleniu zamku w obronie przed wrogami jest oparta na tradycyi, iż król Wescek, nie mogąc oprzeć się potędze Krzyżaków, spalił zamek swoich ojców, jak o tem mówi Groza w przypisku do utworu. Trzeci fakt, który posuwa akcyę naprzód—o czarownicy, jaką miała być kochanka owego ducha, która „zorzę zwodziła do siebie", zatrzymywała deszcz i porankową rosę, osnuty jest na powszechnej wierze ludu, iż czarownica „przed wschodem słońca biega po łąkach i z kwiatów zbiera rosę" [4]); następny, ale połączony z poprzedzającym go ściśle, iż dziewczynę, uznaną za czarownicę, palono na stosie, jest aż nadto dobrze wiadomy tradycyi ludowej, jak o tem świadczą liczne opowieści na ten temat [5]). Ostatni wreszcie o zapa-

---

1) O. Kolberg: „Lud". Kraków. 1875. VIII, str. 136—137, Nr. 54.

2) M. Federowski: „Lud białoruski na Rusi litewskiej". Kraków, 1898. I, str. 801, Nr. 1642.

3) E. Rulikowski: „Zapiski etnograficzne z Ukrainy" (Zbiór wiadomości III. str. 90, Nr. 12).

4) Ks. Wł. Siarkowski: „Materyały do etnografii ludu polskiego z okolic Kielc" (ibidem. str. 33. Nr. 9 i str. 34. Nr. 1).

5) ibidem. loc. cit. E. Rulikowski: „Zapiski". op. cit. str. 31—32, Nr. 2. Dr. J. Karłowicz: „Czary i czarownice w Polsce". (Wisła. I, str. 15 i nast).

dnięciu się wsi w jezioro i o ukazywaniu się ducha dziewicy i rycerza nad jego falami został również z wierzeń ludowych zaczerpnięty. Co się tyczy legend na ten temat — to podałem je na innem miejscu i do niego odsyłam moich czytelników [1]). Na tem tle, na tych głównych momentach, zapożyczonych z ust ludu, osnuł Groza opowieść o „Głuchem jeziorze", które nawet faktycznie istniało na Białorusi.

„Powieść białoruska" p. t. „Maryna" jest pod względem sposobu zużytkowania motywów ludowych zupełnie analogiczną z utworem poprzednim, i tutaj bowiem na podstawie tradycyi z powiatu siebieżskiego na Białorusi zbudował poeta całość, łącząc kilka różnych wierzeń, pieśni i obrzędów. Już na samym początku utworu, w pieśniach, które Groza włożył zgodnie z obyczajem ludowym w usta drużek i licznie zebranych gości weselnych, odbił się wpływ pieśni ludowych. Oto przekład: *Wstawaj, matko! twoje dziecię* Rusą kosę już rozplecie; Nie masz sprawy w twoim domu, *Błogosławić* niema komu. *Oj radabym* dom mój sprawić, *Moje dziecię błogosławić*, *Ale mowę śmierć odjęła*, Sine *usta wiecznie ścięła*. Chcę otworzyć moje *oczy*, Lecz się *żółty piasek* toczy; Chcę do góry podnieść głowę, *Cisną deski ją dębowe. Dziecię moje!* niechaj ciebie *Błogosławi Bóg* na niebie *I Przeczysta*, Aniołowie *I sąsiedzi* i druhowie."

A oto pieśń białoruska: „*Ustań, mamuchna*, ustań, rodnaja, *k' swojemu dziciaci*, *Błohasłaulenika (sic!) daci. Radab ja* ustaci *K'swojemu dziciaci*, *Błohasłaulenika* (*sic!*) *daci;* Czornaja smaha *Na hubach pała*, *Nie mahu prehukaci; Zoutyje piasoczki* Zasypali *w oczki*, Nie mahu prehlanuci... *Dubowyje* doszki *Ścisnuli nożki*, Nie mahu pachodzici.. *Z Boham dziciatka! Boh ciebie błahasławić... Praczystaja* Matka, Boh ciebie błahasławić, Dobryje ludzi, Bliskije susiedzi [2]).

Przytaczamy jeszcze przykład niemal dosłownego tłómaczenia:

Sad zielony pod wrotyma,	Piered worotami zielonyj sad,
A w sadzie nikogo niema,	U tom sadoczku nikoha niet;
Krom Maryny, co hulała,	Tolki Maryśka hulała,
Gibkie ławki obmywała	Hibkije łauki maściła,
I bojarki rozsadzała	Swoich bajarek sadziła,
I zieloną rutę siała i t. d.	Zialonu rutu siciła i t. d [3])

[1]) St. Zdziarski: „Pierwiastek ludowy w poezyi A. Mickiewicza". Lwów 1898. Str. 29 i 87.

[2]) „Piosnki gminne białoruskie" (Rubon, Wilno, 1843. III, str. 145—146.). Por. Adolf Černy: „Pieśni białoruskie". (Zbiór wiadomości. XVIII, str. 195, Nr. 5).

[3]) „Piosnki gminne", Op. cit. str. 149.

Czy ostatnia piosenka dziewcząt w powieści Grozy została zapożyczona z pieśni ludowej, nie umiemy napewno oznaczyć [2]). Wydaje się nam jednak prawdopodobniejszem przypuszczenie, iż została ona oryginalnie przez Grozę stworzona, a tylko utrzymana w tonie piosenek ludowych białoruskich i stąd na pierwszy rzut oka robi wrażenie, jakoby była parafrazą czyli też naśladowaniem weselnego śpiewu gminnego.

Poszła tedy Maryna za mąż za Wasila, ale niedługo szczęście w jej domu mieszkało; Wasil ożenił się wnet z drugą, a ją kazał sługom utopić w jeziorze. Szczegół ten powstał w fantazyi Grozy, chociaż nie jest nieprawdopodobnem, aby utopienie Maryny nie miało podkładu ludowego, zwłaszcza, że w pieśniach białoruskich utopienie spotyka bardzo często niewiastę za jakiekolwiek bądź przewinienie [3]). W każdym razie szczegół sam wprowadzenia do utworu złego i okrutnego męża jest zgodny z duchem ludowych pieśni białoruskich.

Następna część „Maryny", kiedy to fala zanosi ją do jakiegoś nieznanego kraju, „gdzie, jak ludzie, mówią ptaki", i cały jej tam pobyt aż do chwili, w której wyprawia swojego syna na wojnę, została tak do całego toku opowiadania zręcznie przystosowana, iż wydaje się być na tle ludowem skreśloną, chociaż jest oryginalnym pomysłem Grozy. Od tego dopiero ustępu, w którym występuje Wasilko do walki ze żmijem, oddziaływanie utworów wyobraźni ludowej zwiększa się znacznie. A więc najprzód ów smok, żmijem nazwany, „z łona burzy", jest w opisie swojej postaci urobiony na analogicznym potworze, tylekroć w baśniach ruskich powtarzającym się [4]). Nie inaczej ma się rzecz i z rusałką, którą Wasilek spotyka na jeziorze: to także postać, wzięta z pieśni ludu. Pieśń rusałki jest zupełnie w tonie ludowym trzymana [5]). Ciąg zaś jej dalszy, kiedy

[2]) Zaznaczamy, iż podczas pisania naszej pracy nie mogliśmy mieć pod ręką tak ważnej publikacyi, jak Romanowa: „Biełorusskij sbornik".

[3]) Por. Wł. Weryho: „Dumki białoruskie ze wsi Głębokiego". XIII, str. 87—88, Nr. 8—9; str. 97, Nr. 29.

[4]) Por. M. Federowski: „Lud białoruski". I, str. 120, Nr. 342; str. 126 Nr. 344—345; str. 131, Nr. 347. (Zbiór wiadomości. III, str. 66 i nast., Nr. 7 i in.)

[5]) Por. St. Zdziarski: „Pierwiastek ludowy w poezyi A. Mickiewicza". Lwów, 1898. Str. 82.

to rusałka obiecuje dać młodemu chłopcu „skarby świata", ukryte w jeziorze, „pałac kryształowy" i wszelkie rozkosze, odpowiada w zupełności pojęciom ludu, który opowiada np. o tych niezmiernych bogactwach rusałek, zamieszkujących podwodne pałace i oddających się ciągle rozkoszy zmysłowej [1]).

A i ta cudowna woda, otrzymana przez Wasilka od pokonanego czarownika, oparta jest w zupełności na przesądzie gminnym [2]), tak samo wreszcie ów obrzęd weselny, przed którego rozpoczęciem

Wszyscy starym obyczajem
Poszli na biesiadę z gajem;
Nie z gajem, lecz z praojcami,
Którzy śpią pod mogiłami.
Jaja po grobach taczali
I przyszłość odgadywali,

a potem żałowali zmarłych przodków, leżących w mogile—osnuty jest na starodawnym obyczaju, o którym sam Groza w przypiskach do swojej powieści opowiada. Jest mianowicie na Białorusi zwyczaj, iż pierwszego dnia Zielonych Świąt zbierają się kobiety na cmentarzu, przyczem każda rodzina zamiata groby swoich krewnych, a potem tacza około nich jaja, z których obrotu wróży o zdrowiu i powodzeniu w roku następnym. Po tych dopiero wróżbach następują żale po zmarłych, połączone z narzekaniem na własne cierpienia i dolegliwości, zdarza się więc często, że matka oskarża ojca, żona męża i t. d. Na tym to obrzędzie osnuł Groza koniec swojej powieści, wprowadzając do niej tak samo skargę matki Wasilka na swojego męża, który ją kazał był dawniej utopić.

Michał Grabowski zachwycony był „Maryną" i dlatego najusilniej namawiał Grozę, „ażeby porzucił na chwilę wszelki inny rodzaj poetyckiej pracy, a wziął się do tego. Dotknąłeś Pan — pisał do niego — niezmiernie ważnej w obecnej chwili naszej literatury; dałeś dowód najwyższego w tem talentu; nieodżałowaną byłoby więc stratą, żebyś nie jął się tej sprawy. Co do mnie, radbym Pana namówić, ażebyś bez najmniejszej zwłoki temu się poświęcił; bo, jak poświadczam, potrzeba rzeczy jest wielka; Pan jesteś jeden, o którym pewność mieć można, że jej wydołasz..." [3]). Groza zabrał się do pracy, zaleconej mu przez Grabowskiego, i wnet, bo w roku 1846

---

1) Por. A. Jucewicz: „Wspomnienia". Str. 102 i nast.
2) Por. M. Federowski. Op. cit., str. 110, Nr. 378.
3) Rubon. 1845. II, str. 212–213.

napisał powieść ukraińską „O duszach umarłych”, która jest dosłownem przerobieniem opowieści ludowej, zamieszczonej w rozprawie Grabowskiego p. t. „O gminnych ukraińskich podaniach” [1]). Treść zaś tej legendy jest następująca:

„Jednej pani umarło dwoje dziatek: Hanusia i Katrusia. Matka ciągle płakała; przyprowadzono do niej babę, która „zamierała” i w tej godzinie była na tamtym świecie, ażeby jej opowiedziała o zmarłych dzieciach. Stara Dubinicka nie tylko opowiedziała, jak te dziatki przed Matką Boską, robiącą pończoszki, złote kłębki nici trzymają, czem odrazu rozweseliła panią, ale też wiele przygód, jakich doznała na tamtym świecie, a więc o śmierci swojej, o czumakach, zamienionych w psy, o marznącym starcu i t. d. Otóż tej powieści nadał Groza formę wierszowaną, nie zmieniając nawet zupełnie niektórych zwrotów [1]).

I do powieści „Jastrzębiec” wprowadził Groza żywcem motywy i zwroty ludowe, nie zmieniając ich wcale. Treść zaś wersyi ludowej jest taka [2]). Biedny człowiek poszedł z synem w świat, ażeby znaleźć dla niego jakie miejsce. Spotkał pana, który zgodził się wziąć chłopaka do obowiązku, za co po roku miał ojciec otrzymać wór złota. Kiedy po roku ojciec przyszedł po syna, ten objaśnił go, iż ów pan jest czarnoksiężnikiem i że zamieni dwu innych w orła i koguta, a jego w gołębia. Kiedy czarnoksiężnik kazał ojcu poznawać, który z trzech ptaków jest jego synem, ojciec naturalnie odgadł i dostał wór złota. Syna pozostawił na służbie, za co znowu po roku miał otrzymać taką samą nagrodę. Czarnoksiężnik zamienił tym razem syna w koguta, ojciec jednak znów poinformowany poznał syna i znowu wziął wór złota. Tak samo było po upływie trzeciego roku. Zabrał tedy stary syna i złota wór i wracał do domu. Ponieważ jednak ojciec znużył się drogą, złoto zakopano, syn zaś zamienił ojca i siebie w parę gołębi i w ten sposób obaj dostali się szybko do domu, gdzie długi czas szczęśliwie żyli. Syn atoli, który podczas pobytu swojego u czarnoksiężnika nauczył się rozmaitych sztuczek, razu pewnego zmienił się w konia, ojcu zaś rozkazał zaprowadzić się na jarmark i sprzedać, a zatrzymać tylko uzdę. Na targu sam król kupił konia, ale koń uciekł ze stajni, przemieniwszy się napowrót w człowieka. Skoro o tem dowiedział się

---

[1]) Ibidem, str. 193 i nast.

[2]) Dr. Jan Karłowicz: „Podania i bajki“. (Zbiór wiadomości. XII, str. 38—40).

czarnoksiężnik, wybrał się na targ i owego syna, któremu zachciało się figle płatać, kupił znów od ojca, uzdeczki jednak nie zwrócił, poczem, przyprowadziwszy konia do siebie, spętał łańcuchami i zamknął w stajni. Koń jednak zrzucił pęta i począł uciekać: czarnoksiężnik puścił się w pogoń i już go miał schwycić, gdy wtem koń przemienił się w zająca. Czarnoksiężnik rzuca się za nim w postaci psa, lecz zając przemienia się w gołębia, a następnie w okonia. Gdy czarnoksiężnik, zamieniwszy się w szczupaka, już miał połknąć okonia, okoń zamienił się w pierścień i rzucił się na kładkę nad rzeką. Praczka królewny, ujrzawszy złoty pierścionek, podjęła go i oddała królewnie. Gdy czarnoksiężnik o tem się dowiedział, przybył do zamku królewskiego, jako kupiec z drogocennymi towarami. Król wybrał sobie parę sztuk kosztowności, zapytawszy zaś kupca o cenę, dowiedział się, że ten żąda tylko pierścionka królewny. Poznawszy w kupcu czarnoksiężnika, błaga królewnę, ażeby rzuciła pierścionek o ziemię, mówiąc, by w mak się rozsypał, a jedno ziarnko nakryła trzewikiem. Czarnoksiężnik, skoro tylko królewna tak zrobiła, zamienił się w koguta i począł mak zjadać. W tem ziarnko maku z pod trzewika zmieniło się w orła i rozszarpało koguta. Przywróciwszy sobie potem postać ludzką, syn owego biednego człowieka ożenił się z piękną królewną i żył z nią długo i szczęśliwie.

Taka jest osnowa bajki ludowej. Kompozycya „Jastrzębca" różni się od kompozycyi powieści „O duszach umarłych" tem, iż Groza zmieniał pojedyńcze fakta. Najprzód tedy szlachcic ma nie jednego, jak w bajce gminnej, ale więcej synów, których wyprowadził na stanowisko prawnika, to księdza; kiedy zaś ostatniego prowadzi do szkoły, spotyka nieznajomego pana, któremu oddaje syna na naukę. Wprowadził dalej Groza do swojej powieści wspaniały zamek, którego niema w baśni, a który był mieszkaniem czarodzieja, zmienił nadto liczbę lat, bo u niego nie co roku przychodzi ojciec do syna, ale co lat siedem. Inny jest też sposób, w który ojciec poznaje syna, tam bowiem sam syn objaśnia go, w jakie zwierzę będzie przemieniony, tutaj zaś powiada mu to most. Opuścił dalej poeta fakt ukrycia skarbów podczas powrotu do domu, jako też przemienienie się szlachcica i syna w gołębie, syn zaś każe się w opowieści Grozy dlatego sprzedawać, że skutkiem zbytkownego życia ojciec strwonił otrzymane od czarnoksiężnika pieniądze. Nie przemienia się tedy u niego syn w konia, lecz najprzód w sokoła, potem w charta, a dopiero za trzecim razem sprzedaje go ojciec pod postacią konia czarnoksiężnikowi, zapłata jednak, jaką ojciec otrzymuje, została zamieniona przez Grozę zgodnie z duchem wierzeń ludowych w błoto, bo i lud mniema, iż pieniądze czartowskie zamie-

niają się w kamień, błoto i t. p. Inny jest dalej sposób ukarania szlachetki, kiedy go zakupił czarnoksiężnik: tam, jak widzieliśmy, zamyka go nowy pan w stajni i pęta łańcuchami, tutaj zaś wiesza go na szubienicy, od śmierci zaś niechybnej wybawia go mucha. I koniec powieści jest nieco zmieniony, bo u Grozy czarnoksiężnik przychodzi na dwór starosty nie jako kupiec, lecz jako gość, który dopomina się o zgubiony pierścień.

Na długi czas zamilkł Groza. Dopiero w roku 1872 napisał „misteryum z podań narodowych" na temat tylekroć przedtem wyzyskiwanego już w literaturze polskiej Twardowskiego. Część pierwsza tego utworu wolna jest niemal zupełnie od wpływu podań ludowych, a i na jej genezę ten wpływ jest nieznaczny, z wyjątkiem bowiem trzech piosenek, które są albo żywą pieśnią gminną, albo też jej naśladowaniem, reszta wolna jest zupełnie od reminiscencyi. Pierwsza z nich („W czarnym lasku ptaszek śpiewa, Tam Kasieńka drzewka zrywa, Nawiązała, nałamała I Jasieńka zawołała" [1]) jest dosłownem powtórzeniem któregoś z waryantów ludowej piosenki. Pieśń druga o Marcie, która mimo niedawnego zgonu męża tańczy w karczmie z wesołymi husarzami, jest parafrazą odnośnej piosenki ludowej. Trzecia wreszcie, na której podstawie osnuł Groza sytuacyę wykrycia zabójcy, stworzona została pod wpływem znanych powszechnie wersyi baśni o piszczałce, i to bajki ruskiej, gdyż w nich jedynie można spotkać się z morderstwem brata, podczas gdy w bajkach polskich jedynie siostra zabija siostrę. Wiadomo to już z obszernej pracy Bugiela [2]), iż wersye i bajki o piszczałce zawierają w sobie moment, kiedy to zabójca gra piosenkę na dudce wierzbowej, która mówi o dokonanym czynie morderczym i w ten sposób wykrywa zbrodniarza. Na tym tedy momencie osnuł Groza sytuacyę w swoim utworze, bo i tutaj Franciszek gra na piszczałce wierzbowej pieśń: „A pod tą wierzbą leży Urodziwy brat Jerzy, *Zabił jego braciszek*, Zyzowaty Franciszek; Zabił niby to w zwadzie *Za wieprza, co rył w sadzie*".

Analogiczna piosnka, którą sam słyszałem na Podolu galicyjskiem, brzmi: „Pomalu, pomalu Krauczyku kraj — A momu serdeńku Żal ne wrywaj! *Brat mene wbyw*, Na łani skryw, *Za* toho *wepryka, Szczo w sadi ryw*."

---

[1]) Por. O. Kolberg: „Mazowsze". IV, str. 278—279, Nr. 251.

[2]) W. Bugiel: „Tło ludowe Balladyny". (Wisła, 1893. VII, str. 339 i nast., 557 i nast.; 665 i nast.). Wacław z Oleska: „Pieśni ludu ruskiego". Lwów, 1833. Str .200.

W części drugiej „Twardowskiego" napotykamy o wiele więcej ustępów, stworzonych na podstawie klechd ludowych. Tylko, że wszystkie te zapożyczenia nie pochodzą wprost z baśni, słyszanych przez Grozę, lecz z wydania „Klechd" Wojcickiego, co przypuszczamy na tej podstawie, iż dostały się tutaj one z temi upiększeniami, jakie w baśniach, przez siebie ogłoszonych, poczynił sam wydawca. A więc widzimy w utworze Grozy scenę, kiedy to dyabeł przewraca skałę wierzchołkiem na dół, a podstawą do góry (str. 23); nie inaczej przedstawił to zdarzenie Wojcicki, mówiąc, iż dyabeł przyniósł skałę wysoką, przewrócił na dół najcieńszym końcem, ażeby tak wiecznie stała [1]). Następnie sytuacya owa, kiedy to na żądanie Twardowskiego dyabli znoszą z Karpat srebro do Olkusza, opiera się na podaniu u Wojcickiego, gdzie mistrz kuternoga rozkazuje dyabłu srebro w Olkuszu zakopać i piaskiem przysypać [2]). Jedną tylko uczynił tutaj zmianę poeta, bo podczas gdy w podaniu ludowem obie te czynności wykonywa dyabeł po otrzymaniu cyrografu — w utworze Grozy robi to przed otrzymaniem zapisu. Sposób dalej, w jaki cyrograf został podpisany (Twardowski krwią, z serdecznego palca wytoczoną, zatwierdza akt), został tutaj wprowadzony żywcem z wersyi legend o Twardowskim [3]). Tak samo też szczegół o zniknięciu dyabła, któremu towarzyszy huk grzmotów i burzy, jest zupełnie zgodny z duchem ludowych pojęć i zabobonów.

Po raz drugi objawił się wpływ ludowy w „Twardowskim" w tej części, gdzie wierny Paweł ma odkopać odrodzonego mistrza:

Wszystkom *tak robił, jak uczył*, jak kazał...
Ciało pokrajał... balsamem *namazał*...
Obwinął... złożył do trumny cedrowej
Z duszą zamkniętą w flaszce kryształowej...
Po siedmiu latach, miesiącach i dobach,
Zda się, powinien być koniec szczęśliwy...

Jak zaś silny wpływ był baśni Wojcickiego na genezę tego ustępu, o tem nietrudno przekonać się z porównania tekstów: Twardowski kazał się posiekać w kawałki i *przepisał mu* (uczniowi), *jak ma dalej postępować*. Uczeń rozgłosił śmierć Twardowskiego; jakoż znikł czarnoksiężnik, a tymczasem *krajał ciało jego*, siekał, gotował

---

[1]) Klechdy. Warszawa, 1851. I, str. 204.
[2]) Ibidem., loc. cit.
[3]) Ibid., l. c.
[4]) Ibid., l. c.

zioła i maści. Tak posiekawszy, maścią *nasmarował*, zlał sokami roślin i złożył napowrót ciało, jak należy... Twardowski polecił, aby przez *trzy lata, siedem miesięcy, siedem dni* i siedem godzin leżało ciało nieodkopywane" [1]). Tak samo dalej o północy, przy pełni księżyca rydlem odkopuje grób, z którego wychodzi odmłodzony Twardowski, zupełnie, jak to przedstawił Wojcicki w swojej baśni.

To samo da się powiedzieć o owej sytuacyi w utworze Grozy, w której Twardowski ukazuje królowi Zygmuntowi Augustowi ducha Barbary; sam ton mowy i przestróg mistrza, skierowanych do króla, wskazują, iż i ten ustęp powstał pod wpływem klechdy Wojcickiego:

. . . . . „a jak miły gość zawita,
Wasza Królewska Mość niech nie go pyta
O nic, ni z swego miejsca się nie rusza..."

Taką samą prośbę zanosi przed ukazaniem się Barbary czarodziej w klechdzie, zapisanej przez Wojcickiego: „Ostrzega tylko Twardowski Augusta, aby, w milczeniu i spokojnie siedząc, na widok ukazującej się królowej z miejsca się swego nie ruszył..." [2]) Ostatnia wreszcie scena porwania Twardowskiego przez dyabła zdradza mimo wielu naleciałości ballady Mickiewicza p. t. „Pani Twardowska" także wpływ podania ludowego, bo i tutaj dyabeł spotyka Twardowskiego w karczmie, Rzymem zwanej, bo i tutaj tak samo, jak u Wojcickiego, stada wron, kruków i kawek obsiadają dach karczmy, kiedy zaś dyabeł go unosi w powietrze — śpiewa godzinki do Najśw. Panny Maryi, skutkiem czego dyabeł go opuszcza, a Bóg zawiesza wśród chmur, mówiąc doń: „Zostaniesz do dnia sądnego zawieszony tak, jak teraz!" [3]). Słowa zaś, wyrzeczone do niego u Grozy:

Paweł przy tobie — w pająka postaci,
Snując nić z siebie, do ludzi współbraci
Zbiegnie i wszelkie nowiny zdarzone
Zaniesie w twoje ucho upragnione...

wykazują znowu, wpływ Wojcickiego, który w swojej klechdzie powiada: „Pająk, wierny towarzysz, przyczepiony do jego nogi, spuszcza się na swojej nici ku ziemi, przygląda, co się dzieje, wraca

---

1) Ibid. II, str. 168—169.
2) Ibid. I, str. 242.
3) Ibid., str. 210.

napowrót i, usiadłszy na uchu, rozpowiada mu, co widział i usłyszał, czem nędzarza pociesza" [1]). I oto już wszystko, co z tak rozpowszechnionych klechd o mistrzu-kuternodze dostało się do „misteryum" Grozy, inne bowiem nadnaturalne zjawiska, mocą nadprzyrodzoną dokonywane, mimo pozorów ludowości zostały bądź z wyobraźni stworzone, bądź skąd inąd zaczerpnięte, jak np. ten fakt, iż w chwilach, zanim Twardowski wstał z grobu, złe duchy przeszkadzają odkopującemu mogiłę Pawłowi i straszą go, stanowi reminiscencyę z dokończenia „Tukaja" przez Odyńca.

Wielką tedy rolę odegrał ludowy pierwiastek w twórczości poetyckiej Grozy; sądził poeta, że „pieśń jego ubierze sława w sokole bezśmiertne pierze". Że się omylił, to dziś wiadomo każdemu; spełniło się to, czego się nie spodziewał, choć pytał:

Czy ty upadniesz mchem na mogile
I zaśniesz na wieki w pyle?

Stało się to, a pieśń jego zasnęła i upadła dla potomnych, którzy jej nie znają, upadła, bo nie potrafił Groza wyzyskać surowych materyałów, z ust ludu zaczerpniętych, w ten sposób, jaki był wskazany. Zaufał zupełnie zdaniu Grabowskiego, i to go może jeszcze bardziej uczyniło ślepym na błędy i wady utworów, których to wad powinien był unikać. Sama bowiem pieśń gminna nie wystarczała, jeśli się jej nie ubrało w odpowiednią szatę.

III. Ignacy Hołowiński.

W przedmowie do „Legend" ks. Hołowińskiego czytamy, co następuje: „Wszystkie tu umieszczone legendy — pisał — oprócz trzech, wziętych z dawniejszych wieków, są rzeczywiście krajowe i urodziły się od bardzo dawna pomiędzy ludem naszym". Słowom tym niepodobna nie dać wiary. Trudno atoli zgodzić się, ażeby wszystkie utwory jego osnute były na legendach, które rzeczywiście powstały wśród ludu, bo że Hołowiński nie odróżniał legendy ludowej od kronikarskiej, o tem łatwo przekonać się z przypisków, umieszczonych na końcu zbiorku. Z dobrą tedy wiarą skreślił słowa, powyżej przez nas przytoczone, mimo, że niemal połowa utworów

---

[1]) Ibid. II, str. 170.

ks. Hołowińskiego wzięła swój początek z legend nie ludowych. Bo że taka np. „Krówka Jaremy” nie nosi na sobie śladów kolorytu właściwego opowieściom chłopskim na Ukrainie, to można spostrzedz odrazu po przeczytaniu utworu, takich zaś legend, które powstały na tle wiadomości kronikarskich, zapisanych u Niesieckiego, Kwiatkowicza czy Naramowskiego, bądź też na podstawie opowiadań codziennych albo wypadków rzeczywistych, znaleźć można w zbiorku ks. Hołowińskiego bardzo wiele. A te wszystkie wykraczają poza zakres naszego tematu. Nietrudno też rozpoznać, która legenda ma za podstawę opowieść ludową, a która została stworzona z motywów nieludowych, bo Hołowiński nie „zatarł miejscowej barwy i nie skaził naiwnej prostoty szczerych i bogobojnych czasów nowszym gustem lub napomnieniem piśmienniczem”. Celem legend była tendencya moralizatorska, owiana duchem chrześcijańskim, która widoczna jest w każdym utworze Hołowińskiego.

Piętno takie wyryte zostało już nawet na „Legendzie wstępnej”. Biednemu podróżnemu bogata niewiasta zamiast chleba daje garnek z popiołem. Ciężko Bóg ją za to karze; w garnku ukryte były pieniądze, zebrane przez jej męża. Opowieści tego rodzaju o karze, jaką Bóg wymierza za skąpstwo, krąży na całej Ukrainie mnóstwo, że tylko wymienimy tę, jak to brat bogacz nie chciał udzielić pomocy biedniejszemu bratu, pieniądze zaś ukrył w spróchniałem drzewie. Tymczasem burza złamała drzewo i wtrąciła je do rzeki, brat zaś biedny złowił je i, rąbiąc w kawałki, znalazł skarb sknery. W „Wieczornicy” wpływ ogranicza się do tego, że dziewczę idzie na wieczornicę, gdzie rzeczywiście zgodnie ze słowami Hołowińskiego panowała niekiedy rozpusta, i że jemu ukazuje się po grzechu czart. Legenda za to p. t. „Sierota” oparta jest cała na legendach ludowych. Sierota służy u niedobrej gospodyni, która za jej pracę dobrego nigdy słowa jej nie da. Razu pewnego pomieszała proso z makiem i kazała sierotce rozdzielić ziarna od siebie. Sierota udaje się tedy na grób matki, prosząc o pomoc — zaledwie jednak wróciła z cmentarza, ujrzała, że ziarna prosa są już rozdzielone z ziarnami makowemi przez ptaki. Wnet też ją wypędziła od siebie niedobra gospodyni — sierota zaś poszła do lasu, by tam się pomodlić. Tymczasem królewicz, który tamtędy przejeżdżał, ujrzał, „Jak z ust ubogiej dziewczynie Za każdy pacierz zmówiony Czerwona róża wypłynie...”

Widząc to, pojął ją za żonę.

Analogicznej baśni do tej legendy Hołowińskiego nie udało się nam w zbiorach materyałów etnograficznych odnaleźć, poszcze-

gólne jednak momenty trafiają się często w opowiadaniach ludowych. Sierota, prześladowana przez niedobrą macochę lub gospodynią, trafia się w legendach ludu, tak samo i fakt, że sierota miała wybrać ziarna maku i oddzielić je od prosa, znajduje analogię w innej opowieści, a mianowicie, że „matka czarownica kazała zmieszać razem w jedno korzec maku z drugim korcem piasku i poleciła w przeciągu dwudziestu czterech godzin przebrać piasek i mak tak, aby każde było na osobnej kupce. Szewczyk... wziął się za włosy i tylko rzewnie płakał. W tem przyszły mrówki z całego świata i mak od piasku szybko oddzieliły" [1]). Ustęp zaś, gdzie królewicz spostrzega, iż sierotce za każdym pacierzem odmówionym wypada z ust róża, ma pierwowzór w legendzie również o prześladowanej przez macochę: „Król, będąc na polowaniu, widzi dziewczę, w białej stojące płóciennej sukience... Przyprowadzona przed króla zaczęła ze strachu płakać, a tu perły z oczu lecą... Poczem, gdy mu wszystko opowiedziała, sam król zapłakał nad nią... i rzekł, że odtąd już ona zawsze przy nim zostanie. A ona z radości upuszczała róże... Król, gdy ją w swoim powozie do pałacu przywiózł, sprosił z całego świata gości na wesele..." [2]). Paralela tedy wyraźna. A gdyby przyszło orzec, czy Hołowiński z jednej legendy stworzył swój utwór, czy kilka szczegółów razem połączył, to, naszem zdaniem, pierwsze przypuszczenie jest o wiele od drugiego prawdopodobniejsze.

I „Baszyna" oparta jest na podstawie wierzeń ludowych, a kto wie, czy nie na jakiej legendzie miejscowej, fakt bowiem śmierci krzywoprzysięzcy zdarza się i dzisiaj często, a między ludem ma wiarę powszechną, ustęp wreszcie końcowy o strachu, który od tego czasu mieszka w zamczysku, wzywając pomocy — „zawodzi jęk", osnuty został na nadzwyczaj rozpowszechnionem mniemaniu o pokucie dusz po zgonie, które jękiem i płaczem błagają o ratunek i wybawienie od męki. „Cerkiew Ostrogska" osnuta została na podaniu ludowem (które jeszcze Niesiecki zapisał), iż skutkiem przekleństwa lud niewdzięczny zapadł się w ziemię wraz z skarbami cerkiewnymi i dzwonami, których to dzwonów jęk i śpiew ludu słychać po dziś dzień w Wielkanocną niedzielę, dotąd nadto — jak mówi lud — nad zwaliskami cerkwi unoszą się w noc miesięczną cienie kniaziów Ostrogskich. Skarbów jednakże zaklętych, strzeżo-

---

[1]) Por. O. Kolberg: „Lud". VIII. str. 45—46.

[2]) Ibidem., str. 56.

nych przez nadludzką siłę, nikt odkopać nie potrafi. Jak tedy widzimy, całe podanie dostało się do utworu Hołowińskiego niezmienione; a objaśniać go bliżej niema potrzeby, kiedy odnośne legendy szeroko przy balladach Mickiewicza zostały omówione, gdzie tak samo widzieliśmy zapadłe miasta, dzwonienie dzwonów, moc przekleństwa, skarby zaklęte i duchy, błąkające się po ruinach. Legenda p. n. „Rozbójnicy”, której treścią niemożliwość obrabowania klasztoru przez łotrów, wzięła swój początek z legendy, o której sam Hołowiński wspomina w przypisku, iż kiedy zbójcy „nocą chcieli dom zrabować, wtedy ujrzeli, że stary Przybor leżał krzyżem na modlitwie, a wkoło stali aniołowie.” Przedostatni wreszcie utwór, na tle ludowem osnuty, trzymany jest cały w duchu pojęć i wyobrażeń chłopskich, tyczących się „Snu kmiecia”. W utworze bowiem Hołowińskiego chłop zasypia, i zdaje się mu, jakoby był w niebie. Stąd widzi czarownicę, która jego krowie odbiera mleko, a którą on chce zabić zapomocą gromowej strzały, widzi dalej w rajskim ogrodzie swoje pomarłe dzieci, zbierające kwiaty, i żonę-nieboszczkę. Wszystkie te szczegóły odpowiadają zupełnie pojęciom ludowym, bo i lud wierzy, iż czarownice odbierają krowom mleko, wierzy dalej, iż t. zw. piorunowe strzałki są rzeczywiście pozostałością gromu; nie inne są wreszcie jego pojęcia o życiu i szczęśliwości pozagrobowej.

Ostatni utwór p. t. „Buława Madeja” ma za podstawę wersyę znanych opowieści o rozbójniku Madeju i jest niemal zupełnie wiernem powtórzeniem faktów, zawartych w podaniach o Madejowem łożu. W utworze Hołowińskiego kapucyn zbłądził w lesie pod wieczór, nie znając zaś drogi, udał się do jaskini Madeja, gdzie miał widzenie, jak w piekle brano dyabła na Madejowe łoże. Gdy to tedy widzenie opowiedział zbójcy, ten poczuł w sercu skruchę, wyspowiadał się z popełnionych zbrodni na ojcu i matce i wielu ludziach — rozgrzeszenia jednak nie otrzymał. Jako pokutę zaś przeznaczył mu kapłan następującą czynność: oto do buławy, z jabłoni sporządzonej, która została przez kapucyna zatknięta w ziemię, miał zbójca nosić wodę w ustach z poblizkiego strumienia i suchy patyk podlewać tak długo, póki z niego nie wyrośnie jabłoń. Kiedy po wielu latach ksiądz ów przechodził przez las wraz z drugim, nagle poczuł zapach jabłek. Wysłał tedy towarzysza po jabłka, on jednak wrócił z próżnemi rękoma, mówiąc, iż starzec jakiś nie pozwala rwać jabłek. Dopiero teraz przypomniał sobie kapucyn Madeja, widząc zaś jego żal za grzechy, wyspowiadał go, poczem kazał mu trząść jabłoń, której jabłka pospadały, z wyjątkiem dwu, t. j. przedstawia-

jących dusze ojca i matki. Ojciec i matka jednak przylecieli pod postacią ptaków i zabrali duszę Madeja, któremu Bóg grzechy przebaczył, do nieba. Legend ludowych o Madeju istnieje mnóstwo, a niemal wszystkie zupełnie odpowiadają treści legendy ks. Hołowińskiego — tak, że zestawienie podanej wyżej treści z legendami ludowemi nie miałoby celu.

Na tem kończy się wpływ ludowych opowiadań na zbiorek legend ks. Hołowińskiego, reszta bowiem utworów jego powstała przeważnie z legend historycznych lub kronikarskich, w każdym razie nie ludowych.

Stanisław Zdziarski.



Współczesna polska literatura filozoficzna.

Rozkwit oryginalnej twórczości filozoficznej polskiej przypada, jak wiadomo, na pierwszą połowę bieżącego stulecia, świecąc imionami Hoene-Wrońskiego, Trentowskiego, Libelta, Kremera, Cieszkowskiego, Gołuchowskiego. Systematy tych filozofów zostawały pod wpływem niemieckiego idealizmu [1]) zwłaszcza Hegla i Schellinga, a los kraju kierował naturalnie myśl ku filozofii dziejów. Rzec można, że najbardziej charakterystycznem znamieniem myśli filozoficznej polskiej jest skupienie się jej na zagadnieniu czynu. Usiłuje ona wytworzyć pogląd na przyszłość filozofii narodowej i słowiańskiej wogóle w związku z rolą narodu polskiego w dziejach ludzkości. Filozofia ta usiłowała dać rozumowe podstawy do wiary, tkwiącej w sercu każdego Polaka, w doniosłość tej roli. Klęski, które spadły na kraj w siódmym lat dziesiątku, wywołały po chwilowem odrętwieniu reakcyę przeciw romantyzmowi w poezyi, a idealizmowi w filozofii. Dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie w r. 1863 katedrę filozofii w Szkole Głównej Warszawskiej objął młody docent, Henryk Struve. Uczeń Emanuela Fichtego (syna), Ulriciego, Kuno-Fischera, wnosił on świeży prąd myśli filozoficznej zachodu, reprezentując kierunek, zwany „idealno-realistycznym", i zaznajamiając

[1]) Prócz Wrońskiego, ktory pobudki do oryginalnej twórczości zaczerpnął w krytycyzmie Kanta.

słuchaczy z tą ewolucyą, jaką odbyła myśl filozoficzna w Niemczech po upadku hegelianizmu. Nie temu jednak kierunkowi sądzono było owładnąć umysłami ogółu.

W r. 1869 ks. Franciszek Krupiński, dawniejszy heglista, wykształcony na polskich przedstawicielach tego kierunku, później (w starszym już wieku) słuchacz Struvego, ogłosił w „Bibliotece Warszawskiej“ obszerny wykład systematu pozytywnego Comte'a. Poglądy filozofa francuskiego przypadły jak najlepiej do usposobienia ówczesnego umysłu: były one pozytywne i trzeźwe w przeciwstawności do uniesień romantyczno-idealistycznych poprzedniej doby, zakończonych klęską r. 1863. Filozofia Comte'a mieszała się i łączyła z łatwością z odrodzonym w Niemczech materyalizmem i z rozbudzonym zapałem do nauk przyrodniczych. W tym czasie ukazywać się zaczynają przekłady polskie dzieł Buckle'a, Darwina, Milla, Taine'a, Wundt'a (Wykłady o duszy), Haeckla (a nieco później — Spencera) obok broszur Büchnera i Moleschotta. Pozytywizm rozlewa się szeroką falą, głównie w opracowaniu jego angielskich kontynuatorów i oddziaływa prawie wyłącznie swoją stroną krytyczną.

Ten ruch pozytywistyczny oddziałał ożywczo na rozwój ideowy narodu. Zaczęto krytycznie traktować (a nawet negować zupełnie) krajowych przedstawicieli filozofii idealistycznej; zwrócono się ku naukom ścisłym; zaznajomiono się (chociaż w sposób zbyt jednostronny) z ruchem filozoficznym zagranicznym. Hasła pozytywizmu zaczęto stosować (jak dawniej działo się z romantyzmem) we wszystkich dziedzinach myśli teoretycznej. Stały się one hasłem bojowem młodej i postępowej drużyny w walce z przeżytymi poglądami. Nastąpiła ożywiona praca myśli, energiczne, niekiedy młodzieńczo-zarozumiałe spory z przedstawicielami dawnych kierunków i tradycyi religijnej. Słowem, świeże, ożywcze tchnienie przebiegło po całej dziedzinie myśli, łącząc się z programem „pracy organicznej“, t. j. usiłowań podniesienia kulturalnego i ekonomicznego kraju.

Po upływie wszakże 20 — 25 lat żywotność haseł pozytywistycznych zaczęła się wyczerpywać. Praca organiczna okazała się w wielu wypadkach hasłem, okrywającem samolubne pobudki i obojętność na potrzeby ogółu. Równocześnie daje się dostrzedz zwrot w dziedzinie myśli teoretycznej. Jedną z pobudek w tym ostatnim kierunku było wydanie w r. 1881 przekładu „Historyi materyalizmu“ A. Langego. Dzieło to przyczyniło się w znacznym stopniu (zarówno, jak i w ojczyznie swojej) do zachwiania wiary w dogmatykę materyalistycznie zabarwionego pozytywizmu, zaznajamiając jedno-

cześnie z poważnym budzącym się w Niemczech prądem nowo-kantyzmu[1]), który niebawem znalazł kilku przedstawicieli wśród młodszej generacyi pisarzy polskich.

Zaczyna się wzmagać interes do studyów specyalnie filozoficznych, dotąd przez pozytywistów odrzucanych, jako bezużyteczna „metafizyka". „Biblioteka filozoficzna", wydawana pod redakcyą H. Struvego, a zawierająca przekłady klasyków filozofii europejskiej[2]), dotąd obojętnie lub nawet nieżyczliwie (przez prasę pozytywistyczną) traktowana, zaczyna znajdować chętnych czytelników, narówni z dziełami tego uczonego. Wzrasta szybko ilość słuchaczy w audytoryach filozoficznych. Najwybitniejszym zaś objawem zainteresowania do kwestyi specyalnie filozoficznych, nie mniej jak i pogłębienia prac w tym kierunku, jest powstanie pisma, specyalnie tej umiejętności poświęconego, a istniejącego nie dzięki jakimś zapomogom pieniężnym, lecz z prenumeraty licznych czytelników. „Przegląd filozoficzny" założony został w październiku r. 1897 przez Władysława Weryhę i wychodzi wciąż pod jego redakcyą, jako kwartalnik. Pozytywizm przestaje być hasłem bojowem, sztandarem nowych prądów; wraca do łożyska mu właściwego — przedstawiciela jednego z kierunków myśli naukowej, roszczącego słuszne prawo do tego, aby się nim zajmowano narówni z innymi, lecz bez pretensyi do wyłącznego w niej kierownictwa.

Zaznaczone tu pogłębienie studyów filozoficznych nie zdążyło jeszcze wydać wybitniejszych owoców na polu oryginalnej twórczości filozoficznej. Z młodszego pokolenia pisarzy jeden tylko W. Lutosławski, uczeń Teichmüllera, ogłosił — dotąd tylko w formie szkicowej — zasady poglądu na świat, który nazwał „indywidualistycznym", a który uważa za wyraz ducha narodowego polskiego. Mówiąc więc o filozofii polskiej w chwili obecnej, mamy na myśli nie tyle oryginalne systematy, ile raczej literaturę filozoficzną, bądź dotyczącą poszczególnych kwestyi, bądź też odzwierciedlającą pewne kierunki myśli obcej, niekiedy samodzielnie przeobrażone. Kierunki te reprezentowane są i szerzą się bądź słowem żywem z katedr, bądź przez pisma.

---

[1]) Już w r. 1873 ukazały się wprawdzie w przekładzie polskim „Kwestye filozoficzne" Jurgen Bona Mayera, znanego nowokantysty. Wszakże książka pozostała bez szerszego wpływu w owym czasie największego zapału do doktryny pozytywistycznej.

[2]) Wyszły mianowicie dotąd: Platona „Obrona Sokratesa" i „Fileb"; Ksenofonta „Wspomnienia o Sokratesie", Kartezyusza „Rozmyślanie nad zasadami filozofii", Spinozy „Etyka", Berkeleya „O zasadach poznania", Kondyllaka „Traktat o wrażeniach zmysłowych".

Zacznijmy od katedr.

W uniwersytecie warszawskim zajmuje jedyną katedrę filozofii Henryk Struve, od pierwszego wystąpienia przedstawiciel idealno-realistycznego kierunku, któremu pozostał wierny po dziś dzień. Poglądy swoje szerzył on nie tylko z katedry, lecz i w całym szeregu dzieł, zarówno ściśle naukowych, jak i popularnych, niemniej i w licznych artykułach, rozrzuconych po czasopismach [1]. Zasady swego poglądu na świat wyłożył on w sposób barwny w niewielkim tomie p. t. „Synteza dwóch światów". W formie skondensowenej tak się one przedstawiają.

Byt jest w sobie jednorodnym. Wewnętrznie w sobie jest świadomością czynną, więc siłą, potęgą rozumną, niczem innem, tylko swoją własną treścią ograniczoną, więc działającą według tej treści, celowo, racyonalnie. Jej wytwory racyonalne, idealne są zarazem rzeczywistością, gdyż w samej istocie bytu rozerwania tych dwóch czynników być nie może. Zewnętrznie... przedstawia się byt, jako świat zmysłowy — materya. Jak szczegółowe myśli, uczucia, dążności naszego indywidualnego bytu, a tembardziej stany naszego ciała nie wyczerpują naszej istoty, naszej właściwej i świadomej siebie jaźni, a tembardziej nie wyczerpują rozumu powszechnego, objawiającego się w tej naszej istocie, w jej racyonalnej organizacyi, — tak i w istocie wszechbytu świadomość centralną odróżniać należy od jej szczegółowych objawów, wydanych przez nią i od niej niezależnych. Centralna świadomość wszechbytu, jego rozum jest Bogiem, pojętym, jako dusza świata. Świat i wszystkie jego szcze-

---

[1]) Ważniejsze prace jego są: „Zur Entstehung der Seele", 1862.—„Wywód pojęcia filozofii" i „Stanowisko Arystotelesa w historyi filozofii", 1863.—„O psychologicznej zasadzie teoryi poznania", 1864.—„O temperamentach", 1864.—„O istnieniu duszy", 1867.—„Wykład systematyczny logiki", t. I, 1870.—„Cechy charakterystyczne filozofii", 1875. — „Psychologisch-metaphysische Analyse des Begriffs der Nothwendigkeit—der Freiheit", 1874.—„Grundgesetze des Denkens", 1876.—„Synteza dwóch światów", 1876. — „J. J. Rousseau", 1878. — „Zur Psychologie der Sittlichkeit", 1882.— „O nieśmiertelności duszy", 1884.—„Estetyka barw", 1886.— „Sztuka i piękno", 1892, — „Polnische Literatur zur Geschichte der Philosophie", 1895. — „Wstęp krytyczny do filozofii" (2 wydania, 1896 i 1898). — „Fr. Krupiński jako filozof", 1898. — „Anarchizm ducha", 1899. - „Historya filozofii w Polsce", zeszyt I, 1900. Wymieniliśmy już redagowaną przez niego „Bibliotekę filozoficzną"; wydał prócz tego dzieła Kremera w 12 tomach, które poprzedził jego życiorysem i rozbiorem systematu. Liczne artykuły w czasopismach, poświęcone filozofii i krytyce artystycznej. — Życiorys i działalność naukową H. Struvego dał w Bibliotece Warszawskiej K. Kaszewski (w 35 rocznicę profesury). Nieco wcześniej W. Lutosławski („Ateneum", 1896, z powodu „Wstępu krytycznego").

gółowe objawy są jej wytworem, w bezpośredniej od niej zależności, jak każda nasza szczegółowa myśl, od naszej centralnej świadomości, kierującej nią według swych intencyi i celów. Jako istota świadoma siebie, rozumna, swobodna, twórcza, Bóg tworzy objawy pochodne, wydaje istoty do siebie podobne, więc, jak on, świadome siebie, rozumne, swobodne, twórcze, choć naturalnie ograniczone porządkiem fizycznym i moralnym, z istotą Boga danym, nie nadwerężalnym. Dla tych istot pochodnych istnieją z natury rzeczy dwa światy: wewnętrzny, idealny i zewnętrzny, materyalny. W jednym i drugim narzuca się jednostce porządek od niej niezależny, boski, którego racyę bytu jednostka zrozumieć może i który w swoim zakresie życia i działania wedle sił swoich urzeczywistnić winna. Celem bowiem wszechświatowej boskiej twórczości jest wydanie istot, działających swobodnie, nie niewolniczo, w duchu rozumu powszechnego. Bez takiej swobody Bóg stwarzałby nie istoty podobne do siebie, z nim jednorodne, lecz mechanizmy, doskonale funkcyonujące, nie odpowiadające atoli ideałowi racyonalnej twórczości. Ze swobodą, wolnością istot pochodnych, w granicach boskiego porządku fizyczno-moralnego, dana jest możność, a następnie i faktyczność złego oraz potrzeba przezwyciężenia go przy pomocy czynników rozumu wszechświatowego i jego porządku fizyczno-moralnego. Oto wyjaśnienie tragedyi ludzkiej, ale i postępu dziejów ku lepszemu".

Nie zatrzymujemy się na innych pracach tego autora; zaznaczymy tylko, że z dwu większych prac, wydanych w ostatnim czasie, pierwsza jest jedynym swego rodzaju „Wstępem do filozofii", zawierającym rozbiór zasadniczych pojęć filozoficznych, rozstrząsanie krytyczne głównych prądów myśli w tym kierunku, ocenę stosunku filozofii do nauk poszczególnych, do sztuki, do życia i jego dążności etycznych i społecznych, do religii; przegląd metod filozofii i charakterów umysłu filozoficznego,—wszystko to zaopatrzone w wyczerpującą bibliografię; drugie jest pierwszą próbą wyczerpującego i rozumowanego wykładu „Historyi filozofii w Polsce". Zeszyt pierwszy tej pracy niedawno opuścił druk. Zawiera on pojęcia wstępne, literaturę przedmiotu, ogólny pogląd na charakter filozofii polskiej i podział jej dziejów na okresy.

W Krakowie istnieją dwie katedry filozofii. Jedną z nich zajmuje (od r. 1882) ks. *Stefan Pawlicki*, niegdyś (od r. 1866) docent Szkoły Głównej w Warszawie. W przerwie między pobytem w Warszawie a katedrą w Krakowie studyował teologię i został księdzem. Wydał on dawniej kilka mniejszych rozprawek z historyi filozofii [1]).

---

[1]) „Szkoła Eleatów". Warszawa. 1867. „Abelard i Heloiza". Z polemicznych

Później występował przeciwko nowym prądom, poddając krytyce przedstawicieli pozytywizmu francuskiego i angielskiego w „Studyach nad pozytywizmem“ (1886) i w szeregu artykułów, w czasopismach umieszczonych. W r. 1890 wydał I-y tom „Historyi filozofii greckiej od Talesa do śmierci Arystotelesa“. Tom ten, kończący się na Sokratesie i jego uczniach, napisany jest barwnym stylem, z szerokiem uwzględnieniem tła ogólnego historycznie-kulturalnego. Drugi, dotąd niewydany, poświęcony ma być przeważnie Platonowi. Poglądy swoje na istotę filozofii starał się przedstawić w rozprawie „Kilka uwag o podstawie i granicach filozofii“ (1878); nie można wszakże powiedzieć, iżby tu jasno je wypowiedział. Polemizuje on ze wszystkimi niemal kierunkami filozoficznymi (prócz Arystotelesa), potępia surowo Descartes'a i Kanta. Jeszcze w „Lekcyi wstępnej do wykładów filozofii w Szkole Głównej Warszawskiej“ [1]) wygłosił był, że głównem zadaniem filozofii jest odpowiedź na pytanie: czem jest człowiek i jaki cel jego? W wyżej zaś cytowanej rozprawie czytamy: „Człowiek nie jest połączeniem dwóch jestestw, które obojętnie obok siebie istnieją, lecz naturą jedną, w której dusza ożywia ciało, a to doskonali duszę i razem przenikają się najpoufalszą spójnią, jaką pomyśleć można w porządku przyrodzonym. Owocem tej spójni jest ludzka osoba, która, nie będąc ani duszą, ani ciałem, jest ich nierozerwalną jednością. Ta sama osoba myśli i jest rozciągła [2]). Nazywa to autor „metodą osobową“. W R. IV pod nazwą „Przyczyny niezależnej“ wprowadza autor czysto już teologiczne pojęcie Boga, chwaląc Arystotelesa za to, że filozofię nazwał teologią. Wydał prócz tego prof. Pawlicki „Żywot i dzieła E. Renana“ (1896), w którem ocenia działalność znakomitego pisarza francuskiego z bardzo daleko posuniętą, jak na księdza katolickiego, bezstronnością.

Drugą katedrę filozofii w Krakowie zajmuje *Maurycy Straszewski*. Na ukształtowanie jego poglądów filozoficznych miały wpływ pisma Lotzego i Alb-Langego. W pismach swoich zajmuje się przeważnie stosunkiem filozofii do religii w historycznym rozwoju tych

---

wymienimy: „Materyalizm wobec nauki“, Kraków, 1870.—„Mózg i dusza“, Kraków, 1874.—„Studya nad darwinizmem“, Kraków, 1872 i 1874.

[1]) Drukowanej w „Gazecie Polskiej“. 1866, № 269 i nast.

[2]) Ostatnie zdanie jest parafrazą Voltairowskiego: „Je suis matière et je pense“.—Przytoczony w tekście ustęp może być istotnie pojęty w trojaki sposób: bądź w duchu empiryzmu naiwnego Voltaire'a (twierdzenie w duchu empiryzmu znajdujemy na str. 45: „Bez doświadczenia nic zgoła wiedzieć nie można“), bądź w duchu panteistycznym, bądź wreszcie w arystotelesowskiem znaczeniu duszy, jako entelechii ciała; zdaje się, że to ostatnie jest istotnym poglądem autora.

dziedzin, usiłując metodą porównaczą, przez zestawienie niezależnych od siebie cyklów rozwoju filozoficznego, wykryć ogólne prawo tego rozwoju. W tym celu zajął się studyami nad filozofią wschodnią, którą bada w związku z systematami religijnymi wschodu starożytnego. Ogólne wyniki, do jakich przychodzi, są następujące: 1-o filozofia zawdzięcza początek swój potrzebie pogłębienia wierzeń religijnych; 2-o filozofia wytwarza z siebie i przekształca się w wyższe systematy religijne i religie. Religia więc jest punktem wyjścia i szczytem rozwoju filozofii. Skomplikowane systematy religijne wschodu uważa Straszewski za ostatnią fazę rozwoju filozoficznego, którego ogniwa poprzednie nie doszły do nas[1]). W ostatniej swojej pracy [2]) autor, snując dalsze wnioski z wywodów poprzednich, zastanawia się nad pytaniem, czy filozofia europejska przekształci się z czasem na religię, jak to się stało (według hypotezy autora) z filozofią ludów wschodnich, i odpowiada na to pytanie przecząco. Aby bowiem filozofia przeobraziła się w religię, musi ona skostnieć, wydać dogmaty. Filozofia zaś europejska przeszła (od czasu Kopernika i Leonarda da Vincie'go) w „okres badawczy", w którym takie skostnienie staje się niemożliwem. Religia więc, obecnie panująca, nie potrzebuje obawiać się współzawodnictwa ze strony przyszłej religii filozoficznej. W ten sposób autor sam podkopuje powszechność założeń, które podał, jako prawo ogólne rozwoju myśli filozoficznej. Filozofii autor zakreśla zadanie trojakie: 1-o teorya wszechświata; 2-o teorya ideału i 3-o teorya wiedzy [3]).

Od niedawna liczne grono słuchaczy ściągają w Krakowie wykłady *Wincentego Lutosławskiego*, który po kilku latach wykładów w uniwersytecie Kazańskim rozpoczął w Krakowie zawód nauczycielski w roli docenta. Działalność jego naukowa składa się przeważnie z pracy w dwu odrębnych zakresach: część dzieł jego poświęcona jest studyom nad Platonem, przeważnie zaś usiłowaniom ustanowienia dokładnej i pewnej chronologii dzieł, a więc i faz rozwoju

---

[1]) Myśli te wypowiedziane są w dziełach następujących: „Powstanie i rozwój pesymizmu w Indyach", 1884.—„Dzieje filozofii w zarysie" (T. I, 1895.—Historya filozofii wschodniej).—Ueber die Entwickelung der philosophischen Ideen bei den Indern und Chinesen", 1887.—„Ueber die Bedeutung der Forschungen auf dem Gebiete der Orientalischen Philosophie", 1895. Prócz tego wydał: „O zadaniach i stanowisku filozofii", 2 wyd., 1872 i 1877.—„Jan Śniadecki", 1875.—„Uwagi nad filozofią S. Milla".—„Filozofia Spinozy i dzisiejszy panteizm".—„O filozofii i filozoficznych naukach", 1900.

[2]) p. t.: „Ideen zur Philosophie der Geschichte der Philosophie", 1900.

[3]) „Dzieje filozofii w zarysie". Wstęp.

ideowego tego filozofa zapomocą metody, którą nazwał „stylometryczną“, a która polega na porównaniu liczebnem osobliwości stylowych pojedyńczych dyalogów [1]). Z pośród pozostałych wyróżnić wypada te, w których autor szkicuje, rozwija i uzasadnia swój pogląd na świat, nazwany przezeń „indywidualistycznym“ [2]). Istotę tego poglądu stanowi przeświadczenie, że każda jednostka (dusza) jest substancyą rzeczywistą, niestworzoną i nieśmiertelną. Cały świat składa się z szeregu takich istot czyli monad o rozmaitych stopniach rozwoju, oddziaływających na siebie wzajemnie, przyczem wyższe mają wpływ przeważny na niższe. Bóg jest najwyższą z monad i ma wpływ największy, ale nie jest wszechmocny. Etyka wynika z woli jednostek; wszakże dobrem jest to, co zgadza się z zamiarami Boga. Dusze wciąż się doskonalą, a najwyższą formą działalności dusz wyższych jest praca nad podniesieniem niższych. Wynik studyów platońskich da się streścić w następującym ugrupowaniu dyalogów: I. Dyalogi sokratyczne, Protagoras, Menon, Eutydem, Gorgiasz.—II. Kratyl, Biesiada, Fedon. – III. Rzeczpospolita, Fedr, Teetet i Parmenides. — IV. Sofista, Polityk, Fileb, Tymeusz, Kritias, Prawa. W rozwoju Platona autor dostrzega jeden moment, w którym się skłaniał ku indywidualizmowi (Fedr). Platon stworzył najprzód idealizm i socyalizm, w „późniejszym“ wieku uznał opatrzność boską, indywidualną nieśmiertelność duszy i teoryę idei zastąpił przez logiczną klasyfikacyę pojęć.

---

[1]) Tu należą następujące ważniejsze prace: „O logice Platona“, Cz. I (1891) i II (1892).—„Sur une nouvelle methode de determiner la chronologie des dialogues de Platon“, 1895.—„O pierwszych trzech tetralogiach Platona“, 1896.—„Ueber die Echtheit, Reihenfolge und logische Theorien von Plato's drei ersten Tetralogien“, 1895. — „On Stylometry“, 1897. —„The Origin and Grawth of Plato's Logic“, 1897.—„Stylometrisches“, 1898. — „Principes de stylométrie“, 1898.—„Platon jako twórca idealizmu i socyalizmu“, 1899. Prace te uzyskały uznanie badaczy europejskich niemal powszechne. Ocenę ich po polsku dał H. Struve („Logika Platona“ w Bibl. Warsz., 1898). Głównym przeciwnikiem poglądów Lutosławskiego na rozwój filozofii Platona jest Zeller.

[2]) Tu należą: „On the difference between knowledge and belief as to the immortality of the sone“, 1893. — „The ethical consequences of the doctrin of immortality“, (1895).—„In Search of true Beings“, 1896. — „Ueber die Grundvoraussetzungen und Consequenzen der individualistischen Weltanschauung“, 1899. — „Seelenmacht“, 1899. Prócz tych prac wymienimy jeszcze: „Erhaltung und Untergang der Staatsverfassungen nach Plato, Aristoteles und Machiavelli“, 1888.— „Gustav Teichmüller“, 1888.—„Jordani Bruni opera inedita“.—„Eine neuaufgefundene Logik aus dem XVI Jahrhundert“. — „Sur l'enseignement de la philosophie“, 1893.—„Lotzes Begriff der metaphysischen Einheit“, 1899. Artykuły polskie, drukowane w czasopismach, ukazały się świeżo w zbiorku p. t. „Z dziedziny myśli“, 1900.—„Geneza Eleuteryzmu“ (Sprawozdania Akademii Um. w Krakowie, V, Nr. (4.

Z dwu katedr filozoficznych na uniwersytecie lwowskim jedną zajmuje *Aleksander Skórski.* W rozprawie p. t. „Filozofia, jako nauka akademicka“ (1893) autor określa filozofię, jako „umiejętność ogólną, która samą wiedzę ludzką za przedmiot sobie obrała”, czyli jako naukę umiejętności. Wydał on prócz tego dzieło o „Janie Śniadeckim” (Lwów, 1890), w którem ocenia jego stosunek do metafizyki niemieckiej i współczesnych dążeń filozoficznych. Seminarya poświęca czytaniu ze słuchaczami klasyków filozofii polskiej. Owocem zainteresowania się w tym kierunku młodzieży uniwersyteckiej jest świeżo wydany przez jednego z jej grona samodzielnie opracowany życiorys Trentowskiego [1]).

Drugą katedrę filozofii zajmuje we Lwowie (od paru lat zaledwie) *Kazimierz Twardowski.* Pracuje on przeważnie w zakresie psychologii procesów poznawczych i logiki, wnosząc świeże prądy i zdobycze zachodu do tych nieco zaniedbanych u nas dziedzin. Jest on założycielem pierwszego (i dotąd jedynego) polskiego seminaryum filozoficznego przy uniwersytecie lwowskim. Z prac jego wymienimy: „Idee und Perception“, 1892; „Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen“, 1894; „Psychologia wobec fizyologii i filozofii“, 1897; „Wyobrażenia i pojęcia“, 1898. W ostatniem dziele daje nową teoryę pojęć ogólnych, opartą na subtelnej analizie procesów psychicznych, towarzyszących ich powstawaniu. Jest on uczniem t. zw. austryackiej szkoły psychologów; w badaniach trzyma się ścisłej empiryki; wobec metafizyki zajmuje stanowisko, zbliżone do neokantystów. Najnowsza praca jego „O tak zwanych prawdach względnych“ umieszczona jest w księdze pamiątkowej, ofiarowanej przez uniwersytet lwowski krakowskiemu z powodu 500-lecia jego odnowienia.

Z pisarzy, którzy niedawno katedry opuścili, a których działalność literacko-filozoficzna wiązała się z wykładami i razem z nimi ustała, wymienić należy *Aleksandra Raciborskiego*, byłego profesora we Lwowie, który oprócz „Rozbioru Etyki Spinozy” (1882) oraz „Podstaw teoryi poznania w logice Milla” (1886, 2 tomy), „Przedmiotu i podziału filozofii” (1885), wydał pierwszy tom „Ogólnego zarysu systemu filozofii” (1892). Zawiera on pojęcia ogólne i psycho-fizyologię wrażeń pod nazwą „teoryi poznania”. Filozofię określa w tem dziele, jako naukę o najogólniejszych prawach zjawisk wewnętrznych i ze-

[1]) K. Wróblewski. „Bronisław Trentowski“ (1817 — 1869), Lwów, 1899. Ob. „Ateneum“, 1900. I, 698.

wnętrznych, względnie do myślącego przedmiotu. Drugim ex-lektorem filozofii jest ks. *Maryan Morawski*, subtelny dyalektyk, który wydał dzieło p. t. „Filozofia i jej zadanie" [1]), napisane w duchu ściśle katolickim. Prócz tego wydał dzieło o „Celowości w naturze" (1891).

Po za tymi, którzy mają możność szerzyć swoje poglądy z katedry i wpajać je systematycznie w młode umysły, istnieje szereg osób, bądź stale oddających się pracy filozoficznej, bądź też poświęcających jej chwile wolne od innych zajęć.

W kierunku ściśle-naukowym pracuje nad filozofią średniowieczną Witold Rubczyński. Ważną jego zasługą jest odkrycie nieznanego dotąd dzieła słynnego filozofa polskiego XIII wieku Vitelliona, autora znanej w swoim czasie „Optyki" [2]). Obecnie rozpoczął on obszerniejszą pracę p. t. „Studya neoplatońskie" (Przegląd Filozoficzny, 1900). Ogłosił „Rzut oka na wpływy nowoplatońskie w średnich wiekach" (1891), oraz „O stałych czynnikach w rozwoju duchowym człowieka" (1891) gdzie rozwija myśl o uspołeczniającej roli piękna: formy piękna, wydane przez uczucie, jednoczą dwie składowe siły życia dziejowego: ducha społecznego i jednostkę.

Nadmieniliśmy już o Fr. Krupińskim, który był pierwszym zwiastunem pozytywizmu w Polsce. Pozytywizm na gruncie warszawskim stał się niebawem hasłem życiowem raczej, niż doktryną filozoficzną. W tym duchu propagował go (a raczej realistycznie-empiryczny pogląd na świat) szereg młodych pisarzy, z których trzej zajęli poważne stanowisko w literaturze, chociaż już (z wyjątkiem jednego) od wielu lat nie piszą nic w zakresie filozofii. Z nich *Piotr Chmielowski* pojmował pozytywizm w sposób najbardziej ścisły i naukowy. W r. 1873 ogłosił on szkic psychologiczny p. t. „Geneza fantazyi", w którym wywodził ją z kojarzenia wyobrażeń. Prócz tego: „Die organischen Bedingungen der Entstehung des Willens" (1874) i „Rousseau" (1878). W szeregu artykułów rzucał myśli w duchu pozytywizmu i oceniał współczesne prądy w literaturze krajowej. W ostatnich czasach ogłosił rozprawę p. t. „Filozoficzne poglądy

---

[1]) Pierwsze wydanie: 1877; drugie uzupełnione: 1884. Rozbiór i ocenę tego dzieła dał Józef Bilewicz w broszurze: „Kilka uwag, nastręczonych dziełem ks. Morawskiego", 1884.

[2]) „Traktat o porządku istnień i umysłów i jego domniemany autor Vitellion", 1891.

Mickiewicza"[1]). Bardziej polemiczny i publicystyczny charakter miała działalność *Juliana Ochorowicza*[2]) i *Aleksandra Świętochowskiego*[3]).

Z pisarzy starego pokolenia pozytywizm naukowy reprezentował *Władysław Kozłowski* (ze Lwowa), który dał w szeregu artykułów, umieszczonych w „Ateneum", wykład obszerny „Systematu filozofii syntetycznej Spencera". Ogłosił także szereg artykułów w innych kwestyach i wydał „Logikę elementarną" (1891)[4]).

Do przeciwników pozytywizmu, wszakże przedmiotowych i naukowych, należy *Kazimierz Kaszewski*, który umieścił także cały szereg artykułów, dotyczących filozofii starożytnej i nowożytnej, w „Bibliotece Warszawskiej"[5]). Kwestyami etycznemi i filozofią religii zajmował się *Seweryn Smolikowski*. Poświęcił on kilka prac filozofii Schopenhauera i pesymizmowi niemieckiemu: „Rozbiór krytyczny podstaw filozofii Schopenhauera" (1881) i „Filozofia wyzwolenia" (1883—Hartmann, Mainländer) oraz „Religii pozytywnej" Comte'a (1875).

Z pisarzy starszych wypada tu jeszcze wymienić *Wojciecha Dzieduszyckiego*, autora dzieł p. t „Rozstrząsania filozoficzne o podstawach pewności ludzkiej" (1892) oraz „O wiedzy ludzkiej" (1895). W pierwszym stara się autor dowieść, że jedyną podstawą pewności jest poczucie moralne, sumienie, jako intuicyjna świadomość naszego przeznaczenia, celu i ideału naszego żywota. W drugim daje określenie filozofii, jako „nauki o zjawiskach naszej wewnętrznej istoty" czyli ducha oraz jej podział.

---

1) „Przegląd filozoficzny za 1898" i osobno. Warszawa. 1900. Z artykułów wymienimy: o „Taine'ie" („Ateneum", 1893), — o „Cieszkowskim" („Ateneum", 1894).—o „Trentowskim" (Filozof w więzach reakcyi) („Ateneum", 1889).

2) „Jak należy badać duszę?", 1869. — „O wolności woli", 1871. — „Duch i mózg", 1872.—„Wstęp i ogólny pogląd na filozofię pozytywną", 1872.—„O zasadniczych sprzecznościach wiedzy", 1874. — są przeważnie popularyzacyami kursujących wówczas poglądów. Bardziej samodzielne znaczenie mają: „O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologii", 1877.—„Bedingungen des Bewustwerdens"! 1874.—„De la suggestion mentale",1887 i 1889.

3) „O powstawaniu praw moralnych".—„O Epikureizmie", 1880.—„Wolter", 1878.

4) Ocenę jego działalności i życiorys podaliśmy w „Przeglądzie Filozoficznym", 1899.

5) Wymienimy tu: „Pozytywizm, jego metoda i następstwa", 1869. — „W kwestyi pozytywizmu", 1876.—„O Cyceronie", 1880.—„Seneka", 1860. — „Epikureizm i Lukrecyusz", 1861.—„O Maimonie", 1862.—„Przodownicy ruchu umysłowego w w. XVIII", 1880.—„H. Struve", 1898. — „Spinoza" (Kwartalnik „Kłosów", 1877).

Z młodszego pokolenia pisarzy filozoficznych, wychowanych na literaturze pozytywistycznej, o której była mowa przed chwilą, wymienimy tu *Napoleona Hirszbanda* (piszącego pod pseudonimem Cezarego Jellenty), który zebrał w tomie pod tytułem „Studya i szkice filozoficzne" (1891) szereg artykułów, drukowanych poprzednio w „Ateneum", o charakterze sprawozdawczym (z dzieł Sommera, Christa, Giżyckiego, Karejewa, Wundta); *Adama Mahrburga*, który oprócz przekładów i artykułów w czasopismach[1]) wydał rozprawę polemiczną p. t. „Teorya celowości ze stanowiska naukowego" (1888), skierowaną przeciwko wymienionemu wyżej dziełu ks. Morawskiego, oraz rzecz p. t. „Psychologia spółczesna i stanowisko jej w systemie nauk" (1891), i *Maryana Massoniusa*, autora kilku prac oryginalnych (pomiędzy innemi „Racyonalizm w teoryi poznania Kanta" w „Przeglądzie Filozoficznym" 1898); wreszcie przedwcześnie zmarłego *Stanisława Krusińskiego*, którego artykuły zostały wydane staraniem przyjaciół w dwu tomikach („Szkice filozoficzne" i „Szkice socyologiczne" 1890). Do tegoż pokolenia należy *J. Wł. Dawid*, pracujący w zakresie psychologii i pedagogiki („Szkice psychologiczne": „O zarazie moralnej".—„Zasób umysłowy dziecka".— „O wykładzie psychologii jako nauki doświadczalnej"). Wydał także obszerną pracę z zakresu dydaktyki: „Nauka o rzeczach, rys jej rozwoju, podstawy psychologiczne, metoda". W kierunku psychologiczno-pedagogicznym pracuje także *Aniela Szycówna* („Rozwój pojęciowy dziecka") (1900). Pedagogice wyłącznie poświęca się *St. Karpowicz* („Cel i zadania wychowawcze"). *Józefa Kodisowa* jest uczennicą Avenariusa i w pracach swoich rozwija jego pomysły; po polsku ogłosiła „Biologiczne zadania psychologii" i „Upadek materyalizmu" („Przegląd Filozoficzny" (1898 i 1899). W obcych językach ogłosiła: „Zur Analyse der Apperceptionsbegriffs" (1892—jako J. Krzyżanowska); „Die Anwendung des Funktionsbegriffes auf die Beschreibung d. Erfahrung",—„Some Remarks upon Apperception" (1896). — „R. Avenarius". — „Der Empfindungsbegriff". Na polu psychologii doświadczalnej pracują: *Anna Wyczołkowska* „Szkice psychologiczne" (1899), — „O illuzyach optycznych" (1900) i *Wł. Heinrich* „Etudes critiques des théories sur les impressions des couleurs";—„Sur la fonction accomodative de la membrane tympanique" (1900);—„Zur Principienfrage der Psychologie" (1899); — „Pojęcia i zasady fizyczne w stosunku do filozofii" („Przegląd Filozoficzny"

---

[1]) Między innemi „Co to jest nauka?" w „Przeglądzie Filozoficznym" 1897.

1899, II). Oprócz wymienionych pisarzy, poświęcających się całości filozofii lub psychologii, szereg dzieł filozoficznych wyszedł z pod pióra uczonych specyalistów lub osób, które uprawiają jedną z gałęzi nauk filozoficznych. Znany matematyk *Samuel Dickstein* opracował „Życie i prace Hoene Wrońskiego" (1896). Dzieło to bardzo cenne, oparte na rękopiśmiennym materyale i rzadkich edycyach dzieł znakomitego filozofa, zaopatrzone w katalog wszystkich niewydanych jego dzieł; a chociaż autor przedewszystkiem ocenia prace matematyczne Hoene-Wrońskiego, nie mniej wszakże i filozof znajdzie tu wiele ważnych dla siebie rzeczy. Ogłosił także „Korespondencyę Kochańskiego z Leibnizem" („Przegląd Filozoficzny" 1898). Prócz tego w dziełach swoich matematycznych potrąca Dickstein o zagadnienia, jeśli nie w ścisłem znaczeniu filozoficzne, to w najbliższej styczności z filozofią zostające. Do takich należą: „Pojęcia i metody matematyki" (1891), „Matematyka i rzeczywistość" (1893). Podobnież potrąca o zagadnienia filozoficzne w pracach swych matematycznych *Wł. Gosiewski* (że wymienimy chociaż najnowszą: „Z dziedziny rachunku prawdopodobieństwa" w „Wiadom. matemat." 1900).

W. Daisenberg wydał „Dzieje filozofli prawa i państwa" (T. I. 1875) oraz „Filozofię Leibniza" (1875). *Jul. Niemirycz* ogłosił pierwszy tom „Filozofii historyi prawa" (1874) oraz „Badania filozoficzne tajemnicy życia" (1869—1870). *Tadeusz Korzon* poświęcił kilka prac filozofii dziejów (artykuły w „Wielkiej Encyklopedyi Illustrowanej" [1]). Szczególniej wszakże uprawiana jest niwa socyologiczna. Z ludzi starszego pokolenia najwybitniejsze stanowisko zajmują tu: *Ludwik Gumplowicz* oraz *Bolesław Limanowski*. Pierwszy jest autorem „Systemu socyologii" (1886). Zasadniczą myślą jego socyologii jest ta, że postęp ludzkości spowodowany został przez walkę ras. Rozwija ją prócz wyżej wymienionego dzieła polskiego w następujących: „Der Rassenkampf" (1883), — „Grundriss der Sociologie (1885),—„Sociologie und Politik" (1892),—„Die sociologische Staatsidee" (1892). W „Przeglądzie Filozoficznym" umieścił: „Ibn Chaldun, socyolog arabski XIV w." (1898) i „Socyologiczne pojmowanie dziejów" (1899). *Bolesław Limanowski* pracuje przeważnie w zakresie socyologii i historyi teoryi socyalnych. Ważniejsze dzieła jego są: „Socyologia Augusta Comte'a" (1875), — „Plato i jego rzeczpo-

---

[1]) Historyozofia Comte'a, Augustyna, Bossueta, Danielewskiego, Drapera. Ogłos iłtakże „Poranek filozofii greckiej" w „Bibl. Warsz", 1873.

spolita" (1872),—„O prawach Platona",—„Dwaj znakomici komuniści T. Morus i T. Campanella" (1874); „Historya ruchów społecznych w XVIII w." (1887) i w „XIX w." (1889) stanowi główną jego pracę; jest to, właściwie mówiąc, historya teoryi socyalnych i prób praktycznych w tych dwu stuleciach. Prócz tego pisał o „Klasyfikacyi nauk" (1888); w rękopisie ma ukończony już „Wstęp do socyologii", którego pojedyńcze rozdziały były tu i owdzie drukowane. Pracował także na polu historyi i publicystyki [1]).

Z młodszego pokolenia pisarzy, pracujących na polu socyologii, wymienimy następujących: *Ludwik Krzywicki*, uprawiający także niwę antropologiczną, w szeregu artykułów rozwijał swoje poglądy socyologiczne. Jest to pisarz ogromnego oczytania, obdarzony bystrym sądem. Z dzieł, tu należących, wymienimy „Ludy", zarys antropologii etnicznej (1893), nie pozbawiony wszakże głębszych myśli socyologicznych; także rzeczy, dotyczące pierwotnych pojęć kosmogonicznych: „Rola zwierząt w pojęciu pierwotnej umysłowości" (1893) i „Kosmos oraz jego budowa w pojęciu ludów pierwotnych" (1898). *J. K. Potocki* umieścił w „Głosie" warszawskim szereg artykułów treści socyologicznej, które dopiero co wyszły z druku w jednym tomie p. t. „Współzawodnictwo i współdziałanie" (1900). Również po śmierci jego (przypuszczalnej) ukazała się rozprawa p. t. „O energii społecznej" (1900), będąca obszerną repliką na „Logikę ekonomii politycznej" Heryngа, o której niżej nadmienimy.

Zygmunt Balicki poświęca się zagadnieniom socyologicznym obok politycznych. Wydał po francusku „L'état comme organisation coercitif de l'organisation politique" (1896) i też same myśli rozwija w „Parlamentaryzmie" („zarys socyologiczny", T. I. 1900). Umieścił w „Przeglądzie Filozoficznym" artykuły: „Socyologiczne podstawy użyteczności" (1899) i „Hedonizm, jako punkt wyjścia etyki". W kierunku bardziej filozoficznie pojętej socyologii pracuje *Edward Abramowski*: „Les bases psychologiques de la sociologie" (1897); „Le matérialisme historique et le principe du phénomène social" (1898); „Pierwiastki indywidualne w socyologii" (1899). Wydał także „Teoryę jednostek psychicznych" (przyczynek do krytyki psychologii współczesnej, 1899). W „Przeglądzie Filozoficznym" umieścił artykuły: „Co jest sztuka?" (1897) i „Dwulicowy charakter postrzeżeń" (1898). *St. Grabski* pisał w kwestyi metodologii ekonomii społecznej („Wstęp do metodologii ekonomii politycznej" (1899),

---

[1]) Jego „Historya demokracyi w Polsce" niebawem opuści prasę.

to samo obszerniej rozwinął po niemiecku. Ten sam temat poruszyła *Zofia Daszyńska-Golińska* z innego stanowiska w „Szkicach metodologicznych" (1892). Pracuje ona przeważnie na polu ekonomii społecznej i statystyki. W związku z naszym przedmiotem zostaje najnowsza jej praca p. t. „Przełom w socyalizmie" (1900). Ogłosiła także rozprawę p. t. „Nietzsche — Zaratustra" (1896). O ten sam przedmiot potrąca także wyróżniająca się praca *Zygmunta Herynga* p. t. „Logika ekonomii politycznej" (1895), która jest próbą zastosowania zasad energetyki do umiejętności społecznych wogóle, a do ekonomii społecznej w szczególności. Z innych prac w tym kierunku wymienimy *Władysława Weryhy* „Marx, als Philosoph", 1894 (krytyczna ocena filozofii dziejów znakomitego ekonomisty) oraz *Kazimierza Krauza* „Socyologiczne prawo retrospekcyi" (1898). Świeżo wydał *Ludwik Kulczycki* „Zarys podstaw socyologii ogólnej" (1900).

Lekarz z zawodu, *Władysław Biegański*, poświęca się także pracom w zakresie logiki i metodologii nauk. Wydal on „Logikę medycyny czyli zasady ogólnej metodologii nauk lekarskich" (1894), pracę bardzo wybitną, a po dobrze już przestarzałej „Medicinische Logik" Oesterlena jedyną, zdaje się, w literaturze europejskiej. Prócz tego ogłosił „Zagadnienia ogólne z teoryi nauk lekarskich" (1898). W „Przeglądzie Filozoficznym" umieścił rozprawę p. t. „Myślenie logiczne a kojarzenie wyobrażeń" (1898). Jeśli nie wszystkie treścią, to niewątpliwie duchem filozoficznym, przejęte są „Szkice krytyczne z zakresu medycyny" *Zygmunta Kramsztyka*, skreślone piękną polszczyzną; wydał on prócz tego: „Jędrzej Śniadecki i teorya jestestw organicznych" (1874). Znakomity lingwista, *Jan Baudouin de Courtenay* w pracach swoich, dotyczących praw rozwoju mowy [1]), potrąca o zagadnienia, jak najściślej wiążące się z psychologią i filozofią. Do tego zakresu należy także rozprawa „O zadaniach językoznawstwa" (1891).

---

[1]) Ogólne prawa historycznego rozwoju języków formułuje on tak: 1-o „Czynności fonacyjne przenoszą się od dołu ku górze i od tyłu ku przodowi"; 2-o „Stosunek sumy pojedyńczych aktów myślenia językowego, skojarzonego z wymawianiem, zmienia się coraz bardziej na korzyść czynności górnych z uszczerbkiem dolnych oraz na korzyść czynności przednich z uszczerbkiem tylnych". (Obacz odczyt: „O pewnym stałym kierunku zmian językowych w związku z antropologią", 1899; porównaj także „Próba teoryi alternacyi fonetycznych". — „O ogólnych przyczynach zmian językowych", 1887.—„Vermenschlichung der Sprache",— treść ta sama, co „O pewnym stałym kierunku".—„Fonologia"—artykuł w Wielkiej Encyklopedyi Illustr.

Nie możemy tu pominąć dzieł dwu głośnych w swoim czasie lekarzy: *W. T. Szokalskiego:* „Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie" (1885) oraz *Ludwika Natansona:* „Teorya istot idyodynamicznych" (1883).

Wymienić wreszcie wypada szereg prac z zakresu historyi filozofii poczęści na tle filologicznem. *L. Szczerbowicz-Wieczór* ogłosił rozprawy o „Parmenidesie" (1868), o „Spinozie i jego nauce" (1877); ogłosił także „Kilka kwestyi, jako uzupełnienie zagadnień i kierunków" (1875). Stanisław Tomkiewicz „Filozofia w Polsce w XV i XVI wieku" (1894). Rutowski „Herder i jego filozofia historyi" (1881). Zygmunt Samolewicz „Studya Platońskie": „Hippiasz większy" (1874). Michał Jezieniecki „Studya nad platońskim Sofistą" (1889); także: „Ueber die Abfassungszeit der Platonischen Dialoge Theaitet und Sophistes" (1887). W. Zaremba „Stanowisko Arystotelesa w dziedzinie nauk przyrodniczych i w dziejach sztuki lekarskiej" (1892). L. Ćwikliński „Konstytucya Aten według Arystotelesa" (1892). St. Schneider „Studya nad Politeją ateńską Arystotelesa" (1893), jegoż: „Wyobrażenia orfickie i ewolucyonizm" (1900), także „Isokrates wobec Politei Ateńskiej Arystotelesa". Br. Kruczkiewicz „O filozofii Seneki" (1875). K. Mecherzyński „O poemacie Lukrecyusza" (1880). F. K. (rupiński) „Obraz filozofii współczesnej" („Ateneum" 1880—1882). Br. Reichman „Jędrzej Śniadecki i Darwin" (1874). Tadeusz Zieliński „Zasady teoryi Jędrzeja Śniadeckiego" (1874). Kl. Hankiewicz „Życie, pisma i system Trentowskiego" (1871).

Przekładami filozofów starożytnych w najnowszych czasach zajmowali się: Ant. Bronikowski „Dzieła Platona" (1858—1884). St. Siedlecki „Gorgias, Laches, Apologia, Kriton, Protagoras, Eutyfron (1879 — 1881), jegoż „Poetyka Arystotelesa" (1887). Świderski „Menon Platona" (1888). A. S. Jezierski „Platona Eutyfron" (1890). Erazm Rykaczewski „Pisma filozoficzne M. T. Cycerona" (1874—1879). H. Sadowski „Sen Scypiona" Cycerona (1871); „Rzeczpospolita" Cycerona (1873).

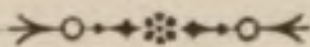
Pozostaje nam jeszcze uzupełnić ten obraz współczesnego rozwoju myśli filozoficznej polskiej wiadomością o wypadku, który, jak sądzimy, nie pozostanie bez wpływu na jej dalszy postęp. Mam tu na myśli ostatni (IX) zjazd przyrodników i lekarzy polskich w Krakowie, którego sekcya psychologiczna wskutek rozszerzenia programu swego, dopuszczającego do obrad wszelkie zagadnienia natury filozoficznej, stała się sekcyą filozoficzną. Był to więc pierwszy zjazd filozofów polskich, niezbyt liczny wprawdzie, którego obrady wszak-

że ściągnęły spore grono słuchaczy, ważny zaś nadewszystko, jako początek. Przypadł on na kilka dni przed rozpoczęciem pierwszego międzynarodowego kongresu filozoficznego w Paryżu. Nie brakło też na nim materyału: do trzech umieszczonych w pierwotnym programie posiedzeń wypadło dodać czwarte, pomimo, że kilka zapowiedzianych wykładów spadło z porządku dziennego wskutek nieprzybycia autorów. Prezesem sekcyi obrany został prof. K. Twardowski; sekretarzem W. M. Kozłowski. Wykłady wygłoszone były następujące: A. Szycówna „Psychologia dziecka wobec psychologii ogólnej i pedagogiki”, w którym autorka przedstawiła obecny stan kwestyi, metodę badań i postawiła kilka zagadnień do dyskusyi. Owocem tej dyskusyi były wnioski, które niżej podajemy. K. Radziwiłowicz (nadesłany) „O znaczeniu psychologicznem i psychiatrycznem włókien odśrodkowych w drogach dośrodkowych”—autor widzi w nich fizyologiczny warunek uwagi, a zarazem źródło—przy nadmiernej pobudliwości organu peryferycznego, wywołanej przez impuls odśrodkowy—złudzeń i omanów. J. Kodisowa „O istocie pojęć naukowych” — autorka poddała krytyce pogląd na pojęcia naukowe, jako symbole rzeczy, stawiając na jego miejsce wywody empiryo-krytycyzmu. K. Twardowski „W sprawie klasyfikacyi zjawisk psychicznych”—przedstawiwszy i uzasadniwszy nowe klasyfikacye szkoły wiedeńskiej (Brentana, Meinonga i Höflera), przyjmuje cztery grupy: 1-o przedstawienia, 2-o sądy, 3-o uczucia, 4-o wola, lecz wprowadza poprawkę, przenosząc pożądania z grupy 4-ej do uczuć i uzasadnia jej konieczność. Wł. Biegański „Analiza psychologiczna pewników logiki” — wykazuje, że podstawę aktów poznawczych stanowi porównanie, nie zaś kojarzenie. W. M. Kozłowski „Połączenie chemiczne ze stanowiska teoryi poznania” — krytyka dzisiejszych poglądów chemicznych na połączenie chemiczne, wykazanie ich zależności od dwu pewników lub postulatów apryorycznych (stałości substancyi i jedności materyi), wynikające stąd duże antynomie chemiczne i możność ich rozwiązania. A. Złotnicki „Paralelizm psychofizyczny” i R. Radziwiłowicz „O potrzebie ujednostajnienia terminologii psychologicznej polskiej”. Każdy z wykładów pociągał za sobą mniej lub więcej ożywioną dyskusyę, w której ujawniały się rozmaite prądy, reprezentowane przez pojedyńczych przedstawicieli myśli filozoficznej polskiej. Prócz wykładów postawione były tematy dla obrad; większa ich część wszakże zeszła z porządku dziennego z powodu braku czasu.

Sekcya postawiła także kilka wniosków, przyjętych następnie przez zjazd, a przekazanych do wykonania delegacyi stałej. Jedne

z nich zmierzają ku ułatwieniu i zachęcie przez Radę Szkolną Krajową badań psychologicznych nad dziećmi w szkołach i ochronkach galicyjskich; ku temuż celowi skierowana jest prośba, zwrócona do p. A. Szycówny o napisanie broszury, zachęcającej i dającej wskazówki, jak należy badać dzieci. Inny wniosek wywołany został przez komunikat R. Radziwiłowicza: postanowiono w celu ujednostajnienia terminologii polskiej wybrać komisyę, która zajmie się rozesłaniem odpowiedniego kwestyonaryusza do osób, pracujących na tem polu, a następnie wyda zebrane materyały [1]).

Wł. M. Kozłowski.



[1]) *W dopełnieniu podajemy ważniejsze prace filozoficzne autora artykułu.* Szereg szkiców lub odczytów, umieszczanych w „Ateneum", „Bibliotece Warszawskiej" i „Kosmosie" (Lwowskim), wydane razem p. t. „Szkice filozoficzne", Warsz. 1900. Prócz tego osobno: „Dekadentyzm współczesny i jego filozofowie (Nitzsche)", Warszawa, 1894. —„Klasyfikacya umiejętności ze stanowiska potrzeb wykształcenia ogólnego", Warsz., 1895. — „Filozofia Schillera i wiersz Artyści", Warsz. 1900. — „Psychologiczne źródła niektórych zasadniczych praw przyrody". Warsz., 1900.—„Co i jak czytać?", Warsz., 1900.—Książka ta, będąc metodyką wyrobienia filozofii życia i zawierając (w drugiej części) szkic filozofii tej, należy również do literatury filozoficznej. W „Przeglądzie Filozoficznym" za rok 1900: „Władysław Kozłowski (ze Lwowa)", wspomnienie pośmiertne. (Zeszyt II). — „Świadomość i energia" (Zeszyt III).—„Połączenie chemiczne ze stanowiska teoryi poznania" (Zeszyt IV). — Przekłady: Falkenberg: „Historya filozofii nowożytnej", (uzupełniona literaturą polską). — Kant: „Marzenia jasnowidzącego". — Sheldon: „Ruch etyczny" (druga połowa dzieła, uzupełniona wstępem, który ze względów technicznych umieszczony został w „Przegl. Filozof.", 1900. Zeszyt V w dziale sprawozdań). W obcych językach: „Les propositions fondamentales de la science moderne à l'aube de la philosophie grecque („Revue de métaphysique et de morale", Novembre, 1900).—„La combinaison chimique au point de vue de la théorie de cognition" (prace I kongresu międzynarodowego filozofii p. t. Congrès international de philosophie. T. III). „Současna literatura filosofická v Polsce (Česka Mysl sešit 5 i 6). Od roku wydaje w Krakowie „Pogląd na świat", miesięcznik, mający za przedmiot metodykę samodzielnej pracy nad wyrobieniem poglądu na świat i filozofii życiowej, t. j. te same zadania, co i książka „Co i jak czytać?", której jest niejako peryodyczną kontynuacyą (Przyp. Red.).

Z PIEŚNI.

GDY WSZĘDZIE SMUTNO...

Dobrze jest, kiedy cię zgryzie tęsknota,
Upaść tak na wznak w bujną, mokrą trawę
I przez łzy patrzeć, jak słońce jaskrawe
Dźwiga w zenity ciężar swego złota;
Gdy zaś wzrok zgaśnie, to kurczowo dłonią
Wpić się w pachnącą miękkość ziół kobierca
I wmawiać w siebie, że to nie głos serca,
Ale skowronki jękiem w tobie dzwonią.

*

Dobrze jest także, gdy dusza usycha,
Złożyć swe usta, drżące łkaniem żalu,
Na ust dziewczyny wilgotnym koralu,
Serce zanurzać w war tego kielicha;
A gdy się szarpie i, jako ptak, płoszy,
Któremu strzała sączy krew z pod pierzy,
To wmawiać w siebie, że to tak należy,
Że serce właśnie szaleje z rozkoszy.

*

Ale najlepiej, bezpieczniej daleko,
Jedynie pewnie, skutecznie, rozumnie,
Gdy wszędzie smutno—położyć się w trumnie
I kazać zabić brytnalami wieko.

*

Bo w bujnej trawie żmija nieraz gości:
Zbolałą dłonią znak podniesiesz siny;
Gorycz twe usta zerwie z ust dziewczyny,
Bo ci nią puhar zaprawi miłości;
Słońce, co za dnia łzawiło twe oczy,
Krwią cię pożegna; za to noc w opalu
Gwiazd swych pokaże nowe światy żalu
I łzę na każdym z dna duszy wytoczy.

*

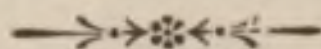
A w pyle ziemi, pod darni mogiłą,
Chociaż robactwo do mózgu się wwierca,
Śpisz tak spokojnie... I nic żadną siłą
Zamęczonego już nie draśnie serca.

DROGĄ MI JESTEŚ...

Drogą mi jesteś, gdy piersią namiętną
Czuję pierś twoją, falami drgań żywą,
Przy wrzącem sercu—twego serca tętno
I miękkich włosów pachnące przędziwo.
Lecz stokroć droższa-ś, gdy po krwawym szale
Pełen najtkliwszej prawie że boleści
Patrzę na oczu twych łzawe opale
I dłoń omdlałą, co mnie jedna pieści...
Bo wtenczas, kiedy ognie zmysłów gasną,
Cuci się dusza ma, w niebo ucieka
I tam się łączy—mroczna—z twoją jasną...
Tracąc kobietę, zyskuję człowieka
I odkupuję tem grzech słodkiej winy,
W którym duch upadł pod ciężarem gliny.

G. Daniłowski.

Z wystawy powszechnej.



Organizacya wystawy. — Przemysł polski na wystawie. — Architektura wystawowa. — Sztuka stosowana.

Wstrętny jarmark, a przecież wielkie dzieło kulturalne, powódź humbugu i bezczelnej blagi, a przecież poważny popis, wspaniałe zadokumentowanie olbrzymiego postępu ludzkości... Takiem jest pierwsze wrażenie, jakie wywiera wystawa międzynarodowa. Po kilku bytnościach widz, który przybył w celu innym, jak puste gapiostwo, zaczyna oswabadzać się od owych wrażeń jarmarcznych, próbuje pokonywać je, i to do pewnego stopnia udaje się. Pytanie, czy nie możnaby obyć się bez tego balastu, czy nie możnaby urządzić wystawy bez jarmarku, bez wszystkich tych „attraction", obliczonych na gapiów, na schlebianie próżnej ciekawości tłumów. Sądzimy, że nie można, gdyby zaś można, byłoby w tem... jeszcze więcej blagi. Boć w rzeczy samej: cała kultura, jaką popisać się możemy, ma za podścielisko kapitalizm, a znów kapitalizmu wyobrazić sobie nie można bez brutalnego współzawodnictwa, bez szyku i fałszu, bez tego wszystkiego, co skupione w jednem miejscu czyni wrażenie jarmarku. Współzawodnictwo, posługujące się każdym możliwym środkiem, dającym szanse zwycięstwa, jest motywem rządzącym przedsiębiorcy, tego władcy, który decyduje o naszym

postępie prawie we wszystkich dziedzinach; nie można więc zawezwać przedsiębiorców do popisu, jakim ma być wystawa międzynarodowa, i zabronić im kierować się tendencyami, które stały się ich drugą naturą. Więcej nawet, nie można urządzać wystawy bez udziału całej falangi wydrwigroszów, straganiarzy, antreprenerów, rozmaitych „attractions”. Szerokie masy publiczności przywykły bowiem do systemu podatków pośrednich, owego wykwitu sztuki rządzenia w państwie nowożytnem; jeżeli im się każe zapłacić 3 franki wstępu, nie przyjdą na wystawę, za wstępem 50 centimów przyjdą, a jednocześnie pozwolą się obdzierać różnym wydrwigroszom w straganach, zostawią tam po kilka franków, a z podatku, pobranego od straganiarzy, zostają częściowo pokryte koszta wystawy. A więc wystawa taka, jaką jest, jest jeszcze najmniejszą blagą, gdyż odpowiada najściślej rzeczywistości. Lecz „od niepamiętnych dni zamierzchłych w dali wszystko jest w ruchu!” Nie tylko w naturze i w duszy człowieka, na którą powołuje się poeta, lecz zarówno w świecie zjawisk społecznych. W świecie zaś kapitalistycznym ruch odbywa się w kierunku olbrzymiej koncentracyi, powstają nowe „prądy organizacyi społecznej”, przejawiające się w syndykatach, obejmujących całe gałęzie wytwarzania z jednej strony, z drugiej rozszerza się sfera wpływów ciał zbiorowych, korporacyi prywatnych, gminy, państwa. Kto wie, czy wskutek tego właśnie nie zbliża się taki układ stosunków, przy którym marzenie kierownika obecnej wystawy da się w części przynajmniej urzeczywistnić. Pan Picard bowiem marzył o tem, aby wystawa była wielką szkołą poglądową, aby w każdej grupie przemysłu np. można było prześledzić drogę, jaką pod działaniem pracy ludzkiej przybiera materyał surowy, zanim stanie się przedmiotem użytku, aby obok tego wystawa była naocznem świadectwem postępu przez urządzenie możliwie wielkiej ilości działów retrospektywnych, aby nareszcie była ona wystawą nie tylko przemysłową, lecz dawała dokładne pojęcie o wszystkich postępach kulturalnych. Plan taki oczywiście może być tylko urzeczywistnionym, o ile wystawcy sami przychylą się do tego, ponieważ zaś tym wystawcom dziś w pierwszej linii chodzi o interesy zgoła inne, o reklamę, o zyski bezpośrednie, więc pozostał marzeniem, i tylko tu i owdzie można było zauważyć mniej lub więcej udatne próby zastosowania się do ogólnego planu — kilka wystaw retrospektywnych, bardzo nieudaną wystawę urządzeń społecznych w tak zwanym pałacu kongresów i ekonomiki społecznej.

Co do ogólnego planu przyjęto system nowy, zainaugurowany w Chicago, zastąpiono układ etnograficzno-narodowościowy układem

według grup, zastosowanych do rozmaitych przejawów działalności ludzkiej. Na dawniejszych bowiem wystawach dominował podział na grupy etnograficzne, właściwie państwowe; każde państwo reprezentowało zwartą całość, podzieloną dopiero na grupy według gałęzi przemysłu i t. p. W Chicago odwrotnie, podział na takie grupy był ogólnym i dopiero w każdej grupie poszczególne państwa były reprezentowane. Pan Picard przyjął ten system i starał się przeprowadzić go możliwie konsekwentnie. Każda grupa jest umieszczoną w specyalnym gmachu lub szeregu gmachów, przyczem grup takich urządzono osiemnaście, a te zostały podzielone jeszcze na 121 klas. Jakiemi kierowano się zasadami, wyłożył pan Picard w sposób następujący.

„Na czele stają wychowanie i nauczanie; one wprowadzają człowieka w życie i one też są źródłem każdego postępu. Bezpośrednio za niemi umieszczamy dzieła sztuki, dzieła geniuszu, którym należy się miejsce zaszczytne. Podobne względy każą nam postawić na trzeciem miejscu narzędzia i środki sztuki, nauki i literatury (instruments et procédés généraux des lettres, des sciences et des arts). Czwarte z kolei miejsce zajmują czynniki współczesnej produkcyi, potężne dźwignie przemysłowego rozwoju dziewiętnastego stulecia, mechaniki, elektryczności, sztuki inżynieryjnej i środków komunikacyi. Następnie wystąpią narzędzia i metody pracy okupacyjnej nad i pod ziemią: rolnictwa, ogrodownictwa, leśnictwa, łowów, rybołówstwa, sadownictwa, przyrządzania środków spożywczych górnictwa, metalurgii. Stąd przechodzimy do działów, poświęconych urządzeniu i upiększeniu mieszkań i gmachów publicznych, tkactwu, przędzalnictwu i fabrykacyi ubrań, przemysłowi chemicznemu, i nareszcie do działu rozmaitych pomniejszych gałęzi przemysłu. Ekonomika społeczna musi z natury rzeczy uzupełnić działy artystycznej, rolniczej i przemysłowej produkcyi; jest ona zarazem ich wynikiem i ich filozofią. Zgodnie z radą dwu wybitnych specyalistów, panów Leona Say i Broard postanowiliśmy przyłączyć dział hygieny, która czuwa na zdrowotnością ludzkości, oraz dobroczynność publiczną, która niesie pomoc wydziedziczonym. Osobną też grupę poświęcono działom materyalnym i moralnym kolonizacyi. Utworzenie takiej grupy tłómaczy się już przez dążność ekspensywną, właściwą obecnie wszystkim narodom cywilizowanym. Zakończa szereg grupa zbrojeń morskich i lądowych, których zaszczytna misya polega na tem, by uprawnić bezpieczeństwo publiczne i dać ochronę zdobyczom pracy i pokoju."

Rzeczywistość niezupełnie jest w zgodzie z tym szematem, na-

kreślonym przez kierownika. Tak np. militaryzm, umieszczony przezeń na szarym końcu, nie zadawalnia się znać skromną rolą, rozsiadł się bardzo pompatycznie i niejednokrotnie otrzymuje się wrażenie, że to on panuje na tym „świecie pracy i pokoju", nie zadowolnił się przecież specyalnymi pawilonami, lecz wtargnął do pałacu maszyn i elektryczności, metalurgii i chemii; filozofia pana Picarda swoją drogą, a chęć przemysłowców zwrócenia uwagi na piękne narzędzia mordercze, jakie są w stanie sporządzić, swoją drogą.

Jednolitości grup również nie zdołano osiągnąć. W grupie naprzykład maszyn trudno dopatrzeć się jedności: jednych trzeba szukać w hali maszyn, inne ulokowano w dziale tkackim, drukarskim, inżynieryjnym, metalurgicznym i t. d. Tu podział rzeczywiście trudnym był do przeprowadzenia, gorzej natomiast, że ów filozoficzny, że tak powiem, podział został zakłócony wskutek rudymentów dawnego systematu narodowościowego. Za przykładem bowiem znów Amerykanów urządzono tak zwaną „ulicę narodów", t. j. ulicę, złożoną z szeregu pawilonów rozmaitych państw. Był to pomysł, wcale sprytny, gdyż pobudzona w ten sposób rywalizacya państw poszczególnych sprawiła, że wystawa została zbogaconą całym szeregiem mniej lub więcej ładnych gmachów, za które zapłaciły owe państwa! Jednakże trzeba było w tych gmachach coś umieścić; umieszczono więc w nich najróżnorodniejsze działy według widzimisię kierowników sekcyi narodowych. Tak np. Włosi wystawili w swoim pawilonie wyroby marmurowe, garncarskie i szklane, Niemcy część wystawy drukarskiej i narzędzi optycznych; Austrya umieściła w swoim pawilonie dzieła malarzy polskich i czeskich. Pomniejsze znów państwa, jak: Bulgarya, Serbia, Meksyk, obawiały się słusznie, że eksponaty ich przemysłowców zginą w gmachach ogólnych, i dlatego urządziły w swoich pawilonach ogólną wystawę. Taka zaś Turcya urządziła u siebie poprostu wstrętny jarmark wszelakiej tandety, a zarazem stragany, w których pokazują tańce brzucha i podobnie piękne widowiska. Węgrzy znów urządzili u siebie coś w rodzaju muzeum starożytności, bardzo zresztą nieciekawe. Tylko Amerykanie i Anglicy potrafili wybrnąć z dylematu. Gmach, nad którym wieje sztandar gwiaździsty Stanów, został wewnątrz urządzony, jako wspaniały klub; w pokojach ustawiono wykwintne meble w stylu nowożytnym, nader przytem wygodne, rozłożono książki, czasopisma, gazety, papier listowy, ustawiono maszyny do pisania, a w westibulu urządzono biuro pocztowe i biuro informacyi; kto chciał, przychodził i był na godzinę gościem gościnnej rzeczypospolitej. Anglia zaś postąpiła jeszcze inaczej: ustawiła pięk-

ny gmach, będący odtworzeniem jakiegoś starego pałacu prywatnego, i dom ten urządzono tak, jak gdyby w każdej chwili miał zostać ponownie zamieszkany, przyczem całe urządzenie odpowiada najwykwintniejszemu gustowi. Przeciw zasadzie wystawowej zgrzeszono o tyle tylko, że umieszczono tu obrazy, które właściwie powinnyby znaleźć się w pałacu sztuki, lecz to niech będzie darowane kierownikowi sekcyi angielskiej, skoro dał nam możność oglądania takich dywanów ściennych, wykonanych według kompozycyi Burne-Jones'a w pracowni Williama Morris, jedynych w swoim rodzaju, a przedewszystkiem dział niezrównanych portrecistów angielskich z końca zeszłego i początku bieżącego wieku — Jozua Reyrolds, Gainsborough, Raeburn, Lawrence—i malarzy tak oryginalnych, jak Hogarth, Constable, Turner. Każdy miłośnik sztuki, któremu nie danem było oglądać tych pereł w muzeach angielskich, ma tu możność zapełnić lukę w swojem wykształceniu estetycznem. W każdym razie było to więcej umotywowane, aniżeli wystawienie w pałacu niemieckim dzieł sztuki francuskiej, nagromadzonych w Berlinie przez Fryderyka II, tembardziej, że obrazom takiego Watteau, Lancret, Chardin bardzo nieswojsko w tym gmachu, w którym niepodobna było dać im architektonicznej oprawy, odpowiadającej ich charakterowi, gdy tymczasem wspomniane dzieła mistrzów angielskich rzeczywiście nie mogłyby znaleźć bardziej stylowego umieszczenia, niż w owym pałacyku. Lecz nie tylko te pawilony narodowe zakłócają porządek. Okazało się bowiem, że dla niektórych grup miejsce było zbyt szczupłe i dlatego urządzono jeszcze tu i owdzie „aneksy": tu Anglicy wystawili maszyny dla piekarni, owdzie Amerykanie urządzili drukarnię z maszynami zecerskiemi, a tam znów pomieszczono w specyalnym gmachu maszyny niemieckie, należące do rozmaitych grup; amerykańskie towarzystwa ubezpieczeń znów nie pomieściły się w pałacu kongresów obok innych towarzystw, lecz ulokowały się gdzieś na drugim końcu wystawy w jakiejś przybudówce, gdzie nikomu nie przyszłoby na myśl ich szukać. Rezultat zaś takiego wyłamywania się z ogólnego porządku jest ten, że, chcąc zwiedzić dokładnie pewien dział, trzeba stracić niepomierną ilość czasu, odszukując eksponatów po rozmaitych kryjówkach.

Nie z winy już ogólnej dyrekcyi, lecz z winy kierowników poszczególnych sekcyi, stało się tak, że o jakiekolwiek informacye, o ile one nie leżały w interesie kupieckim wystawców, było niesłychanie trudno. Tu okazywała się odrazu zdolność lub niezdolność organizatorska, i dla kogoś, bawiącego się w psychologię ras, takie zbieranie wiadomości mogło być bardzo ciekawem. Na każde np.

zapytanie, dotyczące Ameryki i Anglii, nietrudno było o jasną i zdecydowaną odpowiedź, a materyał drukowany, dotyczący całej produkcyi, urządzeń społecznych i t. p. Stanów Amerykańskich, był wprost wzorowy. Ze wzoru tego skorzystali synowie „państwa wschodzącego słońca”, a górowali ci panowie o żółtej cerze i skośnych oczach nad swoimi mistrzami bezprzykładną uprzejmością. Niemcy wydali przynajmniej katalog, świetnie ułożony, tak, że kto poświęcił parę godzin na przestudyowanie tego tomu—nawiasem powiedziawszy arcydzieła sztuki drukarskiej — mógł się jako tako połapać. Lecz biada temu, kto potrzebował informacyi, dotyczących np. Austryi lub Rosyi. Mógł być zgóry przygotowany, że będą go posyłali od Annasza do Kaifasza, nie znajdzie się nikt, kto na proste pytanie da mu prostą odpowiedź, i w końcu, zmarnowawszy niesłychanie dużo drogocennego czasu, nie dowie się przecież tego, czego miał się dowiedzieć. Wadliwą była również pod tym względem uorganizowana sekcya samych gospodarzy, Francuzów, lecz tu braki tłómaczą się obszernością tej sekcyi.

Braki zaś organizacyi dawały się odczuć tem dotkliwiej wobec olbrzymiości, a zarazem nieforemności terrytoryum wystawy. Jest to znów kwestya, złączona bezpośrednio z kwestyą wystaw międzynarodowych. Wzrastają bezustannie wymagania, wzrasta olbrzymia liczba wystawców i eksponatów, i dziś nawet w Paryżu, w mieście. które posiada najbardziej rozległe place w swoim obrębie, trudno było o miejsce. Pierwsza wystawa międzynarodowa w Paryżu w r. 1855 mieściła się na przestrzeni 16,8 hektarów (hektar=10,000 metrów kwadratowych), z których pod budynki było zajętych 12, pozostawało wolnych 4,8 hektarów; wystawa z roku 1878 mieściła się na 75, wystawa 1889 na 96 hektarach, ostatnia zaś rozsiadła się na przestrzeni 108 hektarów (przeszło wiorsta kwadratowa), przyczem działy, zajmujące najwięcej miejsca (część wystawy rolniczej, wystawa kolejowa i t. p.) były umieszczone osobno w Vincens. Powodem takiego wzrostu był znów przykład dany w Chicago, gdzie miejsca nie szczędzono, terrytoryum bowiem wystawy obejmowało tam nie mniej, jak 274 hektarów, przytem Amerykanie byli tak sprytni, że oddzielili miejsce specyalne na wszelkie przedsiębiorstwa prywatne, służące zabawie, wyznaczając na ten cel 29 hektarów, właściwa wystawa miała więc do rozporządzenia 245 hektarów. Przyzwyczaiły się tedy państwa wszystkie w Chicago do szafowania miejscem dla swoich wystawców i wystąpiły z podobnemi żądaniami w Paryżu. Pierwsze wystawy pomieściły się wygodnie na polu Marsowem i placu przed Trocadero, w roku 1889 przyłączono espla-

nadę Inwalidów i wybrzeże Sekwany pomiędzy tym placem a polem Marsowem (Quai d'Orsay), w tym roku zaś zajęto prócz tego prawe wybrzeże Sekwany (Cours de la Reine) i odłam pól Elizejskich. Stąd powstały trudności rozliczne. Nie można przecież było pozbawić całych dzielnic miasta komunikacyi, mosty (Inwalidów i Alma) musiały pozostać wolne, jak również dojazdy do nich. Wypadło tedy ustawić kilka mostów prowizorycznych dla wystawy i przeprowadzić kilka wiaduktów nad ulicami, położonemi pomiędzy wspomnianymi mostami (owe *passerelle*, na których zdarzyło się kilka wypadków nieszczęśliwych wskutek zawalenia). Lecz i tak rozrzucone terrytoryum nie starczyło, i wypadło znacznie uszczuplić miejsce niezajęte przez budowle. W roku 1889 z 96 hektarów było zabudowanych 29, pozostawało wolnych 67; w roku 1900 z 108 hektarów było zabudowanych 49, pozostawało wolnych 62. Stąd znów powstało kilka niedogodności. Przedewszystkiem w Paryżu, w owem „mieście perspektyw", jak słusznie je ktoś nazwał, wystawowe budynki po większej części były upośledzone, nie mogły działać na widza odpowiednio dla braku miejsca. Prócz tego dla tłumu zwiedzających nie starczyło miejsca i regularnie przy owych „passerelle" trzeba było tracić czas godzinami, poruszając się w zbitej masie tłumu krok za krokiem. W niedzielę zaś, kiedy liczba zwiedzających wzrastała z 200 do 600,000 tysięcy, o zwiedzaniu wystawy wogóle już mowy nie było.

Na szczęście dla pana Picard była to publiczność paryska, co się tam tłoczyła na „passerellach", błąkała w zaułkach, dusiła w ciasnych przejściach, publiczność zawsze w dobrym humorze, zawsze bawiąca się więcej sama sobą, niż tem, co jej pokazują, a przytem tak bardzo uprzejma. W Londynie, gdzie „times is monney" stało się dogmatem, ukamienowanoby dyrektora za stratę czasu, na jaką naraża ludzi, w Berlinie, gdzie „bürger" jest poczciwym, dopóki mu wygodnie, zabojkotowanoby go, Paryżanie zaś tylko śmieli się z niego i z siebie. Jeszcze gorzej, niż z panem Picard, obeszłaby się zapewne publiczność każda z dyrekcyami dróg żelaznych i z kompanią omnibusów w Paryżu. Podróż w wagonach francuskich zawsze należy do rzeczy bardzo przykrych, gdyż na całym bożym świecie (z wyjątkiem podobno dróg hiszpańskich) nie ośmielonoby się wozić ludzi w tak wstrętnych, ciasnych, nizkich, brudnych, cuchnących pudłach, jak we Francyi; podróż zaś w czasie wystawy to poprostu tortury. Lecz publiczność francuska wierzy święcie w Leona Saya i Molinarego, którzy jej powtarzają, że „tyrania państwa" jest złem najgorszem, a zbawienie leży we współzawodnictwie i inicyaty-

wie przedsiębiorcy prywatnego i pozwala maltretować się dyrekcyom dróg prywatnych. Podobnie z omnibusami, tym jedynym tanim środkiem komunikacyi w Paryżu. Towarzystwo omnibusów posiada monopol i dlatego uprawia, bez wszelkich względów na publiczność, swoje interesa. Podobnie, jak towarzystwa kolejowe, wykalkulowało ono, że wydatek na nowe wehikuły byłby zgoła niepotrzebnym, lepiej natomiast jest, jeżeli w nielicznych powozach wszystkie miejsca będą zajęte. I oto podczas wystawy stali ludzie i czekali po godzinie i więcej na omnibus i znów czekali z całą wesołą uprzejmością, cechującą Paryżan.

Organizacya wystaw powszechnych staje się coraz trudniejszą, natomiast kwestya finansowa mniej przedstawia się groźną. Wystawa np. Paryska z roku 1878 dała deficytu 20 milionów franków, i próżnem byłoby powoływać się na to, że jednocześnie dochody z podatków pośrednich wzrosły w tym roku o 70 milionów, gdyż bądź co bądź deficyt ten musiał być pokryty ze źródeł podatkowych, a nie każde państwo ma system fiskalny podobny do francuskiego. Jednakże wystawa z roku 1889 dała dochodu trzy miliony, a wystawa w Chicago również dała pomyślne rezultaty. Obecnie pesymiści przepowiadają ogromny deficyt, lecz o ile te przepowiednie sprawdzą się, niewiadomo. Faktem jest tylko, że konsorcyum, któremu poruczono rozsprzedaż biletów wejścia, widziało się zmuszonem obniżyć ceny biletów i poniesie zapewne straty, oraz że znaczna część przedsiębiorstw prywatnych, urządzających owe *attractions*, a podobno i część restauratorów poniesie dotkliwe straty. Ostatni fakt tłómaczy się wszelako bardzo prosto. Wystawa przypadła na czas powszechnej gorączki spekulacyjnej; powstały setki towarzystw akcyjnych dla eksploatacyi przedsiębiorstw wystawowych, towarzystw, absolutnie źle ufundowanych, których założyciele liczyli tylko na łatwowierność drobnych spekulantów. Te krachy zatem nie powinny dziwić i niewiele mają wspólnego z wystawą. Co natomiast tyczy się właściwych wystawców, ogólne zdanie jest, że wystawa ostatnia opłaciła im się, jak żadna inna.

Ze strony ekonomistów rozlegają się bardzo poważne głosy przeciw wystawom powszechnym. Wydatki, ponoszone przez państwo i wystawców, nie pozostają w żadnym stosunku do korzyści osiąganych, wystawa staje się powodem milionowych wydatków, zbytecznych dla ogółu, pobudką do trwonienia oszczędności. Wszystko to może być słusznem, lecz z drugiej strony nie ulega znów kwestyi, że dla pewnych grup przedsiębiorców kapitalistycznych wystawy są nader zyskownem przedsiębiorstwem i że potrze-

ba ich wzrasta nawet w miarę, jak wzrasta potrzeba reklamy, która dziś już przybrała olbrzymie rozmiary. Dlatego też nie sądzimy, aby sprawdziły się przepowiednie, jakoby wystawa tegoroczna była już ostatnią. Jeżeli po roku 1878 książę Bismarck mógł twierdzić, że panuje ogólne zobojętnienie dla wystaw („Ausstellungsmüdigkeit"), to przecież ostatnie trzy wystawy powszechne zadały kłam temu twierdzeniu, i najprawdopodobniej właśnie w ojczyźnie Bismarcka odbędzie się przyszła wystawa. Co do społecznych korzyści, mogłyby one, jak zaznaczyliśmy, być bardzo wielkie, gdyby cała zasada i technika wystaw została zmienioną; dopóki to nie nastąpi, korzyści społeczne, nie będąc głównym celem wystawy, nie mogą być wielkie, będą one tylko wynikiem pośrednim tych popisów współzawodnictwa prywatnego.

Zanim przystąpimy do charakterystyki ogólnych objawów postępu na wystawie, należy poświęcić słów kilka wystawcom polskim.

Zaznaczamy z góry, że nie mogło być mowy o tem, aby to, co wystawiono, dało świadectwo wiarogodne o tem, co u nas uczyniono, czem jesteśmy, co możemy dać, gdy ludzkość zażąda od nas sprawozdania z owoców żywota. Przedewszystkiem bowiem u nas nie było mowy o jakiejkolwiek organizacyi zbiorowej, wystawiło kilku—bardzo a bardzo niewielu—wystawców prywatnych w przemyśle, wystawili artyści kilka mniej lub więcej dobrych obrazów i rzeźb, nie charakteryzujących wszakże naszej sztuki, a z instytucyi zauważyliśmy jedną jedyną: łódzką szkołę rzemiosł. Ile zaś można dokonać przez organizacyę, tego świadectwem np. Finlandya. W nader oryginalnym pawilonie wystawiły wyłącznie organizacye zbiorowe, i w ten sposób powstał charakterystyczny obraz, świadczący o oryginalnej kulturze narodowej. Tak samo uderzała w pawilonie sztuk pięknych grupa Finlandyi; znać tu było odrazu, że celem był nie popis próżny osobników, lecz przedstawienie całokształtu oryginalnej sztuki finlandzkiej.

O dziełach sztuki polskiej mówić w tem miejscu nie zamierzamy. Dzieła wystawione są przecież po większej części znane w Warszawie, gdzie podlegały krytyce, zanim jeszcze pojawiły się na owym konkursie międzynarodowym. Przechodzimy tedy odrazu do przemysłu. Naczelne u nas miejsce zajął wielki przemysł tkacko-przędzalniczy, i to zaznaczyło się też na wystawie, gdzie ta gałąź była najliczniej reprezentowaną.

Cóż więc da się powiedzieć o tym popisie, w którym wzięły

udział najpoważniejsze firmy? Niewiele, a niestety jeszcze mniej dobrego. Były tam w witrynach, bynajmniej nie eleganckich i nie różniących się od tego, co się widuje w oknach wystawowych sklepów i składów hurtowych, bardzo dobre płótna, niezłe korty i wcale dobre perkale i inne tkaniny bawełniane. Jednakże uderzał przedewszystkiem fatalnie w porównaniu z innymi wyrobami zły gust w zestawieniu barw oraz przestarzałość okazów. Ma się wrażenie takie, jak gdyby tkalnie i drukarnie u nas posiłkowały się wzorami, które były w modzie i w użyciu na zachodzie dwadzieścia lat temu, a to wobec ogromnego postępu pod względem gustu w doborze kolorów i rysunku w tkalniach zagranicznych jest bardzo złem świadectwem. Zapewne musiano wystawić to, co u nas stanowi podstawę produkcyi, a „bojkami" szyku zadać nie można; tak zdawaćby się mogło. Niesłusznie wszakże. Naprzykład: wystawiły przędzalnie angielskie swoje wyroby, nagromadziły poprostu motki przędzy i nici bawełnianych. Ale jakiej przędzy! Nawet nie specyalista, widząc tę różnolitość produkcyi, widząc zarazem wzorową jednostajność w kolorze, w grubości, w skręceniu nici, otrzymuje wrażenie o doskonałości niedoścignionej nigdzie poza Anglią tego wyrobu. W witrynach zaś naszych wystawców zauważyliśmy tkaniny wyblakłe, przędzę bieloną, niejednostajną w kolorze. Mała rzecz, a bardzo, bardzo wielki wstyd! Czy zaś wystawy takiej rzeczywiście nie można urządzić umiejętniej? Sądzimy, że można. Wiadomem jest, np. że Łódź ma rynek zbytu olbrzymi, od Wisły aż po stepy Kirgiskie, Buchary, wschodnie krańce Syberyi, od Krymu aż do Archangielska; farbierze i koloryści u nas są zatem zmuszeni liczyć się z gustami i wymaganiami różnorodnych ludów i umieli zastosować się do tego; inne są desenie i barwy dla ludności miast polskich, inne dla wsi, jeszcze inne dla włościan małoruskich, dla wielkoruskich, dla Kirgizów i Sybiraków, a tym wysiłkom i tej pomysłowości swoich techników zawdzięcza Łódź (obok innych oczywiście warunków), że może ostać się w konkurencyi z Moskwą. Otóż, gdyby na wystawie popisano się tą różnorodnością produkcyi, wówczas nawet owe „bojki" pospolite mogłyby być bardzo ciekawe. Jeżeli nie uczyniono tego z obawy przed konkurencyą, która mogłaby podpatrzeć desenie, byłby to wzgląd śmieszny: nie potrzeba przecież jeździć do Paryża, by zebrać kolekcyę bawełniaków.

Mogą się zresztą pocieszyć potentaci Łodzi; ich konkurenci z okręgu centralnego wystawili jeszcze gorzej, jeszcze mniej umiejętnie i jeszcze dalej pozostali wstecz za zachodem. Natomiast gościom wystawy, przybyłym z nad brzegów Wisły, ta wystawa mó-

wiła jedno tylko: tym panom, rządzącym naszym przemysłem tkackim, przydałby się bardzo bicz konkurencyi, przed którym chroni ich dziś wał ceł ochronnych.

Przedstawicielom drugiej wielkiej gałęzi przemysłu, odgrywającej rolę w naszym kraju, górnictwa, trudniej urządzić wystawę. Cóż bowiem można pokazać? Próby węgla lub rudy, przekroje szybów i szkolni, tablicę, wykazującą rozmiary produkcyi. Nic więcej nie wystawiły te 4 kopalnie, które wzięły udział w wystawie, przytem jeszcze wystawiono niedbale i niedokładnie. Jak zaś należy urządzić wystawę górnictwa, nauczyć się można w oddziale amerykańskim. Wystawiono tu przedewszystkiem okazy całego bogactwa kopalnianego kraju, dokładne tablice przekrojów, a nadto w sposób bardzo dowcipny: urządzono t. zw. reliefy, wykazujące strukturę geologiczną najważniejszych terrytoryów, obfitujących w materyały, ustawiając obok siebie pionowo tablice szklane, wyobrażające szereg przekrojów. Wystawa ta zaś nie tylko imponuje, lecz przy pomocy nader instruktywnych broszur można tu rzeczywiście w krótkim czasie dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy. Oczywiście bogactw Stanów Zjednoczonych nie posiadamy, nie popiszemy się ani rudą złotą, ani hematytem, malachitem i t. p., lecz gdyby panowie magnaci kopalniani u nas wystąpili, jako korporacya, przyzwawszy do pomocy np. towarzystwo popierania przemysłu i handlu, możnaby pokazać zbiór, w którym figurowałyby różne gatunki węgla, rudy żelaznej, marmur chęciński, siarka czarnkowska, galman, glina ogniotrwała i t. p. Co prawda, wypadłoby wtedy przyznać się także do tego, że nie bardzo wiemy, co mamy, pokazując mapę geologiczną, pokrytą na większości przestrzeni—znakami zapytania. Może wtedy pośpieszyłby do nas kapitał amerykański, by dać odpowiedź na te znaki. Tymczasem ratują honor górniczy inżynierowie panowie Woysław i Kotarski, którzy prowadzą w całem Cesarstwie roboty świdrowe i wystawili swego systemu świdry udoskonalone, na które zwrócili baczną uwagę specyaliści wszystkich krajów.

Z wielkich zakładów przemysłu żelaznego w Dąbrowie i Sosnowcu wystąpiło kilka z prawdziwie wyborowymi kotłami parowymi, blachą, żelazem walcowanem i t. p. Wyroby te nie tylko zajmują pierwsze niezaprzeczenie miejsce w dziale rosyjskim, lecz śmiało mogą współzawodniczyć z tem, co pokazał zachód.

A teraz przejdźmy z katalogiem w ręku poszczególne grupy, by się przekonać o tem, co jest charakteryzującego nasze życie ekonomiczne i społeczne, a czego niema, a to bywa również charakterystyczne.

Grupa 1—szkolnictwo i wychowanie: nic, oczywiście.

Grupa 2—sztuka: jak wspomnieliśmy, dzieła, nie charakteryzujące naszej sztuki.

Grupa 3—środki i metody, którymi posługuje się nauka, literatura, sztuka. Jest coś z Warszawy! *J. G. Bloch, conseiller d'État actuel: La guerre future, 7 volumes en langue russe, française, allemande anglaise, italienne et hollandaise.* Więcej nic. Wszędzie są reprezentowane czasopisma naukowe i literackie, dzienniki, wydawnictwa: polskich niema.

Grupa 4 — maszyny: dwu wystawców, z których jeden wystawił motor naftowy, podobno bardzo dowcipny, lecz o którym żadnych informacyi zasięgnąć nie można, drugi sikawki i pompy.

Grupa 5—elektryczność: nic!

Grupa 6—inżynierya cywilna, środki komunikacyi: trzy fabryki cementu wystawiły wyroby swoje; droga Iwangrodzko-Dąbrowska plan mostu i plany domów dla służby kolejowej; Warszawsko-Wiedeńska rysunki, przedstawiające rezultaty badań nad deformacyą toru zapomocą specyalnego aparatu; inżynier tejże drogi, pan Kozłowski—aparat do mierzenia stopnia zużycia relsów; inżynier Oleszewicz — drezynę z aparatem, rachującym deformacyę relsów i toru. Czy te aparaty, mogące przyczynić się do powiększenia bezpieczeństwa ruchu, funkcyonują rzeczywiście na liniach naszych, nie mogliśmy się dowiedzieć. Do tej grupy zaliczono też wozy i karety, i wystawiła tu fabryka szydłowiecka i jedna z warszawskich.

Grnpa 7—rolnictwo: tu oczywiście pokażemy się Europie, toż jesteśmy krajem rolniczym! Tak należałoby sądzić, tymczasem wystawiono: nawozy sztuczne z jednej fabryki, zboże z dwu gospodarstw rolnych w Gubernii grodzieńskiej i podolskiej, chmiel z jednego gospodarstwa, miód jednej miodosytni i—więcej nic!

Grupa 8—ogrodnictwo i owocarstwo: plan ogrodu Pomologicznego.

Grupa 9—leśnictwo: wystawiono „tafle do krycia dachów, fabrykowane z trocin drzewnych", i—więcej nic! Upatrujemy w tem symbolistykę: z lasów polskich wkrótce pozostaną tylko — trociny.

Grupa 10—środki spożywcze: próbki mąki z trzech młynów, cukier z dwu fabryk i kondensator dla cukrowni z jednej fabryki warszawskiej.

Grupa 11—górnictwo i przemysł metalurgiczny, o których była mowa powyżej.

Grupa 12—urządzenie gmachów publicznych i mieszkań: flizy i wyroby z glinki ogniotrwałej jednej fabryki.

Grupa 13—przemysł przędzalniczo-tkacki i ubiory; do tej grupy zaliczono również szewstwo i rękawicznictwo, lecz znakomite wyroby warszawskie reprezentowane nie były. Tu należy też koronkarswo, pasmanterya i t. p., a wystawiła tylko szkoła koronkarska warszawska i jedna wystawczyni, zresztą wyroby rzeczywiście ładne.

Grupa 14 — przemysł chemiczny: jedna fabryka wystawiła superfosfaty, sole rozliczne, kwasy. Należy tu również garbarstwo, lecz wystawiły tylko dwie fabryki prowincyonalne i jedna warszawska; największe zakłady udziału nie wzięły.

Grupa 15—*industries diverses*: wystawiła jedna fabryka złotnicza, jedna wyrobów z bursztynami pianki morskiej; wielkie fabryki wyrobów platerowanych udziału nie wzięły.

Grupa 16—ekonomika społeczna, dobroczynność publiczna, hygiena: pięć fabryk popisało się planami domów dla robotników, ochron, łaźni, szpitali; w dziale hygieny figurujemy także — proszek otwocki.

Grupa 17—instrumenty muzyczne: nic.

Grupa 18—zbrojenia morskie i lądowe: nic, oczywiście.

Jeden ze sprawozdawców wyraził się, że przemysł polski „zniknął w ogromie”, powiedzmy raczej—nie było go! Ci wystawcy, którzy wystąpili, powinni dojść do przekonania, że tylko wtedy wowym ogromie zostaną zauważeni, jeżeli wystąpią zbiorowo, zorganizowani. Dopóki zaś niema warunków takiego wystąpienia, niema zaiste potrzeby narażania się na koszta.

Jedną z kwestyi najciekawszych było, co nam pokażą tym razem architekci i inżynierowie. Wystawy bowiem powszechne w rzeczy samej odegrały rolę poważną w budownictwie nowożytnem. Już pierwsza wystawa w Londynie w roku 1851 spowodowała dążenie do konstrukcyi hal wielkich z żelaza i szkła. Wzniesiono wtedy gmach taki, obejmujący przestrzeni 75,000 metrów kwadratowych. Był to gmach, z architekturą artystyczną nie mający jeszcze nic wspólnego—wielka oszklona oranżerya, lecz jest on bardzo ważnym, jako pierwsza próba zastosowania konstrukcyi żelaznej przy budowie całych gmachów. Pamiątką tej pierwszej próby jest *Crystal Palace* w Londynie, który wzniesiono z materyału owego gmachu, siląc się wszelako o nadanie całości więcej estetycznego wyglądu; lichym zaś plagiatem na kontynencie jest wybudowany w kilka lat później *Glaspalast* w Monachium.

Pierwsza próba, jakkolwiek niezupełnie udana, pobudziła pomysłowość inżynierów, i rezultatem poszukiwań był pałac przemysłu na polach Elizejskich z wystawy roku 1855 i olbrzymi, bo pokrywający 125,000 metrów kwadratowych, gmach wystawy londyńskiej. Nie silono się tu już o wyłączne stosowanie konstrukcyi żelaznej, lecz kombinowano ją z kamieniami i cegłą, wznosząc przytem gmachy piętrowe z olbrzymimi krużgankami. Lecz gmachy te, jakkolwiek więcej odpowiadające wymaganiom estetyki, okazały się niepraktycznymi dla celów wystawowych z powodu właśnie owych krużganków. W roku 1867 powrócono tedy w Paryżu do budowli o jednem tylko piętrze i wzniesiono gmach o zarysie eliptycznym, pokrywający 150,000 metrów kwadratowych, stosując obficie wiązania łukowate.

Na wystawie Wiedeńskiej (1873) nie było już takich gmachów olbrzymich, ustawiono tu cały szereg pawilonów, architekci zaś wysilali się na nową konstrukcyę żelazną, wznosząc wielką rotundę, która stała się prawzorem budynków—cyrkowych. W roku 1878 wybudowano pałac wystawowy na polu Marsowem, który oznacza olbrzymi krok naprzód, rozwiązano tu zadanie zapełnienia przestrzeni pomiędzy słupami żelaznymi, tym szkieletem całego gmachu, dla utworzenia ścian: poprostu wybrano materyał, który doskonale odpowiada temu celowi, nie jest sam przez się materyałem budowlanym, lecz dekoracyjnym; materyałem tym były tafle fajansowe, z nich układano ścianę tak, jakgdyby pomiędzy belkowaniem zawieszono dywany olbrzymie. W ten sposób gmach zachowywał charakter jednolity; materyałem jego było żelazo, szkło i fajans były dopełnieniem, cała lekkość i strojność, którą umożliwia żelazo z powodu swojej niemasywności w porównaniu z kamieniem, doskonale uwydatniły się w tej budowli. Wkrótce też nauczono się zastosowywać w podobny sposób inne materyały prócz fajansu, i odtąd „czysta" konstrukcya żelazna w architekturze zdobyła sobie prawo obywatelstwa, o czem świadczą nie tylko dworce kolejowe nowe (np. we Frankfurcie nad Menem i w Dreznie), lecz gmachy takie, jako nowa *école de beaux-arts* i kościół St. Augustin w Paryżu. Na wystawie roku 1889 inżynier-artysta Eiffel dowiódł, że arcydzieło rachunku matematycznego może być zarazem prawdziwem dziełem sztuki, i jego wieża faktycznie stworzyła styl: archeolog 25 wieku, gdy natrafi ns ślady misternych wiązań żelaznych, bezpretensyonalnie układających się w całość, nie omyli się co do określenia czasu, w którym powstały.

Tym razem wszakże opanował architektów paryskich jakiś dziwaczny kaprys: wznosili budowle z żelaza, a zarazem ukrywali

wszędzie to żelazo pod tynkiem wapiennym, i powstał stąd fałsz wierutny, zgwałcono pierwszy niezłomny dogmat architektoniczny, który głosi: cały charakter budowli musi odpowiadać charakterowi materyału, z jakiego ją wzniesiono. Wskutek sponiewierania tej zasady, wskutek samowolnych kombinacyi kamienia ciosowego, żelaza, cegły i tynku powstają owe potwory bombastyczne, „zdobiące" ulice nowych miast (zwłaszcza Berlina). Konstrukcya zaś żelazna, której udawać każą jakiś styl greko-romański i upiększają ją — idąc za ostatnią modą — asyryjsko-bizantyjską ornamentacyą, to poprostu absurd. I takim absurdem jest właśnie brama „monumentalna" z „Paryżanką" u wierzchu. Kto nie zadaje sobie trudu zastanowienia się nad tem, z jakiego materyału mogła być wzniesiona ta trójłukowa kopuła, wsparta na trzech względnie wątłych filarach, patrząc na nią, nie dostrzeże żelaza; znikło pod słojami tynku, w który wprawiono tafle fajansowe emaliowane, szkło różnobarwne, ornamenty gipsowe. Pan Binet miał możność dowieść, że z żelaza można wznieść nie tylko wieżę strzelistą, lecz całą budowlę monumentalną; każąc żelazu udawać coś, czem być nie może, zepsuł swoje dzieło. Z tem wszystkiem dzieło jego nie jest brzydkiem, jak twierdzą jedni, ale nie jest też pięknem, jak chcą inni. Nie może być pięknem, dlatego że jest ładnem; a wyrazy „piękny" i „ładny" nie określają różnych stopni jednego pojęcia, lecz odpowiadają dwu wzajemnie wykluczającym się pojęciom. Ładną zaś jest ta brama wystawowa, bardzo nawet ładną, zwłaszcza kiedy widzi ją się np. z mostu *de la Concorde*, odbijającą się jasno-fioletową masą na tle nieba paryskiego, tego nieba o szarawo-błękitnawym kolorycie, który naśladują z taką lubością w swoich obrazach taki Raffaeli i Puvis de Chavannes; ładną też jest, gdy wieczorem iskrzy się tysiącem świateł barwnych, jak suknia kobieca, obsypana dżetem. Malkontenci paryscy najwięcej sarkają na „Paryżankę" pana Mereau-Vautier, królującą na kopule. Woleliby oni, by goście ich stawali raczej przed jaką inkarnacyą owej *gloire* francuskiej, którą się radzi chełpią lub o której marzą sami. Temu posąg nie czyni zadość; ta strojna pani, gestem uprzejmym zapraszająca gości, nie może być symbolem Francyi; nie może nawet być symbolem Paryża, tego Paryża, który najlepsi w świecie ukochali za jego porywy szlachetne, za jego wielką duszę, szczytne marzenia, wielkie bóle i wielką pracę; o tem niema mowy. Lecz jeżeli brama i posąg miały odpowiadać architekturze ogólnej i całej dekoratywnej stronie wystawy, należy uznać, że cel został osiągnięty.

Z tradycyami owej specyficznej architektury wystawowej nie

spotykamy się też nigdzie już na wystawie. Niema tam już tym razem okazów architektury, opartej na konstrukcyi żelaznej. Gmachy efemeryczne wzdłuż esplanady Inwalidów i pola Marsowego mają belkowanie żelazne, lecz ukryto to żelazo i wyprawiono sobie jakąś orgię ornamentacyjną, szafując wapnem, gipsem i farbą. Jedno tylko dzieło świadczy wyraźnie o tem, że śród inżynierów francuskich nie zagasły aspiracye artystyczne, to most nowy, zbudowany dla wystawy, nazwany mostem Aleksandra III. Prawdziwie pięknym jest ten łuk, łagodnie rzucony na przestrzeni przeszło 100 metrów, jakby bez najmniejszego wysiłku, zbliżając się prawie do linii poziomej; panowie Resal i Alby mogą być dumni z tego dzieła, nie tylko jako inżynierowie, lecz również jako artyści. Piękne też są cztery pilony po rogach i piękne posągi u ich podnóża, wyobrażające Francyę Ludwika XIV (dzieła rzeźbiarzy: Lenoir, Michel, Contant i Marqueste); tylko grupy na wierzchu tych pilonów Fremieta, Steinera i Graneta są nazbyt może niespokojne w stosunku całości.

Z dwu pałaców sztuki, które pozostaną Paryżowi, jako pamiątka po wystawie, gdy cały gród kiermaszowy istnieć przestanie, jeden t. zw. *Grand Palais*, jako całość, jest stanowczo chybiony. Okazał tu się znów zabójczym eklektyzm. Silono się połączyć strukturę z kamienia ze strukturą żelaza i, jak być inaczej nie mogło, dwa te rodzaje są z sobą w kłótliwej rozterce. Nad pyszną fasadą unosi się w górze żelazne belkowanie kopulastego dachu; zajdziesz z jednego frontu—pałac z kamienia, zajdziesz z drugiego—budynek z żelaza i szkła; wchodzisz frontonem marmurowym i odrazu znajdujesz się pod olbrzymią kopułą, możliwą tylko przy strukturze żelaznej; przed chwilą śród murów, jako człowiek logiczny, spodziewasz się, że ta murowana fasada znajdzie jakiś dalszy ciąg, te mury posłużą na oparcie sklepienia, pod które wchodzisz, tymczasem to sklepienie spoczywa sobie spokojnie na przęsłach żelaznych, mogło się obyć zgoła bez tego muru; zażartowano z ciebie, pokazano ci fasadę, która nie jest integralną częścią budynku, tylko przybudówką. Z tem wszystkiem są tu części przepyszne, jak np. schody żelazne ze wspaniałą balustradą z bronzu, wsparte na słupach z ciemnego marmuru, który doskonale harmonizuje z metalem. Drugi gmach t. zw. *Petit Palais* jest pieścidełkiem architektonicznem, lecz z naszego punktu widzenia nie nasuwa uwag specyalnych. Żelazo odegrało tu zgoła podrzędną rolę.

Z innego wszakże względu jeszcze dzieła architektoniczne wystawy zasługują na uwagę: dały one ponowne świadectwo, jak znaczną rolę odgrywa w nowożytnej architekturze polichromia, jak bar-

dzo lubują się architekci w kolorystyce. Przyznać zaś trzeba, że okazali się tu uczniami, godnymi swoich mistrzów, mistrzów-kolorystów w malarstwie francuskiem, tak umiejętnie umieją zastosowywać łagodne tony, kombinować sinawy łupek z szarym granitem, białym kamieniem, zastosować barwny marmur tak, aby nie wyrywał się z całości. Wspiera ich przytem potężnie przemysł, który w barwnych taflach fajansowych, majolikowych, cementowych i t. p. ma znakomicie podatny materyał do posadzek, fryzów, całych ścian. To też w tej gałęzi przemysłu Francuzi górowali o całe niebo nad współzawodnikami z innych krajów. Znać tu było ogromny wpływ sztuki francuskiej, któremu chętnie snać poddali się fabrykanci. Nieraz zdumienie ogarnia na widok harmonijnych mozajk kamiennych o barwach dyskretnych i rysunku wytwornym, wzorowanych ze zrozumieniem rzeczy nie na wzorach klasycznych, co niema sensu, gdyż zmieniły się wymagania, lecz na dziełach malarstwa nowożytnego. To też tylko dzięki tej doskonałości wyrobu fabryk francuskich można było ozdobić fasady tak wspaniałymi fryzami polichromicznymi (wyrób z gliny wypalonej, *grès flammés* fabryki Sewrskiej) i mozajkami. Takie współpracownictwo sztuki i przemysłu rokuje świetną przyszłość architekturze francuskiej.

J. B. Marchlewski.

(Dok. nast.).



Z prasy rosyjskiej.

(Reforma szkół filologicznych. Nowy typ szkoły realnej. Brak szkół rolniczych. Szkoły ludowe a samorząd. Kasy górników w Królestwie. Górnictwo. Kasa emerytalna dla urzędników w wydziale sprzedaży państwowej wódek. Ustawa opiekuńcza. Rolnictwo a przemysł wytwórczy. Handel zbożem. Sprawozdanie z handlu zewnętrznego w roku 1899. Praca na kolejach żelaznych. Włodzimierz Sołowjew).

Ze wszystkich stron odzywają się głosy o reformie wykształcenia średniego, które uznano za nieodpowiednie wogóle dla potrzeb doby współczesnej. Posypały się projekty, plany najrozmaitsze. Szpalty dzienników rosyjskich przepełniły się tymi szkicami na tle zamierzonych zmian. W pewnym kierunku nastąpiły już innowacye, przez władze wprowadzone, na inne reformy się zanosi.

W niniejszym przeglądzie uwzględniamy ważniejsze głosy w tej tak ważnej dla wszystkich sprawie.

Reforma szkolna zaczęła się od ograniczenia wykładów języków starożytnych. W kwestyi tej pisze „Now. Wr.", co następuje. Ogłoszone trzy okólniki ministra oświaty dają do zrozumienia, iż znajdujemy się w przededniu zasadniczych reform szkolnych. Wzmiankowane okólniki, ogłoszone w dniu 14 sierpnia r. b., stanowią pierwszy krok na tem polu. Najważniejszym z tych okólników jest ten, który znosi ostatecznie t. zw. *extemporalia*. 14 sierpnia r. b. mo-

że być uważany za dzień uroczysty, gdyż pochowano tu oficyalnie bezużyteczny środek pedagogiczny, ciążący nad gimnazyum przez lat trzydzieści. Okólnik sprawiedliwą czyni uwagę, że *extemporalia* były nie tyle środkiem pedagogicznym, ile systemem policyjno-pedagogicznego nadzoru okręgów nad gimnazyami i często fałszywą bronią w ręku pedagogów, pragnących się dobrze przedstawić w okręgu. Zbadać, o ile uczniowie pojmują Homera, Herodota, Liwiusza lub Horacego, okręg naukowy nie miał możności z powodu dzielącej go od gimnazyów odległości. Ale przesyłano do okręgu pocztą *extemporalia* uczniów. Ta kombinacya pocztowa straszną była w skutkach dla systemu klasycznego, „humanitarnego" wykształcenia. W istocie uczniowie przestali, a w wielu gimnazyach może nawet nie zaczynali, rozumieć Herodota, Horacego etc., jako coś prywatnego, drugorzędnego; a nauczycielowie ze swej strony również o to nie dbali, na każdej lekcyi powtarzając: porzućcie, przyjaciele, Herodota, a zabierzcie się raczej do *extemporaliów*. Czytanie autorów, nie podlegające kontroli okręgu, zeszło na plan drugi, a pierwsze miejsce w systemie wykładu zajęły ćwiczenia piśmienne. Okólnik z całą stanowczością stwierdza, iż kontrolowanie działalności gimnazyów musi się odbywać osobiście, a nie za pośrednictwem korespondencyi pocztowej. Część okólnika, dotycząca *extemporaliów*, ważną i cenną jest z tego powodu, że jest jasną, znosi bowiem absolutnie te ćwiczenia. Wszelki półśrodek, jak zmniejszenie liczby tych ćwiczeń, nie doprowadziłby do celu, bo zawsze nauczyciel byłby panem sytuacyi i od niego zależałoby mniej lub więcej sumienne stosowanie się do wyrażonej w okólniku opinii. Obecnie nic podobnego zajść nie może. Drugą ważną część okólnika № 20,085 stanowi ustęp, traktujący o zwróceniu pilniejszej uwagi na czytanie autorów, a zmniejszenie ilości godzin, poświęconych jedynie wyuczaniu się najdrobiazgowszych prawideł gramatycznych.

W klasach wyższych nauczyciele powinni zaznajamiać uczniów z prawidłami, dotyczącemi składni o tyle, o ile to jest koniecznem przy czytaniu autorów. Czas, który się obecnie traci na wyuczanie uczniów najrozmaitszych kombinacyi gramatycznych, należy zużytkować na badanie tekstów autorów. Ta część okólnika nie posiada pożądanej jasności. Które klasy należy uważać za wyższe? Dwie czy trzy ostatnie? Dalej, język grecki zaczyna się dopiero w 3-ej klasie, gdy łacina już w pierwszej, a to nie zostało uwzględnione w okólniku. Zresztą wyuczanie się przepisów składni nie zostaje zmienionem, lecz jedynie kucie Kurcyusza i Chodobaja zastąpionem zostało przez „porządkowanie materyału gramatycznego". Tak postępowa-

no w wielu gimnazyach i dawniej, można więc oczekiwać, że dla licznych gimnazyów i sportsmenów sztuki gramatycznej słowa okólnika nie będą zawierać nic nowego, coby ograniczyło przeważające gusty pedagogów. Wszak 30-to letnie trwanie *extemporaliów* stworzyło wirtuozów wykładów gramatycznych, zawsze niemal wirtuozów-dręczycieli, którzy jeszcze zdradzają pewną manię do gramatyki i zupełną obojętność do tekstu starożytnego, jego treści i piękności; zdaje nam się tedy, że radykalnym środkiem byłoby kategoryczne wskazanie, aby np. w piątej klasie dla łaciny i w szóstej dla języka greckiego materyał gramatyczny był o tyle zgromadzony, iżby dalsze komunikowanie wiadomości gramatycznych nie nosiło charakteru specyalnego wykładu, ale odbywało się jedynie przy sposobności, jaką nastręcza czytanie autorów.

W tej samej sprawie i w tym samym duchu odzywają się „Rus. Wied.", których głos za kompetentny w tej mierze uznać trzeba.

Z innego punktu widzenia zapatruje się na tę sprawę „Sputnik zdorowia", traktując kwestyę tę, jako hygieniczną. Kto przeszedł kurs gimnazyalny, ten rozumie doskonale, ile wskutek zniesienia *extemporaliów* zyskuje zdrowie uczących się i jak doniosłą przyniesie korzyść społeczeństwu oczekiwane oddawna rozpoczęcie reformy szkolnej. Ilu młodzieńców, pełnych sił i nadziei, zwichnęło przyszłą swą karyerę z powodu niemożności podołania trudnościom przy odrabianiu *extemporaliów*, obecnie urzędowo uznanych za bezcelowe? Ilu wzruszeń i trwogi doświadczali uczący się w czasie tych bezmyślnych i dla nikogo nieprzydatnych prac piśmiennych, którym nadawane było jakieś szczególne znaczenie. Choćby uczeń jaknajlepiej odpowiadał ustnie, jednak nigdy nie mógł zadowolnić nauczycieli, jeżeli nie napisał dobrze *extemporala.*

Po wszechstronnem rozpatrzeniu okólników poczęła prasa rosyjska komentować w dalszym ciągu sprawy szkolne, zakreślając coraz szersze projekty i wdając się w bardzo szczegółowe debatowanie kwestyi.

„Pet. Wied." piszą o nowym typie szkoły średniej, ogólnokształcącej na podstawie projektu, jaki przedstawił zarządzający oddziałem szkół rzemieślniczych, r. t. Anopow. Jakkolwiek zdania p. Anopowa są jego osobistemi, a nie ministeryalnemi poglądami, fakt ten bynajmniej nie wpływa na ich znaczenie. Nie zmniejsza się ich znaczenie i z tego powodu, że p. A. mówi o szkole ogólno-kształcącej w zastosowaniu do potrzeb pewnych tylko miejscowości Cesarstwa, a mianowicie Żytomierza, Kamieńca Podolskiego, Proskurowa, Benderów i Tyraspola, gdyż potrzeby tych miast mogą być identyczne

z potrzebami wielu innych. Tworząc swój projekt nowego typu szkoły, p. A. wychodził z bardzo racyonalnej zasady: brał on pod uwagę zadania, jakie stawia szkole sama ludność danej miejscowości. Ludność zaś wymienionych powyżej punktów — według relacyi autora projektu — pragnęłaby powołać takie zakłady naukowe, które bardziej zdolnym i zamożnym wychowańcom dawałyby prawo wstępu do wyższych zakładów naukowych specyalnych, a reszcie dostarczałyby takich wiadomości, jakie są niezbędne przy kierowaniu jakiemś przedsiębiorstwem na miejscu, jak np. prowadzenie gospodarstwa w mieście i na wsi, zakładu przemysłowego, wreszcie przyjęcia posady w fabryce, na kolei i wogóle zajmowanie stanowisk drugorzędnych. Zdaniem p. Anopowa najbardziej nadającym się w tym celu zakładem naukowym byłaby 8-io klasowa szkoła realna, któraby w porównaniu z obecnemi traktowała obszerniej: gałęzie przyrodoznawstwa, posiadające praktyczne zastosowanie przy zadosyćuczynieniu potrzebom miejscowym; mechanika stosowana, rysunki techniczne, rękodzielnictwo w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Tego rodzaju program powinien mieć na celu nie tylko uzupełnienie wykształcenia średniego, lecz zastosowanie go w pewnym stopniu do potrzeb życiowych. Szkoła taka z jednej strony posyłałaby do wyższych zakładów naukowych tylko jednostki wybitniejsze, z drugiej strony reszty nie pozostawiałaby na drogach rozstajnych, gdyż dawałaby im w ręce środki do natychmiastowego zastosowania swej wiedzy w życiu praktycznem, a co za tem idzie, dawałaby możność pracy na chleb. Autor referatu o nowym typie szkoły jest zdania, iż powinien istnieć pewien stały stosunek między kończącymi wyższe i średnie zakłady naukowe. Tymczasem obecnie wszyscy po ukończeniu szkoły średniej dążą do wyższych zakładów.

Z tem rachować się należy nie tylko z powodu przepełnienia wyższych zakładów naukowych, lecz zarazem dlatego, że państwu i społeczeństwu potrzebni są też pracownicy ze średniem wykształceniem. Główny punkt ciężkości w sprawie zwycięstwa w budzącej się dziś walce kulturalnej leży nie na oficerach, t. j. uczniach z wyższem wykształceniem, lecz na tych środkowych masach, jakiemi są otrzymujący wykształcenie średnie. Potrzeba takich pracowników dawno była odczuwaną, lecz ministeryum główną uwagę zwróciło na gimnazya filologiczne, a realne wiodły nędzny żywot. Nie można liczyć na nie i teraz, jak nie można liczyć na rozmnażające się wciąż szkoły techniczne, dokąd śpieszy młodzież, którą spotkała porażka w gimnazyum. Rozwiążą kwestyę takie szkoły średnie, gdzie specyalne wykształcenie będzie połączone z ogólnem. Autor projektu

opracował dosyć szczegółowo i plan wykładów. Zatrzymywać się nad nim nie będziemy. Nadmienimy tylko, że główną myślą przewodnią autora było, aby wiadomości, nabyte w szkole, mogły być zastosowane praktycznie w życiu i aby uczniom ułatwić jak najbardziej pracę poza szkołą, ograniczając ją do zajęć praktycznych, opartych na nabytych w klasie wiadomościach.

O ile projekt p. Anopowa wejdzie w wykonanie, może stać się istotnie pożytecznym i to, zdaje się, nie tylko w wymienionych w referacie miejscowościach, których warunki autor projektu badał specyalnie.

Poza kwestyą szkoły średniej pobudzone ogólnym ruchem reformy pisma rosyjskie poruszają wiele innych spraw, dotyczących bądź wyższych, bądź niższych szkół specyalnych. Tak naprzykład „Siew. Kur." zwraca uwagę na nienormalny stan wyższego wykształcenia rolniczego w Rosyi. Od czasu przekształcenia w roku 1890 piotrowsko - ramnowskiej akademii, która niedawno przedtem otrzymała trzecią z kolei ustawę, otwarty został tak zwany moskiewski instytut agronomiczny. Dziesięcioletnie doświadczenie mogło jednakże dostatecznie przekonać, że ten zakład naukowy nie jest w stanie czynić zadość potrzebom obszernego kraju; pod koniec roku 1899 instytut ten liczył ogółem 213 studentów, w tej liczbie na specyalnym wydziale rolniczym 189. Ukończyło instytut 63. Niewiele więcej, nie więcej nad 80 studentów kończy instytut leśniczy w Petersburgu, ale ten zakład naukowy kształci nie agronomów, lecz urzędników państwowych. Jeżeli włączyć tu jeszcze instytut w Nowej Aleksandryi, który kończy najwyżej 40 studentów-agronomów rocznie, to chyba nie omylimy się twierdząc, że w całem państwie opuszcza rocznie zakłady naukowe nie więcej nad 100 agronomów, posiadających wyższe wykształcenie, co w stosunku do ludności rolniczej państwa przypada jak: 1—1,000,000.

Ten sam „Siew. Kur." rozstrząsa kwestyę oświaty ludowej w zależności od władz administracyi i zamieszcza artykuł p. t. „Kompetencya samorządu miejskiego w dziele oświaty ludowej". W artykule tym czytamy szereg uwag bardzo słusznych. Podajemy je tutaj w streszczeniu.

Z powodu nieporozumienia między radą szkolną m. Saratowa a dumą miejską senat wyjaśnił kwestyę kompetencyi samorządu miejskiego w sprawach szkolnych. Z wyjaśnienia tego okazuje się, że zarządy miejskie zawiadują jedynie materyalną stroną instytucyi, zwalnianie zaś nauczycieli i nauczycielek z zajmowanych przez nich

stanowisk nie może mieć miejsca, gdyż miałoby skutki, dla szkoły niepożądane. Jak wiadomo, ministeryum oświaty i spraw wewnętrznych niezbyt dawno zaproponowały władzom miejscowym zawiadomić dumy o opinii senatu. Przytem główną uwagę zwrócono na to, że nie tylko zwalnianie, ale i mianowanie, zależy jedynie od rady szkolnej, a następnie na to, że udział zarządów miejskich w sprawie oświaty winien się ograniczyć do kierowania częścią gospodarczą szkół. Dawniej senat opiniował wprost przeciwnie, żądając, aby zarządy miejskie i ziemskie brały udział w wyborze nauczycieli z grona przedstawionych kandydatów, zatwierdzanych tylko przez radę szkolną. Ostatnia opinia senatu, jakkolwiek zakomunikowana oficyalnie instytucyom ziemskim i miejskim, faktycznie dotycze tylko pojedyńczego wypadku nieporozumienia, zaszłego w Saratowie. Prawo ściśle rozróżnia rozporządzenia senatu, posiadające moc jedynie w pojedyńczym wypadku, i ogólne. Pierwsze następują wskutek skarg osób prywatnych i instytucyi, ogólne zaś ukazy ogłaszane są po skonstatowaniu faktu, iż istniejący przepis prawny jest niezrozumiały lub niekompletny. „Siew. Kur." jest jednak zdania, że ograniczanie inicyatywy społecznej w sprawie wykształcenia, która jeszcze bardzo słabo jest rozwiniętą, nie powinno mieć miejsca, gdyż, im większa liczba osób będzie powołaną do dzieła, tem lepiej rozwijać się ono może. Praktyka powinna przekonać każdego, że kompetencya samorządów miejskich i ziemskich w sprawie oświaty ludowej powinna być rozszerzaną , a nie ograniczaną.

* * *

W „Zbiorze Praw i Rozporządzeń" ogłoszono środki tymczasowe, mające na celu uporządkowanie kas pracowników górniczych w guberniach Królestwa Polskiego zgodnie z raportem, podanym do komitetu ministrów w tej kwestyi przez ministra rolnictwa i dóbr państwa. Z tego powodu „Siew. Kur." pisze, co następuje.

Jak wiadomo, w Polce istniało bardzo dużo kas dla robotników pod nazwą pomocy, bractw szpitalnych i t. p., przynoszących wielki pożytek robotnikom, ale nie posiadających zatwierdzonych przez władzę ustaw. Obecnie postanowiono zastosować do tych kas do czasu wydania specyalnych przepisów o odpowiedzialności przedsiębiorców za kalectwa i śmierć robotników, prawidła tymczasowe. Zasadnicza treść tych przepisów polega na rozciągnięciu kontroli inspekcyi górniczej lub fabrycznej nad kasami, przyczem księgi kasowe winny być prowadzone oddzielnie od ksiąg samego przedsię-

biorstwa. Wysokość składek, jakie opłacają robotnicy do kasy, nie może być zmieniona bez pozwolenia władz górniczych lub inspektora okręgu warszawskiego. Udział przedsiębiorców określono na minimum 1/3 składek członków kas szpitalnych i do wysokości, równej składom członków kas na wypadek starości i kalectwa. Sympatyczną stroną nowych przepisów jest punkt szósty, według którego zarząd kasy składają nie sami przedsiębiorcy i ich przedstawiciele, lecz zarówno przedstawiciele robotników. W polskich kasach robotniczych potrącanie składek odbywa się jawnie, a nie drogą uboczną, wobec czego konieczność uczestnictwa robotników w zarządzie kasy jest sama przez się widoczna. Co się tycze załatwiania spraw kancelaryjnych i rachunkowości, to winny być one załatwiane według punktu siódmego w języku rosyjskim, i „dozwala się używanie równocześnie języka, zrozumiałego dla robotników" z wyjątkiem języków cudzoziemskich. W końcu należy zaznaczyć, że miejscowej administracyi górniczej pozostawiono prawo żądania od właścicieli przedsiębiorstw górniczych ścisłego spełniania postanowień o pomocy lekarskiej dla robotników.

* * *

200-letni jubileusz górnictwa w Rosyi daje „Now. Wr." powód do wygłoszenia kilka gorzkich prawd pod adresem działalności odnośnych instytucyi. Dopiero w ostatnich czasach, a mianowicie w ostatnim lat dziesiątku, sprawy górnicze poczęły się rozwijać bardzo wybitnie, poczęto stosować środki, mające na celu rozwój prywatnego przemysłu górniczego i pieczę nad zdrowiem robotników, dokonano ścisłych badań geologicznych w różnych miejscowościach Rosyi i w obrębie syberyjskiej drogi żelaznej, które dostarczyły bardzo bogatego materyału do poznania warunków miejscowych. Cały przeciąg czasu lat 200 był dobą nędznej wegetacyi przemysłu górniczego. Kraje, które ongi otrzymywały z Rosyi żelazo, oddawna poczęły produkować je u siebie na wielką skalę i wzbogaciły się dzięki wywozowi tego niezbędnego dla wszystkich materyału, gdy tymczasem Rosya z niewyczerpanem bogactwem rudy żelaznej układała szyny kolejowe, wyrabiane zagranicą, i płaciła tejże zagranicy bajeczne sumy za wszelkie wyroby żelazne Nawet te niezaprzeczone postępy w rozwoju górnictwa z ostatnich dwu dziesięcioleci, jeżeli się w nie wpatrzymy baczniej — nie są w stanie dać wdzięcznego tematu do patetycznego artykułu jubileuszowego. Zdziałano w tym czasie stosunkowo wiele, ale kronika tej działalno-

ści świeci nierosyjskiemi nazwiskami w rodzaju Demidowych, którymi Piotr kierował, lecz firmami towarzystw zagranicznych i nazwiskami pojedyńczych przedsiębiorców, przybyłych z zagranicy. Rosya miała zbyt mało przedsiębiorczości, przygotowania i kapitałów. Charakterystycznym jest objaw, dający się zastosować w ostatnich latach. Mowa tu o manii poszukiwania pokładów rudy, która ogarnęła wiele miejscowości Rosyi centralnej. Po większej części odnajdywano pokłady rudy tam, gdzie nigdy nie postawała noga specyalisty-górnika, a odkryć dokonywali szczęśliwi, działający na chybi-trafi. W końcu gazeta zapytuje, gdzie leży przyczyna małego postępu w rozwoju górnictwa rosyjskiego w ubiegłych dwu wiekach? Główną przyczynę widzi autor artykułu w słabej znajomości rzeczy, zarówno pod względem teoretycznym, jako i praktycznym. W całej Rosyi z jej niewyczerpanemi bogactwami istniał jeden instytut górniczy, nie będący w stanie przygotować odpowiedniego kontyngensu specyalistów. Z tych względów „Now. Wr.” uważa, że najwłaściwszą formą uroczystości jubileuszowych byłaby wzmocniona akcya, mająca na celu rozwój górnictwa w Rosyi, które posiada ku temu wszystkie warunki.

* * *

Osoby, służące w wydziale sprzedaży państwowej wódek, otrzymały kasę emerytalną, której ustawa w tych dniach została ogłoszoną. Drugi paragraf ustawy rzeczonej głosi, że wszystkie osoby obojga płci, otrzymujące pensye nie niższe, niż 120 rb. w charakterze urzędników i oficyalistów wydziału sprzedaży monopolowej, są obowiązkowymi członkami kasy z wyjątkiem tych, którzy przy wstąpieniu do służby liczą 60 lub więcej lat życia, oraz osób, godzonych na przeciąg czasu, nie przewyższający jednego roku. Główny fundusz kasy stanowią obowiązkowe wkłady uczestników i zapomogi ze skarbu. Rozmiar składki obowiązkowej ustanowiono dosyć znaczny. Członek, wstępując do kasy, płaci jednorazowo 10% swej pensyi rocznej, a następnie co miesiąc 6%. Tak więc oficyalista, pobierający 120 rb. rocznie, w pierwszym roku przystąpienia do kasy zadawala się zaledwie 100 rb. 80 kop. pensyi rocznej. Otrzymującemu 30 rb. miesięcznie przypadnie w udziale w pierwszym roku 25 rb. 20 kop. miesięcznie, a następnie 28 rb. 20 kop. Jest to procent bardzo znaczny szczególnie dla pobierających małe pensye. Oprócz tego do kasy wpływa: 10% od wszystkich nagród pieniężnych; przy powiększeniu etatu trzykrotnie pomnożona nadwyżka miesięcz-

na, t. j. że pobierający rocznie 120 rb. przy powiększonej pensyi do 180 rb. musi wnieść do kasy rb. 15 czyli pierwsze trzy miesiące służyć pod dawnemi warunkami. Widać stąd, że organizacya kasy emerytalnej dla służby w wydziale sprzedaży państwowej trunków, stwarzając nadzieję lepszej przyszłości, pogarsza znacznie ich położenie obecne. Najmniej pożądanym punktem ustawy jest konieczność należenia do niej, rozciągająca się na wszystkich. Dla wielu te obowiązkowe składki pozostaną jedynie zmniejszeniem pensyi, gdyż § 32 głosi, że „członkowie kasy, porzucający służbę wcześniej, niż po 2 latach, nie otrzymują ani emerytury, ani zapomogi, a wkłady ich zaliczają się do zysków kasy". Emeryturę otrzymać można dopiero po upływie lat 15 służby i tylko przy podaniu się do dymisyi. Zdawałoby się, że przez ten właśnie przeciąg czasu należałoby ściągać miesięcznie 6% składki, ale ustawa wymaga, aby opłacać je przez cały ciąg służby, chociażby trwała ona 30, 40 i 50 lat. Ustawa nie określa ściśle rozmiaru emerytury, i będzie on obliczany dla każdego wypadku specyalnie według bardzo zawikłanego systemu, o którym mowa w § 21 i 23: po upłynięciu roku sprawozdawczego oblicza się współczesna wartość praw, zdobytych przez każdego uczestnika kasy do tego terminu.

W tym celu do zaliczonych na rachunek osobisty uczestnika sum dolicza się procent, którego wielkość określają tablice, zatwierdzone przez ministra skarbu. Rozmiar emerytury uczestnika żonatego określa się przez pomnożenie współczesnej wartości nabytych przezeń praw przez odpowiedni do wieku uczestnika, przy naznaczeniu emerytury, iloczyn, znajdujący się również w tablicach, wyżej wspomnianych. Tę kompletną emeryturę otrzymują tylko posiadający rodzinę uczestnicy kasy, reszta zaś członków oraz wdowy i dzieci ich pomimo jednakowych dla wszystkich składek obowiązkowych, muszą zadawalać się $^3/_4$ a niekiedy $^1/_2$ emerytury właściwej. Ciekawem jest także, iż ustawa kasy nie uznaje więcej dzieci nad 3. W § 20 czytamy bowiem, że emerytura dziecka wynosi $^1/_6$, a wszystkich dzieci razem nie więcej jak, $^1/_2$ emerytury członka kasy. Ustawa, tutaj omawiana, została już zatwierdzoną. Niewątpliwie zastosowanie jej w praktyce wskaże zaznaczone tutaj i inne braki ustawy i wywoła jej reformę. Główny, powtarzamy, brak tej ustawy emerytalnej stanowi obowiązkowe dla wszystkich należenie do kasy. Przytem zdaje nam się—pisze w końcowym ustępie „Siew. Kur.", za którym powyższy artykuł podajemy — że monopol wódczany cieszy się takiem powodzeniem materyalnem, daje ministeryum finansów tak znaczne dochody, iż główny urząd podatkowy i państwowa sprzedaż

trunków powinny wziąć udział w stworzeniu funduszu kasy przynajmniej w równej mierze z służącymi w tej instytucyi. Tymczasem, według ustawy, ministeryum finansów wnosi corocznie tylko 3% pensyi każdego służącego, który, jak wiadomo, musi złożyć 10% rocznej pensyi i opłacać co miesiąc 6%, dopóki tylko pozostaje na służbie. Jest to bardzo uciążliwe i nawet chyba niesprawiedliwe — kończy „Siew. Kur.".

* * *

Projekt ustawy opiekuńczej, zredagowanej przez komisyę specyalną jeszcze w r. 1896 i złożonej w radzie państwa, przedstawia się z zupełnie nowej strony w porównaniu z obecnie istniejącymi przepisami o opiece i kuratoryach. Jak wiadomo przepisy te wielce są nieokreślone i przy zastosowaniu praktycznem spotykają się z mnóstwem trudności, uniemożliwiających ich zastosowanie. Wielkie instytucye opiekuńcze w Rosyi—pisze „Siew. Kur."—są przestarzałe i nie odpowiadają wymaganiom życia. Jeśli zaś towarzystwa opieki nad szlachtą, kupcami i mieszczaństwem nie są w stanie odpowiednio wywiązywać się z zadania — to cóż dopiero mówić o opiece nad włościanami, gdzie wogóle niema specyalnych instytucyi i odpowiednich przepisów. W tej sferze opiera się wszystko na zasadzie uczciwości. Jeśli opiekun jest szlachetnym człowiekiem—wszystko idzie normalnie; w przeciwnym znów razie sąsiedzi, którzy kontrolują działalność opiekuna, nie pozwolą krzywdzić sierot i usuną szkodliwą opiekę. Jednakże pomimo tego wszystkiego organizacya opieki nad włościanami domaga się reformy w tym sensie, aby opiekunowie zdawali relacye ze swych czynności, a specyalne instytucye były powołane do ich kontrolowania. Sąd sierocy tak zwany i opieka szlachecka, teraz znoszone i zastępowane przez instytucye naczelników opieki, stawiają kwestyę w nowem oświetleniu. Projekt ustanawia nowe zupełnie instytucye dla włościan, korzystając z istniejącej już organizacyi — sądu gminnego. Przy rozpatrzeniu jednak szczegółowem nowego projektu okazuje się, że istniejące organy zarządu gminnego są tak niedoskonałe, iż wkładanie na nich nowych obowiązków byłoby błędem nie do darowania. „Siew. Kur." wzywa do utworzenia niezawisłych instytucyi dla włościan, któreby bezpośrednio zawiadywały ich sprawami.

* * *

W ostatnich czasach rosyjska prasa peryodyczna przepełniona była artykułami polemicznymi z powodu znaczenia, jakie posiada dla ustroju ekonomicznego Rosyi przemysł rolniczy w przeciwieństwie do przemysłu wytwórczego. Mimo bardzo znacznej niekiedy różnicy zdań okazuje się najoczywiściej, jak twierdzi „Now. Wr.", że co do wypracowania możliwie korzystnego dla Rosyi zagranicznego budżetu finansowego przemysł rolniczy posiada znaczenie pierwszorzędne. Zagraniczny bilans finansowy Rosyi ustanawia się co do aktywów: eksploatacyą kopalni złota i handlem wywozowym, co do pasywów: sumą procentów i dywidend od państwowych i prywatnych długów zagranicznych i kapitałów cudzoziemców, lokowanych w przedsiębiorstwach rosyjskich, sumą przekazów, opłat wydatków zagranicą podróżnych - Rosyan i handlem importowym. Ze wszystkich wymienionych tu działów, wpływających na bilans finansowy, dwa jedynie, a mianowicie bawełniany wywozowy i dowozowy, mogą być skierowane do polepszenia go przez powiększanie sumy aktywów i zmniejszenie pasywów. Inne wszystkie zależne są od ogólnych warunków ekonomicznych kraju lub wyma ają nieopłacających się w rezultacie znacznych wkładów i mozolnych wysiłków. Dla ograniczenia handlu dowozowego uczyniono obecnie wszystko, co zrobić było można w celu popierania przemysłu wytwórczego, zjednania kapitałów zagranicznych; dalsza działalność państwa winna być skierowaną ku jedynemu sposobowi ulepszania bilansu finansowego, a mianowicie ku rozwojowi i zwiększeniu korzyści handlu wywozowego. W ciągu ostatnich lat dziesięciu wytworzył się eksport drobiu rosyjskiego na sumę 40 milionów rubli rocznie, bydła mlecznego na 5 milionów. W ciągu 10 — 15 lat w Stanach Zjednoczonych powstał handel wywozowy mięsa na sumę 200 milionów rubli rocznie; w ciągu ostatnich 40 — 50 lat w Australii, Afryce Południowej i Ameryce Południowej powstała hodowla owiec w jedynym celu wysyłania do Europy wełny, sadła i mięsa. Ten handel wywozowy przynosi conajmniej 400 milionów rubli.

Wobec tego zdawałoby się, że obecnie, gdy Rosya znajduje się w wyjątkowem położeniu politycznem i jedynym słabym punktem w ogólnej sytuacyi wszechświatowej jest zależność jej od innych państw dzięki niekorzystnemu bilansowi finansowemu w stosunku do zagranicy, głównem zadaniem państwa, głównem jego staraniem powinno być zwiększenie wywozu przez popieranie hodowli bydła mlecznego w północnej Rosyi i opasowego w południowej. Dla pierwszej zresztą wiele już zdziałano, ale dla drugiej prawie nic.

Dla organizacyi wywozu mięsa trzeba ulepszyć system hodowli, stosownie przygotować drogi żelazne do przewozu bydła i mięsa z południa Rosyi do portów morza Baltyckiego, zaopatrzyć się w odpowiednie do przewozu mięsa statki parowe, a głównie utworzyć związek hodowców, handlarzy bydła i kapitalistów w celu szerokiego rozwinięcia handlu wywozowego. Kierując się stanem wszechświatowego handlu, rzeczonymi produktami oraz naturalnymi i ekonomicznymi warunkami Rosyi—wywóz masła i mięsa z Rosyi może w ciągu lat dziesięciu dojść do sumy 400 milionów rubli. Obecnie deficyt w bilansie finansowym Rosyi z zagranicą wynosi znaczną sumę od 100 do 160 milionów rubli rocznie. O korzyściach, jakie można osiągnąć z handlu wywozowego, daje pojęcie porównanie cen mięsa w Rosyi i zagranicą. Na rynkach miejscowych nie są one wyższe od 3 rb. 50 kop do 4 rb., na zagranicznych dochodzą do 8 i 9 rb. za pud.

*

* *

Jedną z największych wad rosyjskiego handlu zbożowego są zapasy zboża, nad których usunięciem radzi właśnie teraz ministeryum komunikacyi. Wykazując sposoby rozwiązania tej kwestyi, „Odessk. Now.” piszą. Jeżeli przemysł węglowy, naftowy i solny mogą ograniczać prawidłowy przewóz w ciągu całego roku, to dlaczego przewóz zboża, ograniczający się do kilku miesięcy, nie może się odbywać w podobnych warunkach? Wyjść z takiego stanu rzeczy można dwiema drogami: albo tabór przewozowy powiększyć stosownie do potrzeb, albo podczas miesięcy najbardziej ożywionego przewozu zboża wstrzymywać równomierny przewóz innych produktów. Pierwszy środek naraziłby kraj na straty. Powiększenie taboru przewozowego na potrzeby ruchu w czasie sezonu zbożowego spowodowałoby unieruchomienie jego przez większą część roku, powstanie stąd kapitał martwy, nie dający żadnego dochodu. Odpowiednim zaś ze wszech miar jest drugi środek, o ile byłby zorganizowany racyonalnie. Jest mnóstwo ładunków, które muszą być przewożone niezwłocznie i w określonym terminie. Do tych między innemi należą również ładunki zboża. Lecz z drugiej strony są i takie ładunki, które mogą być przygotowywane wcześniej i gromadzone na miejscu bez specyalnych wydatków. Oczywiście kraj nic na tem nie straci, że przewóz tego rodzaju ładunków ograniczony zostanie w sezonie przewozu zboża, a następnie zostanie wyrównany, gdy przewóz zboża się skończy. Nie można naturalnie ogra-

niczać przewozu takich produktów, jak węgiel, nafta, sól i t. p. zapomocą ustanowienia ogólnych ograniczeń w korzystaniu z taboru przewozowego. Ale w rozporządzeniu sfer odnośnych są taryfy kolejowe, które mogą być najprostszym i najlepszym regulatorem przewozu kolejami. Niezbędnem jest, aby dla towarów, nie wymagających pośpiesznego przewożenia, ustanowić dwie taryfy — normalną i sezonową, z których druga byłaby wyższą od pierwszej i obowiązywałaby podczas miesięcy, gdy przewóz zboża się wzmaga. Niema wątpliwości, że w swym własnym interesie różni przemysłowcy staraliby się nie gromadzić zbytnio ładunków podczas jesiennego sezonu bez wyjątkowej potrzeby, a wtedy część taboru ogólnego mogłaby być użytą pod przewóz ładunków zbożowych, obecnie zalegających składy, co wpływa ujemnie na ogólny stan handlu zbożem. Ministeryum komunikacyi, rozważając kwestyę usunięcia zła, zapewne zatrzyma się i na projekcie „Od. Now.", któremu nie można odmówić dużego znaczenia praktycznego.

* * *

Niedawno ogłoszone zostały dane, dotyczące zewnętrznego handlu Rosyi w 1899 r. Zdaniem „Siew. Kur." dane tego rodzaju posiadają bardzo względne znaczenie, gdyż okazuje się, że nie zgadzają się one z temi, które drukują oficyalne wydania zagraniczne, tak, iż budzi się mimowoli pytanie, czy oba te sprawozdania są niedokładne, czy tendencyjne? Po tej uwadze „Siew. Kur." przystępuje do rozpatrzenia wzmiankowanego sprawozdania. Ogólny obrót zewnętrznego handlu Rosyi przez granice europejskie i czarnomorsko-kaukaską oraz finlandzką wyniósł w 1899 r. 1 196,1 milionów rubli, t. j. zmniejszył się w porównaniu z rokiem poprzedzającym oraz 1896—1898 r. Z ogólnej tej sumy na wywóz przypada 601,6 milionów, na dowóz 594,5 mil. rubli. Jeżeli oprzemy się na tych danych, to dojdziemy do wniosku, że dowóz i wywóz stoją na jednym prawie stopniu, co stronników teoryi bilansu handlowego może naprowadzić na smutne rozmyślania. Faktem jest, że zmniejszenie się wywozu wywołane zostało nieurodzajem pszenicy, której zamiast 177 milionów pudów z roku 1898 wywieziono w 1899 r. tylko 107 milionów pudów. Możnaby nawet powiedzieć, że cała różnica przypada na produkty spożywcze, co pozostaje w związku z nawiedzającymi Rosyę w ciągu dwu lat nieurodzajami. Jak zwykle wtedy bywa, zmniejszył się wywóz pszenicy, a inne rodzaje zbóż, konsumowane przez ludność, utrzymały się w mierze, wywóz mąki ży-

tniej nawet się zwiększył. To stanowi najoczywistszy dowód, że wywóz zboża stosuje się do zapotrzebowania zagranicy, a tylko pośrednio zależy od rynku wewnętrznego. Głównie ucierpiał eksport od nizkich cen w Anglii, do portów zaś morza Śródziemnego dowóz pszenicy nie uległ zmianie. Z drugiej strony wzrost dowozu znajduje się w bezpośrednim stosunku do wzrostu rosyjskiego przemysłu fabrycznego. Gdy w ciągu trzechlecia 1896—8 dowóz wynosił 536,9 milionów, w 1899 roku podniósł się do 594,5 milionów rubli. Zależności wzrostu dowozu od wzrostu przemysłu dowodzi analiza danych według grup poszczególnych przedmiotów. Tak nap. okazuje się, że największy wzrost obejmuje węgiel kamienny, maszyny, żelazo i inne materyały surowe lub narzędzia niezbędne do fabrykacyi. Dowóz węgla kamiennego zwiększył się z 154,5 milionów pudów na 237,9. Maszyn w 1898 roku przywieziono za 80 mil. rubli, a w 1899 r. za 99 milionów, co uważać należy za przyrost bardzo znaczny.

Tym sposobem, jeśli tylko obraz, naszkicowany w rosyjskich danych oficyalnych, jest prawdziwy, mamy wogóle do czynienia z upadkiem wywozu rosyjskich produktów rolnych i wzrostem dowozu przedmiotów, niezbędnych dla rosyjskiego przemysłu fabrycznego. Niestety, budować na tej podstawie żadnych wniosków nie można z jednej strony wobec okoliczności wyjątkowych, jakiemi była dwuletnie nieurodzaje, z drugiej z powodu już zaznaczonej nieścisłości danych. Wskazywaliśmy już, pisze w dalszym ciągu „Siew. Kur.”, na różnice danych statystycznych niemieckich i rosyjskich, obecnie musimy stwierdzić, że dane żadnego kraju, nie wyłączając Finlandyi, nie zgadzają się z danemi rosyjskiemi.

Tak np. według danych statystyki angielskiej dowóz towarów rosyjskich do Anglii od 7 dziesiątka lat bieżącego stulecia stale wzrasta. W 1881 — 1890 latach otrzymywano tam z Rosyi towarów na sumę przeciętnie 18,7 mil. f. ster., w 1891—1895 r. — 21,4 mil. f. st., w r. 1896 — 22,7 i tylko w r. 1897 daje się zaznaczyć pewien spadek. Według rosyjskich danych zaś w tym przeciągu czasu konstatowano stały upadek wywozu: w r. 1881 — 90 wysłano do Anglii towarów za 198,3 mil. rub., w r. 1891—5 za 161 mil. rubli. Przeciwny zupełnie objaw widzimy co do dowozu z Anglii do Rosyi. Według danych angielskich zmniejsza się on stale, według rosyjskich pozostaje bez zmiany, a niekiedy nawet wzrasta. Ciekawem jest również porównanie statystyki finlandzkiej z rosyjską. Według pierwszej np. w 1896 r. otrzymano z Rosyi towarów za 55 mil. marek, w r. 1897 za 72 mil. marek, t. j. dowóz z Rosyi wzrósł

niczać przewozu takich produktów, jak węgiel, nafta, sól i t. p. zapomocą ustanowienia ogólnych ograniczeń w korzystaniu z taboru przewozowego. Ale w rozporządzeniu sfer odnośnych są taryfy kolejowe, które mogą być najprostszym i najlepszym regulatorem przewozu kolejami. Niezbędnem jest, aby dla towarów, nie wymagających pośpiesznego przewożenia, ustanowić dwie taryfy — normalną i sezonową, z których druga byłaby wyższą od pierwszej i obowiązywałaby podczas miesięcy, gdy przewóz zboża się wzmaga. Niema wątpliwości, że w swym własnym interesie różni przemysłowcy staraliby się nie gromadzić zbytnio ładunków podczas jesiennego sezonu bez wyjątkowej potrzeby, a wtedy część taboru ogólnego mogłaby być użytą pod przewóz ładunków zbożowych, obecnie zalegających składy, co wpływa ujemnie na ogólny stan handlu zbożem. Ministeryum komunikacyi, rozważając kwestyę usunięcia zła, zapewne zatrzyma się i na projekcie „Od. Now.", któremu nie można odmówić dużego znaczenia praktycznego.

* * *

Niedawno ogłoszone zostały dane, dotyczące zewnętrznego handlu Rosyi w 1899 r. Zdaniem „Siew. Kur." dane tego rodzaju posiadają bardzo względne znaczenie, gdyż okazuje się, że nie zgadzają się one z temi, które drukują oficyalne wydania zagraniczne, tak, iż budzi się mimowoli pytanie, czy oba te sprawozdania są niedokładne, czy tendencyjne? Po tej uwadze „Siew. Kur." przystępuje do rozpatrzenia wzmiankowanego sprawozdania. Ogólny obrót zewnętrznego handlu Rosyi przez granice europejskie i czarnomorsko-kaukaską oraz finlandzką wyniósł w 1899 r. 1 196,1 milionów rubli, t. j. zmniejszył się w porównaniu z rokiem poprzedzającym oraz 1896—1898 r. Z ogólnej tej sumy na wywóz przypada 601,6 milionów, na dowóz 594,5 mil. rubli. Jeżeli oprzemy się na tych danych, to dojdziemy do wniosku, że dowóz i wywóz stoją na jednym prawie stopniu, co stronników teoryi bilansu handlowego może naprowadzić na smutne rozmyślania. Faktem jest, że zmniejszenie się wywozu wywołane zostało nieurodzajem pszenicy, której zamiast 177 milionów pudów z roku 1898 wywieziono w 1899 r. tylko 107 milionów pudów. Możnaby nawet powiedzieć, że cała różnica przypada na produkty spożywcze, co pozostaje w związku z nawiedzającymi Rosyę w ciągu dwu lat nieurodzajami. Jak zwykle wtedy bywa, zmniejszył się wywóz pszenicy, a inne rodzaje zbóż, konsumowane przez ludność, utrzymały się w mierze, wywóz mąki ży-

tniej nawet się zwiększył. To stanowi najoczywistszy dowód, że wywóz zboża stosuje się do zapotrzebowania zagranicy, a tylko pośrednio zależy od rynku wewnętrznego. Głównie ucierpiał eksport od nizkich cen w Anglii, do portów zaś morza Śródziemnego dowóz pszenicy nie uległ zmianie. Z drugiej strony wzrost dowozu znajduje się w bezpośrednim stosunku do wzrostu rosyjskiego przemysłu fabrycznego. Gdy w ciągu trzechlecia 1896—8 dowóz wynosił 536,9 milionów, w 1899 roku podniósł się do 594,5 milionów rubli. Zależności wzrostu dowozu od wzrostu przemysłu dowodzi analiza danych według grup poszczególnych przedmiotów. Tak nap. okazuje się, że największy wzrost obejmuje węgiel kamienny, maszyny, żelazo i inne materyały surowe lub narzędzia niezbędne do fabrykacyi. Dowóz węgla kamiennego zwiększył się z 154,5 milionów pudów na 237,9. Maszyn w 1898 roku przywieziono za 80 mil. rubli, a w 1899 r. za 99 milionów, co uważać należy za przyrost bardzo znaczny.

Tym sposobem, jeśli tylko obraz, naszkicowany w rosyjskich danych oficyalnych, jest prawdziwy, mamy wogóle do czynienia z upadkiem wywozu rosyjskich produktów rolnych i wzrostem dowozu przedmiotów, niezbędnych dla rosyjskiego przemysłu fabrycznego. Niestety, budować na tej podstawie żadnych wniosków nie można z jednej strony wobec okoliczności wyjątkowych, jakiemi była dwuletnie nieurodzaje, z drugiej z powodu już zaznaczonej nieścisłości danych. Wskazywaliśmy już, pisze w dalszym ciągu „Siew. Kur.”, na różnice danych statystycznych niemieckich i rosyjskich, obecnie musimy stwierdzić, że dane żadnego kraju, nie wyłączając Finlandyi, nie zgadzają się z danemi rosyjskiemi.

Tak np. według danych statystyki angielskiej dowóz towarów rosyjskich do Anglii od 7 dziesiątka lat bieżącego stulecia stale wzrasta. W 1881 — 1890 latach otrzymywano tam z Rosyi towarów na sumę przeciętnie 18,7 mil. f. ster., w 1891—1895 r. — 21,4 mil. f. st., w r. 1896 — 22,7 i tylko w r. 1897 daje się zaznaczyć pewien spadek. Według rosyjskich danych zaś w tym przeciągu czasu konstatowano stały upadek wywozu: w r. 1881 — 90 wysłano do Anglii towarów za 198,3 mil. rub., w r. 1891—5 za 161 mil. rubli. Przeciwny zupełnie objaw widzimy co do dowozu z Anglii do Rosyi. Według danych angielskich zmniejsza się on stale, według rosyjskich pozostaje bez zmiany, a niekiedy nawet wzrasta. Ciekawem jest również porównanie statystyki finlandzkiej z rosyjską. Według pierwszej np. w 1896 r. otrzymano z Rosyi towarów za 55 mil. marek, w r. 1897 za 72 mil. marek, t. j. dowóz z Rosyi wzrósł

o jedną trzecią, a według rosyjskich danych wzrósł z 17,6 mil. rubli do 30,4 mil., to jest o dwie trzecie. Według rosyjskich danych porównanie roku 1897 z okresem 1871—80 wskazuje na zwiększenie się wywozu do Finlandyi trzykrotnie: z 10 na 30 milionów, a według danych finlandzkich wzrost wynosi z 53 na 72 miliony tylko. Okazuje się więc stąd, że niema dotąd w dziedzinie handlu zewnętrznego statystyki, na której możnaby polegać, i dlatego też wszelkie snute na ten temat wnioski nie posiadają żadnego praktycznego znaczenia.

* * *

Kwestya unormowania pracy na kolejach żelaznych podawnemu zostaje w stanie zawieszenia, ponieważ zjazd przedstawicieli dróg żelaznych, o ile wiadomo, zdecydował ją tylko zasadniczo. „Odesk. Now." wątpią, aby wogóle takie zjazdy mogły wykazać szczegółowe punkty kwestyi. Jeżeli nawet obradujący będą traktować sprawę zupełnie sumiennie, to i wtedy wątpliwem jest, aby można było zebrać materyał dostateczny do rozwiązania sprawy. Kto z wyższych urzędników kolejowych zna dokładnie warunki pracy niższych oficyalistów? Takich znawców jest bardzo mało, i dlatego należałoby wysłuchać opinii przedstawicieli, różne zajmujących stanowisko na służbie, drogą powołania ich do udziału w obradach lub badań lokalnych, bezpośrednich. Badanie, dokonywane przez osoby, niezainteresowane w tej sprawie, mogłoby dać dodatnie nad wszelki wyraz wyniki i dostarczyłoby materyału do rozwiązania kwestyi organizacyi kontroli nad wypełnianiem projektowanych przepisów. Zorganizowanie takiego nadzoru nie będzie łatwiejszem, niż opracowanie odnośnych przepisów prawnych o pracy na kolejach żelaznych, gdyż niezbędną będzie przytem obserwacya bardziej szczegółowa, niż ta, która stanowi obowiązek inspekcyi fabrycznej. Weźmy taki chociażby przykład. Wiadomo, że zarówno zwrotnicy, jak i dróżnicy, upadają pod ciężarem nie tyle swych bezpośrednich obowiązków służbowych, ile z tego powodu, iż w chwilach wolnych od służby stają się służącymi władz kolejowych. Jeśli inspekcya kolejowa będzie zorganizowaną na wzór fabrycznej, to zło powyższe nie będzie mogło być usunięte. Tymczasem dla objawów analogicznych niewypełniania projektowanych przepisów służba na drogach żelaznych przedstawia grunt nader podatny.

* * *

„Birż. Wied.” poświęcają obszerne wspomnienie pośmiertne zmarłemu w sierpniu r. b. Wł. S. Sołowiewowi. Przedwcześnie zmarł ten wybitny i niemal że jedyny rosyjski filozof-moralista, gorąco przekonany i szczery zwolennik dobra i światła, wyobraziciel idealnej tęsknoty współczesnego człowieka do Boga i prawdy. Pisarz o wielkiej erudycyi, umyśle jasnym a głębokim, cieszył się głośną, zasłużoną sławą, potężnie wpływał na umysły i dla wielu był istotnym nauczycielem życia. Włodzimierz Sołowiew, syn znanego historyka Sergiusza, urodził się w 1853 roku. Ukończywszy w 1869 roku gimnazyum V-te w Moskwie, wstąpił na wydział historyczno-filologiczny w uniwersytecie moskiewskim, gdzie w 1871 roku otrzymał stopień kandydata filologii. Wysłuchawszy kursu na wydziale fizyczno-matematycznym i w moskiewskiej akademii duchownej, w 1872 roku otrzymał stopień kandydata filozofii i w grudniu tegoż roku uzyskał stanowisko docenta filozofii przy uniwersytecie. Po powrocie z podróży zagranicą broni swej rozprawy: *Krytyka podstaw abstrakcyjnych.* Rzecz ta wywarła duże zajęcie śród ogółu inteligentnego. Do 1881 r. zajmował Sołowiew różne stanowiska przy uniwersytecie petersburskim, od tego zaś roku porzuca służbę państwową i pedagogiczną i całkowicie poświęca się literaturze i filozofii. Moralno-filozoficzne poglądy Sołowiewa, zdradzające pociąg do syntezy w najgłębszem tego słowa pojęciu, do stworzenia systemu uniwersalnego, opierającego się na idei jedynego absolutu, wyraziście zostały wyłuszczone przez filozofa nie tylko w szeregu oderwanych rozpraw na te lub owe tematy, lecz i w pracach kapitalnych, będących systematycznem i naukowem przedstawieniem doktryny. Pierwsze wybitne jego dzieło *Kryzys filozofii zachodniej*, jest pracą jeszcze czysto teoretyzną, ograniczającą się do próby dowiedzenia tego, że kryzys wywołany został przez dzieła Schopenhauera i Hartmanna. Natomiast w rozprawie doktorskiej Sołowiew jest kompletnym filozofem-moralistą, dla którego głównem zadaniem rozwoju filozoficznego jest uzasadnienie religii i etyki. Łatwość syntezy filozoficznej i olbrzymia erudycya, ujawniona przez młodego doktora w tej pierwszej pracy, przedstawiła się w lepszem jeszcze świetle w jego dziele: *Usprawiedliwienie dobra.* Można rzec bez przesady, że praca ta jest pierwszem dziełem rosyjskiem, w którem usiłowano przedstawić cały system filozoficzno-moralny, obejmujący życie we wszystkich jego przejawach. Uzasadnienie religii tak ściśle łączy się tutaj z zasadniczemi kwestyami religii, że autor jest w równej mierze tutaj przedstawieielem teologii racyonalnej, jak i filozofii. Jako filozof moralista, Sołowiew starał się godzić

swe poglądy filozoficzne z nauką chrześcijańską, nie usiłując jednak być jej apologetą, ale naturalnie rozwijając organicznie swój cały system, jak tego wymagał jego aparat myślowy, wykształcony w duchu chrześcijańskim. Sołowiew był wielkim zwolennikiem idei zjednoczenia wszystkich religii chrześcijańskich w jednej formie służenia Chrystusowi, jako idei prawdy. Marzył on o zjednoczeniu się wszystkich narodów pod hasłem miłości bratniej, dalekiej od nizkich nacyonalnych uprzedzeń. Sołowiew poświęcał też swe pióro krytyce. W tym dziale wybitne miejsce zajmują jego artykuły *O poezyi w wierszach Puszkina*, które zwróciły powszechną uwagę pomimo mnóstwa prac jubileuszowych, dotyczących autora „Eugeniusza Oniegina". Oprócz tego Sołowiew pisał poezye, które, wydane w oddzielnym tomie, doczekały się trzech wydań. Nie można jednak nie zastrzedz, że poezya była najmniej właściwą dziedziną dla jego wszechstronnego talentu. W poezyach Sołowiewa znaczne miejsce zajmuje sonet miłości ziemskiej, ale niema tam ani źdźbła pospolitego artyzmu. Uznając miłość za oś życia, poeta pochyla przed nią czoło. Na otaczającą go przyrodę spoglądał Sołowiew okiem filozofa raczej, niż artysty. Pod korą ziemską wyczuwał on tętno pulsującego życia. Ulubionym motywem jego była — jesień. W zbiorze utworów poetyckich Sołowiewa znajduje się cały cykl utworów, owianych tchnieniem dekadentyzmu. Filozozof-moralista, pedagog, literat i publicysta, wreszcie niepośledni poeta, Sołowiew był umysłowością bardzo wybitną, choć umarł, nie doczekawszy nawet 50 roku życia.

Ad. D.



Rozbiory i Sprawozdania.

Glaser Kar. dr. Zgodovina slovenskega slovstwa. Založila Slovenska Matica. V Lubljani 1894 -- 1899 (Historya literatury słowieńskiej. Nakładem Maticy Słowieńskiej).

Co może zdziałać naród na polu pracy umysłowej, bardzo dobitnie pokazują Słowieńcy. Otoczeni zewsząd nieprzyjaznym żywiołem, Niemcami i Włochami, którym rozwój polityczny, umysłowy i społeczny Słowieńców jest solą w oku, umieli ciągłą pracą i wytrwałością wyrobić już sobie poczucie narodowe, rozwinąć handel i przemysł i wykształcić literaturę. Mała ich garstka, osiedlona w Krainie, południowo-zachodniej Styryi i w części Karyntyi, a licząca niewiele więcej nad milion ludności, zdobyła sobie dziś wybitne stanowisko w gronie narodów słowiańskich. Powolny ich rozwój uwidocznia się najlepiej we wzroście ich literatury. Mały katechizm Primusa Trubera zaczyna ich literaturę. Pierwszy okres ich piśmiennictwa, czysto kościelnego, przypadający na czas Reja i Kochanowskiego u nas, to okres walki o uprawnienie języka słowieńskiego, to okres próby, czy język słowieński zdolny jest stać się językiem literackim. Próba rokuje dobre nadzieje, ale wrogie czynniki przeszkadzają nie tylko dalszemu rozwojowi, lecz tłumią prawie zupełnie kiełkujące ziarno. Literatura w wieku XVII, podobnie jak u nas, podupada; jakaś książka treści religijnej lub gramatyka stanowią w tym czasie cały zapas literacki. Dopiero czasy nowsze, czasy romantyzmu i budzącej się idei narodowej i poczucia słowiańskości zespoliły siły duchowe narodu, a podmuch dobroczynny budzącego się nowego życia duchowego w Europie przyczynił się także do rozbudzenia, wzrostu i wykształcenia literatury słowieńskiej. Poeci, jak Preszern, dają narodowi prawdziwą poezyę, i odtąd literatura słowieńska

kroczy ciągle naprzód: dziś doszła już do wysokiego szczebla. Literacki język słowieński, popsuty w dawniejszych okresach strasznie germanizmami, otrząsł się dzięki znakomitym filologom, jak Kopitar i Mikloszicz, z naleciałości obcych i dziś występuje w czystej szacie narodowej: pozbywszy się także właściwości gwarowych, stał się zarazem silnym węzłem, łączącym pojedyńcze części etnograficzne, które dawniej nie zawsze czuły się członkami jednej rodziny, w całość, czującą się jednym organizmem.

Mało mieliśmy środków do poznania literatury słowieńskiej. Książki, traktujące o tym przedmiocie, były raczej podręcznikami szkolnymi, niż dziełami naukowemi. Pierwszym, który się pokusił przedstawić historyę literatury słowieńskiej i dokładny dać jej obraz, jest Karol Glaser, profesor gimnazyum w Tryeście. Po dłuższych studyach w danym zakresie wydał obszerną książkę. Wychodziła ona zeszytami rocznymi, skutkiem czego wydawnictwo to kilka lat się ciągnęło. Szczupłe fundusze Maticy słowieńskiej, która jest nakładcą tego dzieła nie pozwoliły wydać go odrazu. Na książkę tę chciałbym zwrócić uwagę polskiej publiczności. Nie wdając się w krytykę szczegółową, która czytelników mniej obchodzi, daję kilka uwag ogólnych o powyższem dziele.

Prof. Glaser omawia we wstępie stanowisko Słowieńców w rodzinie narodów słowiańskich, pierwotną ich historyę polityczną, geograficzne ich położenie, działalność apostołów słowiańskich, św. Cyryla i Metodego, poczem przechodzi do właściwej literatury. Dzieli ją na 6 okresów; I okres protestancki od r. 1550 do 1600, II okres katolicki od 1600 do 1740, III okres poczynającego się odrodzenia od 1740 do 1815, IV okres rozkwitu od 1815 do 1848, V okres dalszego wzrostu literatury od 1848 do 1870 i VI okres najnowszy od 1870 do 1895. Każdy okres poprzedza wstęp, w którym autor przedstawia stosunki polityczne, społeczne, stan szkół, a poczęści i stosunki ekonomiczne danego czasu, poczem następuje wyliczenie pisarzy i ich dzieł. Zdawałoby się więc, że w ten sposób przedstawiona historya literatury na tle tak szerokiem uczyni zadość wszelkim wymaganiom; poczęści też zadowolnił nas autor, ale nie zawsze. To też książkę p. Glasera spotkały dość ostre oceny. Zarzucano, że autor nie umiał się wznieść na poziom wyższy, że nie umiał objąć całokształtu literatury i dlatego nie dał dość dokładnego obrazu postępu ducha narodowego, że gubi się często w drobnostkach, zapominając o rzeczach ważniejszych. Jest w tem dużo prawdy; autor nie umiał rozłożyć sobie odpowiednio treści; brak w książce jednolitego kierunku i punktu patrzenia, brak rozłożenia odpowiedniego światła i cieni. Nie można autorowi odmówić dobrej woli i chęci zadowolenia czytelników; korzystał bowiem z uwag recenzentow, nie zawsze bezstronnych, w miarę, jak pojedyńcze zeszyty wychodziły z druku: w pierwszym np. zeszycie cytuje tytuły dzieł w całej ich rozciągłości w tekście właściwym, później przenosi je do przypisków na końcu zeszytu. Podobnie ma się rzecz i z innymi szczegółami. Skutkiem tego powstaje pewien chaos w książce, tak, że czytelnik potrzebuje pewnego czasu, aby się zoryentować, gdzie czego szukać. Błąd ten razi szczególnie w przedstawieniu ostatnich dwu okresów, gdzie brak podziału literatury na pojedyńcze gałęzie. Mamy bowiem przedstawionego poetę obok historyka, naturalistę obok powieściopisarza, tak, że trudno sobie wyrobić pogląd na pojedyńcze gałęzie literatury. Byłby autor błąd ten w części naprawił, gdyby był dał na końcu każdego okresu pogląd ogólny i zestawienie dodatnich i ujemnych stron każdego dzieła literatury; tego jednak nie zrobił.

Wielką wadą książki jest i to, że autor, szczególnie w okresach nowszych, nie uwydatnia wpływu obcego, jakim pojedyńczy pisarze podlegali. Autor mówi

wprawdzie we wstępach przed okresami o wpływach, jakie na literaturę słowień, ską działały; należało wszakże wykazać u pojedyńczych pisarzy, o ile i w jaki sposób domniemany wpływ u każdego się przebija, i dać pogląd, jak talent pisarza, zaczynający zwykle od naśladownictwa, wyrabiał się różnymi sposobami na oryginalny, dalej skąd czerpał tematy i motywy, jaki stosunek istnieje między utworami a życiem pisarza. Pod tym względem nie zawsze znajdujemy odpowiedź w książce prof. Glasera. Ocena dzieł jest także zwykle ogólnikowa, frazesowa, a często niema jej wcale. Są to ważne usterki. Trzeba autora jednak w części uniewinnić. Miał on bardzo mało dobrych prac literackich poprzednich, z którychby mógł czerpać odpowiednie wiadomości, a bez monografii i prac specyalnych trudno samemu wszystko zbadać gruntownie; sam musiał zbierać najrozmaitsze szczegóły. Badanie utrudniała mu także często obojętność publiczności. Wielu żyjących pisarzy, których prosił o szczegóły biograficzne, wcale mu nie odpisało, wielu znów przysłało wiadomości niedostateczne. Nie bądźmy więc zanadto surowymi sędziami. Co jednak trudniej mu darować, to nienawiść do Polaków. Ilekroć mówi o nas, nie obejdzie się nigdy bez złośliwości, bez żółci i jadu. Czem mu Polacy zawinili, nie wiem; w każdym razie przemawiają przez niego stronnicze pobudki osobiste. Nie uniewinnia go okoliczność, że wiadomości o nas czerpie z dzieł niemieckich, bo mógł je czerpać i z dzieł polskich, gdyż, jak wiem dobrze, zna język polski. Nie mścijmy się jednak za to na autorze, odpłaćmy się chlebem za kamień; pozna on może kiedyś swój błąd i naprawi go jeszcze. Tyle już na nas rzucono oszczerstw, że przywykliśmy do nich.

Stron dodatnich ma książka p. Glasera dużo. Odznacza się ona przedewszystkiem sumiennością i skrzętnością w zbieraniu szczegółów. Autor nie zapomniał i o pisarzach bardzo mało znanych. U każdego pisarza jest oprócz tego podana dokładnie odnośna literatura, co bardzo ułatwia pracę nad badaniem literatury słowieńskiej, zwłaszcza obcemu, i co będzie wielką pomocą dla następnych badaczy. Streszczenia ważniejszych dzieł przyczyniają się także niemało do lepszego poznania literatury, bo nie każdemu wszystkie dzieła są dostępne. Wiadomości podanych jest dużo, i, choć niezawsze stosownie są one ugrupowane, dają jednak możność wyrobienia sobie sądu własnego o przedmiocie. Ogółem biorąc, jest to dziś najlepsza historya literatury słowieńskiej. Ma ona wielką wartość nie tylko dla Słowieńców, lecz i dla Słowian wogóle, szczególnie zaś dla tych, którzy pragną poznać życie duchowe pobratymców. Polecam ją też polskim czytelnikom.

J. Leciejewski.

Ksiądz K a r o l N i e d z i a ł k o w s k i, biskup Samoski: „Nie tędy droga, szanowne panie!“ (Studyum o emancypacyi kobiet) Wydanie drugie, dopełnione. Warszawa, 1900, str. 254.

Od samego autora, ks. biskupa Niedziałkowskiego, dowiadujemy się o powodzeniu jego dziełka i o tem, że do powodzenia najwięcej się przyczynili „postępowcy“, którzy dziełko „obrzucili błotem“, a nawet gorzej. Tych swoich „dobrodziejów“ autor nie wymienia osobiście, zaznaczając tylko ogólnikowo, że z „obozu radykalnego“ —wygrzebującego z kałuż swe argumentacye, „odznaczył się szczególnie recenzent j e d n e g o z bezwyznaniowych tygodników warszawskich“. Jegomość ten „poprzeinaczał“ myśli autora, przypisał mu wyrażenia i zamiary, których on nie miał, a opatrzywszy wszystko razem komentarzami o logice zdumiewającej, „nazwał ks. biskupa bez ceremonii idyotą, a jego mitrę biskupią — czapką błazeńską“ (str. 16). Jeżeli tak było w istocie, wówczas rodzi się pytanie, co

sobie począć ma recenzent, nie należący do cechu „bezwyznaniowców“. Chwalić nie chce on i nie może książki, gdyż w ten sposób osłabićby musiał jej poczytność i rozgłos. Więc wymyślać? błotem ciskać z zapłota? Lecz rzecz wcale na to nie zasługuje, jest barankowo niewinna i nikomu najmniejszej krzywdy wyrządzić niezdolna. Wobec tak smutnej alternatywy podnosimy jedynie słowa autora, skierowane do nas... Odzywamy się wprawdzie, jak nożyczki po uderzeniu w stół, gdyż „Ateneum“ nie zostało imiennie wytknięte. Ale uderzenie niemylnie do nas się stosuje. Zdając sprawę (lipiec, 1898) z dziełka pani Grot-Bęczkowskiej p. t. „Kędy droga?“ — postawiliśmy istotnie uboczny zarzut pierwszej edycyi dziełka ks. Niedziałkowskiego, że, uwydatniając przed kobietą tegoczesną drogi, przez Kościół dla niej zagrodzone, mniejszą uwagę zwrócił na to, które dla niej stoją otworem godziwym. W edycyi ponownej autor odpowiada na to: „Zarzucano mi n i e k i e d y, robiąc alluzyę do tytułu, że, mówiąc *nie tędy droga*, nie wskazałem *którędy droga*—nie wskazałem ścieżki, po której miałaby kroczyć współczesna czy nawet przyszła kobieta. Zarzut ten (odpiera autor) zupełnie jest niesłusznym, bo nikt nie może od autora wymagać, by dał więcej, niż obiecał, niż się zobowiązał: ponieważ zamierzyłem sobie tylko wykazać fałszywość drogi e m a n c y p a c y i p o g a ń s k i e j, więc też, jak mogłem, wykazywałem; do niczego więcej nie zobowiązywałem się, to też wymagać więcej nikt nie miałby prawa. W rzeczywistości jednak dałem więcej, niż zapowiedziałem w tytule, bo w rozdziale V-m krótko i treściwie wskazałem niektóre rzeczy do naprawienia w położeniu kobiety i twierdziłem, że poprawić się ono może j e d y n i e przez poprawę stosunków socyalnych w duchu chrześcijańskim i w tym, jak w każdym innym względzie, tylko *per crucem* dochodzi się *ad lucem*“. Przez krzyż dochodzi się do ś w i a t ł a... Tak rzeczywiście powiedziane było w pierwszej edycyi dzieła i tak powtórzone to zostało w edycyi drugiej. Ale zarówno wtedy, jak i dziś, najmniejszej wypływającej stąd wskazówki praktycznej nie spostrzegamy. Praca ks. Niedziałkowskiego we wszystkich swych szczegółach przesiąknięta jest przeświadczeniem apriorycznem, że w zagadnieniach życiowych „światło“ samo przez się posiada jakąś moc pozytywną, czynną, nie tylko rozpoznawczą, oryentującą, lecz faktycznie pokrzepiającą, sprawczą i naprawczą. Rozumowania jego wszędzie, od początku do końca, mają w sobie coś rozpaczliwie scholastycznego, bezwzględnie podciągającego zdobycze i nabytki d o ś w i a d c z e n i a pod szablon abstrakcyjnego, formalnego syllogizmu. Książka ks. N. uważa emancypacyę kobiety— to jest uwolnienie żeńskiej połowy rodzaju ludzkiego od przepisów prawnych, wyjątkowo upośledzających ją względem połowy męskiej — za rodzaj choroby u m y s ł o w e j, analizuje tę chorobę z pomocą mikroskopu doktryn ewangelicznych i sądzi, że sama ta dyagnoza starczyć może za l e k a r s t w o. Tymczasem wszyscy my doskonale widzimy, że cały ten proceder, mylny czy niemylny w swej istocie, do niczego zgoła nie prowadzi i prowadzić nie może. Bo przypuśćmy nawet, że na podstawie autentycznych słów Chrystusa dowiedliśmy, pokazaliśmy, iż *zły duch* istotnie opętał tegoczesną niewiastę w jej dążeniach emancypacyjnych. To czyliż przez samo to odkrycie, odsłonięcie, wytknięcie niemocy — już i niemoc zażegnaliśmy? Ależ bynajmniej, — odpowiada ks. Niedziałkowski: trzeba wziąć krzyż w ręce i egzorcyzmu dokonać... A toż skąd? jakim sposobem? Przecież sam autor w założeniu swojem najformalniej i stanowczo oznajmił, że krzyż daje tylko światło *per crucem — ad lucem*... Wracamy tą drogą do początku — a kwestya kręci się w kółko bez rozwiązania, bez poszlak rzetelnego rozwiązania. A teraz odwołajmy to, cośmy przypuścili *gratis*. Emancypacya nie jest chorobą wyłącznie ani

nawet przeważnie umysłową; żaden specyalnie psychiczny dyabeł w niej nie siedzi. Cóż wtedy poczniemy? Jakiego przeciw niej zażyjemy środka? Tu już i dyagnoza ewangeliczno-świetlana nie wystarcza. Tu, zrzuciwszy pychę z serca, pracowicie zabrać się trzeba do fizyki, fizyologii, socyologii... Ubliżylibyśmy sobie, nie zaś ks. Niedziałkowskiemu, gdybyśmy utrzymywali, że o tem nie wie, wiedzieć nie chce i nie potrzebuje. Przecież przytoczyliśmy wyżej własne słowa ks. biskupa, stwierdzające, że naprawa niektórych rzeczy w położeniu kobiety wymaga *naprawy stosunków socyalnych w duchu chrześcijańskim...* Takie postawienie sprawy — zaiste — wygląda już nieco inaczej. Niestety, wygląda tylko. Emancypacya niewieścia jest tym razem, według autora, pewnem zboczeniem, zależnem od ogólniejszych zboczeń socyalnych. Naprawa ogólniejszych owych spaczeń odbyć się może jedynie przez zastosowanie do nich... *ducha* chrześcijańskiego. Ale jeżeli spaczenia są natury fizycznej, fizyologicznej i socyologicznej, jakiż obierzemy przewód i jakie weźmiemy narzędzie, aby w ich żyły wstrzyknąć, aby w nadwyrężony ten organizm naprawczego ducha wlać lub zaszczepić? O tem praca ks. Niedziałkowskiego zupełnie zmilcza. To jedno. A powtóre, skoro napewno wiemy, że zarazek emancypacyjno-niewieści wylęgł się z pewnych nienormalnych warunków szerzej pojętego ustroju socyalnego, w takim razie kardynalne przykazania moralności nie pozwalają uderzać na *skutek*, dopóki od uderzeń nie pękła *przyczyna*. Na jakiej-że chrześcijańskiej podstawie dobra połowa książki „Nie tędy droga“ poświęconą zostala ośmieszaniu lub szyderczemu karceniu tych, co w usamowolnieniu kobiety tegoczesnej upatrują najobfitszą może krynicę zasobów żywotnych, uzdolnionych do walki z nieprawościami ogólno-społecznemi — temi właśnie nieprawościami, które oprócz wielu innych kalectw powodują też i emancypacyę, źle pojętą, uroszczoną, nieuzadnioną, przewyższającą siły lub potrzeby kobiety? Autor użala się, że go jakiś recenzent nazwał — czy tylko zbliżył do miana „idyoty“. A wszakże nie spostrzegamy — ze stanowiska *równości pisarskiej* — i we własnej jego stylistyce zbyt wygórowanej dla przeciwników kurtuazyi, gdy na str. 7-ej czytamy analogiczne zestawienie obrońców równouprawnienia niewiast z bandą opryszków, miłośników cudzej własności, złodziejów i nawet dość przejrzyste zasymilowanie ich z fałszerzami, krętaczami, nieukami. Ta gruba sól polemiczna, nierozpuszczalnie osiadająca na dnie wywodów wątłych, chybkich, kazuistycznie rozgadanych, żeby nie powiedzieć—płytkich, okraszoną została w dodatku paralelami, zasługującemi na potępienie bezwzględne. Na świadków *przeciw* emancypacyi autor powołuje: apostołów, męczenników, papieży, królów, św. Cecylię, Agnieszkę, Teresę, Izabellę kastylską, Jadwigę, Klotyldę (a czemu nie Joannę d'Arc?); na świadectwo zaś *za* emancypacyą stają: „wyzwolone z wiary i moralności powieściopisarki, histeryczne żony, co odbiegły mężów, matki-kukułki, co porzuciły dzieci, autorki piśmideł pornograficznych, nadęte cytatami erudytki, wspierane przez szarą masę niedouczonych panienek“... Ależ z pomocą antytez podobnych możnaby poobalać wszystkie słupy telegraficzne, powysadzać w powietrze wszystkie koleje żelazne, których ani św. Piotr nie używał, ani Anna Jagiellonka nie budowała. Dodajmy na zamknięcie, że wszystko to razem otrzymało w końcu bardzo sute okadzenie pod postacią dobrych „chęci“ i „zamiarów“ autora; autor uroczyście zapewnia, że w kwestyi równouprawnienia kobiet „chciał“ wytłómaczyć, czem jest *właściwie* emancypacya, jaką jest jej prawdziwa *natura* i znaczenie, że „zamierzał“ postawić każdą rzecz *na swojem miejscu...* I nie zabrakło w „domówieniu“ drugiej edycyi nawet złudzeń, że te niepokalanie dobre chęci i zamiary rzeczywistość uwieńczyła rezultatem najzupełniej pomyślnym... Błogosławieni, którzy wierzą!

Rusticus.

O r - o t (Artur Oppman). Wybór poezyi, 1900).

Dziewięć „cyklów“ złożyło się na „Wybór poezyi“ Or-ota, a prócz nich jeszcze „Bonaparte“, „Berezyna“, „Grajek“, „Żaki“, „Wiersze rożne“, „Rym o wędrownym muzykusie“. Większą część zawartych tu utworów znamy już z dawniejszych zbiorków („Poezye“, 1889, „Pieśni“, 1894, „Wiosenne kwiecie“, 1895, „Lećcie pieśni“ 1897), a cykl „Dusza i zmysły“ — z „Ateneum“ (1898). Czy tego nowego wydania dokonał autor trafnie, czy „Wybór“ jest naprawdę wyborem? Jest w nim niezawodnie to, co sam autor za najlepsze poczytywał, ale krytykowi wolno zapytać, dlaczego autor zapomniał o swoich pieśniach „Z tematów ludowych“ (np. „Biegnie dziewczę modrookie w noc maju“ albo „Próżno ty się miotasz w polu, wichuro“?) A szkoda! Kto wie, może one są o wiele piękniejsze od *większości* utworów lirycznych w „Wyborze“ — i od cyklu „Blizkiej... dalekiej“, i od wiązanki „Na szarą godzinę“, i od „Duszy i zmysłów“. Wprawdzie i w tych podobać się może niezaprzeczona szczerość uczucia, czystość i szlachetność duszy, jakaś miła, łzawa rzewność w wypowiadaniu tęsknoty; lecz wyższym artyzmem one się nie odznaczają, polotem lub głębokością myśli nie olśniewają, s i ł y uczucia — wtedy nawet, kiedy poeta wyraźnie pragnie, aby ona była („Krzyk“, „Pieśń męczeństwo“) — zupełnie nie posiadają, nie znamionują wreszcie zbyt bujnego indywidualizmu. Stosunkowo najlepiej umie Or-ot wypowiadać uczucie tęsknoty za dawnemi chwilami, które, jak to często bywa, wydają mu się o wiele rozkoszniejszemi od teraźniejszości („Pacierz za mamą“, „Ze wspomnień“, „Fotografia“, „Wyznanie“ i t. d.), a stąd jego poezyę cechuje pewna marzycielskość. Ta sama tęsknota za przeszłością przenosi fantazyę poety to w wieki średnie („Śpiewak-zwycięzca“, „Grób nad morzem“), to w starożytność helleńską („Dziecię Hellady“, „Helotka“), to w czasy „króla Stasia“ („Dama“, „Le roi s'amuse“, „Romans księcia Pepi“, „Reduty“), to w epokę „małego kaprala“; „Berezyna“ jest dość pięknem, nie pozbawionem nawet siły, odtworzeniem wrażenia, jakie wywarła na poetę panorama bitwy, a „Bonaparte“ to może najpiękniejszy utwór w całym „Wyborze poezyi“ Or-ota; jest w nim jakieś dzielne zacięcie, które bynajmniej nie wyklucza rzewności, z jaką ten „dziaduś przy kominie“ opowiada o „lempererze“ i jego legionach! Wogóle odtwarzanie uczuć, myśli, zajęć, obyczajów, przyzwyczajeń, słowem duszy takich ludzi, jak ów „dziaduś“, ludzi, którzy nie tak dawno jeszcze w grób się położyli, albo też którzy do dziś dnia żyją, lecz dużo więcej przeszłością, aniżeli dniem dzisiejszym,—oto zakres poezyi, w którym nasz poeta najchętniej i najswobodniej się obraca; on zna tych ludzi ze Starego miasta, wychował się wśród nich, pokochał ich za to, że są prości obyczajem, ale też prości sercem, że tradycyę kochają, że w Boga wierzą; może trochę zabawni, cóż z tego? poczciwi z kościami!

Pleśń starych tynów, srebrnej Wisły szumy,
Serc prostych wiara, dusz pogoda grecka,
Od dziecka w pierś mą złote tchnęły dumy
I duszę moją urzekły od dziecka.

Gdy w walkach bytu marnych a szalonych
Było nam duszno i ciemno, jak w grobie,
W tym dobrym świecie, świecie lat minionych,
I ty, jedyna, podobałaś sobie!

A kiedym w pieśni wskrzeszał dzieje stare,
A kiedym budził dawno śpiących cienie,

Jam z ciebie czerpał tę słoneczną wiarę,
Jam z ciebie czerpał prawdę i natchnienie!

Tętniące prostą nutą staroświecką.
Napoły tęskne — wiesz po kim i czemu!
Te pieśni moje, ja, mieszczańskie dziecko,
Poświęcam tobie, dziecku mieszczańskiemu!

Istotnie nuta tych wszystkich pieśni o „Starem mieście“ i o „Warszawie“, i o „Grajku“, i o „Żakach“, i o „Wędrownym muzykusie“ jest prosta i staroświecka, język nieco zarchaizowany, ale w miarę, zabarwiony wyrażeniami dosadnemi, tu i owdzie okraszony łaciną; a są te pieśni „napoły tęskne“, bo poprzez staromiejskie zacięcie i wesołość, a nawet poprzez leciutką ironię, z jaką poeta traktuje np. konsyliarza Barnabę Walentego albo „trzy boginie“ (nie te, które z Olimpu przyleciały na Idę i z jabłkiem stanęły przed Parysem: białoramienną Herę, sowiooką Palladę i złocistą Cyprydę, lecz te, które na Starem mieście punkt o czwartej schodzą się na kawę z plackiem i plotkami: przysadzistą Rozalię, szczupłą Ewę i garbatą Domicelę), często przebija się łzawa tęsknota i rzewne przywiązanie do tych typów staroświeckich, które niedługo już może pokryje mglisty obłok niepamięci. Otóż ta uczuciowość właśnie, którą przepojone są obrazki staromiejskie, stanowi ich wdzięk. Do najudatniejszych należą zapewne „Stary aktor“, „Ostatni klasyk“, a potem rzewne „Jaskółki“, „Grajek“ i „Rym o wędrownym muzykusie“.

Lecz jedno spostrzeżenie nasuwa się przy czytaniu tych obrazków. „Na facyacie staromiejskiej, Co czterysta lat pamięta, Od pół wieku mieszka blizko Pan Baltazar Podbipięta. Pan Baltazar ma w pogardzie Nowoczesny strój światowy, Nosi spodnie z strzemiączkami Oraz surdut tabaczkowy... Niegdyś w szkołach on wykładał Korneliusza i Cezara... Nic go bardziej nie porywa, Nic potężniej go nie wzrusza Nad satyry Horacego Lub sielanki Wirgiliusza... Skromną celę Podbipięty Zapełniają stosy duże Ksiąg *in folio*, ksiąg *in quarto* W pergaminie albo skórze... Zatopiony w telegramach, Badający giełdy stopę, Jak Metternich lub Talleyrand kawałkuje Europę... Aż w majowy kiedyś wieczór, Co w gwiaździstej spłynął szacie, Pan Baltazar Podbipięta Usnął cicho w swej facyacie“. Co to jest? gawęda? powiastka? poemacik? ballada? obrazek? chyba to ostatnie, chociaż i to niekoniecznie; jest to raczej poetyczna c h a r a k t e r y s t y k a, którąby można w nieskończoność rozciągać, bo niema w „obrazkach“ żadnego węzła, którego rozwiązanie byłoby zakończeniem obrazka; innemi słowy niema a k c y i: nie czyny charakteryzują ludzi ze Starego miasta i nie ich własne słowa, lecz słowa autora. O ileżby charakterystyka była plastyczniejszą, gdyby „obrazki“ miały postać małych p o w i a s t e k! I jeszcze jedno. Poezya Or-ota (jak poezya Gomulickiego) wnosi do naszej współczesnej poezyi pierwiastek staro-miejski Warszawy; że temat to wdzięczny, nie ulega wątpliwości, tylko, że, obrabiając go, łatwo wpaść w jednostajność, w manierę, podobną do tej, w jaką wpadł np. Lenartowicz, który, nie umiejąc, czy nie chcąc wyjść poza obręb umiłowanego przez siebie pierwiastku ludowego, powtarzał się, kopiował samego siebie aż do znudzenia. Czy podobne niebezpieczeństwo nie grozi Or-otowi? A możnaby go uniknąć, pogłębiając i rozszerzając treść i zakres motywów staromiejskich zapomocą odtwarzania ich na tle historycznem, na tle przeszłości dziejowej. W „Wyborze poezyi“ mamy wprawdzie „Żaków“ (wiek XVI), ale to także drobny tylko obrazek. Czy Or-ot nie zechce z czasem wstąpić w ślady Romanowskiego, czy nie stworzy większej całości? Jest przecie śliczne „Dziewczę z Sącza“, dlaczegóżby nie miało

być „Dziewczęcia z Warszawy“? Nie tylko nowosądeckie, ale i warszawskie mieszczaństwo ma w swych dziejach niejedną piękną kartę. Wincenty Pol wiedział coś o tem... *Ign. Chrzanowski.*

„Życiorysy znakomitych ludzi“. Warszawa (Bron. Natanson), 1900: Edward Porębowicz. Św. Franciszek z Assyżu (str. 128). — J. K. Kochanowski. Kazimierz Wielki, zarys żywota i panowania (str. 142). — Harald Höffding. J. J. Rousseau, życie i dzieła. Przełożył Zygm. Heryng (str. 110). — Harald Höffding. Karol Darwin. Przełożył dr. M. F. (str. 44).

Koniec XII i początek XIII wieku to epoka, w której na tle ogólnego zepsucia i upadku moralnego uwydatnia się mniej lub więcej plastycznie cały zastęp mistyków, założycieli zakonów, reformatorów, palonych na stosie i t. d. Był to czas oczekiwania na przyjście obiecanego Parakleta, który miał objawić nową, trzecią erę w życiu ludzkości, erę Ducha świętego, mającą uzupełnić naukę Chrystusową tak, jak ta ostatnia uzupełniła objawienie Mojżeszowe. Miał to być okres wolności zupełnej, okres kwitnięcia lilii, jeśli w pierwszym panowała niewola i wzrastały osty, a w drugiej cechą było posłuszeństwo i róże, według słów Joachima de Floris. Ten stan oczekiwania na nowe życie podniecał i tak już zapalne umysły i rodził apostołów, mnichów, pustelników, ascetów. Jednym z takich ascetów był św. Franciszek. Młodość hulaszcza i nieumiarkowane życie sprowadziły nań chorobę, a choroba stała się przyczyną nawrócenia. Porzucił zatem Franciszek wszystko, co go ze światem wiązało, opuścił sam ojcowisko i poszedł, żyjąc z jałmużny, służyć Bogu. Bóg był mu jedynym ojcem, Chrystusowa nauka — jedyną prawdą, zbawienie swoje i ludzkości — jedynym celem. Wygłaszał kazania, zjednywał sobie uczniów i naśladowców i żył z nimi w ewangelicznej prostocie i ubóstwie. Ale najznamienniejszą cechą nauki św. Franciszka jest miłość, ta wielka, potężna, Chrystusowa miłość, wszystko zarówno ogarniająca: ludzi i zwierzęta, przedmioty martwe i siły przyrody. Wygłaszał św. Franciszek kazania do „siostrzyczek jaskółek“, ogień bratem, a śmierć siostrą nazywał; „Pieśń stworzeń“ — to poemat tej wszechogarniającej miłości. A była to miłość przedmiotowa nawskroś, a przez to tem większa, wspanialsza, tak pięknie od ogólnego tła epoki odbijająca. Postać tę odmalował profesor E. Porębowicz jasnemi barwami na tle prądów, które nurtowały wówczas w społeczeństwie włoskiem; odmalował te walki, jakie staczać musiał św. Franciszek ze społeczeństwem, z Rzymem, z uczniami, którzy pojąć go nie mogli i naukę jego paczyli, te walki bezkrwawe, więcej właściwie w duszy św. Franciszka się toczące, niż nazewnątrz wylane, odmalował wpływ jego różnostronny na ludzi i na naukę, bo i sztuka, według Porębowicza, dużo św. Franciszkowi zawdzięcza.

Inna epoka—inny człowiek i jego stanowisko, inna działalność i jej owoce. Epoka to, w której Polska dzięki Łokietkowi utrwaliła swoją potęgę fizyczną, jeśli tak można powiedzieć, pod jednem berłem połączywszy dzielnice zróżniczkowane i czekała na utrwalenie wewnętrzne, moralne. Chodziło o nadanie jedności wewnętrznej, o zmianę fizycznego aglomeratu na całość chemicznie ze sobą połączoną. Działalność trudna, wymagająca siły woli wielkiej, umiejętności i zręczności politycznej, któraby potrafiła, punkt najmniejszego oporu wynalazłszy, skorzystać z niego, skierować nań prąd swojej działalności i wreszcie doprowadzić do celu, zamierzonego uprzednio. Kazimierz Wielki zadaniu temu podołał. Dwojaką była jego działalność: nazewnątrz utrwalał pokojowo i podtrzymywał to stanowisko wybitne i odpowiedzialne, jakie zajmowała wówczas Polska w rzędzie państw euro-

pejskich. Podtrzymywał stosunki mniej lub więcej przyjazne, czy wrogie grożące względem Niemiec, Czech, Węgier, nawewnątrz zaś, i to jest jego główna i najistotniejsza część zasług, starał się o wzmocnienie łączności między poszczególnemi częściami niemałej terytoryalnie Polski. Jednym ze środków ku temu, który, chociaż nie osiągnął w zupełności celu, jednak ogromne posiadał znaczenie, było prawodawstwo. Statuty Wiślicki i Piotrkowski zgrupowały i usystematyzowały chaotyczne i rozproszone zwyczaje prawne i dały mniej więcej trwałe kodeksy, jeden dla Małopolski, drugi dla Wielkopolski. Stworzenie jednego dla obu części spólnego statutu nie było jeszcze podówczs rzeczą możliwą. Kazimierz Wielki wzmocnił i utrwalił Polskę wewnętrznie, przyczynił się ogromnie do uporządkowania jej stosunków wewnętrznych, do podniesienia poziomu umysłowego, stosunkowo nizkiego bardzo, i w rzędzie mocarstw europejskich pomógł zająć jej miejsce należne. Odtworzeniem tej postaci reformatora i prawodawcy jest praca p. Kochanowskiego.

Rousseau, syn protestanta, zmuszonego wskutek prześladowań opuścić Francyę, różne musiał w życiu swem przechodzić koleje, które też wpłynęły na jego charakter. A była to dusza marzycielska, bardziej przyrodę, niż ludzi kochająca, egoistyczna, umysł niezależny i samodzielny, głęboki i niebłyskotliwy. Spółczesny mu Voltaire a on—to dwa przeciwieństwa, dwa bieguny! To też wzajemne ich stosunki były z początku przyjazne, później wrogie, potem grzeczne i obojętne. Podobne stosunki zachodziły pomiędzy nim a encyklopedystami. Pierwsza rozprawa jego, w której głosił, że „w miarę, jak się nasze nauki i sztuki doskonaliły, stopniowo dusze nasze się psuły“, przyniosła mu nagrodę Akademii w Dijon (r. 1750) i zjednała mu wnet rozgłos i sławę. Następne prace przyjęte już były nieprzychylnie zarówno przez „mądrość przysięgłą“, jak przez społeczeństwo, a nawet przez encyklopedystów. Pozostał więc pośród ludzi sam, nawet bez rodziny, bo dzieci oddał do przytułku, sądząc, że nie będzie mógł dać im tego, coby dać pragnął. Ta samotność, którą tak kochał, to stanowisko odrębne i wrogie pośród ludzi złamało go. Popadł w manię prześladowczą, zdawało mu się, że wszyscy ludzie nienawidzą, oskarżają go, począł zgłębiać swoje życie, szukać w niem stron ujemnych i usprawiedliwiać się przed sobą samym i przed ludźmi. „Spowiedź“ jego wszakże nie cieszyła się zbyt wielkiem uznaniem. Zmarł na wsi pod Paryżem również samotny, jak żył spokojnie. Postać tego bojownika, który ze wszystkimi walczył o swoje ideały, świetnie odtworzył Höffding.

Kopernik, Newton, Darwin—to trzy nazwiska, które stoją w jednym szeregu, idąc po sobie kolejno, i są jakby słupami milowymi na drodze, którą nauka w przeciągu wieków nowych przebyła. Ich teorye, prawa, przez nich odkryte, stały się jakby dogmatami; dziś nikt nie śmie wątpić o obrotach ziemi, o sile ciążenia, a jeżeli są tacy, którym przemiana gatunków, teorya ewolucyi wydaje się dziką, dziwną, a conajmniej wątpliwą, to tylko dlatego, że jeszcze mało czasu od chwili jej powstania upłynęło: z czasem Darwin tak samo zwycięży, jak zwyciężyli Kopernik i Newton.

Może zbieg okoliczności tylko postawił obok siebie te cztery imiona (Św Franciszek, Kazimierz W., Rousseau, Darwin) z różnych epok, z różnych sfer, o różnej działalności; a jednak wszyscy w tem do siebie podobni, że byli „Znakomitymi ludźmi“. Wydawnictwo, którego zadaniem jest obznajmiać czytający ogół z życiem wielkich ludzi, zasługuje na najszczersze uznanie[1]. *W. M.*

---

[1]) Świeżo w temże wydawnictwie ukazała się monografia p. C. Jellenty o Dantem; będzie to przedmiotem osobnego sprawozdania. (*Przyp. Red.*).

Z ŻYCIA,

notatnik rzeczy bieżących.

6-go listopada.

Miesiąc pobytu w Warszawie to tyle zupełnie, co kropla w morzu. Chodzi człowiek, patrzy, słucha, zapytuje — i nigdzie nie widzi, nikt mu powiedzieć nie umie, gdzie jest naprawdę to życie, którego potrzebuje i którego tytuł tak pompatycznie wywiesił na czele swych elukubracyi kronikarskich.

Dziwne miasto! Jeśli chodzi o umarłych np. — niezbyt naturalnie pospolitych, wystąpić ci ono gotowo z takim nadmiarem serdecznego płaczu i tłumionego żalu, jak w dzień zaduszny. Ale co do żyjących wielkości, przysiądz można, że ich żaden Dyogenes z latarką nie spotkał jeszcze w Warszawie, czy to jadących dorożką, czy tylko nawet tramwajem. Pytam pewnego poranka Prusa,— a działo się to w lokalu kasy literackiej, przy rozdawaniu zapomóg w groszu i węglu.

-- Powiedz pan z łaski swojej, kto tu u was z piszących prym trzyma, kto jest naprawdę i czczonym, i czytanym, i kochanym?

— No, Sienkiewicz.

— Dobryś pan. Pytam o ludzi *waszych*, nie zaś o należących

już do Europy, do całego świata, do potomności. Podaj mi pan kogo z bruku warszawskiego, ot takiego kogoś, jak przed laty Apollo Korzeniowski, Wolski, jak niegdyś Godebski, Wybicki...

— Takich wcale już nie posiadamy.

— Gdzież Włodzimierz Zagórski? Spotykałem go przed laty we Lwowie, gęstą miał minę, a sławę, nadzieję, przyszłość trzymał, zdawało się, w garści, jak laskę.

— Zagórski w szpitalu. Leczą go podobno od jakiejś zastarzałej, chronicznej febry głodowej.

— Aż tak?...

I, wymachując młynki ramionami, siadł z którymś dygnitarzem kasowym do partyi szachów.

Istotnie, udają się nam i płużą wśród nas jedynie pożegnania — w sprawach nawet ogólniejszych. Przypomnijmy uniesienia i zapały, z jakimi witaliśmy pierwsze zwycięstwa Boerów. I gdzież się to podziało dzisiaj? co z tego zostało? Natomiast mowy pogrzebowe, jakie wygłaszamy nad upadkiem Transwaalu, dopiszą z pewnością, niechybnie.

A wszakże pomimo tej atmosfery „zaduszkowej”, przeciążającej naszą umysłowość, jest tam gdzieś chyba i życia trochę... Ilekroć z rana, przechodząc, rzucasz przelotne spojrzenie na niewykończone mury Politechniki, ilekroć mierzysz okiem wysokość gmachu Tow. zach. sztuk pięknych, — z ciemnych, nieoszklonych framug, z ociężałych niedorzeźbionych krużganków kłania ci się zawsze jakaś niewytłómaczona, słodka nadzieja, że, być może, jutro, pojutrze zaroją się tam postaci zdrowe, mocne, harde — widziane niegdyś, doskonale znane, o których wiesz napewno, że żyły i żyć po swojemu chciały. A gdy znów, wracając pod wieczór, znajdujesz na swym stoliku ćwiartkę zadrukowanej bibuły, niemo i głucho zapraszającej cię do poparcia otwartej świeżo wszechnicy ludowej nad Sanem, do udziału w pracach zreformowanego na wysokość wymagań tegoczesnych „Przeglądu technicznego”, do uwzględnienia projektu sanatoryum dla suchotników niezamożnych, — wpadasz w zadumę, bez porównania łagodniejszą od temperatury twojego pokoju i zapytujesz siebie: skądże to jeszcze? i jakim sposobem?

Społeczność — to wielki warsztat zbiorowy, na którym jedni wiążą i jednoczą to, co drudzy rozsprzęgają i rozpraszają — i nawzajem. Bez uogólnień, sięgających poza ramy przedmiotu i przyjętego obowiązku, wyznać trzeba, że miesiąc październik nie skłamał tym razem swej nazwie: materyał przędziwa, jeśli był jaki, przekazał za-

pewne na listopad i grudzień,—kronikarza tymczasem zasypał jedynie szumem i kurzem znanej wieśniakom operacyi.

Zaczęło się od opaździerzania studentów. Nieco przed terminem zajęć szkolnych, więc w porę, „Gazeta Polska” wystąpiła z wiązką spostrzeżeń, trudnych do sprawdzenia, bo nie opartych na statystyce i niezbyt ściśle określonych pod względem warunków i okoliczności zjawiska, a jednakże ostro — bez stylowej przecież przesady—wytykających młodzieży naszej pewne zboczenia i narowy bonwiwerstwa napół salonowego, napół „kawiarnianego”, o ile przymiotnik ten może być w Warszawie zrozumianym po parysku. Poza tem—komunały. Dobre, uczciwe, rozumne komunały, ale nic więcej. „Student powinien pamiętać, że głównym celem jego jest kształcenie zawodowe”. „Wobec kwestyi ekonomicznych i społecznych student z racyi swej młodości i niedoświadczenia nie powinien zajmować innego stanowiska... tylko być czujnym obserwatorem i sumiennym badaczem, a zarazem dążyć do wyrobienia w sobie samodzielnych przekonań”... Artykuł „Gazety Polskiej” — zrobił „wrażenie”, o tyle szerokie, rozważane, roztętnione i rozbałwanione, że nie znamy czasopisma, któreby w znienacka zainaugurowanej sprawie nie rzuciło swego kamyka do stawu lub do kałuży—stosownie do parafii, do wyznania wiary. I zawiązała się tyralierka niewymownie śmieszna: ten spotkał studenta z książką pod pachą, tamten z dziewczyną pod ramię, w domku pod Nr. 9 student jadł pieczone gołąbki, w kamienicy Nr. 1283 pił wodę ciepłą ocukrzoną... Nie chciałbym łamać obyczajów i praktyk ustalonych, nie mogę zrywać solidarności z towarzyszami broni; więc powiem, że i ja też znam dwu studentów. Jeden odniósł mi książki, pożyczone jeszcze w Krakowie. Jest na drugim kursie prawa, utrzymuje się z lekcyi, pracować zaczyna na niwie dziennikarskiej, marzy o założeniu do współki z kolegą specyalnego czasopisma akademickiego, wierzy w przyszłość modernizmu Przybyszewskiego, o literaturze polskiej poprzedniego okresu, do Mickiewicza wstecz, odzywa się z lekkim odcieniem sarkazmu, posiada jedyny zapewne w Warszawie egzemplarz dzieł Maeterlincka, aforyzmu „sztuka dla sztuki” bronić gotów uparcie bez zapału i wewnętrznej pewności, żeby stąd coś bardzo ważnego wyniknąć miało. I to już wszystko. Drugi okaz zjawił się na minutę w kółku dobrych moich znajomych po odebranie „niezmiernie ciekawej” broszury, udzielonej do przeczytania na parę godzin. Herbatę wypił, stojąc, a z miny hożej i wesołej, z ruchów zwinnych i dobrze ułożonych, z przyjemnego wyrazu twarzy widać było, że posiadał zdolność do wszystkich bez wyjątku

grzechów obarczających, zdaniem naszej prasy, młodzież dzisiejszą. Zaproszony byłby tak samo, jak nektar chiński, wypił i „cudzego szampana”, a w razie nalegania, choć wbiegł tylko na sekundę, zasiadłby najchętniej do winta, o ileby, ma się rozumieć, przedstawiała się niejaka pewność, iż nie przegra całej gaży miesięcznej, 25 rubli, otrzymanej na parę dni przedtem od ojca (dawnego mego kolegi, jak się pokazało przy rozstaniu). Żywo opowiadał „wypadki” dnia, kładł nacisk na ogrom wywołanego przez broszurę „wrażenia” i, dopókim przerzucał jej kartki, z upodobaniem wskazywał z pamięci wybitniejsze jej ustępy. Nie zmieszał się wcale, gdy nie posłyszał pochwał i aprobaty. Nie protestował, gdy przypuszczano, że pisownia jest marna, bez wartości literackiej, bez najmniejszego widoku sprawienia skutków dodatnich. Zauważył tylko, że intencye wydawców i współpracowników są nieposzlakowanie czyste i nigdzie w pisemku nie spostrzedz śladów rozmyślnego kłamstwa lub obłudy. Nie starczyło czasu na odpowiedź prywatną; daję ją publicznie:

— Pamflet nie dlatego wstręt budzi w sytuacyach pewnych, że posiada wady lub zalety, ale że w podstawie i u swej natury jest nieodpowiedzialnym. Co mam czynić w Warszawie, gdy mnie jaki szubrawiec napiętnuje w Krakowie mianem szpiega pruskiego lub francuskiego? O insynuacyi mogę nawet nigdy się nie dowiedzieć, na poszukiwanie zadośćuczynienia u drukarza lub wydawcy nie posiadam środków. Powtóre, aby jakaś miarka wylanych na papier perfum lub assafetydy ściągnęła ogólniejsze zainteresowanie, skierowaną być musi przeciw osobom z n a n y m, słusznie czy nie słusznie cieszącym się popularnością lub rozgłosem. Z osobami zaś takiemi, jako ludźmi w Terencyuszowem słowa znacznem, zachodzić mogą okoliczności, w których uncya błędu zrównoważyła się w nich od od niepamiętnych czasów cetnarami zacnych czynów, szlachetnych przedsięwzięć, najwspanialszej ofiarności. Jak postąpić z tym, który, ulepiwszy z niezaprzeczonego skądinąd błędu, rozrobionego w ślinie pisarskiej, garść błota, ciśnie tę swoją prawdę z za płota w twarz sto razy odkupionego już „przestępstwa”? Potrzecie, najgodziwsza nawet walka o przekonania i ideały wymaga z wielu względów, praktycznych i honorowych, równej broni i dostępnego jawnego terenu. Teren d o s t ę p n y, nie przeczę, bywa za wązki, za ciasny, broń r ó w n a — za ciężką, za tępą; ale przecież posługujemy się niemi nie tylko w szermierkach naszych osobistych lub partyjnych, są to nasze niezbędne puklerze w zadaniach wspólnych, co do których niema i nie może być między nami różnic w poglądach i dążnościach. Czy strzał, wychodzący z poza szranek, w danem miejscu

przyjętych, zaakceptowanych *nolens volens*, a puszczony z pominięciem i pogwałceniem reguł obowiązujących nas bez naszej woli, nie bałamuci umysłów niezwykłością swego rodowodu i przebiegu, nie gmatwa i nie osłabia trybów działalności skromnej, lecz prawowicie rozwiniętej?...

Ostatnie pytania wkraczają w dziedzinę zjawisk społecznych nader rozległych, szeroko rozgałęzionych. Gdybyśmy bowiem pozwolili upowszechnić się wśród nas zwyczajowi dowolnego i swawolnego szarpania dobrej sławy bliźniego, nie widzimy powodu, dla czegoby paździerzenie podobne nie miało objąć zakresu stosunków prywatnych. Taki nieprawdopodobny wypadek faktycznie przecież zaszedł w oczach naszych przed paru dniami.

W n-rze „Słowa" z dnia 19 października (Nr. 240) ukazał się list kryptonimowy, podpisany literami J. P. Z., opowiadający o zgonie panienki, która, dostawszy na pensyi ciężkiej szkarlatyny, przeniesioną stamtąd została do najętego na mieście pokoiku. Pensyonatu nie wymieniono, pomimo, że wypadek sam przez się był aż nadto głośny, aby mógł zaprowadzić na domysł: gdzie, u kogo się to stało. Ponieważ natychmiastowe ogłoszenie wiadomości nie przychodziło w pomoc ofierze, złemu nie zaradzało i wzniesienia osobnego szpitala dla panienek w wieku lat 14—16 nie przyśpieszało z godziny na godzinę—zachodzi zatem pytanie, dlaczego redakcya „Słowa" pozwoliła na rozgłoszenie mylnych i fałszywych szczegółów przeniesienia chorej panienki, nie sprawdziwszy ich? dla czego przyczyniła się do rzucenia krzywdzących i uwłaczających cieni wątpliwości na zakład, o którym można było wiedzieć i o którym powszechnie wiadomo, że pod względem wewnętrznego ładu, porządku i urządzeń hygienicznych nie przypuszcza pytania: azali posiada „odpowiednią dla dziecinnych chorób zakaźnych infirmeryę"? Dowiedzialo się o tem „Słowo" dopiero ze sprostowania, zamieszczonego w N-rze 242 i podpisanego przez p.p. Teresę Jadwigę Papi, prof. Witolda Wróblewskiego i Henryka Bąkowskiego, rad. pr. Tow. Kred. Ziem. Trzeba aż było świadectwa trzech wiarogodnych, znanych osób, aby się przekonać, że w pierwszorzędnym pensyonacie warszawskim jest nie tylko infirmerya, ale też i zacności trochę... jest poczucie obowiązku, nie pozwalające z choremi dziewczętami postępować tak, jak to opisane zostało w N-rze 240 „Słowa". Różnicę zniewoloną była stwierdzić sama redakcya w przypisku, opiewającym, że „punkt wyjścia" (to jest historya p. J. P. Z.) „był zupełnie co do faktycznej strony wypadku błędny"; błąd zaś powstał z „wrażliwości na niedolę bliźniego"... „z filantropii". Piękna filantropia: nie wskrzesić

umarłej i chcieć zabić w opinii pierwszorzędną, uczciwą, na uczciwej opinii byt swój opierającą instytucyę! Lecz na tem nie koniec. „Kuryer Poranny” w n-rze 304, a artykule, skierowanym do prasy i reporterów naiwnych (więc nie do siebie?), nanowo podnosi kwestyę, stanowczo i bezwzględnie już wyjaśnioną, i, nie wnosząc do niej żadnego nowego szczegółu, polemizuje z pensyonatem pani R. (którą, jak sam wyznaje, „po raz pierwszy” wymienia) o drobiazgi techniczne i statystyczne, streszczone i ujęte w pięć paragrafów. Poprzestać można na przytoczeniu jednego, co najwyżej dwu. „Pozwolenie lekarza na przewiezienie chorej dowodzi, iż nie rozumiał doniosłości choroby. Chorego na 24 godziny przed śmiercią przewozi się tylko w jedynym celu, by się go pozbyć”. Znaczy to, że „Kur. Por.” jest przeświadczony, że, ilekroć lekarz podaje chorym pomoc, w i e zgóry, kiedy mianowicie przeznaczono im umrzeć... W ciągu czterdziestoletniej dziennikarskiej robocizny zdobyłem nareszcie unikat... niemożliwego do zakwalifikowania frazesu. W innym paragrafie oblicza „Kur. Por.”, że osiem chorych pensyonarek na sto zdrowych stanowi odsetek za wysoki. Tak jest,—ale w zakładach jedynie takich, gdzie dziewczęta chodzą w zimie boso i sypiają na gołej posadzce; odsetek istotnie byłby u nich za wielki, gdyż rodzice oddają tam swą dziatwę organicznie zdrową, jak dębczaki; po internatach zaś bardziej komfortnych procent chorych dochodzi najzwyklej do 16 i 20, bo tu rodzice szukają przytułku, ochrony i opieki dla swej progenitury znacznie słabszej, wątlejszej, delikatniejszej — o czem „Kur. Por.” okolicznościowo dowiedzieć się powinien od tego samego lekarza...

Lecz przejdźmy do innych widoków i widoczków... październikowych tej doby naszego istnienia.

Serdecznie ucieszył mię projekt reformy dotychczasowych naszych cokolwiek za sztywnych odczytów, skreślony w ogólnych, felietonowych zarysach w „Kur. Warsz.” przez kolegę Rabskiego. Chodziłoby o założenie towarzystwa—a właściwie o formowanie kółek deklamacyjno-obrazowych na sposób, używany we Francyi, gdzie nieraz „bardzo wybitne umysły” jeżdżą od miasta do miasta i z przedziwnym artyzmem, „bez togi profesorskiej”, w lekkiej, ujmującej szacie gawędziarskiej „rzucają w tłum zgromadzony iskry talentu i wiedzy...” Podbiła mię szczególnie perspektywa swobodnego, nieprzymuszonego zachowania się wobec publiczności konferencyarza, który wystrzega się, jak grzechu śmiertelnego, pozy katedralnej i uczoności akademickiej. Nie wykłada, lecz rozmawia. Trybuny ani na pokaz. Siada się sobie najprościej na zwyczajnem krześle z miną — przypuśćmy — Bergeraca wieku XX, opowiadającego

ciekawe wypadki dnia bieżącego. Niekiedy mówca podnosi się ze stołka, przechadza się po estradzie, przeplata swój dyskurs alluzyami do wydarzeń chwili, podznacza swe słowa uśmiechem satyra lub spuszcza nawałnicę gromowych Jowiszowych wybuchów dobrego humoru... Prześliczne to... Trudności technicznych prawie żadnych. A ponieważ właśnie mam na prowincyi dobrego starego znajomego, dyrektora jednego z wodoleczniczych zakładów pod Warszawą, więc, nie czekając na rozwinięcie reformy w Warszawie, udałem się do niego zaraz nazajutrz z zamiarem zawiązania pierwszej małej spółki odczytowej. Dyrektora nie zastałem wprawdzie, ale rzecz wyłuszczyłem zastępującemu go młodemu, bystremi, przenikliwemi oczyma badającemu mię od pierwszego słowa lekarzowi.

— Macie salę wolną — mówiłem — ławki przyzwoite, estradę, krzeseł nie zabraknie, oświetlenie Warszawa bierze na siebie...

— Należy się szczere uznanie i gorąca wdzięczność p. Rabskiemu — jął lekarz zwolna — gdyż pomysł jego w gruncie rzeczy jest bardzo dobry i rozumny przedewszystkiem dlatego, że ma wieś na celu. Wy tam, panowie, w bogatem mieście przesyceni już jesteście od nadmiaru uciech i rozrywek estetycznych; o nas zapominacie zupełnie. Nie znam jednego czasopisma, któreby systematycznie zajmowało się potrzebami... i, powiedzmy szczerze, okropnem zapuszczeniem partykularza polskiego. Trzeba pożaru lub innej klęski elementarnej, aby dzienniki istnienie nasze i nazwę okolicy przypomniały sobie i światu... Z tego względu — pomijając inne—projekt ustnej popularyzacyi wiedzy uważam za szczęśliwy, za prawdziwe dobrodziejstwo... w razie...

— W razie?

— W drażliwem nieco znajduję się położeniu. Nie chciałbym ani urazić, ani się narazić ludziom widocznej dobrej woli... Ale, kogobyście do nas np. przysłali na prelegenta?

— O, przecież liczymy tego dobrego na tuziny...

— U nas tu w zakładzie, —nie wątpię na jedną nawet chwilę, że ów francuski tryb pogawędki wieczornej byłby wybornym środkiem leczniczym. Wyobrażam sobie, coby to była za radość, gdyby młody, dzielny, wesoły mówca, objaśniając np. ruch księżyca dokoła ziemi... przebacz pan rubaszności prostaka — okręcił stołek dokoła siebie w tempie oberka... Nuda nas gryzie, drogi panie. Gry w ślepą babkę wyszły obecnie z mody, kapela nasza miejscowa rżnie za ostro jak na nasze audytoryum, wybębnianie na pianinie stało się istotną torturą, wynalezienie przeto czegoś, coby opowieść — dajmy na to — o polowaniu na grubego zwierza połączyło... ot choćby z pa-

rodyą baletu, powitane byłoby z aplauzem. Ale, niestety, lubo zakład nasz jest przepełniony, bez gości i słuchaczów postronnych zabawa wyglądałaby kuso, samotnie, może nawet ponuro. Sąsiedztwo osób postronnych, nieznanych -- to również swojego rodzaju podnieta, zachęta, ożywienie. Owóż dla ściągnięcia obywatelstwa z dworków poblizkich i inteligencyi miejscowej niezbędną jest atrakcyjna siła imienia, powagi ustalonej. My tu na wsi nie znamy się na waszych subtelnościach, kochani panowie, — i waszych dzisiejszych sił młodych nie umiemy jakoś zrozumieć, ocenić. Ilekroć odczytujemy pochwały waszych zdolności stylistycznych — ot w tym oto np. guście — biorę „Kraj" z dnia 2 listopada „trawiony nienasyconym głodem ducha X ssie soki pożywne z filozofii, nauk społecznych, polityki, historyozofii, poezyi, sztuki... jego umysł czyni wrażenie pieca hutniczego, w którym, hucząc, fontanami iskier sypiąc, bryzgi rozpalonych szumowin wyrzucając, topią się na chwilę nie stygnące krajowe i obce metale..." — takie pochwały napełniają nas obawą, przerażeniem niemal; nabawiają bólu głowy. Tu ludzie żyją i myślą dość jeszcze prymitywnie, spokojnie, pobożnie. Dla człowieka, który zrana ma do czynienia ze służbą oborową, z chłopami, awizacyami Tow. kredytowego, z kupcem na zboże, — prelekcya obrazowa najznakomitszego nawet z waszych dekadentów wydaćby się mogła zdrożnie... dziwacznie... Niejeden gotówby największą waszą genialność wziąć za taniec S-go Wita... Pruszków tak niedaleko — Bóg wie, coby sobie wyobraził. Jemu z pewnością zaimponowałoby malownicze np. przedstawienie starcia się dwu pociągów lub jakaś wyprawa napoleońska, skreślona ustami takiego np. Pługa, Korzona, Krzemińskiego, Karłowicza, Jenikego, Świętochowskiego, Święcickiego, Tokarzewicza... No, ale zgodź się pan, że niepodobna we śnie nawet, nie tylko na jawie zauważyć czy wyobrazić sobie, aby którykolwiek z tych arystarchów zgodził się na uwydatnienie np. w osobie swojej szwadronu, lecącego do ataku, lub lokomotywy, spadającej z wysokości kilkułokciowego nasypu... Bądź co bądź, raz jeszcze stokrotne dzięki za pamięć o nas, skazańcach wiejskich. Jeżeli projekt owego towarzystwa ambulacyjno-odczytowego przyjdzie do skutku, upraszamy nie zapominać o nas... I owszem, i owszem... Najbardziej pożądanymi byłyby przedmioty, zaczerpnięte z obyczajowego i domowego bytu na wsi. Udałyby się z pewnością odczyty o obecnym stosunku dworu do chaty, chaty do handlu małomiejskiego, praktycznie i najszczegółowiej opowiedziane początki założonych w analogicznych miejscowościach spółek spożywczych i oszczędnościowych, wpływ fabryk na umoral-

nienie ludu, zdrowotność po wsiach, losy towarzystw wstrzemięźliwości i bibliotek, szkółki parafialne, nauczanie wiernych w kościele i samopomoc gminna, drogi nasze, związek ich z dobrobytem .. Ach, tak...—zapominam tylko, że wszystko to wymaga studyów, przyjrzenia się na miejscu, dokładnego zbadania... Panowie zaś, jako pisarze wysoko wykształceni i rozwinięci, starannie pretendujecie do roli nauczycieli... Czyby może nie lepiej było zacząć wprost od rzucenia w glebę wiejską paru drobnych zarodków inicyatywy miejscowej w kierunku pomysłu p. Rabskiego...? Parę wstępnych zebrań prywatnych, parę wizyt po plebaniach... Nie? — Ha, to będzie trudno. Bardzo będzie trudno bez Boga, kościoła i księży... Żegnam pana.

Wróciłem zły, jak szerszeń, — a nawet cokolwiek zachwiany, zniechęcony. Szczęściem listonosz przyniósł nareszcie jedyny dwutygodnik, z którego zdawać sprawy nie trzeba. O, jakże zazdroszczę ci, czytelniku, że zdala od krytyki i krytyków spożywasz obrok duchowy bez oglądania się na to: co o nim trzymać należy ze stanowiska doktryn, postulatów, sprawdzianów pewnych! Doznajesz niezawodnie rozkoszy, jaką się napawali ojcowie nasi, gdy bez obaw o jutro korzystali z darów Bożych, rozsianych po niezmierzonych niwach, gajach i ogrodach ojczystych... Zrana odczytałeś sobie z rzewnem współczuciem obszerną monografię chłopa polskiego na Szląsku, łazarzowy wizerunek jego nędzy i zależności... Głęboko się zamyślasz nad sposobami wzmocnienia tej kruchej, cieniutkiej nitki, w zawieszeniu trzymającej jego przyszłość,— nitki, tak wątłej, że lada burza zerwać ją może... Nawzdychałeś się, napłakałeś, namodliłeś — zdrzemnąłeś trochę, później i zapomniałeś. Po wieczerzy, znalazłszy chwilkę samotności, przerzucasz w dwutygodniku parę kartek wstecz i... oto naraz serce ci rośnie za każdem słowem, za każdym dowodem, iż zwycięstwo żywiołu polskiego na kresach zachodnich w walce z Niemcami jest pewne i niezawodne, byle tylko precz odrzuciło się politykę „biernego oporu”, a zastąpiło się ją polityką czynną, „zaczepną”... Nie przejdzie ci myśl przez głowę, nie skusi chętka przelotna do zestawienia, skonfrontowania, sprawdzenia — i wyeliminowania wniosków, widocznie z założeniem sprzecznych, twierdzień czczych i hałaśliwych, przechwałek pustych, płytkich, zarozumiałych, złowrogich... A my, sprawozdawcy? — Dla nas każdy wyraz zasadzką, każda głoska zatruta niedowierzaniem i obawą... Niema od nas nieszczęśliwszych na świecie...

Najgorsze to, że ciągle trzeba chłostać, na uwięzi trzymać i do milczenia zmuszać swe serce. Co tu począć np. z „Jednodniówką

monachijską", wydaną przed dwoma laty, której komitet redakcyjny w liście do redakcyi prosi o przedrukowanie w całości, bez zmian żadnych sprawozdań z jego dotychczasowego obrotu funduszów wydawniczych. Dochód z przedsięwzięcia przeznaczony był pierwotnie na rzecz kształcącej się w Monachium młodzieży polskiej, — ale z powodu „źle idącej sprzedaży“ zamiast dochodu otrzymało się deficyt, stosunkowo znaczny. Komitet użala się na „dziwną obojętność przeważnej części prasy" i sądzi, że obojętność ta „usprawiedliwia niemal w zupełności obojętność społeczeństwa". Zwrotu myśli ku sobie, jako ku źródłu niepowodzenia — ani śladu. W wyszczególnieniu wydatków są przecież pozycye, dające do myślenia.. korespondencya i przesyłki, czynione przez Komitet na miejsce, pochłonęły 442 marki; ekspedycya i przesyłki za pośrednictwem księgarni — 647 m.; procent, ustąpiony księgarniom — 737 marek. Na przychód złożyły się zaliczki (zwrotne i bezwrotne) t. zw. prenumeratorów-nakładców w ogólnej sumie 3526 marek. Niektóre części deficytu pokrył prowizorycznie komitet.. Słowem ogrom pracy, usiłowań, ofiar—a rezultat ujemny... Ujemny niekoniecznie w tem znaczeniu, iżby treść wydawnictwa nie zasługiwała na poparcie (za późno byłoby dziś o wartości wyrokować), ale że redaktorowie zbyt wygórowane mieli wyobrażenie o rozmiarach potrzeby społecznej, w której zaspokojeniu złożyli własną swą nadzieję, oczekiwania młodzieży kształcącej się w Monachium, a nawet być może trochę ufności współpracowników „Jednodniówki"... Zawód przykry, niewątpliwie, ale jeszcze i to dobrze, że w części okupiony doświadczeniem zdobytem, które komitet skreślił w tych słowach odezwy sprawozdawczej: „w naszem społeczeństwie we wszelkich przedsięwzięciach nie ogół bierze współudział, lecz tylko jednostki — i to mniej więcej zawsze jedne i te same"... Bo też zaprawdę w nich głównie — w rzadkich tych jednostkach, życie się skupia do czasu, — i one też o życiu świadczą...

Reszta, — szary, zwątlony, zbiedzony ogół — stracił busolę. Nie widać, aby wiedział dobrze, dokąd iść i kogo słuchać. Do niedawna znicz duszy zbiorowej podsycały jeszcze jakieś prądy estetyczne, wiejące czemś niby to nowem. Ale i te uroki pierzchać już zaczynają. Dość przejść się po naszych wystawach, aby się o tem przekonać: nie budzą one ani zapału, ani nawet żywszego zajęcia.

Bardzo być może, że powody są całkiem zewnętrzne, przygodne. Tak przynajmniej zdaje się mniemać p. A. Piotrowski w wybornej swej filipice, zamieszczonej na czele 41-o numeru „Tygodnika Illustrowanego"... Cobyście powiedzieli (woła w jednem miejscu),

gdyby Filharmonia nasza robiła zbiorowe jednoczesne koncerty, złożone z trzech orkiestr, dwu chórów, kilku solistów, a wszystko to bardzo pięknie grałoby i śpiewało razem, każdy co innego... Coby to było?—byłoby to prawdopodobnie coś tak strasznego, że ludzieby pouciekali... A wszakże coś podobnego dzieje się właśnie na naszych wystawach obrazów. Wchodzą one do prowizorycznego gmachu „Zachęty...” Moc obrazów, jeden na drugim, dobre, złe, groch z kapustą. Za parawanem obrazy, w ramach okna obrazy, pod nogami obrazy, wszędzie obrazy, ale wszystkie wydają się marne i nudne, bo są „źle wystawione...” Zmęczony idę do Krywulta. Ten sam chaos. Ściany od pułapu do podłogi wytapetowane obrazami, powieszonymi tak, iż „robi to wrażenie nie wystawy, lecz składu—i to składu, w którym chowają marchew i rzepę obok biżuteryi i futer, wachlarz koronkowy na beczce smoły...”

Szkoda tylko jeszcze, że autor nie zajrzał jednocześnie do notesików recenzentów, ociężale przechadzających się po salach z ogryzanymi raz po raz ołówkami — i pod okulary kilku amatorów, słaniających się po kątach ze skwaszonemi, poziewającemi minami. Tożby dopiero był jarmark! — z tą wszakże różnicą, że zupełnego zaniku życia nie spostrzegano dotąd na naszych jarmarkach prawdziwych w miasteczkach przynajmniej.

Karol d'Assez.



Z żałobnej karty.

† Jan Trejdosiewicz,

urodzony w Warszawie w roku 1834, ukończywszy nauki średnie w tutejszem gimnazyum realnem, następnie instytut w Marymoncie, a wreszcie wydział fizyczno-matematyczny w uniwersytecie petersburskim, studyował jeszcze lat kilka górnictwo we Fryburgu w Saksonii. Po powrocie do kraju objął katedrę mineralogii w b. instytucie politechnicznym i gospodarczym w Nowo-Aleksandryi, następnie zaś (1867) katedrę petrografii, w 2 lata później — geologii i paleontologii w b. Szkole Głównej, a od roku 1872 do 1890 wykładał te przedmioty w uniwersytecie warszawskim. Po wysłużeniu emerytury prowadził do końca życia własną szkołę realną prywatną. Zmarły prócz artykułów drobniejszych, umieszczanych: w „Pamiętniku Fizyograficznym", „Przyrodzie i Przemyśle", „Wszechświecie" i „Ateneum", którego był czas jakiś redaktorem, jest autorem następujących rozpraw naukowych: „O formacyach przechodowych gór kieleckich w Królestwie Polskiem" (1875), „Grunt" (1876), „Opis badań geologicznych, dokonanych w Królestwie Polskiem w r. 1878" (1879), „O porfirze w Królestwie Polskiem" (1880), „O utworach trzeciorzędowych gub. lubelskiej" (1883) i inne.



Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Ноября 1900.

Wydawca: *Wł. Spasowicz.*
Redaktor: *Ignacy Chrzanowski.*